

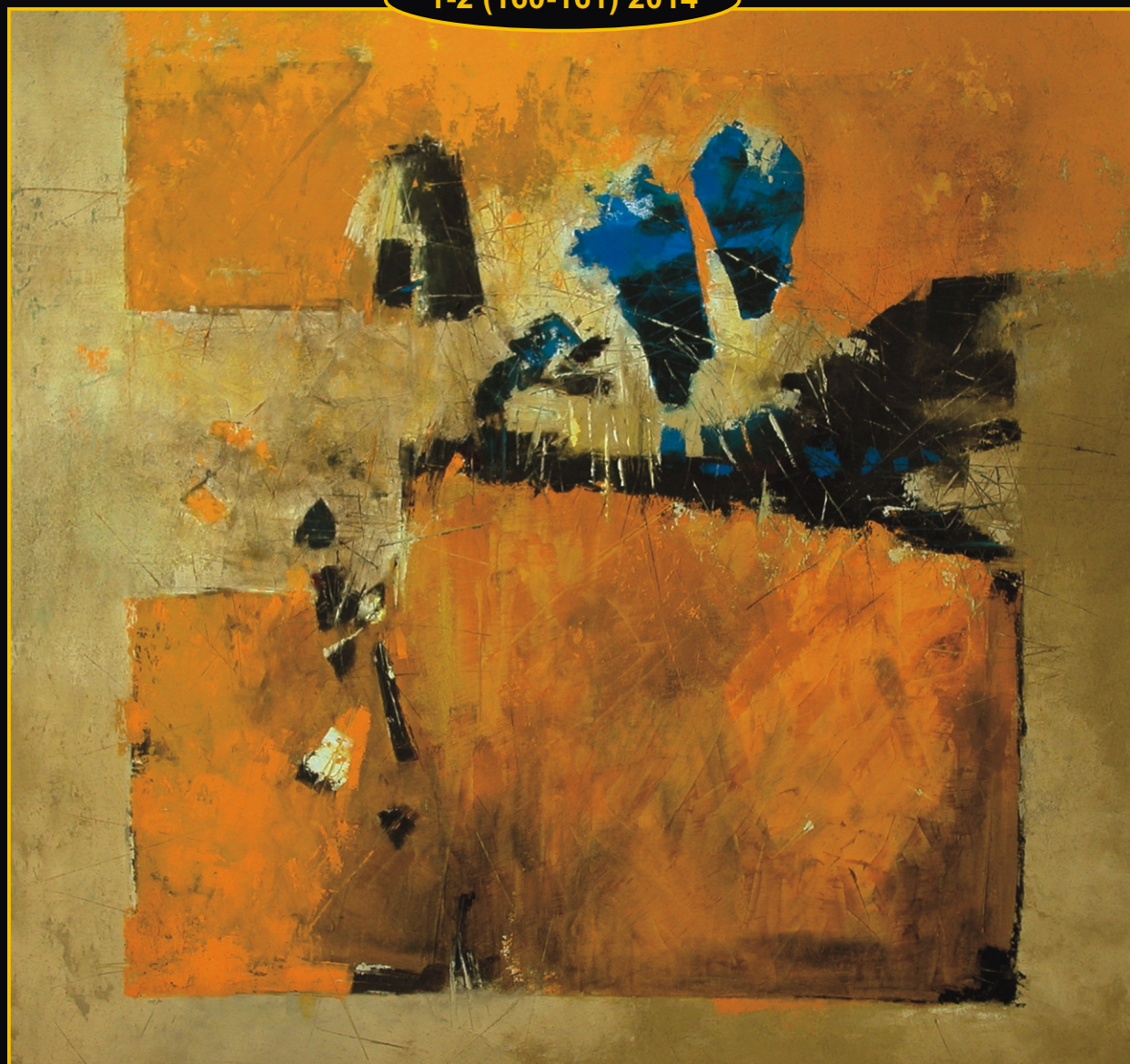
ZDANIE

„Trzech na jednego”
z ANDRZEJEM MLECZKO

W numerze m.in.: Henryk DOMAŃSKI, Beata KOWALSKA, Hieronim KUBIAK, Adam KULAWIK,
Bronisław ŁAGOWSKI, Władysław MARKIEWICZ, Krzysztof MROZIEWICZ, Andrzej ROMANOWSKI,
Marian STĘPIEŃ, Andrzej WALICKI, Jan WOLEŃSKI, Marek ZAGAJEWSKI

Adam Ziemianin - Wiersze

1-2 (160-161) 2014



CALLAN

SZKOŁA JĘZYKA ANGIELSKIEGO

FILIA - CALLAN SCHOOL OF ENGLISH - LONDON
ul. MAŁA 3 - przecznica ul. Zwierzynieckiej

tel.: 12 421 45 58

www.callan.krakow.pl



Kursy języka angielskiego Metodą Callana

rok założenia - 1994

- Wykwalifikowani Native Speakers
- Małe grupy, wszystkie poziomy, ciągły nabór
- Przygotowanie do egzaminów Cambridge (CFC, CAE) i egzaminu maturalnego
- Business English, kursy dla firm, lekcje indywidualne
- Kursy dla dzieci od 7-go roku życia
- Intensywne kursy dla wyjeżdżających za granicę
- Bogaty program zajęć pozalekcyjnych



Kursy języka niemieckiego



Kursy języka rosyjskiego



Kursy języka polskiego Polish for foreigners

Szkoła posiada akredytację Kuratorium Oświaty

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (160–161) 2014

OD REDAKTORA

Po raz pierwszy gości w „Zdaniu” Andrzej Mleczo – jako rysownik i bohater rozmowy „Trzech na jednego”. Witamy na naszych łamach. Dystans i autoironia towarzyszą też politykom, którzy od 14 lat występują w Reality Shopka Szol w Teatrze Groteska, o czym możemy się przekonać w tym numerze. Natomiast z pełną powagą zajęliśmy się tematem gender, ideologią w polskim wydaniu, skutkami transformacji po 25 latach, rozbiem lewicy, szkolnictwem w Ameryce, problematyką zaufania społecznego i recepcją krytyczną Gałczyńskiego.

Do pogłębionej refleksji skłoniły naszych Autorów ostatnio wydane, ważne książki: Andrzeja Walickiego (w bibliotece „Kuźnicy”), Karola Modzelewskiego (*Zajęz-*

dzimy kobyłę historii), Grzegorza Kołodki (*Dokąd zmierza świat*) i Ireny Paczyńskiej (*Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego*).

Wspominamy też, bądź przypominamy tych co odeszli, a wielce się zasłużyli dla kultury i nauki polskiej, m.in. profesorów Adama Schaffa, Bogdana Suchodolskiego, Krzysztofa Dunin-Wąsowicza i Henryka Markiewicza.

Prof. Marian Stępień udostępnił nam swój „kuźniczański” dziennik, którego część I publikujemy z niewielkimi skrótami. A ponadto w numerze wiersze Adama Ziemanina, proza Elżbiety Wojnarowskiej i... felietony.

Jest co poczytać!

EDWARD CHUDZIŃSKI

POCZUCIE HUMORU NIE JEST WARTOŚCIĄ W POLSCE CENIONĄ „Trzech na jednego” ANDRZEJ MLECZKO	3	83	Andrzej Banaś SMUTNE KOLEI KOLEJE LOSU
POLSKA IDEOLOGIA JAKO RELIGIA Marek Zagajewski	13	87	XIV REALITY SHOPKA SZOŁ w Grotesce
DLACZEGO TRZEBA BRONIĆ HUMANISTYKI? Jan Woleński	20	90	Elżbieta Wojnarowska EKSLIBRIS
REFLEKSJE GENDERYSTKI Beata Kowalska	23	95	Przemysław Trzeciak KTO TO NAMALOWAŁ?
OD PROJEKTU KOMUNISTYCZNEGO DO NEOLIBERALNEJ UTOPII. Nowa książka Andrzeja Walickiego. Rekomendują Andrzej Romanowski, Bronisław Łagowski	26	98	Adam Ziemanin WIERSZE
ZAUFANIE Henryk Domański	31	100	Adam Kulawik O KRYTYCZNEJ RECEPCJI GAŁCZYŃSKIEGO
NIEWYOBRAŻALNE DOŚWIADCZENIE Władysław Markiewicz	35	106	Marcin Kula SKARBONKA PAMIĘCI?
GRYPSY Z PIEKŁA Marek Kucia	38	108	Bohdan Chwedeńczuk ADAM SCHAFF – SPOJRZENIE Z ODDALI
KOBYŁA HISTORII I JEJ JEZDZIEC Andrzej Kurz	41	110	Rafał Skąpski PROFESOR BOGDAN SUCHODOLSKI W NRK
PARADOKSY OPISUJĄCE RZECZYWISTOŚĆ Edward Karolczuk	43	115	Filip Ratkowski JEGO DZIEŁO... PAMIĘCI HENRYKA MARKIEWICZA
EKONOMIA POLITYCZNA PRZYSZŁOŚCI Aleksander Łukaszewicz	48	117	Michał Śliwa KRZYSZTOF DUNIN-WĄSOWICZ (1923-2013)
ZJEDNOCZENIE LEWICY. PRZYCZYNY IMPASU Mateusz Burzawa	52	119	Jan Güntner POŻEGNANIE ANNY SIATKOWSKIEJ
O „KUŹNICY”. FRAGMENTY Z DZIENNIKA (I) Marian Stępień	56	121	Stanisław Gebala BEZSTRESOWO
SZKOLNICTWO W ROZWOJU AMERYKAŃSKIEJ CYWILIZACJI Hieronim Kubiak	65	124	Paweł Kozłowski DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO (IV)
JEZUS W INDIACH? Krzysztof Mroziewicz	71	128	Jacek Głomb FLESZE I ZMORY
KORESPONDENT KRZYSZTOFA MROZIEWICZA Adam Komorowski	76	129	Krzysztof Komornicki GŁOMB JAKO BATMAN, JÓZEFA JAKO PAPUSZA
OD KOLEJKI DO LUMPEKSU Iza Desperak	79	130	Tomasz Goban-Klas NOWE SZATY SZATANA
		131	Sceptyk „CHCIELIŚCIE POLSKI...



trzech na jednego

JEDEN:
ANDRZEJ MLECZKO
TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
ADAM KOMOROWSKI
FILIP RATKOWSKI

POCZUCIE HUMORU NIE JEST WARTOŚCIĄ W POLSCE CENIONĄ

EDWARD CHUDZIŃSKI: **Skąd Twój ród – Andrzeju? Urodziłeś się w Tarnobrzegu, za Wisłą Sandomierz, czyli na pograniczu dawnych zaborów...**

ANDRZEJ MLECZKO: Rodowody? Zupełnie mnie nie interesują. Wystarczy, że wiem, kto był moim ojcem i kto był moją matką. Inaczej mój brat, który zebrał dane i materiały do dziesięciu pokoleń wstecz.

FILIP RATKOWSKI: **Poczynając od Mleczka I?**

MLECZKO: Właśnie. Mnie to zupełnie nie interesuje. Miałem kilka lat temu wystawę w Tarnowskich Górach. Podeszły do mnie dwie nobliwe panie z propozycją, żebym się zapisał do Ruchu Monarchistycznego czy innego Związku Szlachty – partii księcia Wierchowskiego. Odpowiedziałem uprzejmie, że o ile wiem, to moje plebejskie pochodzenie nie pozwala na powoływanie się na takie koneksje. A one na to: – Panie Andrzeju, jak pan może! Za tydzień dostanie pan swoje drzewo genealogiczne! I przysłały – z alternatywami: albo pochodzę od Jaćwągów, albo od jakiegoś zupełnie innego, ale równie starożytnego ludu. Tak czy inaczej, z herbowym skutkiem! Nie zainteresowała mnie ani jedna, ani druga „herbowa” propozycja!

ADAM KOMOROWSKI: **Nam chodzi jednak o coś innego. O tradycje rodzinne, o to, kim byli rodzice i czy mieli poczucie humoru. A może jesteś pierwszym w rodzie żartownisiem?**

MLECZKO: Mój ojciec i moi wujowie byli, jak kojarzę, niezmiernie dowcipnymi i zdystansowanymi ludźmi. Ale moim ciotecznym dziadkiem był Aleksander

Gałuszka – poeta, człowiek niezmiernie serio, wielbiel Dmowskiego. Bardzo prawicowy. Stąd moją przyzwaną cicią była Edyta Sicińska, jego żona, która tłumaczyła Manna... Bywałem u niej w domu na Salwatorze jako student, ale rzadko.

RATKOWSKI: **Józef Aleksander Gałuszka to postać tragiczna. Poeta, nieco egzaltowany, przez długie lata działał w Krakowie jako sekretarz oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, najbliższy współpracownik Ludwika Hieronima Morstina z Pławowic. Wydał sporo tomów poezji. Popenił samobójstwo we wrześniu 1939 roku...**

MLECZKO: Mam gdzieś na półce jego tomiki i wiem na pewno, że poglądy, które prezentował, nie są moimi poglądami. A w ogóle, to w mojej zgodnej rodzinie, gdzie nie było zgrzytów ani kłótni, jeden element rodziców różnił. Ojciec miał poglądy raczej lewicowe, a mama wręcz przeciwnie. Jej ojciec a mój dziadek był zarządcą dóbr hrabiego Tarnowskiego w Dzikowie i dla niej Tarnowscy oraz wszelka arystokracja byli wspaniałymi ludźmi. Natomiast mój ojciec, który wykształcenie inżyniera-rolnika zyskał w Polsce Ludowej, zawsze mówił: „Czy wiesz Zosiu, co to jest chów wsobny? To sytuacja, gdy zwierzęta rozmnażają się w bardzo niewielkiej grupie i w efekcie dochodzi do degeneracji. To dotyczy również arystokracji. Jako przykład podawał mocno zdziwaczałego starego hrabiego Tarnowskiego”. Podobno hrabia ucieszył się jak mu spłonął tartak, bo dzięki temu miał ładniejszy widok w okna...

RATKOWSKI: Może miał lepsze widoki na odszkodowanie z ubezpieczenia?

MLECZKO: Tego nie wiem. Słyszałem, że rodzina mojej matki uważała jej związek z moim ojcem za lekki mezalians, bo gdy dziadek był „zarządcą dóbr Tarnowskich”, mój ojciec był prostym gajowym! Najniższym w leśnej hierarchii. Jak przyszła „komuna”, wszystko się odwróciło. Ojciec skończył studia i został dyrektorem, a matka umiała tylko mówić po francusku i szydełkować, z czego pożytek był niewielki. Tak czy inaczej, ja mam w głębokim poważaniu wszystkie takie czy inne błękitnokrwiste koneksje. Zresztą są to sprawy bardzo wątpliwe, bo wiadomo przecież, że te wszystkie tytuły szlacheckie i hrabiowskie można było sobie kupić albo dostać za podlizywanie się królowi.

RATKOWSKI: Rzeczpospolita Obojga Narodów nie uznawała żadnych tytułów hrabiowskich, bo nadawane były wyłącznie przez „obce potencie”.

MLECZKO: Książęce chyba były...

RATKOWSKI: Ale tylko rodzin podpisanych pod aktem Unii Lubelskiej i Poniatowskich. Na dodatek.

CHUDZIŃSKI: Zostawmy te genealogiczne żarty. Dowiedzieliśmy się, że eksponowany w PRL-u konflikt klasowy ujawnił się także w rodzinie Andrzeja i że była to rodzina obdarzona talentami, co zapewne przeniosło się w genach na potomka i spadkobiercę tradycji.

MLECZKO: Oboje rodzice mieli przedwojenną maturę, więc ten konflikt klasowy nie był bardzo ostry. Urodziłem się rzeczywiście w Tarnobrzegu, pewnie w jakimś szpitalu, nie pytałem o szczegóły, a wiązało się to z oczywistym faktem, że moja rodzina akurat wtedy mieszkała w Tarnobrzegu. Potem ojciec dostał propozycję, by objąć dyrekcję rozsianego po całej Rzeszowszczyźnie zespołu stawów rybnych. Nie była to praca lekka. Jeździł po całym terenie rozklekotaną warszawą albo samochodem marki lublin, który psuł się bez przerwy, ale z tych wczesnych lat niewiele więcej pamiętam, bo byłem, choć dziś trudno w to uwierzyć, malutki! Potem zamieszkaliśmy w Kolbuszowej, miasteczku, które wówczas miało 2,5 tys. mieszkańców, choć przed wojną liczyło 5 tysięcy. Przeorał miasto holokaust.

Z natury rzeczy moi rodzice należeli w tym miasteczku do małej elity. Mieli w domu sporą bibliotekę, w tym pozycje z literatury francuskiej, jako jedni z pierwszych kupili telewizor. Miałem naprawdę piękne dzieciństwo, choć mieszkaliśmy kilka ładnych kilometrów od miasta. Zdarzało się, że w zimie dojeżdżałem do szkoły na nartach, a w lecie na rowerze. Mieliśmy zawsze kilka psów, były też konie... To, co gówniarzowi działa najmocniej na wyobraźnię i jest niezwykle ważne. W szafce stały dubeltówki i sztucery, a ojciec mnie brał na polowania.

KOMOROWSKI: W czasach stalinowskich też?

MLECZKO: Urodziłem się w 1949 roku, więc szczęśliwie te stalinowskie czasy spędziłem w pieluszkach i osobiście wspominam je ciepło. Do tamtych czasów się więc nie odniosę. Generalnie rozumiem, że każda kolejna władza stara się zdyskwalifikować *ancien régime*, ale te kombatanckie opowieści, jak byliśmy ciemniężeni za czasów „komuny” to jakieś kompletne bzdury. Być może ciemniężyli w innych województwach, ale w rzeszowskim żyliśmy jak u Pana Boga za piecem.

Ojciec z kolei podkreślał zawsze, że opowieści o tym, jak fantastycznie żyło się przed wojną, to też brednie, choć nie był żadnym lewakiem.

Oczywiście i w naszym życiu pojawiały się jakieś problemy wynikające z ówczesnej sytuacji politycznej. Byłem dzieckiem, ale pamiętam, jak ojciec przyszedł do domu i powiedział: zażądano ode mnie, żebym zapisał się do partii. W tym momencie moja mama powiedziała: Rysiu, w naszej rodzinie nikt nie należał do partii, jeśli to zrobisz, to koniec naszego małżeństwa. Prawie filmowa scena! W efekcie odbyła się narada rodzinna i ktoś podsunął wyjście salomonowe – ojciec zapisał się do ZSL-u i miał święty spokój.

Stalinizmu nie doświadczyłem więc na własnej skórze i dzieciństwo miałem fantastyczne. Żyliśmy spokojnie w domu położonym nieco na uboczu, ale miało to wszystko pewien minus. W zasadzie, poza dziećmi robotników pracujących na stawach, po szkole nie miałem kontaktu z rówieśnikami.

KOMOROWSKI: Nawet z Krzaklewskim?

MLECZKO: Nawet z nim. Może dlatego, że był dwie klasy niżej. Zresztą jego ojciec był bardzo dobrym dyrektorem szpitala i nasze rodziny się znały. Szkołę podstawową i liceum wspominam bardzo dobrze, może dlatego, że minęło pół wieku. Polskiego uczył mnie Michał Czartoryski, który przeszedł cały szlak Andersa. Nie robił z tego żadnej tajemnicy i nie przeszkadzało mu to należeć do PZPR. Kolegowałem się blisko z jego synem.

KOMOROWSKI: A kto uczył cię rysunku?

MLECZKO: Chyba nikt! Były, pamiętam, jakieś zajęcia praktyczno-techniczne, z którymi miałem mnóstwo kłopotów, bo nie miałem najmniejszych umiejętności manualnych.

RATKOWSKI: A może to wynikało z faktu, że jesteś leworęczny, a ogromna większość narzędzi jest przystosowana dla osób praworęcznych!

MLECZKO: Może, choć wątpię. Nie mam też za grosz orientacji przestrzennej i mogę się zgubić nawet na krakowskim Rynku. Pamiętam tylko frustrującą sytuację, że jakąś lampkę nocną z korzenia robiłem, bezskutecznie, przez cały rok.

CHUDZIŃSKI: Byłeś ministrantem?

MLECZKO: Nigdy w życiu! Może dzięki temu uniknąłem molestowania. Już w szkole podstawowej lekcje religii nie budziły mojego entuzjazmu.

CHUDZIŃSKI: Może katecheta był kiepski?

MLECZKO: Byli okropnie nudni, ale nie mogłem się od tego wykręcić, bo wszyscy wtedy chodzili do kościoła. Jediną osobą, która na religię nie chodziła, była pewna Marysia i z tego powodu spotykał ją ostracyzm towarzyski. A była to najładniejsza dziewczyna w szkole i ja też się w niej kochałem. Gdy słyszę dzisiaj, że chodzenie na religię wymagało wtedy odwagi i wiązało się z dyskryminacją, to twierdzę, że było dokładnie odwrotnie. Mam pierwszą komunię za sobą i pamiętam dramatyczny moment, kiedy opłatek przylepił mi się do podniebienia. W końcu odkleiłem go jednak skutecznie i pomyślałem, że pójde do piekła... Bierzmowanie też mam za sobą.

W średniej szkole już religii nie było, chodziłem do punktu katechetycznego przy kościele. Msze i kazania też były nudne jak flaki z olejem i gdy padały ostatnie słowa, wszyscy rzucali się hurmem do wyjścia. Robiło

się tłoczno i pozwalało to na zmysłowe zbliżenia do wyfiokowanych pań w obcisłych sukienkach z krempliny.

CHUDZIŃSKI: Ale oto szkoła się kończy i wybierasz się na architekturę. A żeby dostać się na ten kierunek, trzeba było przedstawić prace rysunkowe. A ty nie pamiętasz żadnego nauczyciela rysunków?

MLECZKO: Ja rysowałem bez przerwy od czwartego roku życia. Od momentu, gdy odkryłem, że istnieje coś takiego jak ołówek. Dlaczego? Nie wiem! Nie mam pojęcia. Chodziłem po polach, rysowałem wszystko i to była główna moja rozrywka, a moja mama, która – jak większość z mam – uważała, że urodziła geniusza, zbierała to wszystko. Zbierała i zbierała, zapisywała daty... I oto podczas jakiegoś remontu, 15 czy 16 lat temu, wszystko to mi zginęło. Ogromnie żałuję, bo jak mi się wydaje, niektóre z tych rysunków były całkiem niezłe. Nawet planowałem zrobić wystawę konfrontującą rysunki dzisiejsze z tym dawnymi. Niestety przepadły. Do dziś nie mogę sobie tego darować.

KOMOROWSKI: A myślałeś o Akademii Sztuk Pięknych?

MLECZKO: Myślałem, rodzice nawet zawieźli moje rysunki do jakiegoś profesora z ASP i zapytali, czy mam szansę. Profesor odpowiedział, że są „zbyt zmannerowane” i „nie za bardzo”. Być może chciał w ten sposób osłodzić odmowę... Były w owym czasie takie poradniki dla kandydatów na studia i moi rodzice okryli, że jedyny wydział łączący w sobie elementy humanistyki i nauk ścisłych, to architektura. Rodzice wybrali mi więc architekturę. Zdałem na pierwszym razem, nie wiem, w jakim stopniu mogły tu pomóc jakieś zakulisowe działania, bo było 12 osób na jedno miejsce, ale test rysunkowy przeszedłem bez problemu. Niestety, już po roku wiedziałem, że popełniłem błąd...

CHUDZIŃSKI: I dalej jest to, co można przeczytać w oficjalnym biogramie mistrza: „studiował na Politechnice Krakowskiej”. W większości przypadków to oznacza, że ta przygoda trwała krótko...

MLECZKO: O przepraszam! Ja studiowałem 12 lat, póki mnie nie usunięto, bo nie napisałem pracy magisterskiej. Ale absolutorium mam – jest na to papier!

RATKOWSKI: A zatem mistrz Mleczek to prawdziwy inżynier!

MLECZKO: Jestem inżynierem. Tak!

CHUDZIŃSKI: Z kim miałeś zajęcia z rysunku?

MLECZKO: Z matką słynnego malarza Andrzeja Wróblewskiego, który uznanie zdobył w okresie socrealizmu, kolegą Andrzeja Wajdy. Pani Danuta Wróblewska stawiała przed nami gipsowe popiersia, które rysowaliśmy w pocie czoła. Ja dostawałem z początku same piątki, ale zacząłem rysować coraz szybciej, coraz mniej starannie i skończyło się na trójce na szynach! Miałem jednak pewną satysfakcję, bo kiedy po latach spotkałem ją na jakimś wernisażu, to mocno już nobliwa Pani Profesor na mój widok zawołała: – To jest mój uczeń!

RATKOWSKI: Czy uważasz, że te lekcje rysunku na architekturze pomogły ci jakoś w znalezieniu własnego stylu? Na twoich rysunkach każda postać i każdy dom ma cień, a tego nie można powiedzieć o wielu innych rysownikach.

MLECZKO: Nie patrzyłem na moje rysowanie pod tym kątem. Natomiast samą architekturę uważałem

długo za stratę czasu, która w dodatku trwała wiele lat. Dziś z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że architektura nauczyła mnie koncepcyjnego myślenia. Architektami byli Marek Grechuta, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Sławomir Mrożek, Zdzisław Beksiński, Eugeniusz Get-Stankiewicz, Jan Sawka, Tadeusz Brzozowski i wielu innych malarzy, grafików, muzyków i literatów. Te studia niewątpliwie rozbudzają wyobraźnię i są jedynym kierunkiem, gdzie rysunek i historia sztuki sąsiadują z matematyką wyższą i konstrukcją budowli.

CHUDZIŃSKI: Z tego wynika, że architektura jest w twoim rysowaniu ciągle obecna.

MLECZKO: Staram się nie oceniać i nie analizować własnej twórczości, bo taka ocena jest z natury rzeczy bardziej obiektywna.

CHUDZIŃSKI: W jednym z wywiadów zagroziłeś, że zabijesz rozmówcę, jeśli rozmowa zejdzie na niewłaściwe tory...

MLECZKO: Nie bójcie się, nic wam nie grozi, ale czasem czytam o sobie takie bzdury, że ręce opadają. Niedawno właśnie przyniesiono mi trzecią już pracę magisterską na mój temat. Takich głupot dawno nie czytałem.

RATKOWSKI: To samo zapewne powiedziałby Pan B., gdyby przeczytał Biblię!

CHUDZIŃSKI: We wszystkich biogramach podajesz, że jako rysownik debiutowałeś w „Studencie”.

MLECZKO: Redakcja była na górze, w siedzibie Rady Okręgowej ZSP, nad Jaszczurami.

CHUDZIŃSKI: Ale dlaczego wybrałeś „Studenta”?

MLECZKO: To nie ja wybrałem – to „Student” wybrał mnie! Wysyłałem swoje prace do wszystkich możliwych gazet. Nawet do niektórych pism zносиłem rysunki osobiście. Pamiętam wizytę w piśmie „Literatura”, gdzie stremowanego studenta drugiego roku przyjął sam ówczesny wicenaczelnny Jan Koprowski, zastępca Putramenta. Powiedział, żeby prace zostawić, że zobaczą, ale odpisali potem konwencjonalnie, że „na druk jeszcze za wcześnie”.

CHUDZIŃSKI: Więc jesteś w „Studencie”...

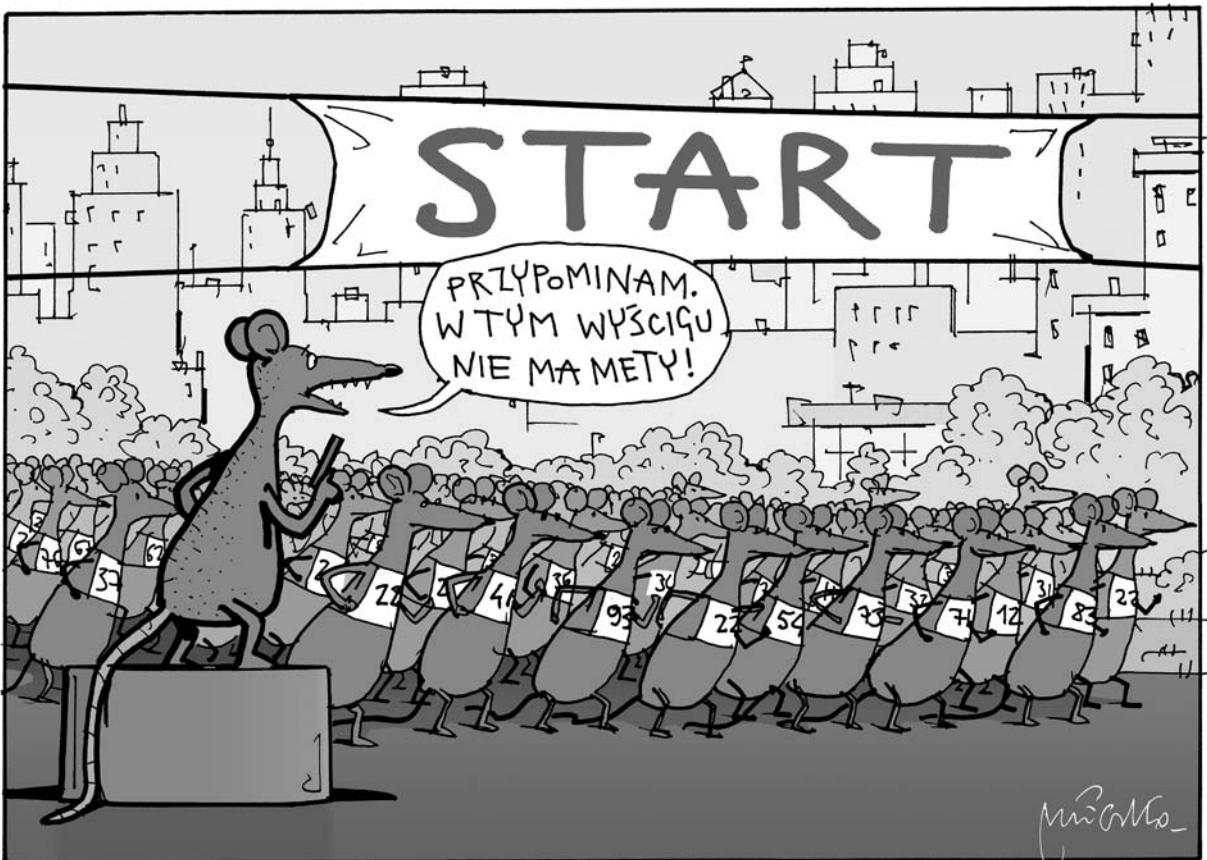
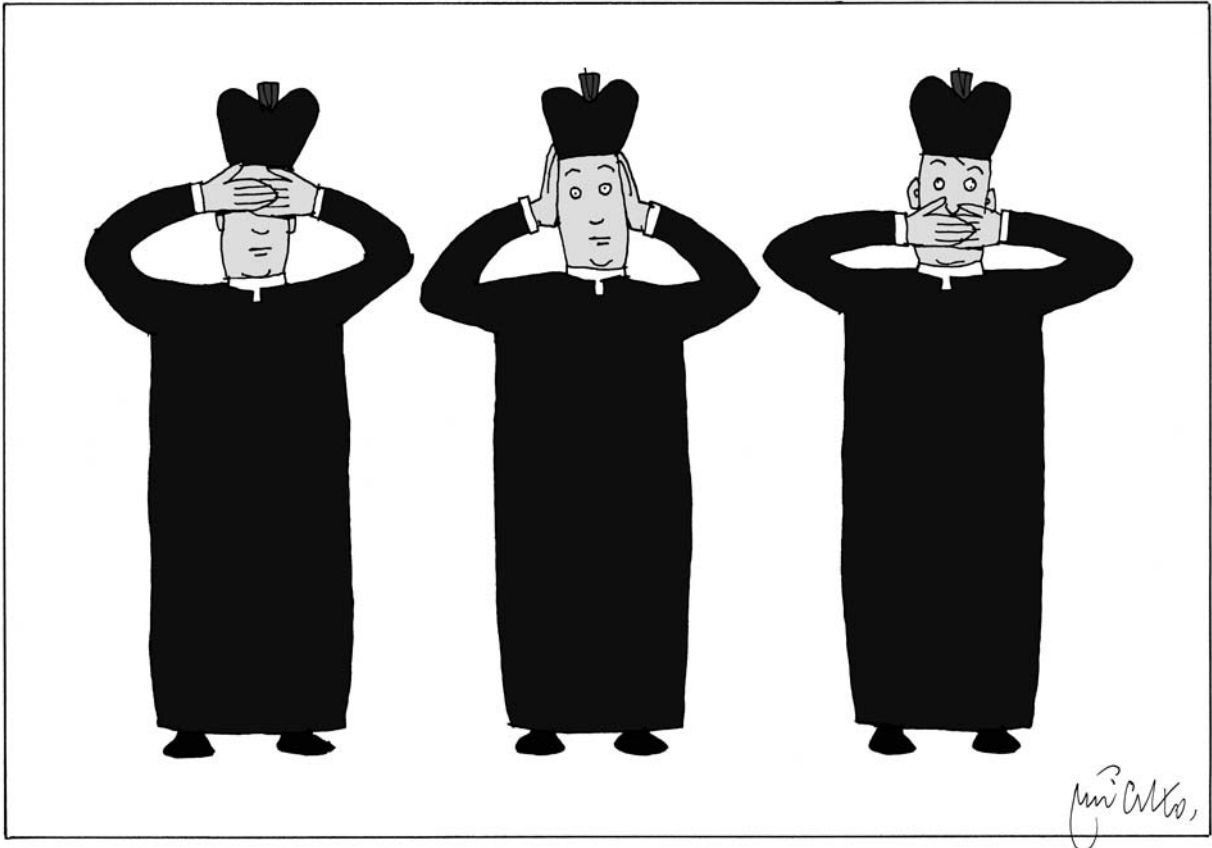
MLECZKO: Do dziś pamiętam straszny szok, jaki przeżyłem, kiedy ukazał się w druku mój pierwszy rysunek.

KOMOROWSKI: Jednym z pierwszych twoich rysunków była inkrustacja mojego tekstu o Sandauerze. I narysowałeś, jak dziś pamiętam, diabła. Diabła w stylu Jezusa fraszobliwego, bo to był krytyczny tekst o Sandauerze. Kilka dni później, kiedy akurat wpadł do Krakowa, zadzwonił do mnie. Bałem się, że mnie potraktuje z butą, a on tymczasem o tekście niewiele mówił, natomiast był zachwycony twoim rysunkiem!

MLECZKO: Ja w Sandauerze zawsze ceniłem bezkompromisowość, bo on jako jedyny spośród polskich ekspertów miał odwagę krytycznie wypowiadać się na temat twórczości literackiej Jana Pawła II.

KOMOROWSKI: Faktem jest, że Sandauer nie miał litości nawet dla największych polskich pisarzy...

CHUDZIŃSKI: Powiadasz, że rozesłałeś swoje prace do kilkudziesięciu tytułów i tylko „Student” odpowiedział. Ale chyba miałeś wcześniej to czasopismo w ręku? W tym czasie skupiła się wokół





SA TAKIE CHWILE
W ŻYCIU ŻOŁWIA,
ŻE MUSI KOMUŚ
DAĆ W MORDE

młotek

niego grupa rysowników, m.in. Lutczyn, Sawka, Wołyński, później doskoczył Czeczot, a po grudniu 70 pismo nabrało wiatru w żagle. Byliśmy głosem pokolenia, pismem kontestacyjnym etc... Czy to towarzystwo i tamy pisma ci odpowiadały?

MLECZKO: Zastanawiam się, co rozumiesz pod słowem „odpowiadały”?

KOMOROWSKI: **Jak przychodzicie do redakcji, to od drzwi mówicie: „Cześć bolszewiki”!**

MLECZKO: Ja tego nie pamiętam!

CHUDZIŃSKI: **A Ruchałowskiego witałeś i rysowałeś jako plutonowego Ruchałę.**

MLECZKO: Oto kolejny przykład, jak każdy inaczej pamięta różne ważne wydarzenia z życiorysu. Pamięć to zresztą rzecz ulotna. Odwiedził mnie ostatnio na przykład Andrzej Bachleda, wielki narciarz, alpejczyk, wicemistrz świata. Studiował dwa lata wyżej. Siedzimy i ja go pytam czy pamięta, jak czasami, gdy przychodził wyjątkowo na zajęcia, bo właśnie przyjechał do kraju w przerwie między zawodami, to szedł hyr po całym wydziale, a profesorowie niemal bali się go pytać i puszczali mu wszystko płazem... A on twierdzi, że pamięta to dokładnie odwrotnie, że był wtedy ogromnie zestresowany i wystraszony, a przed każdym egzaminem wpadał w panikę.

Ja też nie pamiętam, żebym czuł się pewnie w waszym towarzystwie. Wy byliście z Krakowa, ja byłem o wiele młodszy, a krakusem poczułem się dopiero po wielu latach życia w naszym mieście.

RATKOWSKI: **Pociesz się, że z kolei ja i moi koledzy braliśmy „Studenta” i całe towarzystwo z ZSP z lewa, i uważaliśmy ich nie za żadną „kontrkulturę”, tylko za konformistów!**

CHUDZIŃSKI: **A dla nas wy byliście zetemesiakami z podobizną Che Guevary na koszulce...**

MLECZKO: *A propos*, zapraszają mnie niekiedy do programu telewizyjnego *Drugie śniadanie mistrzów*. Pytałem ostatnio redaktora prowadzącego, czy mogę wystąpić w koszulce z Che Guevarą, bo nie wiem, czy to nie zostanie potraktowane jako propagowanie ideologii totalitarnej. Nie potrafił odpowiedzieć jednoznacznie.

CHUDZIŃSKI: **W 1980 roku zrobiłeś plakat do Tajnej misji w Teatrze STU. Plakacistami byli też inni rysownicy „Studenta”, jak Sawka i Czeczot.**

MLECZKO: Pamiętam i nawet mam ten plakat do dziś, ale nie jestem nim zachwycony. Uważam, że każdy powinien robić to, do czego pan Bóg go stworzył. Ja w plakacie nigdy nie czułem się najlepiej, choć rzeczywiście, kilka plakatów zrobiłem. Dla teatru, dla Piwnicy Pod Baranami... Zrobiłem nawet kilka scenografii, do przedstawień teatralnych i kabaretów, co nie znaczy, że czuję się scenografem.

CHUDZIŃSKI: **Dla nas jednak, jako rysownik, jesteś zjawiskiem osobnym.**

MLECZKO: Trudno mi to oceniać, ale w tamtych czasach dobrze się czułem w środowiskach kontestujących, bo jak większość obywateli nie byłem entuzjastą tego, co działo się w kraju. Oczywiście po latach znacznie zweryfikowałem poglądy, ale skąd ja miałem wiedzieć, jak wygląda demokracja w polskim wydaniu i kapitalistyczny wyścig szczurów.

CHUDZIŃSKI: **Kiedy Toeplitz dostał „Szpilki” także całą grupą weszliście tam – rozpoznawalni właśnie jako „grupa ze »Studenta«”.**

MLECZKO: Ja mam tego pełną świadomość, ale nie jestem pewien, czy ktoś, poza nami, to zauważa.

KOMOROWSKI: **Jak postrzegasz swoją twórczość na tle rysowników krakowskich wcześniejszego pokolenia? Lengrena, Stopki, Wiśniaka czy innych cartoonistów. Czy od początku szukałeś dla siebie miejsca osobnego, czy po prostu „tak wyszło”?**

MLECZKO: Nie jestem aż takim megalomanem, żebym od razu zakładał, że moja twórczość będzie w przyszłości taka rozpoznawalna. Po prostu kiedy dostałem propozycję ze „Szpilek”, to tam drukowałem. Odezwał się „Student”, to rysowałem w „Studencie”. Człowiek, jak wiecie, jest piórkiem na wietrze i niełatwo zaprogramować siebie na przyszłość. Kolejne sytuacje pojawiały się przypadkowo i one stawały się motorem dla dalszych działań, które procentować miały w przyszłości. Gdyby mi publikowanie zaproponowała „Karuzele”, to bym się pewnie nie zgodził, ale zaproponowały „Szpilki”, a dokładniej Jonasz Kofta i Adam Kreczmar. Zobaczyli moje rysunki w „ITD” i po roku miałem u Toeplitza całą ostatnią stronę. Wybierałem to, co mi odpowiadało, ale nie miałem żadnego planu na całe życie, zresztą to chyba nie jest możliwe.

KOMOROWSKI: **Czy dało się z tego żyć?**

MLECZKO: Mówimy o latach 70.? Tak, nie było to życie specjalnie hulaszcze, ale dało się żyć. Za jeden całokolumnowy rysunek w „Szpilekach” mogłem dostać 600 zł. W miesiącu szły cztery rysunki, a wtedy średnia pensja to było 2 do 2,5 tys. zł. Drukowałem też niekiedy w innych pismach...

RATKOWSKI: **A w Chodzieży, w knajpie III kategorii, nawiasem mówiąc czystościutkiej i z obrusami, drugie danie – boczek z dzika i kompot – kosztowało niespełna 8 zł. I komu to przeskadzało?**

MLECZKO: No właśnie. Komu?

CHUDZIŃSKI: **Jak ci się układało z cenzurą?**

MLECZKO: To w zasadzie nie był mój problem, bo dopiero po stanie wojennym miałem z nią kontakty bezpośrednie. Wcześniej to był problem redakcji. Czasami mi jakiś rysunek zdejmowali, z reguły nie wiedziałem, z jakiego powodu, więc siadałem i robiłem następny. Oczywiście gorszą sytuację mieli filmowcy, którzy robili przez dwa lata film, po czym cenzura go zdejmowała. Można się było załamać. Dla mnie nie było to więc bolesne – raczej zabawne.

Pamiętam, jak dzwoni do mnie ktoś ze „Szpilek”, że ma straszny problem, bo zatelefonował do niego towarzysz Grudzień, że na jakimś moim rysunku jest kobieta zbyt roznegliżowana, albo że dzwonił aż z KC, że facet na rysunku, który leży w łóżku, jest zbyt podobny do komendanta Milicji Obywatelskiej w Warszawie. Pytały, czy mogą sami mu domalować wąsy? A co tam! Domalujcie!

Zapytałem kiedyś Toeplitza, dlaczego zdjęli mi jakiś tam rysunek? — Dlaczego? Spojrzał na mnie spod oka i odparł z uśmiechem: „I tak nie zrozumiesz....”.

KOMOROWSKI: **Masz ten rysunek?**

MLECZKO: Niestety nie mam. Kilka lat temu przeczytałem książkę o minimalizmie w życiu i wyrzuciłem wszystko: roczniki „Studenta”, „Polityki”, kilka tysięcy książek i setki rysunków.... W tej chwili moja pracownia to 130 metrów pustki. Jedna szafa i lustro w ziaźnie!

CHUDZIŃSKI: **W PRL-u cenzura musiała się wykazać czujnością, niekiedy zupełnie bez sensu.**

W twoim przypadku w co ingerowała, w tekst czy w rysunek?

MLECZKO: Dla mnie tekst i rysunek to jedność, a i dla nich pewnie też, jednak podpisu pod tym „face-tem podobnym do szefa MO” nie pamiętam...

RATKOWSKI: „Pan Zenek wesoly sanitariusz” – ten długi cykl rysunkowy był odbierany wyraźnie jako kontestacja systemu. W dodatku, jak mi się wydaje, pojawił się w tym czasie, kiedy pisano i mówiono o śmierci Przemyska pobitego rzekomo przez sanitariuszy pogotowia....

MLECZKO: Dorabiacie chyba ideologię. Mnie się to tak nie kojarzyło. Ale kombinujcie, kombinujcie! Pamiętacie zresztą, że w tamtym czasie cały kraj chorował na aluzjomanie i wszystko było aluzją! Ja rysowałem, co mi w duszy grało, wiedziałem, że są pewne ograniczenia, a jeśli te ograniczenia przekraczałem, to raczej nieświadomie...

KOMOROWSKI: Jak się poczułeś w »karnawale „Solidarność”«? Z Nyczkiem i samizdatową oficyną ABC zaczęłeś współpracę jeszcze przed 1980 rokiem...

MLECZKO: A potem, jak wiecie, byłem delegatem na Kongres Kultury, ten przerwany przez stan wojenny. Ale wcześniej współpracowałem z różnymi pisemkami i dlatego Wajda jako współorganizator mnie zaprosił. Współpracowałem m.in. z Czesławem Bieleckim, też architektem, potem PiS-owcem... Robiłem wtedy obrazki raczej bez podpisu, albo kolaże, bo nie chciałem włożyć się po milicjach, w dodatku, co tu kryć, nie byłem wielkim entuzjastą „Solidarność”. Dla mnie ruch, który ma więcej niż 50 osób, to już jest za tłoczno, a 10 milionów budzi we mnie przerażenie i niesmak.

Kiedyś Antonio de Mello powiedział bardzo ładnie: „Jeżeli podąża za tobą milion osób, to zastanów się, gdzie popełniłeś błąd”. Zawsze się lepiej czułem w grupach nielicznych, elitarnych, niż w tłumie. Nie znoszę tłumu, więc nie zapisałem się do „Solidarność”. Kibicowałem jej bardziej przez rozum niż przez serce.

Pierwsze moje rozczarowanie to był Wałęsa. Ja od dziecka przy zasypianiu słuchałem Wolnej Europy, bo ojciec cały czas kręcił gałką i zielone oko w radiu magicznie mrugało w ciemności. W tej Wolnej Europie słyszałem, „że Wałęsa, że genialny” i wyobrażałem go sobie trochę jak herosa i intelektualistę zarazem. W czasie owego karnawału Hania Wcisło zrobiła ze mną wywiad i zapytała, jaką cechę u ludzi najbardziej sobie cenię. Wtedy ja, wbrew temu co naprawdę myślę, żeby było politycznie, odpowiedziałem: solidarność. Pamiętam, że wywiad ukazał się w „Gazecie Krakowskiej” i był potem powielany w formie ulotek.

Po jakimś czasie dzwoni do mnie Mietek Gil, szef „Solidarność” w Hucie: Przyjdź na Rynek, Wałęsa przyjedzie. Rynek nabity, niosą Wałęsę na ramionach na trybunę, a ja widzę spoconego faceta, który porozumiewa się jakimś dziwnym językiem, którego nie jestem w stanie pojąć. Przydawka jest tam gdzie powinien być podmiot, a podmiot tam, gdzie orzeczenie. Nie wzbudził we mnie cienia sympatii i nie rozumiem do dziś, z jakiego powodu został przywódcą dziesięcioletniego ruchu.

„Solidarność” próbowała mnie „zassać” i nawet wykorzystywali często moje rysunki. Zaczęłem wówczas

bliżej poznawać to środowisko, ale nie byłem w stanie zaakceptować tego, że oni się gnieździli w kruchtach i większość czasu spędzali na kolanach. Nawet Adam Michnik z księżmi się obnosił, ale ja jakoś nie mogłem się przełamać. Poza tym działacze zbyt rzadko jak na mój gust korzystali z prysznic... Ja wiem, że to dla prawdziwego rewolucjonista normalne, ale oni jednak zbyt często byli z higieną na bakier. Ponadto wypadło, żeby prawdziwy działacz nie miał z przodu zęba, żeby dać świadectwo bestialstwu milicji. Do dziś pamiętam, z jakim zażenowaniem słuchałem relacji z Bydgoszczy, gdy Rulewski płakał, że mu złamali pół zęba. Chole- ra, jak się bierzesz do rewolucji, to licz się z tym, że zęba stracisz i potem nie płacz. Ta martyrologia zaczęła mnie już wtedy męczyć, choć dla zasady, „Solidarność” popierałem.

I znów miałem podział w rodzinie. Matka była uszczęśliwiona, a ojciec ciągle przypominał, jaka w istocie była Polska przedwojenna i jak chłopci musieli kłaniać się do samej ziemi panom dziedzicom. Cóż, stary ojciec trochę racji miał.

CHUDZIŃSKI: Stan wojenny dopadł cię na Kongresie Kultury Polskiej.

MLECZKO: Byłem tam przez dwa dni, mieszkałem w Forum obok profesora Błońskiego i pamiętam do dziś, jak stoimy w śniegu przed drzwiami Pałacu Kultury, Małcużyński z siwymi włosami, a tu kartka, że obrady kongresu zawieszono. Wracaliśmy potem z profesorem Błońskim do Krakowa pociągiem. Mieszkałem wówczas na osiedlu Cegielniana w bloku na 8 piętrze, więc po powrocie zastukałem najpierw piętro niżej, żeby sąsiedzi sprawdzili, czy nie czeka na mnie w mieszkaniu milicja... Ale oczywiście nikomu nie śniło się nachodzić jakiegoś Mleczki. Mieli ważniejszych gości na głowie.

CHUDZIŃSKI: Potem zawieszono gazety, a jak je odwieszono, zaczął się bojkot i zniknęło miejsce dla takiego artysty jak ty. Wtedy założyłeś prywatną galerię.

MLECZKO: Od początku uważałem, że bojkot prasy, a już szczególnie teatru to delikatnie mówiąc, przesada, chociaż sam wzięłem w nim udział. Czasem było nawet zabawnie. Pamiętam, jak w kawiarni w hotelu Forum spotkałem przypadkiem Olka Kwaśniewskiego, który był wtedy naczelnym „ITD.” Przysiadł się do mnie i mówi: Andrzej, daj spokój, wróć, Jaruzelski nie jest taki zły! Ja oczywiście odmówiłem w porywie patriotyzmu i do głowy by mi nie przyszło, że po latach moja obecna żona będzie matką chrzestną Gucia, wnuka Generała, a z Olkiem do dziś jestem w koleżeńskich relacjach.

Ale trwał stan wojenny i bojkot, więc przez rok żyłem z zaskórniaków, lecz to się zaczęło kończyć. Wtedy czerwononi mieli na kontestatorów dwa patenty. Jeden to dać paszport i wyrzucić za granicę, z czego wielu skorzystało i nawet porobili kariery, a drugi dać szansę na zajęcie się biznesem.

Ja tam specjalnie nie byłem zaangażowany w podziemie, ale możliwe, że w moim przypadku tak właśnie się stało. Dowiedziałem się wtedy przypadkiem, że w samym centrum miasta jest pusty lokalik po magazynu domu towarowego Krak. Poprosiłem o to pomieszczenie i o dziwo dostałem zgodę na założenie tej minigalerii, w której właśnie siedzimy.

KOMOROWSKI: A nie nachodzili cię wiadomi panowie?

MLECZKO: Przy moim rozkojarzeniu i tak bym tego nie zauważył. Choć owszem, przyszedł kiedyś do mnie Mietek Gil. I nagle zobaczył faceta, który często do galerii zaglądał. Pyta, kto to, a ja odpowiadam, że taki tam sobie gość, czasami zagląda i lubi pogadać o życiu. A Mietek mówi: – To przecież ubek, który mnie przestuchiwał! Cóż, mam nadzieję, że nie opowiedziałem tamtemu nieświadomie czegoś, co by kwalifikowało mnie do teczki w IPN.

CHUDZIŃSKI: **Spisane będą czyny i rozmowy! A jak mówi jakaś łakoma mysz na jednym z twoich rysunków: „Tę teczkę to ja wyrzgam!”**

MLECZKO: A więc połowa mojej galerii to magazynek po domu towarowym, a druga połowa to sklepik spożywczy, którego właścicielka umarła...

RATKOWSKI: **Pamiętam. Stąd nosiło się, przez podwórko, piwo skrzynkami do jazzklubu „Helikon”, gdzie za barem urzędował Andrzej Jakubiec...**

KOMOROWSKI: **Babcia Makowska! Legendarna postać!**

CHUDZIŃSKI: **A skoro już mowa o wielkościach, to u ciebie kiedyś urzędował za ladą sam Jerzy Pilch!**

MLECZKO: Zagadnął mnie czy nie mam jakiejś roboty, gdyż – jak opowiadał – wyrzucili go za politykę z UJ, choć złośliwi twierdzą, że po prostu nie zrobił doktoratu. Fakt, że był to najlepiej wykształcony sprzedawca w mojej galerii. Przychodził do galerii z termosem, ale przekonałem się kiedyś ze zdumieniem, że wcale nie miał tam herbaty. Po dwóch latach doszliśmy do wniosku, że dla nas obu były to bardzo trudne lata – zgoła horror! I dla niego, i dla mnie.

CHUDZIŃSKI: **Czy to glossa do filmu *Pod Mocnym Aniołem*?!**

MLECZKO: Nie będę go oglądał, nie lubię smutnych filmów.

CHUDZIŃSKI: **I wreszcie weszła jutrzeńka swobody...**

MLECZKO: Co tu dużo gadać, większość ludzi ma dziś dystans do „Solidarności”. Jest zresztą paradoksem, że „Solidarność” stała się słowem sztandarowym w najmniej solidarnym społeczeństwie i najmniej solidarnym kraju świata.

CHUDZIŃSKI: **A ja przypomnę ci, jakimi książkami powitałeś te zmiany. W 1989 roku Mleczek wydaje, jedyny raz *Dzieła wybrane* – autoironiczny pomysł sytuujący cię jednak wśród wielkich. A potem przyszło *Pożegnanie z komuną*.**

MLECZKO: Jestem urodzonym pesymistą. Zwykle podejrzewam, że wszystko będzie układało się źle i z reguły się nie mylę. Nic więc mnie w nowych czasach nie szokowało, nic mnie nie dziwiło, choć nie przypuszczałem, że będę żył z rysunków reklamowych. No i że za taki rysunek będę sobie życzzył honorarium, jakie mi w dawnych czasach nawet nie przychodziło do głowy!

CHUDZIŃSKI: **No więc jak wolny artysta, w wolnym kraju, radzi sobie na wolnym rynku?**

MLECZKO: Chyba nie chcesz, żebym się spowiadał z mojego PIT-a? Generalnie nie narzekam. Kryzys mnie nie dotknął. Szkoda tylko, że w dzisiejszych czasach wielu wspaniałych artystów ledwo wiąże koniec z końcem.

RATKOWSKI: **Nie widzę, żebyś miał poczucie satysfakcji duchowej czy intelektualnej!**

MLECZKO: Abstrahując od ducha, a pozostając przy materii muszę zauważyć, że gdy czytam ranking najlepiej zarabiających artystów amerykańskich, to na czele listy nie znajduje się Madonna czy Schwarzenegger, tylko zmarły niedawno Schultz – facet, który produkował trójobrazkowe historyjki rysunkowe, co zapewniło mu wśród artystów nieżyjących drugie miejsce po Presleyu! Zakładając, że jestem polskim odpowiednikiem Schulza, to mam prawo czuć się jednak niedowartościowany od strony finansowej.

KOMOROWSKI: **Wzięci autorzy takich krótkich historyjek na Zachodzie rzeczywiście zarabiają wiele. Trochę tak jak autorzy hitowych filmów – na gadżetach i z przedruków w wielkonakładowych pismach na całym świecie.**

MLECZKO: Nie chodzi zresztą o pieniądze. W nowej rzeczywistości nagle okazało się, jak artyści są mało istotni w naszym kraju. Kiedy wspomnę czasy, gdy pięciu literatów pisało list otwarty i z tego powodu zbierało się Biuro Polityczne, to żal serce ścisza. I drugi element ponadsystemowy, ale bardzo polski... Grzeszyłbym, gdybym narzekał na swoją pozycję, nie da się jednak ukryć, że poczucie humoru nie jest wartością w Polsce. Przed laty Eryk Lipiński opowiadał, że gdy w Anglii mówił, że on jest *cartoonist*, to Anglicy się kłaniali. Sam fakt wykonywania zawodu satyryka nobilitował. A u nas zawsze Słowacki i Mickiewicz będą ważniejsi od Fredry, który dla mnie jest i będzie geniuszem w porównaniu z romantycznymi smutasami. Niestety do Polaków nie dociera, że o niebo trudniejszą sprawą jest zrobić dobrą komedię niż ponury film, w którym bohater umiera zakatowany, najlepiej w ubeckich, kazamatach. To każdy grafoman umie zrobić. Natomiast stworzyć coś, co jest dowcipne i zabawne, a do tego jeszcze głębokie, to naprawdę sztuka. Ale nie będę się kopał z koniem i strawestuję tu popularne zdanie: „Sorry – taki mamy naród”.

CHUDZIŃSKI: **Żarty żartami, ale ambicje literackie też miewasz od czasu do czasu, o czym świadczą nawet tytuły twoich książek: *Wiersze i rysunki* oraz *Aforyzmy i rysunki*. A jak na tych uduchowionych romantyków narzekasz, to przecież dobrze wiesz, że są w Polsce także szyderycy i prześmiewcy. Czy nie odnajdujesz bliskości z Mroźkiem lub z Gombrowiczem?**

MLECZKO: Wydawałoby się, że wybijamy się na normalność i jakoś zwalczamy tę narodową tromtadację. Ale nie! Ciągłe wracamy do tych tonów. W pewnym momencie dla doraźnych celów politycznych przekroczone pewną barierę chamstwa, co pociągnęło za sobą kompletną deprecjację autorytetów. Cham poczuł się mocny! Nie wiem kto to był: Lepper, Kaczyński, Macierewicz czy Krzaklewski, ale ktoś zrobił krok za daleko i hołota przestała mieć jakiegokolwiek opory.

CHUDZIŃSKI: **Za symbol robi Lepper, który z mównicy sejmowej zapowiedział: „Wersalu nie będzie”!**

MLECZKO: Coś się potem stało takiego, że nie było już odwrotu.

KOMOROWSKI: **Czy z tego zniesmaczenia narodził się Mleczek – antyklerykał? Bo za deprecjację autorytetów w jakiejś mierze odpowiedzialny jest też Kościół!**

MLECZKO: Większość Polaków uważa, że najbardziej szkodliwą i zdemoralizowaną grupą społeczną są



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

politycy. Dla mnie na pierwszym miejscu jest kler, potem ludzie mediów, a politycy zajmują trzecie medalowe miejsce. Może dlatego jest tak, że gdy pojawiły się ostre tendencje sekularyzacyjne, przerażony Kościół wpadł w panikę, ruszył do kontrataku i zaczął gryźć jak wystraszony pies przyparty do ściany. Nie potrafię powiedzieć. To pytanie dla socjologów czy politologów, a nie dla skromnego rysownika.

RATKOWSKI: Biskup warmiński Ignacy Krasiński też nie był świetlaną postacią. Za to we współczesnym Kościele można pokazać takich ludzi jak ks. Tischner...

MLECZKO: We władzach PZPR też by się znalazło paru fajnych gości, co nie znaczy, że system był dobry. Blisko się koleguję z Kaziem Sową i z kilkoma innymi księżmi, którzy cały czas mnie przekonują, że tak naprawdę to jestem głęboko wierzący i tylko nie zdaję sobie z tego sprawy. To jednak wcale nie znaczy, że Kościół katolicki, szczególnie w jego polskiej odmianie, jest organizacją dającą się lubić! Dla mnie bardzo znamienne jest to, jacy ludzie znaleźli się już poza tą organizacją! A to przecież plejada wybitnych nazwisk, które były symbolem nurtu intelektualnego w Kościele.

RATKOWSKI: Jest jeszcze wybitny fizyk i astronom, ks. Heller...

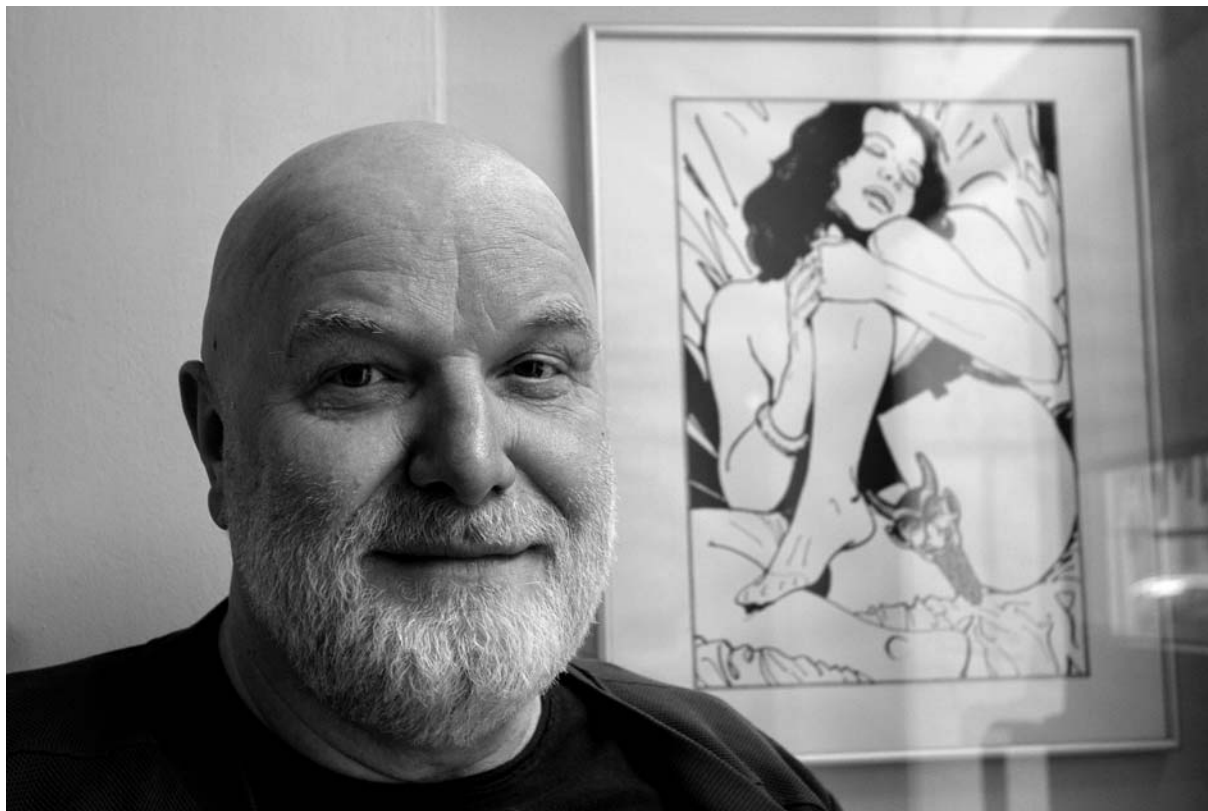
MLECZKO: Rozmawiałem kiedyś z jednym dobrze poinformowanym księdzem i ten powiada, że „rydzikowców” w polskim Kościele jest 80 procent, zarówno w episkopacie, jak i wśród szeregowych księży. I na tym polega nieszczęście. Najwybitniejsi nie wytrzymują tego i uciekają, jak Obirek i Bartoś, lub Lemański, którego wyrzucają. Ten los oszczędził ks. Stanisława Musiałę tylko dlatego, że umarł!

CHUDZIŃSKI: Czy twoja popularność, prawie sto tysięcy fanów i setki tysięcy wejść na Facebooku, może sprawić, że coraz wyraźniej obecny w twoich rysunkach antyklerykalizm okaże się zaraźliwy?

MLECZKO: Przez lata wielu ludzi przekonywało mnie, że moja twórczość wpłynęła na mentalność rodaków. Mocno wątpię w swoją misję wychowawcy narodu i nie bardzo wierzę w swoje talenty pedagogiczne. Choć niewątpliwym sukcesem jest to, że moi odbiorcy nie starzeją się razem ze mną. Cały czas odwiedzają moje galerie w Krakowie i Warszawie to głównie młodzi ludzie. Ci jednak coraz częściej nie wpadają osobiście, tylko kontaktują się przez internet i robią zakupy w moim sklepie internetowym.

RATKOWSKI: A jak wygląda odbiór twoich prac za granicą? Bo przecież bohaterem tych rysunków jest Prawdziwy, Najprawdziwszy Polak i jego dusza może być trudna do pojęcia dla obcokrajowca...

MLECZKO: Jest coś na rzeczy. Po wystawie w Tokio, przygotowanej zresztą jako jedno z wydarzeń związanych z 80-leciem nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Japonią, przysłano mi wpisy z księgi pamiątkowej wyłożonej dla publiczności. Krzaczki przełożono na polski, ale i tak zauważyłem, że Japończycy z tego, co miałem widzom do przekazania, nie zrozumieli ni cholery! To też charakterystyczne, że albumy poza granicami wydawałem dotąd tylko w Czechach, Serbii i na Słowacji, a więc w krajach, które mają nieco podobne do naszych doświadczenia. W stanie wojennym wydałem też książeczkę w Sztokholmie, po szwedzku, ale o jej recepcji nie potrafię nic powiedzieć. Natomiast na przykład w Islandii przyszło na wystawę pół Rejkiawiku, a cały kraj liczy 250 tys. mieszkańców. Nikt się niemal



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

nie uśmiechał, pytałem więc, czy się rysunki nie spodobały? Szefowa galerii odpowiedziała, że podobały się bardzo, tyle że Wikingowie rzadko się śmieją.

Kiedyś napisała do mnie dziewczyna z Tokio, która studiowała tam polonistykę. Na tej specjalności jest 6 osób. Uczył ich polskiego Japończyk, który skończył UJ, a uczył na moich rysunkach. Dziewczyna nazywała się Seiko Suzuki – niestety, nie była to córka właściciela żadnej z obu znanych marek. Dość, że przyjechała do Krakowa, trafiła do galerii i w pewnym momencie mówi: Nie wiedziałam, że pan jest taki mały! Sama była wzrostu siedzącego psa, więc poczułem się nieco zaskoczony! Potem okazało się, że chciała powiedzieć: „Nie wiedziałam, że pan jest taki miły”!

KOMOROWSKI: Ano właśnie – to charakterystyczne, że zapamiętałaś taką pomyłkę, bo podejrzewam, że w gruncie rzeczy jesteś słuchowcem i namiętnie wychwytyujesz komunały, stereotypy językowe, a potem przetwarzasz je na obraz. Być może nawet podświadomie. Podejrzewam, że masz fenomenalny słuch!

MLECZKO: Mój pan od śpiewu w podstawówce był innego zdania, a kiedy zaśpiewałem piosenkę o górniku, dał mi natychmiast trójkę i poprosił, żebym nie powtarzał takiej próby. Słowa tej piosenki do dziś pamiętam:

„W ciemnej kopalni praca wre
to młot na bryły węgla tnie
zgrzytają windy jadąc w głąb
górnika czarny pokład rąb!”

KOMOROWSKI: Pamiętasz to do dziś? Zadziwiające.

MLECZKO: Pewna infantylna dziennikarka pytała mnie kiedyś, czy najpierw wymyślam tekst w dymku

czy najpierw rysuję. Wiadomo, że najpierw jest pomysł, a potem realizacja, ale najważniejsze, aby jedno i drugie było kompatybilne. Przywołany tu Artur Sandauer napisał swoją pierwszą poważniejszą książkę krytyczną i dał jej tytuł *O jedności treści i formy*. Każdy ci powie, że trudno oddzielić treść od formy

KOMOROWSKI: A ja będę z kolei upierał się przy tym, co powiedział Witkacy, że wszystko jest kwestią formy, bo nawet najgenialniejsza treść bez formy nie obroni się, natomiast świetna forma bez treści owszem, czego najlepszym przykładem jest malarstwo abstrakcyjne. Ja nie zapomnę twojego rysunku z tekstem „Artysta polski przebił się na Zachodzie”. No i artysta „przebija się” na twoim rysunku najdosłowniej. W tym rysunku i w wielu, ogromnie wielu podobnych stajesz się, powiedzmy, reprezentantem sztuki „lingwistycznej”.

MLECZKO: Nie mam na ten temat zdania, dlatego trudno mi z wami polemizować...

CHUDZIŃSKI, KOMOROWSKI, RATKOWSKI chórem: My nie chcemy, żebyś z nami polemizował – chcemy, żebyś przyznał się do winy!

Rozmawiali:

**Edward Chudziński
Adam Komorowski
Filip Ratkowski**

Galeria Andrzeja Mleczki w Krakowie, 3 02 2014 r.

MAREK ZAGAJEWSKI

POLSKA IDEOLOGIA JAKO RELIGIA

Rodzina

Przeorana rozlicznymi wojnami, rozbiorami, powstaniem, buntami, protestami społeczny polska ziemia nadzwyczajnie obrodziła bogactwem narodowych figur ideologicznych. Uprzywilejowaną pozycję w tym Panteonie narodowym zajmuje zasłużenie mit Matki Polki, za którym żwawo podąża Polak Katolik, za Bełą naturalnie dopełniony historycznie utrwaloną sylwetką Małego Polaka. Tej symbolicznej postaci Świętej Rodziny Polskiej przypadł w udziale obowiązek wypełnienia zaszczytnej misji obrony cywilizacyjnych wartości na zagrożonym obszarze chrześcijańskiego przedmurza.

Jednak faktycznie symbolika Matki Polki osłania jakże łatwo rozpoznawalny w stosunkach rodzinnych i ciągle dominujący w praktykach społecznych dobrze od wieków znany patriarchalizm, który w naszym umiłowanym kraju niezmiennie stanowi fundamentalny kościół całokształtu życia społecznego, szczególnie w jego instytucjonalnym kształcie (ustrój feudalno-cechowy, nepotyzm, kolesiostwo, partyjniactwo czy mizoginizm). Najtrafniej „męski” punkt widzenia na społeczne położenie kobiety wyrazili koryfeusze teologii chrześcijańskiej w tak dalece niedościgłej postaci, że nie sposób ich nie przytoczyć. Zdumiewa także jak dalece te głębokie przemyślenia zachowały aktualność, zwłaszcza w odniesieniu do naszej rodzimej rzeczywistości. I tak, wedle Tomasza z Akwinu, „Kobiety są błędem natury, są rodzajem kalekiego, chybionego, nieudanego mężczyzny”, chociaż z drugiej strony nie są bez szans, jeśli zważyć, że, zdaniem Akwinaty, „Wartość kobiety polega na jej zdolnościach rozrodczych i możliwości wykorzystania do prac domowych”. Podobnie dla Augustyna „Kobieta jest istotą poślednią, która nie została stworzona na obraz i podobieństwo Boga. To naturalny porządek rzeczy, że kobieta ma

służyć mężczyźnie”. W tym duchu pogląd Jana Chryzostoma wyróżnia się całkowitą jasnością i stanowczością głoszonych przekonań: „Kobiety przeznaczone są głównie do zaspokajania żądy mężczyzn. Cała płeć żeńska jest słaba i lekkomyślna. Uświęcona jest jedynie przez macierzyństwo”.

Wręcz widać, jak nieudolnie przetarta teologiczna szata skrywa archaiczny obraz raczej nie ludzkiej kondycji kobiety, skoro nieskromne odstonięcie świątobliwej sukienki w całej pełni objawia wyraźnie świecki zamysł organizacji porządku społecznego o prymitywnie konserwatywnym, by nie rzec wręcz skrajnie reakcyjnym charakterze. W tym rzeczowym wyrazie tkwi sedno rzeczy, a nie w łatwej krytyce sakralnej retoryki biologiczno-społecznego dyskursu, w którym stosunki między kobietą a mężczyzną zostały zredukowane do kopolacyjno-reprodukcyjnych posunięć.

Mit Polski jako Macierzy, którą uosabia Polka w roli Matki kolejnych pokoleń krwawo bijących się o niepodległość powstańców ma nie tylko martyrologiczno-wojenne przesłanie, ponieważ zawiera także jej pełną dramatyzmu i wyrzeczeń codzienną walkę o przetrwanie rodziny. Matka Rodzicielka jest wszak zarazem Matką Karmicielką, której naturalną patronką jest Matka Boża Jasnogórska, niestrudzona opiekunka i pocieszycielka strapionych, chorych, biednych cierpiących, nieszczęśliwych, bezdomnych, wygłodzonych i samotnych. Kiedy niemal każde pokolenie Polaków miało swoją wojnę czy powstanie, kobiety bezustannie toczyły boje na pokojowym froncie walki o codzienne utrzymanie swoich rodzin, często w skrajnie trudnych warunkach życiowych.

Także współcześnie kolejne pokolenia Polaków doświadczają dramatycznych skutków wolnorynkowego zniewolenia w efekcie toczącej się u nas konserwatywnej transformacji ustrojowej, gdy często z dnia na dzień całe rodziny znajdują się bez środków do ży-

cia i dachu nad głową. Skutki polityki zaciskania pasa z początków lat dziewięćdziesiątych, aktualnie realizowanej jako cięcia budżetowe w dziedzinie edukacji czy zdrowia, w praktyce spadają na barki matek przejmujących rolę głowy rodziny. Wiele kobiet, będących często także ofiarami dyskryminacji pracowniczej, pracuje za minimalne wynagrodzenie zmuszające ich do życia w bezustannej biedzie, z której o własnych siłach nie są w stanie się wydobyć. Bliższe wejrzenie w istotę sprawy zdaje się dowodzić, że nasz transformacyjny Wielki Karierowicz wykuł swój sukces na kobiecych barkach.

W tym kontekście mit Matki Polki jako fundament stanowiącej przedmiot kultu Rodziny nie tylko nie traci na znaczeniu, ale dodatkowo zyskuje na wadze jako jej symbolicznie ekonomiczny i bytowy punkt oparcia. Zrozumiałe, że w takim Narodzie, który stanowi wspólnotę walczących o przetrwanie rodzin, nie może być miejsca na porody ze znieczuleniem czy cesarskim cięciem, aborcję, zapłodnienie *in vitro*, związki partnerskie, *gender*, transseksualizm, chociaż kazirodztwo czy pedofilia, jak to w rodzinie, nie są już tak obrzydliwe. Nie powinno też nikogo dziwić, że przemoc znajduje w rodzinie swoje naturalne środowisko, bowiem w konserwatywnie ukształtowanym życiu społecznym bycie kobietą pracującą i matkującą, a zatem i kopulującą nijak, nie jest w stanie doprowadzić do jej wyzwolenia z pozycji domowej niewolnicy. Nie ma zresztą żadnego rzeczowego powodu do jakiegokolwiek zmiany tej sytuacji, skoro w poczuciu patriotycznej odpowiedzialności nasza Bohaterka za sprawą obowiązującego macierzyństwa szczęśliwie osiągniętego drogą *au naturel* (wariantem zapasowym jest adopcja) z podniesionym czołem wkracza do swej rodziny, która podlegając wnikliwej władzy miłościwie nam panującego Kościoła i surowej opiece Państwa, z udziałem otaczającej ją coraz bardziej społeczności, znakomicie odnajduje się w Wielkiej Rodzinie Wszystkich Polaków. Nie jest to zresztą idea nowa, bowiem w swoim czasie jej gorącymi propagatorami byli zgodnie Stefan kardynał Wyszyński i Edward Gierek zgodnie uważając, że społeczeństwo, czytaj Naród, składa się z rodzin, oczywiście, że bez objaśniania położenia sierot. Była to rzecz jasna słusznie minioną całkowicie inna epoka, po upadku której nastąpił „wolny kraj” i niepodległe państwo polskie, którego praktyki ideologiczne mają zrećtnie maskować rozliczne obszary społecznego zniewolenia.

Państwo

Jądrem polskiej ideologii stał się kult państwa, wzmacniany niekończącym się festiwalem okrągłych rocznic szeregu powstań, by jak najszerzej krzewić tradycję walk o wyzwolenie narodowe, ważne spoiwo naszego feudalno-plemiennego systemu społecznego. Jednak polityka stawiania państwa ponad społeczeństwem niesie za sobą poważne ryzyko niepowodzenia jeśli zważyć, że przez wieki, a także współcześnie społeczeństwa potrafią zupełnie nieźle radzić sobie bez państwa, gdy odwrotna sytuacja nie występowała. Nie jest bowiem możliwe znalezienie takiego państwa, które istniałoby bez społeczeństwa, skoro z natury rzeczy

ma ono jemu w ostatecznej instancji lepiej czy gorzej służyć. Apoteoza państwa uzyskała w praktyce taką moc w oddziaływaniu na społeczeństwo, że doszło do tego, iż niemal narodową specjalnością Polaków stało się dążenie do tego, aby w miarę szybko i sprawnie, a zwłaszcza bez sensu dać się zabić za „szlachetną sprawę”. Także organizowane od paru lat *Koncerty Niepodległości*, ostatni piątej edycji, ze względu na znamienne lokalizację w Muzeum Powstania Warszawskiego, jednego z najbardziej tragicznych wydarzeń kart najnowszej historii, mają znaczący udział w kulturowaniu tej zgubnej ideologii.

W ważnym wystąpieniu 15 sierpnia przed Belwedem na głównych uroczystościach ostatnich obchodów Święta Wojska Polskiego, a nie „z okazji”, jak ustalili pisarczykowie z jego Kancelarii, boć przecie właśnie w PRL wiecznie były jakieś okazje, prezydent Bronisław Komorowski przywołał niesłusznie zapomnianą postać generała Stanisława Szeptyckiego, ministra spraw wojskowych II Rzeczypospolitej, który w 1923 roku ustanowił 15 sierpnia Świętem Polskiego Żołnierza. Równocześnie Komorowski podkreślił, że dopiero po wielu latach doszło do odstonięcia poświęconej zasłużonemu generałowi tablicy, co dowodzi, „że wciąż możemy odkrywać prawdę, że wciąż możemy odkrywać pokłady polskiego patriotyzmu, że jeszcze jest w dalszym ciągu dużo do zrobienia na rzecz narodowej wdzięczności i narodowej pamięci”.

Wolno zatem, traktując z całą powagą prezydencką zachętę do poszukiwania prawdy o dokonaniach polskich patriotów w wojnie z bolszewikami, rozważyć subtelne związki, jakie zachodzą między wyprawą wileńską z lutego 1919 roku i kolejną wyprawą z końca kwietnia 1920 roku tym razem na Kijów, zresztą w sojuszu z atamanem Petlurą w ramach międzynarodowej interwencji w celu obalenia bolszewickiej władzy, a „najazdem bolszewickim” oraz obchodzoną uroczystością i radośnie rocznicą zwycięskiej bitwy warszawskiej 15 sierpnia 1920 roku. Nikt nie zaprzeczy, że bez względu na rezultat walk, jak to zwykle bywa, po obydwu stronach zginęły tysiące ludzi, chociaż jeśli przyjąć kształtujące się wśród części naszych elit myślenie, że „bolszewik” czy „komunista”, to nie człowiek, wówczas, ostatecznie, tych ludzkich ofiar byłoby znacznie mniej.

Zatem być może polityka ekspedycyjna, w realizacji której Komorowski w ostatnich latach ma swój znaczący, bezpośredni udział, ma metrykę starszą od rocznika 2007 i nie pochodzi też wcale z czasów PRL, co zaświadcza przykład Czechosłowacji, czy okresu przedwojnia, skoro tradycja polskich interwencji wojskowych sięga nawet czasów napoleońskich, jeśli przypomnieć nieudaną operację na Haiti. Prezydent zapowiedział zdecydowane odejście „od nadgorliwie, nieopatrznie ogłoszonej w 2007 roku polityki ekspedycyjnej”, do której nasze państwo było zresztą kompletnie nieprzygotowane. Podobno we wstępnej fazie walk używane przez naszych żołnierzy mundury czyniły ich w pustynnych warunkach dobrze widocznym celem, a obuwie i kuloodporne kamizelki były w takim stanie, że konieczne stały się ich prywatne zakupy, a tarpiany pełniły obowiązki wozów bojowych wzmocnione na miejscu wyciągniętymi ze śmietnika stalowymi płytami z amerykańskich pojazdów. Być może te lub podobne

okoliczności spowodowały ogłoszenie przez zwierzchnika sił zbrojnych końca „łatwej polityki łatwego wysyłania żołnierzy polskich na antypody świata”, która pociągnęła za sobą śmierć 41 polskich żołnierzy, do których należy dodać domniemanego oficera „cichego frontu”, zamordowanego w Pakistanie geologa Piotra Stańczaka oraz setki rannych na polu walki, którzy stali się ofiarami często dożywotniego inwalidztwa. Tych cierpień, także żołnierskich rodzin, nie jest w stanie osłodzić słuszne zapewnienie prezydenta, że „wypełniliśmy z honorem nasz sojuszniczy obowiązek” biorąc udział w wojnie, która „toczy się w ramach natowskiej zasady solidarności. A solidarność i wiarygodność sojusznicza to ważny, to bardzo ważny element naszego polskiego bezpieczeństwa”.

Powszechnie wiadomo, że w zdecydowanej większości pacyfistyczne społeczeństwo polskie było przeciwnie wojnie w Iraku i następnie w Afganistanie oraz stanowczo wykluczało udział w nich naszych wojsk. Nasze elity polityczne i wojskowe doskonale o tym wiedziały i dlatego rozmyślnie omijano prawo o Konstytucją włącznie, aby uzyskać przynajmniej cień legitymizacji dla wojennych działań polskich żołnierzy. Równocześnie władze uruchomiły potężny medialny walec propagandowy dla poparcia akcji naszych wojsk, na przykład przez wysyłanie na front statych specjalnych korespondentów i zapewnienie im stałego miejsca w ramówkach anten telewizyjnych i radiowych. Tak między innymi zrobił Program 1 Polskiego Radia, który każdego roboczego dnia przez lata w porannym *prime time* przed godziną ósmą nadawał entuzjastyczne korespondencje wojenne, co jako żywo przypominało peerelowskie audycje obśmiewane przez lud pracujący powiedzeniem: „Tu Jedyńka dla kretynka”.

Trzeba przyznać, że mimo wszystko w naszym kraju nie dochodziło, tak jak w Stanach Zjednoczonych, do usuwania z pracy z dnia na dzień dziennikarzy za krytykę wojny na antenie. Powód był prosty – tej krytyki u nas nie było, ponieważ dziennikarze byli niezwykle starannie pilnowani, nawet niezwykle rzadko dopuszczano do relacji z antywojennymi manifestacjami na Zachodzie. Na przykład masowy protest z udziałem 200 tysięcy manifestantów we wrześniu 2003 roku w Waszyngtonie w słoneczny dzień został zrelacjonowany przez stacje telewizyjne na całym świecie z wyjątkiem Polski, a pokazywano wielce „smakowity kąsek” w postaci nagiej klatki piersiowej dziewczyny, na której obok kolorowego stanika był namalowany flamastrem znamienisty napis: *Fuck no kill* przypominający jako żywo hasło dzieci kwiatów *Make love not war*.

Wielka szkoda, że ta polityczna akcja w polskich mediach nie została starannie zbadana i opisana jako przykład rażącego naruszenia wolności słowa, co ciekawie przy braku instytucjonalnej cenzury. Zresztą generalnie klasyczna wolność prasy była od początku transformacji, a jeszcze wcześniej w opozycji, słabym punktem naszych „demokratycznych” elit opiniotwórczych. Dość przypomnieć skandal polityczny wywołany przez szefa OPZZ Alfreda Miodowicza, gdy w przemówieniu na inauguracji Okrągłego Stołu ośmielił się zaproponować likwidację cenzury, co natychmiast zablokowały tuzy polskiego „wolnościowego” dziennikarstwa z solidarnościowych kręgów, mając pełne poparcie elity opozycji demokratycznej.

Imperium

Oceniając amerykańskie awantury wojenne należy przypomnieć, że nieprzypadkowo generał Dwight Eisenhower opuszczając Białe Dobre w 1961 roku na zakończenie swej prezydentury wygłosił sławne przemówienie, w którym przestrzegał przed rosnącą potęgą kompleksu wojskowo-przemysłowego przejmującego faktycznie władzę w państwie w celu zapewnienia mu jak największych dochodów. Korporacje zarabiają na wojnach kolosalne pieniądze, a jednym z największych biznesów jest światowy handel bronią. Jak na ironię zaczęła w 2003 roku wojna afgańska miała kryptonim *Enduring Freedom* („Trwała wolność”), gdy jak widać po dziesięciu latach zasługuje raczej na nazwę *Enduring War*. W tych okolicznościach nasze elity także mają się nieźle, słusznie licząc na osobiste kariery na światowych czy europejskich salonach, a ich przaśny przyodzievek z trudem skrywa pod podszewką stosowny zaskórniak jako swego rodzaju gratyfikacja za wierną służbę na rzecz wolności i demokracji.

Wiadomo, że nie ma wolności i demokracji bez niepodległości, o którą Polacy walczyli przez ponad stulecie, a w jej finale po dwu latach polskiej państwowości zorganizowali, jak podkreślił Komorowski, „armię, zdolną do skutecznego oparcia się najazdowi bolszewickiemu. To wspaniała, aktualna do dzisiaj, lekcja niezależności i suwerenności, ale również umiejętności współdziałania pomimo różnic. Historia nauczyła nas, że wolność nie jest dana raz na zawsze. Że wymaga – od nas także – codziennego wysiłku, codziennej pracy, a gdy trzeba walki i to na wszystkie dostępne nam sposoby”.

Współcześnie w czasach umownie określanymi jako waleńskie, których polityczny arcykapłan nawet nie zechciał udawać demokracji, swego rodzaju „resortem niepodległości” jest prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, gdy dla porównania w okresie stalinowskim w ramach rządu kluczową rolę pełniło Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Zatem, o ile BBN obecnie chroni nasz kraj przed wschodnim, ściśle rzecz biorąc rosyjskim kapitalizmem, o tyle MBP poprzez zwalczanie wewnętrznych wrogów „demokracji ludowej” izolowało Polskę od zachodniego kapitalizmu, zabezpieczając ją przed „zakusami amerykańskiego imperializmu”. Wówczas gwarantem ówczesnej pojmowanej suwerenności Polski był rozwiązany w 1991 roku polityczno-wojskowy sojusz państw wschodniego obozu określanymi jako Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej, w skrócie Układ Warszawski, gdy obecnie niepodległość naszego kraju zapewnia członkostwo w polityczno-wojskowej Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego, skrótem NATO.

Otóż państwo uznawane za niepodległe musi posiadać terytorium znajdujące się w jego bezwzględnie suwerennym władaniu, co w naszej sytuacji oznaczało wycofanie z Polski radzieckich kontyngentów. W tej kwestii naszym władzom nie sposób zarzucić nadgorliwość, jeśli zważyć, że ich bazy wojskowe na Węgrzech i w Czechostowacji zostały zlikwidowane w czerwcu 1991 roku, na Litwie 1 września 1993, a w Polsce jako ostatnim na tej liście kraju dopiero 17 września 1993 roku. Oczywiście, że obecność baz wojskowych na tery-

torium określonego państwa wadzi jego suwerenności, ale jej nie przekreśla, czego dowodzą przykłady Kuby czy Niemiec z idącą w dziesięciolecia tradycją obecności na ich ziemiach wojsk okupacyjnych, dziwnym trafem amerykańskich.

Po sześciu latach polityczno-wojskowych wakacji w stosunkach międzynarodowych Polska nie bez trudu wstąpiła do NATO, co automatycznie spowodowało, że nasz kraj stał się jakby częścią terytorium NATO, niestety bezpośrednio przy jego wschodnich granicach. Wiadomo już, że w praktyce oznacza to na przykład obecność na naszej ziemi więzienia CIA czy instalacji podsłuchowych chociaż bez oficjalnego stacjonowania amerykańskich wojsk. Warunkiem udziału w NATO jest uczestniczenie w rozmaitych wojnach i wojskowych operacjach na całym świecie, w tym także stałe zakupy uzbrojenia w szczególności amerykańskiej produkcji.

W natowskim pakiecie znalazły się także specjalne zadania w ramach prowadzonej przez Waszyngton wschodniej polityki, których zapewne dobrym przykładem może być przyznanie Michaiłowi Chodorowskiemu specjalnej Nagrody Lecha Wałęsy. Ten rosyjski oligarcha w trakcie złodziejskiej prywatyzacji w Rosji stał się „właścicielem” potężnego koncernu paliwowego Jukos. Po kilku latach Chodorowski zainstalował siedzibę firmy w Houston w Teksasie, zatrudnił amerykańskich menedżerów, którzy jak to zwykle bywa w takich sytuacjach okazali się agentami stosownych służb i szykował się do częściowej sprzedaży Jukosu w USA. W sytuacji przewidywanej negatywnej reakcji rosyjskich władz na ratunek Chodorowskiemu miały pospieszyć światowe media, aby pod dyktando polityków prowadzić szeroką kampanię wizerunkową prezentacji oligarchy w roli ofiary policyjnego reżimu, politycznego konkurenta Putina i obrońcy praw człowieka. Nasi politykierzy oczywiście skrupulatnie wykonują zlecone im zadanie dorzucając do liczącego podobno 200 milionów dolarów majątku Chodorowskiego skromne 100 tysięcy dolarów wałęsowskiej nagrody z kasy jeszcze kontrolowanego przez Skarb Państwa banku PKO BP. Nie należy jednak zapominać, że operacja Majdan trwa, a to też jak wiadomo nasze zadanie do wykonania.

Należy jednak zauważyć, że używana przez szefa BBN Stanisława Kozieja formuła „terytorium NATO” (Stanisław Koziej, *NATO musi mądrze wrócić do korzeni*, „Gazeta Wyborcza, 4 X 2013) jest zbyt daleko idąca, ponieważ w tekście traktatu pisze się o dążeniu państw członkowskich „do umacniania stabilizacji i dobrobytu na obszarze północnoatlantyckim” [*North Atlantic area* – tekst oficjalny] czy podejmowaniu działań „w celu przywrócenia i utrzymania bezpieczeństwa obszaru północnoatlantyckiego” [*North Atlantic area* – tekst oficjalny], zachowując termin „terytorium” dla opisu państw na przykład w kontekście zagrożenia ich integralności „terytorialnej”, a pojęcie „obszaru” do swego rodzaju globalnego bytu politycznego. Osobliwość sytuacji politycznej polskiego państwa polega być może na tym, że chociaż nie znajduje się na północy ani nie sąsiaduje z Atlantykiem, jest ważnym i aktywnym członkiem sojuszu, w którego nazwie znajdują się słowa kluczowe „północ” i „Atlantyk”, ale nie jest to tylko nasz przypadek.

Z punktu widzenia suwerenności członkostwo w NATO rodzi wiele spornych kwestii, co w jeszcze większym stopniu związane jest z obecnością naszego kraju w potężnych *quasi*-państwowych strukturach Kościoła katolickiego, których symbolem jest jego watykańska stolica. W rzeczywistości Kościół zbudował nieformalne, ale realne państwo, które za sprawą aktywności przykościelnych społecznych organizacji, stowarzyszeń, wspólnot i liderów ustanowiło swego rodzaju „niewidzialne” sieci międzyludzkich relacji, które przedłużają i multiplikują działania jego zawodowych funkcjonariuszy. W globalnej perspektywie Polska zajmuje w Kościele z georeligijnego punktu widzenia miejsce o wielkim znaczeniu jako solidna „wyspa katolicyzmu” w konkurencyjnym otoczeniu prawosławia, protestantyzmu i ateizmu. W tej sytuacji nieuniknione są fundamentalne sprzeczności z realizowaną przez nasze państwo wojenną polityką NATO, gdy będący jej zdecydowanym przeciwnikiem Watykan może liczyć co najwyżej na milczący głos polskich biskupów.

Trzecią globalną organizacją o imperialnym charakterze, w której uczestniczy nasze państwo, jest oczywiście Unia Europejska o nader skomplikowanych wewnętrznych zależnościach. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że strefa Schengen, do której należy Polska, łączy się bezpośrednio z UE, gdy tymczasem Szwajcaria, która do niej nie wstąpiła, jest pełnoprawnym członkiem tej ważnej strefy. Z kolei Polska nie należy do „eurozony”, ani też jak dotąd nie wypracowała programu przyjęcia euro i chociaż pozbawiła się w ten sposób wpływu na unijną politykę finansową, to jednak nie ucierpiła na tym nasza integracja z UE. Tym niemniej w rezultacie ostatniego kryzysu gospodarczego Niemcy zażądały prawa do kontroli przez Komisję Europejską budżetów państw narodowych, gdy równocześnie projekt budżetu Irlandii na rok 2012, zanim trafił do parlamentarzystów w Dublinie, został późną jesienią przedstawiony komisji budżetowej Bundestagu.

Jak widać niepodległość i suwerenność państw narodowych stopniowo się rozplywa w realnym świecie i przesuwa do ideologicznej rzeczywistości. Trzy sfery funkcjonowania globalnych organizacji: Unii Europejskiej – gospodarka, NATO – wojsko i Kościół – kultura duchowa zdają się tworzyć spójną całość, ale każda z nich kultywując własne globalne ideologie o imperialnym charakterze wywołuje zarazem ich narodowe kontrwarianty.

Antykomunizm

Zrozumienie powojennej polityki polskiej komplikuje antykomunistyczna propaganda poprzez bezpodstawne nadanie naszemu krajowi statusu komunistycznego państwa. Wiadomo, że nasze państwo po wojnie było sterowane przez Stalina bezpośrednio z Kremla, co dla naiwnego obserwatora stanowi łatwy argument na rzecz uznania komunistycznego charakteru powojennego państwa polskiego. Warto przypomnieć, że termin „komunizm” został przez kremlońskiego satrapę w Polsce zakazany, a „socjalizm” pośrednio promował konkurencyjną PPS i do zjednoczenia z PPR też był wykluczony, więc stanęło na

nielogicznej formule „demokracji ludowej”. Jednak jak dotąd nikt nie przeprowadził dowodu, że Stalin był komunistą w sensie Marksa, a więc zwolennikiem ustanowienia bezklasowego społeczeństwa dopiero po wyciśnięciu żywotnych soków z prywatnej własności i „nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego”, chociaż z jego tekstów, które sam pisał wiadomo, że znał się na rzeczy. Za swego życia Stalin należał do grona szacownych uczestników październikowej rewolucji, którzy sami nazwali się bolszewikami, a w praktyce prowadził politykę w istocie typową dla przywódcy imperialnego państwa rosyjskiego. Miał przy tym rzeczowe spojrzenie na świat, co pośrednio zaświadcza krążąca w kremlofskich gabinetach zapewne jeszcze z lat trzydziestych historyjka, że jakoby Stalin miał się wyrazić, że ten, kto chciałby wprowadzić komunizm w Polsce, przypomina mu szaleńca, który zamierza podjąć „próbę osiodłania krowy” [N. Davies, *Heart of Europe: a short history of Poland*, Oxford University Press, New York 1986, s. 3].

Problem w istocie polega na tym, że są w Polsce ludzie, którzy wiedzą znacznie więcej niż zostało wyżej zapodane, a mimo to fałszywie wmawiają innym ludziom, którzy nie wiedzą o co chodzi, że w naszym kraju był komunizm. Ich sprawa. W tym gronie wyróżnia się, nie tylko intelektualnie, postać Anne Applebaum, która na pytanie radiowej dziennikarki co zrobić z Pałacem Kultury i Nauki odpowiedziała krótko: „Zburzyć, bo jest brzydki”. Tymczasem tenże „pałac”, którego nazwa pachnie raczej feudalizmem niż komunizmem, powstał faktycznie na mocy decyzji Stalina, który na wieść o wieżowcach w Stanach uznał, że także w tym dziele trzeba pokonać Amerykanów. Z rozkazu Stalina na rekoniesans do USA jeszcze w latach trzydziestych wysłano grupę architektów, w tym budowniczych naszego pałacu, którzy zdecydowali i przyjęli jako wzorce do swoich projektów nowojorski Empire State Building, drapacze chmur z Chicago i rodzinę przysadzistych wież w Detroit z kultowym Renaissance Center na czele. W rezultacie oceanicznych wojaży zbudowano siedem wieżowców w Moskwie, między innymi siedzibę MSZ i Uniwersytetu Moskiewskiego im. M. Łomonosowa oraz jako ósmy nasz nieszczęsny pałac. Nasza świeżo upieczona rodaczka doskonale zna całą tę historię i jeszcze więcej, ale jak na zawodową antykomunistkę przystało konsekwentnie mąci ludziom w głowach.

Jednak bywało gorzej, gdy nasza bohaterka opowiadała w kobiecych pismach, że polska kuchnia jest komunistyczna, ponieważ jest tłusta. W każdym razie wynika stąd taki oto wniosek, że zbyt łatwo dochodzi do utożsamienia postawy antyrosyjskiej z antykomunizmem, który na dodatek nie zawsze musi być traktowany jako trwały składnik obowiązującego każdego Polaka pakietu ideologicznego. Chociaż z drugiej strony, jak na pełnokrwistą Polkę przystało, Anna Maria Jopek wyznała, że „w czasach komuny obrzydzono nam Chopina i muzykę ludową”, należy rozumieć, że z ich nadmiaru i swoistego monopolu w kulturze. [*Śpiewa pełnokrwista Polka*, z Marią Anną Jopek rozmawia Jakub Panek, „Gazeta Wyborcza”, 23-24 XI 2013].

Próba zrozumienia Polski powojennej wymaga przyjrzenia się okresowi międzywojnia, w którym po odzyskaniu niepodległości myślenie o państwie przybra-

ło postać swoistego konserwatyizmu, ale nie w sensie tradycjonalizmu skoncentrowanego na kształtowaniu państwa narodowego we wszelkich możliwych obszarach od gospodarki po szeroko pojętą edukację, działalność kulturalną i naukę. Ta swego rodzaju konserwatywna rewolucja w międzywojennym dwudziestolecu postawiła milowe kroki i po wymuszonym niemiecką okupacją zastój doczekała się w powojniu [Tony Judt, *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, przeł. R. Bartołd, Poznań 2008] dynamicznej kontynuacji.

W okresie międzywojnia polskie elity polityczne zbudowały solidne fundamenty kapitalizmu państwowego, w gospodarce budując port w Gdyni, jego połączenie z kopalniami Górnego Śląska za pomocą specjalnie zbudowanej magistrali kolejowej oraz zakłady przemysłowe Centralnego Okręgu Przemysłowego w południowo-wschodniej części Polski od Radomia po Mielec. Ulokowany tam przemysł zbrojeniowy, w tym lotniczy, został w okresie powojennym znacząco rozwinięty także dzięki postawieniu Nowej Huty. Paradoksalnie potężna inwestycja przemysłowa, łącznie z budową miasta, została przeprowadzona przez państwo wedle najlepszych kapitalistycznych wzorów z wykorzystaniem całego sztafażu socjalistycznej propagandy i obecnie spełnia wszelkie warunki kultowego symbolu socjalizmu, przed laty określanego metaforycznie jako realny, chociaż spełniał on wszelkie warunki definiujące państwowy kapitalizm.

Drugim fundamentem powojennej polityki gospodarczej była rozpoczęta w końcu lat trzydziestych reforma rolna, automatycznie zamrożona w czasie niemieckiej okupacji. Kontynuacja tej reformy po wyzwoleniu była nie tylko naturalną konsekwencją jej przedwojennego etapu, ale i rezultatem politycznych żądań praktycznie wszystkich sił politycznych, które w nowych warunkach ustrojowych mogły jedynie wzmocnić antyfeudalną wymowę ówczesnej rewolucji agrarnej. Na wsi doszło do radykalizacji wśród biedoty chłopskiej antyziemiańskich nastrojów oraz żywiołowych akcji przejmowania majątków i dworów na terenie centralnej Polski. Równocześnie na świeżo zagospodarowywanych Ziemiach Zachodnich i Północnych było pod dostatkiem wolnej do objęcia ziemi. Widać, że obowiązujące w dzisiejszej reżimowej propagandzie ujęcie gospodarczych przemian w okresie powojennym niewystarczająco wydobywa ich konserwatywny i wręcz przymusowy charakter, chociaż od czasów Gomułki towarzyszy im socjalistyczna poświata.

Jak przypomniat Zbigniew M. Kowalewski, zawarte jeszcze w trakcie wojny w Teheranie i Jałcie porozumienia rozstrzygały także kwestie ustrojowe w powojennej Europie. Jego zdaniem „biurokracja stalinowska w ZSRR nie chciała rewolucji – ani w Jugosławii, ani gdzie indziej. Komuniści mogli przejąć władzę, ale tylko tam, gdzie doszła armia radziecka i gdzie władza ta znajdowała się pod radziecką kontrolą. Jugosławii to nie dotyczyło, bo Stalin ustalił z Churchilllem, że oba mocarstwa podzielą się po połowie wpływami w tym kraju”. [Z.M. Kowalewski, *Jugosławia między Stalinem a rewolucją. Od wyzwolenia do walki z kominformizmem*, „Le Monde diplomatique” Edycja polska, lipiec 2013, nr 7 (89)]. Josip Broz znany jako Tito, przywódca Komunistycznej Partii Jugosławii stworzył do walki z niemieckim okupantem niemal regularną armię do-

chodzącą do 800 tys. żołnierzy. Przy olbrzymim poparciu społecznym, wbrew Stalinowi, pod koniec 1943 roku komuniści powołali partyzancki parlament, który obalił monarchię, proklamował republikę i ustanowił własny rząd tymczasowy zakazując zarazem królowi i rządowi emigracyjnemu powrotu do kraju. Sekretarz Komitetu Wykonawczego Kominternu Dmytro Manujil'skij zawarł w korespondencji niezwykle ostrą reakcję Stalina na te wydarzenia: „Gospodarz jest niebywale wściekły. Uważa, że to cios w plecy ZSRR i decyzji podjętych w Teheranie” [V. Dedijer, *Novi prilozhi za biografiju Josipa Broza Tita*, t. 1, Rijeka 1981, s. 358]. W podobnej sytuacji znalazła się po wojnie Grecja, w której kierowana przez komunistów partyzantka dostawała pomoc z Jugosławii, Albanii i Bułgarii ale nie z ZSRR, ponieważ Stalin nie popierał greckiej rewolucji. Na podstawie porozumienia z Churchillem Grecja znalazła się w brytyjskiej strefie wpływów i leżała poza zasięgiem armii radzieckiej.

Jak wiadomo, Polska przypadła radzieckiej strefie wpływów, pod kontrolę armii radzieckiej i ta część społeczeństwa, która nie mogła się z tym pogodzić, liczyła na tzw. III wojnę światową. Jednak opracowane przez brytyjskich sztabowców plany ataku angloamerykańskich sił na ZSRR były bez udziału hitlerowskiej

armii praktycznie niewykonalne. Zdolność bojowa ocalałych jednostek niemieckich prezentowała się doskonale, ale możliwości ich przemarszu przez nasze terytorium w celu zaatakowania osłabionej zwycięską wojną radzieckich wojsk, ze względu na opór Polaków były żadne. I to prawdopodobnie uratowało Stalina przed ewentualnym upadkiem w rezultacie łatwej do przewidzenia klęski Armii Radzieckiej. Tym razem Polacy hipotetycznie uratowali Związek Radziecki, a sam Churchill na krótko przed opuszczeniem fotelu premiera odłożył *ad acta* te wojenne plany i nader skutecznie zajął się w wolnym już czasie projektowaniem zimnej wojny.

Historia

Wszystkie ważne tropy zdają się prowadzić do węzłowej kwestii ludzkiej pamięci i wyobraźni, posiadając nierozłączne aspekty indywidualne i społeczne, które mają zawsze historyczny wymiar. Na tej bazie żywiotowo kształtuje się swego rodzaju wrażliwość na prawdę historyczną i umiejętnie kształtowana polityka historyczna, kierująca się bliżej nieokreślonym „punktem widzenia historii” oraz interesem państwa

Katechizm polskiego dziecka

- Kto ty jesteś?
- Polak mały.
- Jaki znak twój?
- Orzeł biały.
- Gdzie ty mieszkasz?
- Między swemi.
- W jakim kraju?
- W polskiej ziemi.
- Czem ta ziemia?
- Mą ojczyzną.
- Czem zdobyta?
- Krwią i bliźną.
- Czy ją kochasz?
- Kocham szczerze.
- A w co wierzysz?
- W Polskę wierzę!
- Coś ty dla niej?
- Wdzięczne dziecię.
- Coś jej winien?
- Oddać życie.

[według piątego wydania z 1912 roku ważne uzupełnienie Betzy]

Zmiana pierwszej strofki dla dziewczątek:

- Kto ty jesteś?
- Polka mała.
- Jaki znak twój?
- Lilja biała.
- i t d.

Władysław Betza, *Katechizm polskiego dziecka*, Ossolineum, Lwów 1901.

* * *

Klasyczna parodia *Katechizmu polskiego dziecka* znajduje się w skamandryckiej szopce z 1922 roku, w której rozmawiają Stanisław Bezstroński (czyli Stanisław Stroński, publicysta i polityk endecki) z pisarzem Marnelem Kakuszyńskim (czyli Kornelem Makuszyńskim), a w charakterze biesiadników została przywołana cała plejada ówczesnych polityków od radykalnych endeków do socjalistów:

BEZSTROŃSKI: Kto ty jesteś?

KAKUSZYŃSKI: Polak mały!

BEZSTROŃSKI: Jaki znak Twój?

KAKUSZYŃSKI: Orzeł biały!

BEZSTROŃSKI: Gdzie ty żyjesz?

KAKUSZYŃSKI: W kraju polskim!

BEZSTROŃSKI: A z kim pijesz?

KAKUSZYŃSKI: Z Markiewiczem i Czajkowskim,

Z Kasproviczem i Ostrowskim,

Z Mackiewiczem, Nowaczyńskim,

Z Niklewiczem i Perzyńskim,

Z Gebetherem i Fiszerelem,

Z Winawerem, Gutnajerem,

Z Grycendlerem i z Breiterem.

Z enzetelem, z enzeterem,

Z zecerem i etceterem.

Bezstroński: Dobrze, że nie z Belwederem.

Kakuszyński [...] Z kochanym, drogim Józiem zdobędę armatę!

Dostanę Polonię restitutę – albo Astorię restauratę!

Per Astoria ad astra! Przejdę do historii!

Ja własny, dożywotni stolik mam w Astorii.

Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Jan Lechoń, *Szopki polityczne 1922–1931 Pikadora i Cyrulika Warszawskiego*, Iskry, Warszawa 2013.

i określonych orientacji ideologicznych. Wobec wielości wersji prawdy historycznej dochodzi do ustanawiania monopolu na prawdę historyczną w jej kanonicznej postaci w parlamencie czy instytucjach akademickich metodą głosowania, na podstawie dosyć przypadkowego kryterium arytmetycznego zwłaszcza wtedy, gdy prawdę przyjmuje się za fundament porozumienia czy pojednania.

Spór o prawdę historyczną wydaje się czymś zupełnie naturalnym, ale jest zupełnie nie do przyjęcia na ideologicznym gruncie, czego od dziesięcioleci symbolicznym przykładem są nieustanne kontrowersje wokół powstania warszawskiego. Jako decydujący argument w tym sporze świadomie wprowadzono Muzeum Powstania Warszawskiego o bardzo ciekawej i dynamicznej ekspozycji. Na jej kanwie wybitny historyk Marcin Kula trafnie zauważył, że my Polacy byliśmy w stanie wręcz nawet polubić rolę ofiary skoro „świętujemy przegrane, jakby to były zwycięstwa”. Przytoczył też ciekawą uwagę zagranicznego znajomego, który pełen zachwytu dla powstańczej ekspozycji „zapytał zmieszany, jak się ono skończyło, czy myśmy je w ostateczności wygrali?” [*Siedem grzechów głównych: pycha*, z Marcinem Kulą rozmawia Mira Suchodolska, „Dziennik Gazeta Prawna”, 21-23 VI 2013, nr 119 (3509)]. Faktycznie, nie ma prostego sposobu na opisanie powstania, które pod względem wojskowym toczyło się przeciwko Niemcom, a politycznie było wymierzone w Związek Radziecki i personalnie Stalina, który na dodatek miał się dać do niego wciągnąć. Ostatecznie, jak kto woli, antyradziecką, antykomunistyczną czy antyrosyjską wymowę powstańczego przekazu należy uznać za bezsporny sukces tegoż muzeum.

Nie sposób nie łączyć z tą sytuacją wypowiedzi Pawła Machcewicza, dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w budowie, który podkreślił wzrost popularności muzeów w edukacji historycznej kosztem czytelnictwa. „Muzea stają się odpowiednikami katedr w średniowieczu, do których chodzili niepiśmienni prosić ludzie i które dawały im obcowanie z literaturą i sztuką w postaci witraży, rzeźb, obrazów, słowa mówionego. Współczesne ekspozycje muzealne przemawiają do ludzi różnymi środkami – obrazami, dźwiękiem. Nie tylko tekstem. To się staje podstawowym nurtem opowiadania o historii”. [*Polski punkt widzenia na wojnę*, rozmowa z prof. Pawłem Machcewiczem, dyrektorem powstającego w Gdańsku Muzeum II Wojny Światowej, „Gazeta Wyborcza”, 25 VII 2013].

Punkt widzenia Machcewicza na szeroko pojęte życie polityczne zasadza się na przyjęciu milczącego założenia praktykowania go jako religii w sensie operowania świętością czasu i miejsca zachowań politycznych kształtowanych w formie obrzędów liturgicznych. Ta formuła sprawdza się znakomicie w odniesieniu do wszelkich rytuałów związanych z obchodami rozlicznych świąt państwowych i rocznic. O ich randze świadczą między innymi ministerialne funkcje doradcy prezydenta RP do spraw historii i dziedzictwa narodowego czy ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz osobne ministerstwo do spraw polityki historycznej zręcznie zakamuflowane pod szyldem Instytutu Pamięci Narodowej. Zapewne nie bez znaczenia jest także objęcie funkcji prezydenta RP, premiera

czy marszałka senatu przez zawodowych historyków oraz liczna plejada specjalistów z tej dziedziny bogato rozsiadanych w różnych miejscach życia politycznego – w partiach, dyplomacji, mediach, służbach i Kościele. Dokonuje się także komercjalizacja działalności „historycznej i historyków” czyniąc prawdę historyczną, wzorem innych wytworów – towarem. Traktowanie muzeum jako świątyni dla maluczkich, którzy po swojej liturgii ją opuszczają z nowym zastrzykiem wiary w państwo i miłości do jego przywódców, jest twórczym nawiązaniem do kultu marszałka Piłsudskiego, którego krzewieniem zajmował się przed wojną specjalnie w tym celu utworzony państwowy instytut. Aktualnie rozwój muzealnictwa, wszak to też świątynia, ma przebiegać równie dynamicznie jak budowa kościołów. Zbliża się czas otwarcia Muzeum Historii Żydów Polskich, a planowane są Muzeum Ziemi Zachodnich, Muzeum Kresów, Muzeum Historii Polski oraz kilka innych pomników niepodległości.

Stąd już tylko krok do powołania swoistego Związku Wyznaniowego Historyków ze swoimi kapłanami i arcykapłanami, świątyniami i bazylikami, ewangeliami i encyklikami, wydawnictwami i mediami, pochodami i rekonstrukcjami, ekshumacjami i grobami, kapelanami i kultowymi autorytetami, a przede wszystkim „świętymi miejscami”. Pod każdą z tych nazw na podstawie własnego doświadczenia życiowego i posiadanej wiedzy, jak w matematycznym równaniu można podstawić stosowne dane i sprawdzić, czy mają właściwe zastosowanie. Nie powinno się rzecz jasna przeoczyć frakcyjnego charakteru związku wyznaniowego historyków, a zatem i wielości grup wyznawców, często na sekcjarskim poziomie, które mają swoje zaplecze sakralne i tworzą wrażenie swoistego pluralizmu chociaż w dosyć ograniczonych ramach.

Rzeczowa analiza ideologii polskiej jako religii byłaby zatem oparta na trzech fundamentalnych kultach: wolności, ale nie każdej i nie dla każdego, świętej prywatnej własności i katolickiej wiary. Zarysowany krajobraz ideologiczny „tworzy *sacrum* wspólnotowe Polaków”, rzeczywistych lokatorów Starej Polski, którą tym razem nie należy, jak powiada Jan Kurowicki, rozumieć jako przeciwieństwo Młodej Polski, ale tej Nowej Polski, „która wykluwa się w historii od pierwszych chwil rewolucyjnego ruchu robotniczego”. Fundamentalnym założeniem Starej Polski jest przekonanie, że „własność prywatna nie tylko jest świętością, lecz i opoką dobrobytu, podstawą przedsiębiorczości, wolności i religii. [...] I że tylko instytucje i organizacje niezależne od państwa są gwarantem demokracji i jednostkowej wolności”. Jego zdaniem, zakorzeniona w Legendzie Starej Polski „ojczyzna ideologiczna” nie mogła wszechwładnie zapanować „bez historycznie ukształtowanego u nas wzorca religijności klas podstawowych: chłopstwa i klasy robotniczej” [Jan Kurowicki, *Legenda Starej Polski*, [w:] *Figury i maski w praktykach ideologicznych*, Warszawa 2013, s. 51, 46-47, 60], który obejmuje swym zasięgiem nie tylko państwo ale i właściwą mu ideologię o nieuchronnie imperialnym charakterze.

JAN WOLEŃSKI

DLACZEGO TRZEBA BRONIĆ HUMANISTYKI?

Podstawowy podział nauk wyróżnia nauki humanistyczne i nauki przyrodnicze (dla uproszczenia przyjmuję, że matematyka, nauki techniczne i nauki medyczne należą do tych drugich). Przyjmuje się, że przedmiotem klasycznej humanistyki są wytwory kultury, np. język, literatura czy sztuka. Ten obraz jest nieco uproszczony. Historia polityczna zawsze była uważana za naukę humanistyczną, ale przecież nie zajmuje się wytworami, lecz działaniami ludzkimi. Także przedmiot filozofii nie daje się całkowicie sprowadzić do wytworów, a przecież jest ona jedną z gałęzi humanistyki. Gdzie zaliczyć psychologię? Gdzie zaliczyć prawnictwo? Czasem mówi się o naukach humanistyczno-społecznych, w których mieszczą się wyżej wymienione dyscypliny, a także teoretyczne nauki społeczne jak socjologia, ekonomia czy politologia. Dalej skupię się na naukach humanistycznych w tradycyjnym rozumieniu (będę posługiwał się skrótami NH dla nauk humanistycznych i H – dla humanistyki; humanista będzie rozumiany jako przedstawiciel NH). Niektóre dalsze uwagi zapewne tyczą się także nauk społecznych, ale pozostawiam kwestię jako otwartą. Od dawna poszukiwano specyfiki NH, przede wszystkim w kontekście ich porównywania z naukami przyrodniczymi. Jednym z poglądów było wskazanie, że pierwsze są idiograficzne (opisują fakty), a drugie – nomotetyczne (formułują prawa ogólne), a innym, że H ma rozumieć zjawiska kulturowe natomiast nauki przyrodnicze wyjaśniają i przewidują.

Porównanie H z przyrodnictwem prawie zawsze wypada na niekorzyść tej pierwszej z następujących powodów: (1) podstawy metodologiczne NH są wątpliwe; (2) NH nie dostarczają jednolitych rozwiązań; (3) w NH nie ma teorii ogólnych pełniących funkcje eksplanacyjne i prognostyczne; (4) NH nie są użyteczne z technologicznego punktu widzenia; (5) NH nie są wolne od wartościowań, a przeto ich obiektywność jest ograniczona.

Czy te argumenty są trafne? Można zaproponować następujące odpowiedzi. Ad (1) Podstawy metodologiczne nauk przyrodniczych wcale nie są tak jednoznaczne, jak mogłoby wydawać się na pierwszy rzut oka; Ad (2) Korpus ustaleń H w większości wypadków jest dobrze ustalony, a różnice dotyczą głównie kwestii interpretacyjnych; Ad (3) Wcale nie jest powiedziane, że wyjaśnianie i przewidywanie za pomocą teorii ogólnych jest wyłącznym miernikiem wartości nauki; Ad (4) Bardzo wiele ustaleń humanistów, np. historyków, filologów, językoznawców, etnografów itd. jest wysoce użytecznych, aczkolwiek nie zawsze wymiernych finansowo; Ad (5) Natura H jest właśnie taka, że dziedzina ta wartościuje. Wszelako wartościowania często mogą

być i bywają zneutralizowane, a bywa, że przyrodnicy kierują się wartościami nie tylko utylitarnymi, ale np. politycznymi lub moralnymi przy aplikacji swoich rezultatów. Nawet jeśli NH nie mogą uwolnić się od wartościowań, to przyrodniczość wcale nie zapewnia ich eliminacji. Tak czy inaczej, ludzkie myślenie jest skłonne do kierowania się różnymi wartościowaniami i nie jest od nich absolutnie wolne w jakiegokolwiek dziedzinie.

Reasumując, różnice pomiędzy naukami przyrodniczymi a H winny być opisywane jako dyferencje stopniowalne, a nie jako wskaźniki zachodzenia jakiejś zasadniczej odmienności. Potwierdza to praktyka życia akademickiego, gdyż stopnie naukowe, tok karier naukowców czy organizacja uczelni i placówek badawczych są w zasadzie niezależne od tego, czy dotyczą NH czy nauk przyrodniczych.

Uwagi Ad (1) – Ad (5) odpowiadają w sposób ogólny na tytułowe pytanie. Trzeba bronić H, ponieważ jeśli uważamy NH za część nauki, protekcją trzeba objąć ją całą, a nie tylko jej część dającą wymierne profity. Dodatkowe argumenty są następujące: Jeśli wiedzę o kulturze narodowej uważamy za ważną dla kształtowania świadomości obywatelskiej, to rodzima H jest niezastąpioną drogą do urzeczywistnienia tego celu. Dalej, to właśnie wykształcenie humanistyczne dostarcza szerokich horyzontów intelektualnych i narzędzi rozumienia świata; wielcy przyrodnicy byli na ogół wybitnymi znawcami problematyki humanistycznej, w szczególności filozofami. I wreszcie, badania rynku pracy i pożądanych kwalifikacji dla rozmaitych stanowisk, np. menedżerskich, pokazują, że humaniści posiadają je w większym stopniu niż wąsko wykształceni specjaliści, np. w zakresie techniki. Są więc ważne powody dla realizacji kształcenia humanistycznego, nie tylko poznawcze, ale także ekonomiczne, a środki inwestowane w NH nie są stratą nawet w wąsko merkantylnego punktu widzenia. Tedy, uznanie H jako integralnej części badań naukowych i edukacji akademickiej jest zasadne.

Kwestionowanie wartości NH z punktu widzenia ich właściwości metodologicznych jest rzadkie, choćby tylko dlatego, że wymaga stosownej wiedzy z zakresu teorii nauki. Nie wypada też utrzymywać, że H jest mało warta, gdyż nie daje szybkich korzyści, jeśli nawet tzw. technokraci niezbyt często zdają sobie sprawę z wartości humanistów na rynku pracy. Typowa strategia ataku na NH uderza nie tyle w nie jako legitymowaną dziedzinę nauki, ile w humanistów. Oto przykład pochodzący od prof. A. Jajszczyka, aktualnego dyrektora Narodowego Centrum Nauki (*Polski inteligent tęskni za utopią*, „Gazeta Wyborcza”, 15-16.02. 2014):

Profesorowie-celebrzyści wypowiadają się często i chętnie na wiele tematów, ale brak im rygoru intelektualnego, by trafnie wskazywać zagrożenia i jednocześnie praktycznie się im przeciwstawiać. Swobodnie poruszają się po modnych tematach, mając o nich nikłe pojęcie. Zamiast pracowicie studiować źródła i stawiać śmiało hipotezy, konfrontując je z najtęższymi umysłami świata, swoje kariery budują na publikowaniu felietonów bądź pisaniu po polsku książek, które mało kto czyta. Są skrajnymi indywidualistami, rzadko potrafią działać razem, czy sensownie odnosić się do głębszych prac swoich koleżanek i kolegów. Są jednak chwile, gdy humanistyczne środowisko przemawia jednym głosem – wtedy, gdy czuje zagrożenie utraty dochodów czy przywilejów. Tak było ostatnio, gdy podniesiono wielki krzyk w obronie kształcenia na kierunku filozofia. Nie przypominam sobie, by ci sami ludzie kiedykolwiek upomnieli się o jakość nauczania studentów czy przeciwstawili masowemu przyjmowaniu na uczelnie kogo tylko popadnie.

Prof. Jajszczyk jest specjalistą od telekomunikacji, laureatem tzw. polskiego Nobla w obszarze nauk technicznych i członkiem PAN. Te okoliczności, świadczące o jego kompetencjach w naukach technicznych, nie są jednak przepustką do sensownego wypowiadania się o H. Oto kilka pytań w związku z jego opiniami. Jak prof. Jajszczyk ustalił zakres profesorów-celebrystów? Na czym oparł wniosek na temat braku rygorów, budowania karier na pisaniu felietonów (a może kocioł przygania garnkowi w tym przypadku?), obronie dochodów i przywilejów itd? Na jakiej podstawie twierdzi, że humaniści są skrajnymi indywidualistami, rzadko potrafią działać razem czy sensownie odnosić się do głębszych prac swoich koleżanek i kolegów? Czy prof. Jajszczyk przeprowadził jakieś badania uprawniające go do stwierdzenia, że książki polskich humanistów pisane po polsku „mało kto czyta” (sądzę, że prof. Jajszczyk rzeczywiście ich nie czyta, ale z tego nie wynika, że inni zachowują się podobnie)? Prof. Jajszczyk sformułował bardzo śmiało generalizacje bez podania jakiegokolwiek uzasadnienia dla nich, a to nie świadczy, że przetrzęga elementarnych rygorów intelektualnych. Gdyby np. systematycznie czytał pismo *Nauka*, które otrzymuje jako członek PAN, mógłby przekonać się, że wielu humanistów krytykowało jakość nauczanie studentów i masowy nabór na studia. A jeśli czyta, zapewne ma kłopoty z tzw. pamięcią semantyczną, tj. dotyczącą przechowywania pobieranych informacji.

Jedyny wyraźny argument prof. Jajszczyka przeciw humanistom jest taki (j. w.):

O mizerii polskich elit humanistycznych świadczy to, że w ostatnim konkursie [przed 2014 r. – JW] MAESTRO w Narodowym Centrum Nauki zespół ekspertów zdecydował, aby nie finansować żadnego z projektów w naukach humanistycznych, społecznych i o sztuce.

Łatwość z jaką prof. Jajszczyk wyprowadza wniosek „o mizerii polskich elit humanistycznych” na podstawie przywołanego przez siebie świadectwa jest zadziwiająca. A może projekty nie zostały złożone przez elity? A może zespół ekspertów nie ocenił należycie projektów (zastrzeżenia co do trybu ocen stosowanych przez NCN są wcale nie rzadkie)? Czyżby prof. Jajszczyk nie zdawał sobie sprawy, że wyciąganie wniosków z części na całość zakłada, że owa część (próbka) jest repre-

zentatywna? Te pytania, w gruncie rzeczy retoryczne, ilustrują elementarne błędy w formułowaniu opinii przez prof. Jajszczyka.

Broniąc humanistów przed kondemnacjami prof. Jajszczyka nie twierdzę, że środowisko to składa się z samych ideałów, bo tak nie jest, podobnie zresztą jak w wypadku innych grup naukowców. Ponieważ zbiorowość uprawiająca naukę (humanistykę) jest populacją statystyczną, trzeba jasno powiedzieć, czy ma się na myśli większość czy margines. Chętnie przypomnę prof. Jajszczykowi taką jego wypowiedź (*Polskie uczelnie w objęciach sarmatyzmu*, „Gazeta Wyborcza”, 24.09.2010; w artykule z 2014 r. powiada „Ze smutkiem stwierdzam, że mój tekst sprzed kilku lat [...] nic nie stracił na aktualności”): Wyniki wyborów do Polskiej Akademii Nauk, przynajmniej w przypadku Wydziału Nauk Technicznych, od jakiegoś czasu mają nikły związek z osiągnięciami naukowymi czy technicznymi zgłoszonych osób. Są odzwierciedleniem siły dobrze rozpoznawalnych grup interesów.

Prof. Jajszczyk został wybrany do PAN w 2013 r. Czyżby sam uważał swój wybór za potwierdzenie zacytowanej diagnozy, skoro oświadcza [w 2014 r.], że jego tekst z 2010 r. jest nadal całkowicie aktualny. Sam uważam wybór prof. Jajszczyka do PAN za uzasadniony, ale nie jestem pewien, czy głos humanisty jakoś ukoi jego smutek, chyba uzasadniony z powodu tak wyraźnej jego samo-deprecjacji. Jakkolwiek by było, dyrektor NCN nie grzeszy nadmierną konsekwencją w wygłaszaniu sądów naukoznawczych.

Kwestia nauczania filozofii w wyższych uczelniach, też odnotowana przez prof. Jajszczyka, ma dwa punkty: (a) zajęcia usługowe na innych kierunkach; (b) studiowanie filozofii jako drugiego kierunku. Zaczę od (b). Ministerstwo wprowadziło odpłatność za studiowanie drugiego kierunku. Środowisko filozoficzne uważa, że filozofia powinna być wyjątkiem. Są ku temu cztery powody. Pierwszy to powrót do dobrej tradycji polegającej na tym, że studiowanie filozofii było związane z obowiązkiem podjęcia nauki także na jakimś innym kierunku, gdyż dobre wykształcenie filozoficzne jest ściśle powiązane z posiadaniem także wiedzy pozafilozoficznej – i tak było w przypadku zdecydowanej większości znaczących filozofów. Po drugie, jeśli humaniści są poszukiwani na rynku pracy, to kombinacja filozofii z czymś jeszcze zapewnia im lepsze wykształcenie ogólne, a tym samym zawodowe. Dalej, zyski z odpłatnego studiowania filozofii jako drugiego kierunku są tak minimalne, że ewentualne profity z postaci lepszego wykształcenia pewnej grupy ludzi są na pewno większe. Po czwarte, „drugokierunkowcy” stanowią poważny procent studentów filozofii i bez nich trzeba będzie zamykać cały kierunek (jak w Białymstoku), m. in. z uwagi na absurdalne uzależnienie dotacji dla uczelni od liczby studentów. Wcale nie twierdzę, że tylko studiowanie filozofii jako drugiego kierunku ma być bezpłatne, ale to rzecz odrębnej dyskusji, podobnie jak cały model kształcenia humanistycznego. Trzeba np. zdecydować, co ma być nauczane w ramach szkoły średniej, a co w wyższych uczelniach.

Przechodzę do punktu (a). Filozofia jest tradycyjnie uważana za niezbędny składnik wyższego wykształcenia. Jest rzeczą dyskusyjną, czy wszystkie typy studiów powinny mieć filozofię jako element ich programów zajęć. Jakby

nie odpowiedzieć na to pytanie, obserwuje się wyraźną tendencję do rugowania filozofii z programów studiów. Nie dlatego, że poszczególne wydziały nie chcą nauczania filozofii, ale dlatego, że same muszą płacić za zamawiane zajęcia usługowe. Jest to rozwiązanie absurdalne, ale wymuszane przyjętym sposobem rozliczeń wewnątrz uczelni. Nawiasem mówiąc, zmniejszenie liczby studentów obniża koszty kształcenia, a nie podwyższa. Jest to raczej właściwy kontekst dla poszukiwania racjonalizacji edukacji, a nie krępowania jej bzdurną biurokracją.

Kończąc, sytuacja H, a filozofii w szczególności jest rzeczywiście krytyczna w Polsce. Głównym powodem są nonsensy organizacyjno-finansowe determinujące kształt polskiego życia akademickiego. Ciągłe niskie nakłady na naukę uderzają w całą naukę, ale przede wszystkim w NH, gdyż te nie mogą liczyć nawet na parętek w finansowaniu. Domaganie się tego byłoby zresztą całkowicie bezzasadne, gdyż badania przyrodnicze i edukacja w tym zakresie muszą kosztować znacznie więcej niż w H. Wszelako w sytuacji uznania odpowiedzi na pytania „A jakie to przyniesie wymierne korzyści?” za priorytetowe, NH są ofiarą łatwą do ustrzelenia. I to jest doraźny powód dla podjęcia ich obrony.

JAN WOLEŃSKI

PS.:

Dzień po przesłaniu tekstu do redakcji „Zdania” ukazał się wywiad z minister L. Kolarską-Bobińską („Gazeta Wyborcza”, 2014 02 26). Oto kilka uwag w związku z тезami z tego wywiadu. Po pierwsze, zwiększenie kwoty studentów mogących studiować drugi kierunek z 10 do 20 procent nie jest wystarczające, przynajmniej dla filozofii. Po drugie, nie wiadomo skąd min. Kolarska-Bobińska wie, że zmniejszenie się liczby studentów filozofii o 48 proc. jest spowodowane wiedzą młodych ludzi o szansach na znalezienie pracy. Instytut Filozofii UJ stracił 50 proc. studentów w związku z nowymi warunkami studiowania na drugim kierunku. Po trzecie, nie jest prawdą, że naukowcy nie protestują przeciwko pisaniu wniosków do NCN po angielsku. Owszem wielu protestuje, nie z powodu samego wymogu, ale dlatego, że obecny system jest uważany za nieuzasadnioną degradację języka polskiego. Po czwarte, system premiowania za wprowadzanie zajęć humanistycznych jest niewłaściwy, ponieważ edukacja uważana za wartościową z kulturowego punktu widzenia nie powinna być „na sprzedaż”. Te uwagi mają charakter sygnalizacyjny i wymagają dalszego rozwinięcia. (J.W.)

Profesorowi Janowi Woleńskiemu, naszemu stałemu Autorowi, serdeczne gratulacje z okazji przyznania Mu prestiżowej nagrody „Polskiego Nobla” w dziedzinie humanistyki - składa Redakcja „Zdania”



BEATA KOWALSKA

REFLEKSJE GENDERYSTKI

Co to jest gender?

W jednym z najpopularniejszych podręczników do socjologii autorstwa Anthony'ego Giddensa czytamy: „Wszystkie aspekty naszego życia, od tonacji głosu przez gesty i sposób poruszania się do norm zachowań, związane są z płcią. W tysiącach drobnych czynności, jakie składają się na nasze życie codzienne, reprodukuje – tworzymy i odtwarzamy – nasz status związany z płcią”¹. Określenie „jestem kobietą” czy „jestem mężczyzną” daleko zatem wykracza poza anatomiczną charakterystykę niosąc z sobą określony (domyślny) zestaw cech oraz wzorów zachowań. Tak rozumiana płeć kulturowa (*gender*) jest przedmiotem naukowych badań. Nie jest to konstrukt stały: uderza jego historyczność² i terytorialna zmiennosc, a na jego specyfikę ma wpływ szerokie spektrum czynników kulturowych i społecznych, politycznych i ekonomicznych.

¹ Giddens, Anthony, *Socjologia. Zwięzłe, lecz krytyczne wprowadzenie*. Tłum. Joanna Gilewicz, Poznań 1998, s.127.

² Interesującym przykładem jest kwestia obywatelstwa kobiet. Mimo roszczeń do uniwersalizmu, obywatelstwo zostało ukształtowane wedle męskiego wzorca. Zarówno w tradycji liberalnej, jak republikańskiej, kobiety pozostawały obywatelkami drugiej kategorii. Warunkiem bycia obywatelem było uczestnictwo w sferze publicznej. To wymaga bycia racjonalnym. Zdaniem wielu filozofów, kobiety nie były racjonalne, dlatego z tego uczestnictwa przez na długi czas zostały wykluczone. Kobieta nie posiadała ani prawnego, ani publicznego statusu. Według prawa mąż i żona stanowili jedną osobę (reprezentowaną na zewnątrz przez mężczyznę). Racjonalny, działający w sferze publicznej mąż pozostawał głową domu, będąc posiadaczem własności i opiekunem. W większości podręczników historii geneza kategorii obywatelstwa omawiana jest w kontekście Rewolucji Francuskiej i Deklaracji Prawa Człowieka i Obywatela głoszącej, że wszyscy (mężczyźni) „rodzą się i pozostają wolni i równi w prawach” oraz że prawa te są uniwersalne. Olimpia de Gouges za protest przeciwko konstytucji niegwarantującej kobietom praw obywatelskich została skazana i stracona 3 listopada 1793 roku. Obywatelki Francji dołączyły do grona pełnoprawnych obywateli dopiero półtora wieku później. Dziś nikt nie kwestionuje, że kobiety są pełnoprawnymi obywatelkami.

Wzory tego co kobiece i męskie przekazywane i powielane są w procesie społecznego uczenia się.

Takie ujęcie płci zagościło na dobre w naukach społecznych u progu lat 70. minionego stulecia, wraz z zakwestionowaniem dominującego wówczas paradygmatu funkcjonalistycznego. Funkcjonalistyczna analiza płci koncentrowała się wokół różnic biologicznych, które zdaniem badaczy decydować miały o odmienności ról kobiecych i męskich. W społecznej praktyce oznaczało to przypisanie instrumentalnej roli działającemu w domenie publicznej mężczyźnie i funkcji afektywnej, pozostającej w sferze domowej, kobiecie. Talcott Parsons w 1955 roku pisał: „Naszym zdaniem, podstawowy sposób wyjaśniania zjawiska przydzielania ról kobietom i mężczyznom musi odwoływać się do faktu, iż rodzenie i opiekowanie się dziećmi ustanawia silny i nieodwołalny prymat związku matki z małym dzieckiem. To, z kolei, prowadzi do przekonania, iż mężczyzna, który jest zwolniony z tych biologicznych funkcji, powinien specjalizować się w działaniach alternatywnych (zorientowanych na role zawodowe)”³. Opisany scenariusz dla kobiecości i męskości, który wykształcił się z biegiem historii, z czasem został zinstytucjonalizowany i służy podtrzymaniu porządku społecznego. Zmiana jest możliwa, ale tylko w toku powolnej ewolucji. Wszelkie gwałtowne działania na jej rzecz mogą być destrukcyjne dla całości systemu społecznego. Rozważania funkcjonalistyczne koncentrują się na obrazie społeczeństwa jako harmonijnego, uporządkowanego systemu, którego członków cechuje wspólnota przekonań i wartości. Wiara w społeczny *consensus* odzwierciedla popularność tego teoretycznego ujęcia.

³ Parsons, Talcott, *The Social System*, Routledge: New York 1951, s.23.

Lata 60. przynoszą fundamentalne zmiany. Ruch na rzecz praw obywatelskich, sprzeciw wobec wojny w Wietnamie czy ruch wyzwolenia kobiet ujawniają rysy na tym idealnym obrazie ukształtowanym wedle wzoru białych przedstawicieli klasy średniej. Badaczki i badacze rzucają wyzwanie dominującemu paradygmatowi, ujawniając jego nieadekwatność do opisu problemów współczesnego im społeczeństwa. W centrum nowego dyskursu stają relacje władzy. Najbardziej konsekwentne zakwestionowanie 'głównego nurtu' nadeszło ze strony akademikzek feministycznych. Odrzuciły one kluczowe dla dotychczasowej analizy płci przekonanie o „naturalności” tego co kobiece i męskie. Ich zdaniem, w procesie kształtowania się płci czynniki biologiczne i kulturowe wchodzą z sobą w skomplikowane interakcje. Proces uczenia oraz odpowiadania na cały wachlarz społecznych oczekiwań mają tu znaczenie decydujące. Perspektywę funkcjonalną krytykowano przede wszystkim za ignorowanie strukturalnych przyczyn występujących w społeczeństwie nierówności między kobietami a mężczyznami.

Proces instytucjonalizacji studiów genderowych

Na fali tych dyskusji powstają od końca lat 70. *gender studies*⁴, na początku w Ameryce, Australii i Europie Zachodniej. W Europie Wschodniej proces ten przypada na lata 90., związany jest z upadkiem komunizmu i powstawaniem niezależnego ruchu kobiecego. Podobnie w Afryce i Azji, tworzenie kolejnych programów dydaktycznych i badawczych w tej dziedzinie związane było z procesami budowania tożsamości w okresie postkolonialnym. Od tego czasu studia genderowe stały się trwałym elementem akademickiego pejzażu, nie można zrozumieć intensywności i zasięgu tego procesu pomijając opisany powyżej wspomniany feministyczny, emancypacyjny charakter jego początków. Ten proces instytucjonalizacji daleki był jednak od jednorodności. Odmiennie konteksty społeczne, polityczne i historyczne wpływały na kształt interesujących nas programów w różnych częściach globu.

Wiele różnic wynikało z odmiennych tradycji edukacyjnych i intelektualnych, historii politycznej i kulturowej krajów, w których „gendery” powstawały (-ają), infrastruktury czy wreszcie usytuowania geograficznego i uczestnictwa w międzynarodowej wymianie idei. Studia genderowe, choć z założenia interdyscyplinarne, tworzone były wokół kierunków o ugruntowanej akademickiej tradycji. Zastanawia fakt, że ewaluowały one z różnych dyscyplin. I tak w krajach protestanckich – mam na myśli przede wszystkim Wielką Brytanię i państwa skandynawskie – interesujące nas kursy i badania podejmowane były w instytutach socjologicznych i na wydziałach nauk humanistycznych. W katolickich krajach takich jak Włochy, Portugalia czy Hiszpania o stosunkowo „świeżej” pamięci faszystowskich dyktatur czy autorytarnych reżimów prawicowych, impulsem dla badań genderowych były studia historyczne. Liberalna transformacja wymuszała tam krytyczne podejście do dorobku i politycznej roli własnej dyscypliny. Z kolei w

Europie Wschodniej – Słowenii, Ukrainie czy częściowo także w Polsce – to filozofia wywarła znaczący wpływ na proces instytucjonalizacji studiów genderowych.

Przebiegała ona znacznie łatwiej i szybciej w krajach o utrwalonych tradycjach demokratycznych. Stając się kluczowym elementem w budowaniu polityki równych szans, zyskiwała zdecydowane poparcie zarówno w kołach politycznych, jak i środowiskach akademickich. Było to trudniejsze w państwach, gdzie ciągle królują silne, nieprzepracowane wzory patriarchalne, a na uczelniach dominuje raczej model awansów oparty na konformizmie wobec zhierarchizowanego systemu i tradycyjnych dyscyplin niż rzeczywistych osiągnięciach naukowych. Co ciekawe, instytucjonalizacja genderów wcale nie była łatwiejsza w krajach bogatych. Poziom dochodu narodowego niekoniecznie sprzyja większemu otwarciu na nowe poszukiwania badawcze. I tak na przykład centrum w Delhi powstały niemal w tym samym czasie, co instytut genderowy w znacznie zamożniejszej Japonii.

Jakie wymierne rezultaty przyniósł ten proces instytucjonalizacji? To co najłatwiej zaobserwować, to moduły dydaktyczne – wykłady i seminaria na różnych poziomach studiów. Rzadko jednak *gender studies* są rozpoznawane jako autonomiczna dyscyplina, co pociąga za sobą niższy akademicki prestiż, przekładający się na mniejsze wsparcie finansowe, a tym samym na infrastrukturę badawczą i kształcenie kadry. Niewątpliwie utrudnia to rozwój. Z drugiej strony jednak, kursy genderowe zagościły na stałe w instytutach socjologii, anglistyki, historii sztuki, studiów kulturowych, nauk politycznych czy ekonomii oraz teologicznych. A co najważniejsze, płęć jest traktowana jako kluczowa kategoria badawcza. I to niewątpliwie jest najistotniejszą zasługą tych, które/którzy tworzyły i tworzyli miejsce dla genderów na uniwersytetach. Warto było czekać blisko 40 lat, by usłyszeć wystąpienie jednej z najważniejszych osób w światowej socjologii, prezydentki Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego, Cynthii Fuck Epstein, w którym podkreśla, że „granice wyznaczone przez płęć tworzą najbardziej fundamentalny społeczny podział – podział, który powinien być zasadniczą kwestią we wszystkich socjologicznych analizach, jeśli uczeni chcą właściwie zrozumieć dynamikę społeczną i kluczowe znaczenie stratyfikacji”⁵.

Gendery w Polsce

Od początku u źródeł genderów leżała ścisła współpraca z organizacjami feministycznymi. Studia te powstawały tam, gdzie istniał niezależny ruch kobiecy. Nierzadko pierwsze wykłady i seminaria organizowane były przez organizacje pozarządowe i nieformalne grupy akademikzek. Ten ścisły związek między działalnością na rzecz równości kobiet można zaobserwować wszędzie na świecie. W moim przekonaniu ciągle stanowi on o sile i atrakcyjności naszych badań i oferowanej dydaktyki, choć dla wielu jest powodem do krytyki.

Nie inaczej było w Polsce. Instytucjonalizacja studiów genderowych rozpoczęła się w latach 90. Proces ten związany był ze zmianą systemu i powstaniem niezależnego ruchu kobiecego. Kursy i programy genderowe uru-

⁴ Warto pamiętać o rozróżnieniu między studiami kobiecymi (*women's studies*) i genderowymi (*gender studies*) – w Azji i Afryce powstawały głównie studia kobiece. Różni je odmienna perspektywa teoretyczna. Studia kobiece kładą nacisk na analizę źródeł opresji kobiet i sposoby jej przezwyciężenia. Studia genderowe przenoszą akcent na konstruowanie relacji między płciami

⁵ Epstein Fuck, Cynthia, *Great Divides: the Cultural, Cognitive and Social Bases of Global Subordination of Women*. American Sociological Review, vol. 72, 2007, s.5.

chomione zostały w najważniejszych ośrodkach akademickich – od Warszawy, Łodzi, Poznania przez Gdańsk, Szczecin po Wrocław i Kraków – choć nie zawsze związane były z uniwersytetami. Nierzadko pierwsze seminaria i wykłady organizowane były przez organizacje pozarządowe i nieformalne grupy akademikzek i studentek. Powstały pierwsze biblioteki i czytelnie feministyczne.

Zacznijmy od kwestii formalnych. Najczęściej interesujące nas programy prowadzone są pod szyldem „studiów genderowych”. Małgorzata Fuszara wspominając początek warszawskiego programu podkreślała: „Myśmy te studia zakładały z myślą, że będą i o mężczyznach, i o kobietach, ale nie oszukujmy się, jest tam więcej o kobietach. Kobiety były brakującą częścią w nauce w wielu dziedzinach, więc w pewnym sensie zaczyna się od uzupełnienia ich perspektywy”⁶ (Krzyżaniak-Gumowska, 2006). Dlaczego zatem nie studia kobiece? Zdecydowały o tym między innymi powody polityczne i historyczne. Studia kobiece kojarzone były z prądami lewicowymi, niepopularnymi w Polsce u progu transformacji. Równość płci – choć w rzeczywistości z równością niewiele miała wspólnego – traktowana była jak wrogi polskiej tradycji element ideologii poprzedniej epoki. Podnoszono też inny argument: kojarzona z feminizmem walka płci jest obca naszej historii. Kobiety przeciw wspólnie z mężczyznami stały na barykadach walcząc o niepodległość (choć o ich udziale niewiele znajdziemy wzmianek w podręcznikach). Odrzucenie dyskursu PRL-u najczęściej oznaczało powrót do tradycyjnej, katolickiej retoryki w życiu publicznym z silnie zsymbolizowanym obrazem Polki, zwłaszcza matki. Kontekst ten tłumaczy, dlaczego obco brzmiąca nazwa wydawała się do pewnego momentu bezpieczniejsza, choć równocześnie niosła niebezpieczeństwo oskarżenia o bycie zachodnią nowinką. Ta często powtarzana opinia budzi uzasadnione wątpliwości, warto więc poświęć jej nieco uwagi.

Feminizm w Polsce nie pojawił się wraz z transformacją ustrojową, choć ta niewątpliwie nadała mu nowy impet. Ze względów politycznych wygodniej jest zakwalifikować go jako prąd obcy. To jednak oznaczałoby puszczenie w niepamięć całego dorobku emancypacyjnego polskiej tradycji, który ze starannością na nowo odkrywany. Choć rodzime gendery czerpały garściami z dorobku zachodniej myśli krytycznej, jednak z czasem okrzepły, podążając własnymi ścieżkami. Zaczynałyśmy od lektury *Słownika feminizmu* Maggie Humm, teraz mamy własną *Encyklopedię gender*. Ucztyłyśmy historii emancypacji odwołując się do Mary Woolstonecraft czy Harriet Tylor, teraz czytamy o Narcyzie Żmichowskiej, czy spacerujemy śladami pierwszych polskich feministek po naszych miejscach zamieszkania⁷.

Choć nie zawsze krytyka feministyczna znajduje miejsce w instytutach i katedrach, pomimo wielu barier zdumiewa liczba podejmowanych inicjatyw zarówno badawczych jak i dydaktycznych na akademii i poza nią. Kolejne Akademickie Kongresy Feministyczne odbijają różnorodność tematów, perspektyw, form działania. Niewątpliwie poważną przeszkodą w rozwoju badań genderowych w Polsce jest brak stabilności finan-

sowej, zwłaszcza jeśli chodzi o programy dydaktyczne. Płatne studia – a takich jest najwięcej – są nieosiągalne dla wielu chętnych. Rozwój to także etaty, dostęp do aktualnej literatury czy możliwość kontaktu z uczonymi z innych krajów poprzez wspólne projekty dydaktyczne i badawcze. Wreszcie u źródeł studiów genderowych leży interdyscyplinarność. A to generuje kolejny problem. Struktura naszych uniwersytetów nie sprzyja otwarciu na nowe badania, które nie mieszczą się w „uświęconej” tradycją hierarchii dyscyplin.

Nasze badania stawiają w centrum relacje władzy, co pozwala zrozumieć strukturalne przyczyny społecznych nierówności i dyskryminacji, a w kraju który wybrał jeden z najmniej egalitarnych modeli rozwoju ma to fundamentalne znaczenie. Ten krytycyzm polskich genderów odnajdujemy także w pozaakademickich sojuszach i w szerokiej współpracy z organizacjami pozarządowymi, ruchami społecznymi czy związkami zawodowymi, co jak wiemy wcale nie było regułą w państwach Zachodu⁸.

Zamiast zakończenia

Nie chcąc wchodzić w dyskusję na temat wyobrażeń dotyczących studiów genderowych, które zdominowały w ostatnich miesiącach polską debatę publiczną w kraju, chciałabym wspomnieć jedynie o tym, że perspektywa badawcza, która jest mi tak bliska, odcisnęła swój ślad także w teologii. Niestety w Polsce mamy Kościół o rażącej sile politycznej, ale słabej myśli teologicznej. Dlatego tym bardziej warto przypominać dobrek teoologów interesującego nas nurtu:

„Doprawdy kim jest kobieta i kto ma o tym decydować? Sugeruję, że męskość i kobiecość są najbardziej stereotypowe kulturowo, stworzone przez społeczeństwo seksistowskie, rasowe i klasowe. Oczywiście nie chodzi o to, że nie ma żadnych różnic między kobietami i mężczyznami. Chodzi o odrzucenie tradycyjnych kategorii męskości i kobiecości jako nieodpowiednich do opisu realnych konkretnych osób w całym ludzkim zakresie różnorodności. Jakim prawem miłość, szacunek i opiekuńczość mają być uznane za cechy kobiece, a nie po prostu ludzkie? Dlaczego siła, władza i racjonalność mają przynależeć bardziej do mężczyzn niż do ludzi, włączając w to kobiety? Stereotypowa „kobiecość” sprowadza ogromną różnorodność darów kobiet do wąskiej listy cech charakterystycznych. Przeciwnie, sugeruję, że opiekuńczość i delikatność nie wyczerpują zdolności kobiet; podobnie jak cielesność i zmysłowość nie definiują ich natury; ani też rozum i twórcze działanie zmieniające świat nie przekraczają ich możliwości; nie można też zwyczajnie zrównać kobiet z macierzyństwem, afektywnością, ciemnością i receptywnością bez nadwyrężania ich ludzkiej godności”⁹.

Autorką tych słów jest katolicka zakonnica, profesorka teologii, „genderystka” w Nowym Jorku, Elizabeth Johnson.

BEATA KOWALSKA

⁶ Krzyżaniak-Gumowska Aleksandra, *Obchody dziesięciolecia warszawskich Gender Studies*, „Gazeta Wyborcza” 02.03.2006.

⁷ Krakowska Fundacja Przestrzeni Kobiet wydała już kilka tomów przewodniczek po Krakowie emancypantek.

⁸ Mam na myśli przede wszystkim wahania feministek amerykańskich w budowaniu współpracy z ruchem LGTB.

⁹ Józef Majewski, *Teologia na rozdrożu*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005, s.59-60.

OD PROJEKTU KOMUNISTYCZNEGO DO NEOLIBERALNEJ UTOPII

Nowa książka o takim tytule prof. Andrzeja Walickiego, wydana przez Universitas w ramach »Biblioteki „Kuźnicy”«, była przedmiotem jednego z lutowych spotkań Stowarzyszenia. Wprowadzenie do tematu powierzono zaproszonym specjalnie na tę okoliczność profesorom: Andrzejowi Romanowskiemu i Bronisławowi Łagowskiemu...

– Profesor Walicki jest uczonym poważnym i w czasach, gdy mamy wysyp profesorów – specjalistów od historii, którzy znają tylko jeden ton – ipeenowski, czy profesorów od fizyki, którzy podtrzymują religię smoleńską, tę prawdziwość uczonego musimy podkreślić – mówił na wstępie prof. **ANDRZEJ ROMANOWSKI**. – Jest przy tym Walicki człowiekiem niezależnym, czemu towarzyszy wiele kłopotów, bo porusza się przeciw instynktowi stadnemu Polaków, o którym już dużo w historii napisano. Tok rozumowania, przyjęty w książkach Walickiego, nie służy udowodnieniu stawianej z góry tezy – daje czytelnikowi swobodę interpretacji i zmusza do myślenia, jako że, jak powiedział poeta, „Świat nie jest piłką futbolową, świat się podbija głową, głową, głową”.

Pierwszy z obszarów, o których mówi nowa książka Profesora, to „komunistyczny projekt”, drugi to „neoliberalna utopia”, a między tymi dwiema przestrzeniami autor dotyka naszej polskiej współczesności, PRL-u i sporów tamtego czasu oraz sporów obecnych.

Cała książka jest przy tym wielkim wołaniem o czystość języka i nie chodzi tu o zwykłe, powszechne dziś, schamienie języka, ale o to, by słowo znaczyło to co naprawdę znaczy. W swoim czasie mój bunt przeciw systemowi dotyczył bodaj przede wszystkim konieczności przywrócenia czystości znaczeń. Nie było dla mnie nic bardziej irytującego jak puste zbitki marksizm-leninizm czy proletariacki internacjonalizm.

Dziś mamy do czynienia, szczególnie w dominujących politycznie kręgach, z nadużywaniem słowa komuniści, komuna, Polska komunistyczna. Pustkę tego nazewnictwa Walicki obnaża bezlitośnie. Pokazuje, czym w istocie był projekt komunistyczny, a tej sprawy znawcą jest nie byle jakim. Są tam więc rewelacyjne spostrzeżenia, w tym analiza jak kraj sowietów, czyli Związek Radziecki odchodził od projektu komunistycznego...

Niby to wiemy, ale niemal nie znajdziemy w obiegu publicznym takiego oto prostego stwierdzenia, że takim odejściem od owego projektu były czasy застою Leonida Iljicza Breżniewa, że ostatnim romantycznym ko-

munistycznym (jakkolwiek to zabrzmiało) był Chruszczow i obalenie Chruszczowa było zwycięstwem myślenia, że oto musimy odejść od czegoś, co jest nierealizowaną utopią. W miejsce komunizmu i świetlanej przyszłości pojawił się termin realny socjalizm. Realny – czyli ten, który mamy.

Kolejnym określeniem poddanym analizie jest liberalizm. Książka Walickiego to otwarte oskarżenie neoliberalizmu, że zawłaszczył tradycję liberalną, która jest czymś bez porównania szerszym, pojemniejszym. Niby jesteśmy wolni, powiada Walicki, ale odwołując się choćby do Johna Stuarta Milla wskazuje, że istnieją mechanizmy opresyjne, które potrafi zafundować sobie samo społeczeństwo, które oddolnie, bez narzuconych środków przymusu, wprowadza system zniewolenia.

Tutaj pojawia się jako przykład niosąca straszną treść, a przy tym niezwykle zgrabna formuła o dręczeniu



Fot. Andrzej Gituc

Jaruzelskiego, który nie jest zamykany ani niszczonej finansowo, ale właśnie dręczony w haniebny sposób. To też przykład, że każde słowo Walickiego świeci prawdziwym, intensywnym blaskiem prawdy. Dręczenie – to właściwe słowo, na właściwym miejscu.

Osobną sferą są uwagi, czym była PRL, bo póki nie przeprowadzimy poważnej debaty społecznej na temat tego, czym ona była w istocie, póty nie ruszymy z miejsca naszych sporów ideowych, które dziś są pseudo sporami i po prostu obrzucaniem inwektywami jednej strony. Czym więc była PRL? Najłatwiej powiedzieć, że to była forma protektoratu sowieckiego, ale trudniej przyznać fakt oczywisty, że PRL zrodziła się z uwarunkowań geopolitycznych, a jeszcze trudniej, że był to swego rodzaju kłosz. Kłosz – to właśnie jedno ze słów odkrywanych na nasz użytek przez Walickiego. PRL to właśnie kłosz, w którym schronił się naród i w którym żyliśmy przez czterdzieści lat, po upiernej okupacji i po też upiornych latach stalinizmu.

Jako człowiek z drugiej strony barykady muszę przyznać, że to państwo mogli stworzyć tylko ci, którzy odwoływali się do tradycji komunistycznej, choć byli tam i ludzie z innych środowisk, choćby z PPS czy ruchu ludowego. Mówił mój mistrz Stanisław Stomma, że jest to zasługa historyczna tamtego, nie mojego obozu.

Pisarstwo Andrzeja Walickiego ma także jeszcze jedną zjednoczącą cechę. Mianowicie jest to pisarstwo bardzo osobiste. Otóż ten nurt osobisty dotyczy także, jeżeli nie przede wszystkim, roku 1956. Bardzo mocno wypunktowana została teza, że był to zasadniczy przełom, że wówczas właśnie odzyskałmy wiele, w tym nade wszystko obieg wolnej myśli. Oczywiście nie był to obieg promowany przez państwo, ale w Polsce nikt nikogo za poglądy nie aresztował. Za działania tak, za przygotowania do wysadzania pomnika czy auli akademickiej owszem, ale za poglądy – nigdy. W końcu to przecież w apogeum stalinizmu, w 1950 roku Turowicz ze Stommą mogli pisać w „Tygodniku Powszechnym”, cyt.: „Marksistami ani socjalistami nie jesteśmy, ideał socjalistyczny nie jest naszym ideałem”. Czy to jest totalitaryzm, jeśli oficjalnie można było coś takiego opowiedzieć? A dalsze lata po 1954 roku, kiedy już nawet towarzysz Bierut wspominał o błędach i wypaczeniach w aparacie bezpieczeństwa? Wygląda na to, że totalitaryzm, jeśli się nawet w Polsce objawił, nigdy nie miał ciągłego charakteru, choć owszem pewne bolesne jego przejawy były. Do czasu. Żyłem w tym kraju i pamiętam.

Warto choćby przypomnieć funkcjonujący po 1956 roku, a nawet w stanie wojennym program wymiany z Zachodem studentów i naukowców z Polski. Jakoś te nieludzkie i antypolskie władze wyjeżdżać pozwalały. Ja sam jechałem do Oksfordu z peerelowskim, służbowym paszportem i nikt mnie ani przedtem, ani potem o nic nie pytał, i kwestią przyzwoitości jest to, czy dziś mówi się o tym głośno. Profesor Walicki mówi o tym głośno, od lat. Mówię o tym i ja.

Czy Walicki jest w swoich poglądach osamotniony? – pytał z kolei **BRONISŁAW ŁAGOWSKI**. – Odpowiedź nie jest prosta, bo różne środowiska, starały się o to, by Andrzeja Walickiego do siebie przyciągnąć, w tym, wtedy młode, a dziś średnie pokolenie intelektualnej prawicy. Prawdę mówiąc, poglądy Walickiego są dość

popularne. Społeczeństwo wcale nie idzie w swej masie w kierunku, jaki wyznacza IPN.

Mamy do czynienia w Polsce z dwoma narodami: jeden wczuwa w nieszczęścia czasu wojny, zwłaszcza spowodowane przez ZSRR, a „żołnierzy wyklętych” stawia w centrum polskiej historii powojennej oraz identyfikuje się, w sposób mniej lub bardziej prawomocny, z „Solidarnością” okresu konspiracyjnego. Ten naród uważa, że ma prawo do różnego rodzaju wyróżnień i przywilejów. Jest też drugi naród, który się temu przygląda, a który nie dostąpi tego, by jego reprezentanci zostali uhonorowani! Dziś śmiech by wywołało, gdyby do wysokich odznaczeń zaproponowano ludzi, którzy budowali w Polsce Ludowej zręby gospodarki, drogi, fabryki, huty czy zapory wodne. Są skazani na „nieznaczenie”.

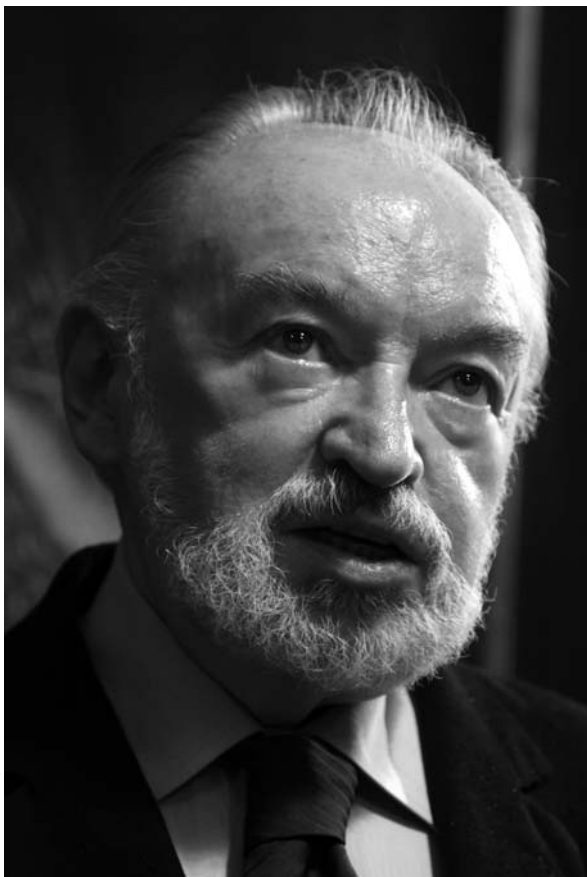
Mamy więc dwa narody – poniżony i uheroiczony, a to co pisze Andrzej Walicki jest ważne właśnie dla tego narodu zlekceważonego, natomiast „naród panujący” tego nie uznaje.

A skoro mówimy o nowej książce profesora, chcę zwrócić uwagę, że już jej tytuł *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii* jest odwróceniem powszechnie przyjętych poglądów, że to właśnie komunizm był utopią, a neoliberalizm jest realnym projektem, czystą prawdą. Walicki nie odwracał tego dla przekory.

Historyk idei nie może się zgodzić w poglądem, że w PRL panował komunizm. Tymczasem niestety przyjęliśmy język narzucony nie tylko przez IPN, ale zasugerowany też przez poprzednią, radziecką i peerelowską władzę. Dziś tym językiem posługujemy się po trosze z konformizmu, a głównie dla wygody. Natomiast gdy chodzi o utopię neoliberalną, to chcę przypomnieć, że papież neoliberalizmu von Hayek rozwijał swoją teorię w duchu polemicznym. Nie robił tego z przekonaniem, że objawia jakąś spójną, naukową prawdę. On polemizuje wyszukując argumenty, jakie akurat były przydatne do sporu z socjaldemokratami, socjalistami, ze zwolennikami gospodarki planowanej, czy choćby zracjonalizowanej.

Mówił dostownie: My, jak socjaliści, potrzebujemy swojej utopii, bo właśnie socjalistyczna utopia stanowi o sile przyciągania tego ruchu. Więc i nam potrzebna jest utopia, bo liberalizm będąc ideologią swej utopii potrzebuje. Więc taką utopię stworzył. Czy nie ma utopijnego charakteru pogląd, że państwo nie powinno mieć monopolu na walutę, że pieniądź może kreować każde przedsiębiorstwo, a o powodzeniu takiej kreacji decyduje wolny rynek?

Walicki należy do tradycji oświeceniowej i dziś, coraz bardziej bojowym językiem, walczy z fałszami liberalizmu w imię liberalizmu pojętego głębiej, szanującego elementarne prawa człowieka pojmowane konkretnie, jako wolność myślenia, zachowań politycznych, poszanowanie prywatności... Na tym bowiem polega liberalizm, a takich wartości u neoliberalistów nie widać. Ludzie tego kierunku w rodzaju Balcerowicza twierdzą, że prywatne emerytury to będzie coś lepszego, że wszystko można sprywatyzować, w tym drogi, oświatę czy służbę zdrowia. W tym jest kompletna bezdusność, której człowiek nie pojmuje w pierwszej chwili, bo oni mówią ładnie i z taką pewnością siebie, że człowiek odruchowo im wierzy, tak jak poecie wierzy się w prawdziwość wiersza, gdy rymy są dobrze dobrane. Im się wierzy także dlatego, że mają poparcie instytucji i poparcie finansowe – też.



Fot. Andrzej Głuc

Przełom ustrojowy 1989 r. większość Polaków przyjęła z aprobatą, a niekiedy z entuzjazmem, choć przy różnych odcieniach tej aprobaty. Ale wielkim kłamstwem są stwierdzenia rządzącej dziś „postsolidarności”, że ludzie ci „obalili totalitaryzm”. Takie rzeczy w życiu się nie zdarzają, żeby w systemie totalitarnym można było urządzić choćby częściowo wolne wybory. To sedno zarozumiałstwa dziś rządzących, którzy twierdzą, że za heroiczne dokonania należą im się ordery i pieniądze. Setki tysięcy dla jednego bohatera, dziesiątki tysięcy dla drugiego. Ciągłe poszerzającej się liczbie bohaterów należą się pieniądze! Totalitaryzmu w ten sposób się nie obala, a ci, którzy to mówią, są po prostu oszustami, którzy wprowadzili taki terror myślowy, tak zaklamują rzeczywistość i historię, że nikt im się nie może przeciwstawić! Tego dotyczą m.in. polemiki Walickiego z Michnikiem i z innymi.

Andrzej Walicki w swoich licznych studiach pokazuje, jak Polska doszła do takiego momentu, że można było bezkrwawo, za pomocą negocjacji i wyborów zmienić ustrój.

Prawdą jest, że zaczęto się od „projektu komunistycznego” i od terroru, ale historia poprowadziła w stronę zliberalizowania i zdemokratyzowania systemu. Do tego dochodzą ciągle ponawiane próby zerwania ciągłości państwowej między PRL a III RP. To kwestia ogromnie ważna. Jeśli komuś nie ujawniło się to jeszcze w pełni, to ujawni się w przyszłości, co Walicki podkreśla bardzo mocno!

Oddajmy jednak głos bohaterowi wieczoru. Mówi ANDRZEJ WALICKI (wypowiedź nieautoryzowana):

– Dopóki będziemy stawiać znak równości między PRL a komunizmem, dopóty nie zrozumiemy ani PRL,

ani komunizmu i będziemy po prostu fałszować naszą własną historię! Będziemy uprzedzeni do wszystkiego co lewicowe, będziemy uważali, że prywatyzacja sama w sobie i demontaż państwa socjalnego są czymś dobrym same w sobie, niezależnie od okoliczności i ceny, jaką się za to zapłaci.

Moja najnowsza książka zaczyna się od rozważań na temat losów komunistycznego eksperymentu w Rosji i to od rozważań, które już zostały właśnie w Rosji opublikowane w najpoważniejszym piśmie zajmującym się historią idei „Woprosy Filosofii”. Dlaczego zdecydowali się je tam, po pewnych oporach, wydrukować? Ano dlatego, że w nich nie ma ani krzty antyrosyjskości i twierdzeń, że system był „nieudany, bo rosyjski” co w Polsce jest opinią powszechną.

Jest tam natomiast nacisk na rzeczy, o których zdążyliśmy zapomnieć – mówię o strasliwym radykalizmie komunistycznego projektu, który nie ma nic wspólnego z wyspowym totalitaryzmem, z jakim mogliśmy spotkać się w Polsce. Taki totalitaryzm był wprowadzany tu i ówdzie, w bezpieczeństwie i wojsku, ale niekiedy i na uniwersytetach, np. na rusycystyce, którą miałem wówczas nieszczerście studiować. Ten totalitaryzm w Polsce nie był jednak całościowy – może dlatego, że całościowy być nie zdołał, a może nawet nie chciał być taki?

Marxizm a komunizm to nie to samo. Materializm historyczny jest poważną teorią wyjaśniającą wiele spraw i podlegającą weryfikacji. Powiada na przykład, że „był określa świadomość”. Komunizm natomiast mówi, że tak było w społeczeństwach klasowych, natomiast już dłużej tak nie będzie! W komunizmie nie był będzie określał świadomość, ale świadomość, zrozumienie rzeczywistości, będzie określało byt i w tym sensie będzie to „skok do królestwa wolności”. Losy ludzkości będą w rękach tych, którzy te losy zrozumieli, zaplanowali i którzy nie są skrupowani zależnością od tak zwanego „bytu społecznego”.

Socjaldemokracja zachodnia, której papieżem był Kautsky, zrezygnowała z komunizmu na rzecz marksizmu, bo doszła do wniosku, że komunizmu nie da się zrealizować, a bolszewicy poszli w odwrotnym kierunku. Zrezygnowali z marksizmu realizując ideę panowania nad własnym losem. Za wszelką cenę!

Przypominam w swojej pracy, że Lenin bez wątplenia wierzył w bezpośrednie przejście do komunizmu w ciągu dwóch-trzech lat, a mówił nawet, że „zajmie nam to kilka miesięcy”. Tymczasem już pierwszą porażką komunizmu w skali światowej był NEP, bo zmusił ideologów do strasliwego odwrotu. Potem Stalin ponownie próbował odgórnej rewolucji, ale zapominamy, że na Zachodzie, głównie za sprawą Trockiego, był Stalin uważany za pogromcę komunizmu! Przywrócił rodzinę, pieniądź, patriotyzm, skończył z eksperymentami edukacyjnymi, przywrócił działki przyzagrodowe, a w warunkach wojny, pagony wojskowe i religię. Stalin w swoim ostatnim słowie, jakim była broszura *Problemy ekonomiczne socjalizmu w ZSRR*, ostrzegał przed komunizmem. Jej istotna treść to stwierdzenie „ja nie mogę zrezygnować z tego, co nazywa się potocznie komunizmem, choć zniesienie gospodarki towarowo-pieniężnej jest celem marksizmu, bo na marksizmie opiera się moja legitymizacja”. Nie mogę jednak tego zrealizować, bo to zdestabilizuje państwo i będę to odwlekał *ad calendas grecas*. A najlepiej wytypić wszystkich, którzy fanatycznie w to wierzą. To

był „thermidor” jak powiedział Trocki – Stalin nie rezygnował ostatecznie z idei, ale jej nie realizował!

Pokazanie komunizmu w tym najbardziej utopijnym, bojowym wątku, że „rodzina będzie zniesiona”, że nawet nie będzie się tracić czasu na gotowanie posiłków, a za to ludzie przestaną pić wódkę i zaczną studiować książki, ma w mojej pracy służyć temu, byśmy sobie zdali sprawę, że przymierzanie projektu komunistycznego do PRL jest po prostu śmieszne! W PRL od samego początku mieliśmy do czynienia z hamowaniem zbyt radykalnych zmian, z cofaniem się przed oporami społecznymi. My, Polacy, uważamy się za ekspertów od komunizmu, a bardzo mało o nim wiemy. Wcale go nie przeżyliśmy i nie możemy się tym chwalić.

Tu powołuję się na mego przyjaciela, Zbigniewa Pełczyńskiego, który z perspektywy Oksfordu zauważa, że po 1956 roku zaczął się zdecydowany odwrót od resztek komunizmu. Gomułka znał oczywiście „projekt komunistyczny”, ale nie chciał go realizować. Wolał zatrzymać się na tym, co nazywano „realnym socjalizmem” czyli na etapie upaństwowionego przemysłu, ale bez kolektywizacji gospodarki rolnej i drobnotowarowej. Gomułce wystarczało bierne postuszeństwo, wywodząca się z autorytaryzmu zdolność rządu, ale bez nieustannej mobilizacji ideologicznej. To było dużo, bo dawało wolność w sferze prywatnej oraz dużą dozę podmiotowości i wolności w znacznej części sfery publicznej; w nauce, kulturze itp. Ukraińcy i Litwini podziwiali PRL podkreślając wielkie zdolności przystosowawcze narodu polskiego. A wszystko to działo się nie dlatego, że ktoś organizował konspirację, czy coś sobie takiego planował...

Jeden z moich przyjaciół z Harvardu chciał, żeby pisano książki o tym, jak to co wypracowywano w PRL, pobudzało myślenie z krajach ZSRR. I nie chodziło o „samizdaty” czy książki o posmaku rewizjonistycznym! Ukraińcy np. ogromnie interesowali się naszymi, najbardziej antyukraińskimi książkami o walkach z UPA, bo tam znajdowali konkretne fakty, analizy i rozumienie spraw daleko głębsze niż było to możliwe na Ukrainie.

Różne poglądy istniały w PRL równolegle – jedni nawiązywali do tradycji poakowskiej, inni do lewicowej, ale zbiorowa mądrość w podstawowym zakresie jednak istniała i funkcjonowała współpraca bez słów. To bardzo ważne i bez zrozumienia tego, że nas nawet w kręgach władzy ożywiła idea narodowa, do niczego nie dojdziemy.

A nasza „idea narodowa” też nie jest prosta. Jeśli pisałem o polskim mesjanizmie, to dlatego, żeby te idee oswoić, ale też zeuropeizować, pokazać, że nasze myślenie narodowe to nie tylko dzieło zaścianka i że podobnie działo się i w innych krajach, że romantyzm i mesjanizm rozkwitał nawet we Francji czy Rosji. Nie nawidziłem jednak zrostu naszego sprymitywizowanego katolicyzmu z nacjonalizmem, co zresztą bardzo mocno krytykował choćby Mickiewicz. Pokazywał, że nawet głęboka mistyczna religijność nie powinna przybierać formy katolickiego nacjonalizmu, który jest żałośnie prymitywny i głęboko szkodliwy!

Potem próbowałem rozwijać teorie liberalnego nacjonalizmu, pluralistycznego, nie narzucającego swojej tożsamości innym, bo tożsamościowy nacjonalizm jest u nas możliwy albo jako nienawiść do obcych, tych z zewnątrz, albo nienawiść do obcych wewnątrz. Nienawidzimy Rosjan, szkodzimy im jak możemy, co przykre,



Fot. Andrzej Głuc

bo nie zasługują na to i są też ofiarami historii, ale nic im nie możemy zrobić. Na mniejszości też nie możemy się rzucać, boimy się, bo rzecz natychmiast staje się głośna, choćby w sprawie Cyganów. Zatem, jak mówił John Stuart Mill, „tyranizujemy sami siebie”, usiłujemy samym sobie, czyli tym nieco inaczej, nieco swobodniej myślącym Polakom narzucić ortodoksję, gorset, tyranizować ich, stawiać do kąta...

Z chwilą, gdy przybrało to tak obrzydliwą postać, zgłaszam *désintéressment* i z rozwijaniem idei narodowej poczekam.

W książce, tam gdzie mowa o odwróceniu od „komunizmu”, który Gomułka świadomie prezentował, piszę też o Kuroni, i umieszczam ich obok siebie.

Prawdziwa, czyli klerykalna prawica nie miała ani siły, ani odwagi czy pomysłu, by coś zakwestionować w ustroju. Idee reformy systemu wyszły od wewnątrz! Przecież Kuroń też jest z samego środka ideologii nazywanej komunistyczną i nieprzypadkowo Gomułka pytał go, czy jest aby pewien, że robotnicy chcą po godzinach uczyć się i przygotowywać do samorządu? To było nad wyraz trafne pytanie...

Tak więc impulsy przemian wychodziły z głębi samego ustroju – jeden w kierunku opozycji, a drugi w kierunku oficjalnej reformy.

Czy prawica chciała mnie przyhołubić? Owszem, to było w pewnym sensie racjonalne, bo w połowie lat 80. prawica była zupełnie inna! Reprezentował ją np. Mirosław Dziński i Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe.

Sympatyzowałem z tym, bo ta „prawica” (z udziałem Łagowskiego!) stawiała na rozwiązanie niekonfrontacyjne i konstruktywne, czyli nie walkę o władzę wszystkich

z wszystkimi, wydzieranie sobie pola, wzajemnie szkolenie i budowanie sztucznych podziałów. Towarzystwo Przemysłowe stawiało na tworzenie pola współpracy ze wszystkimi, którzy byli inspirowani przez myśl „Polityki” i reformy Rakowskiego, otwierało się na pozytywistyczną manierę pracy organicznej i chciało walczyć „o coś” a nie „przeciw komuś”.

Chciałem sobie wyobrazić, że w warunkach oświeconego autorytaryzmu powstają stowarzyszenia, kluby, ośrodki intelektualne, tworzą się kanały przesączania myśli od dołu do góry; że Dzielski zajmuje się cywilizowaniem przedsiębiorców, a Kuroń cywilizowaniem klasy robotniczej, że zamiast systemu karierowiczowskiego powstaje system socjaldemokratyczny obudowany szerokim ruchem społecznym. To byłoby wspaniałe rozwiązanie: cywilizacja najpierw, a potem rozwiązania polityczne. Prowadzenie walki politycznej, w której przeciwników i konkurentów nazywa się „nomenklaturszczykami”, „komunistami”, „agentami” i nie wiadomo kim, było i jest dla Polski samobójcze. Do tego dochodzi cyniczny pomysł, którego wyrazicielami od początku byli Kaczyńscy, że skoro koszt transformacji będą wielkie, to my powiedzmy, że są temu winni „komuniści”, bo to oni się uwłaszczają, i że gdyby inny był rodowód tych uwłaszczających się, to wszystko byłoby w porządku. A gdyby właściciele firm byli przez nas wybierani i odwoływani, to byłoby jeszcze lepiej!

Kiedy prawica zmieniła się całkowicie, gdy zapanał radykalizm, opierający się o idee lustracyjne i wręcz eksterminacyjne, antykulturalne, opublikowałem w „Polityce” artykuł *Dwie prawice* i stwierdziłem, że nie mogę z nową prawicą w żaden sposób się identyfikować.

W neoliberalizmie wszyscy powołują się na Friedricha von Hayeka, ale w klasycznym okresie kapitalizmu manchesterskiego nic nie było podobne do jego idei! Przede wszystkim rynek był pojmowany religijnie, jako rodzaj świeckiej opatrności, a siły rynkowe jako boskie dążenie do równowagi. W dodatku ci, którzy wykorzystali Hayeka, jego też potraktowali bezceremonialnie, bo odrzucili wszelkie wywody o spontaniczności, ewolucyjnym pochodzeniu rynku i zastąpili je konstruktywizmem, czyli rynkiem zarządzanym ogólnie. Sam Hayek zresztą nie bardzo dbał o swój honor myśliciela, bo popierał różnych Pinochetów i skompromitował się superutopijnymi pomysłami. Uważał np. że w parlamen-

cie powinni zasiadać tylko ludzie starsi, powyżej 50., którzy nie chcą niczego zmieniać, ponieważ porządek kapitalistyczny jest wieczny i nie potrzebuje żadnych zmian.

Być może ideałem byłby, jak to nazywał Kołakowski, „konserwatywno-liberalny socjalizm” z tym, że w moim przypadku byłby to „liberalno-socjalny konserwatyzm”. Konserwatyzm, bo zakłada ciągłość, trwałość i doświadczenie, ale z naciskiem na liberalizm i socjalność! Bo wstydę się, gdy słyszę, że 4,5 tysiąca rodzin będzie eksmitowanych w Warszawie i wstydę się, gdy czytam wywody naszego wielkiego teoretyka neoliberalizmu Balcerowicza, że własność jest najważniejsza. Balcerowicz identyfikuje się z libertarianami, którzy otwarcie głoszą, że jest zasadniczy konflikt między prawem własności a demokracją, bo demokracja podporządkowuje własność suwerenności ludu, a tymczasem własność winna być postawiona ponad wszystko i jest jedyną wartością, której pogwałcić nie można. To wyklucza demokrację! Także społeczeństwo obywatelskie jest wykluczone, ponieważ są tu grupy nacisku interesów partykularnych, a „my neoliberalowicie”, musimy walczyć o autokrację rynku!

Tak więc „balcerowiczowski neoliberalizm” nie jest liberalizmem! To nie jest otwartość ani kompromis między pracodawcami a pracownikami, to jest coś zupełnie innego i ten akcent pragnę położyć jako główny przy mojej rekonstrukcji idei liberalizmu!

I jeszcze jedno. Na pewno daje o sobie znać potrzeba napisania historii intelektualnej PRL, bo np. pojawiają się głosy, że w PRL nie było żadnej myśli politycznej, bo był tylko Mieroszewski i inni emigranci. W czasach grubo poprzedzających transformację rozmawiałem na Kanonii z prof. Stommą, który mnie do takiej pracy zachęcał, ale czasu mam już niewiele, a dzieło byłoby ogromne!

Tu, w Krakowie rzekomo konserwatywnym po raz pierwszy spotykam się z myślą, że warto dziś zapoznać się z tym, co pisali marksiści w PRL, bo jak w Warszawie wspomnę o czymś takim, szczególnie w środowisku „Gazety Wyborczej”, które ma do tego absolutnie nihilistyczny stosunek, to zaraz słyszę, że to nikogo nie interesuje i że tylko może przeszkadzać. Ich zdaniem nie warto tego przypominać, a wedle mnie przypominać warto i należy! (Oprac.F.R.)

Andrzej Stanisław Walicki, ur. 15 maja 1930 r. w Warszawie, historyk idei. Syn Michała Walickiego, historyka sztuki, profesora UW więzionego w czasach stalinowskich. A. Walicki jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Notre Dame (USA), członkiem PAN. Autor licznych prac z zakresu filozofii społeczno-politycznej tłumaczonych na wiele języków, badacz myśli rosyjskiej, polskiej filozofii narodowej, historii marksizmu i myśli liberalnej. Zaliczany jest, obok L. Kołakowskiego, B. Baczyńskiego czy J. Szackiego do warszawskiej szkoły historii idei.

Do jego najbardziej znanych prac należą: *Osobowość a historia (studia z dziejów literatury i myśli rosyjskiej)*, Warszawa 1959; *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, Warszawa 1964; *Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego*, Warszawa 1970; *Rosyjska filozofia i myśl społeczna. Od Oświecenia do marksizmu*, Warszawa 1973; *Polska, Rosja, marksizm. Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji*, Warszawa 1983; *Polskie zmagania z wolnością. Widziane z boku*, Kraków 2000, Biblioteka „Kuźnicy”; *Rosja, katolicyzm i sprawa polska*, Warszawa 2002.

HENRYK DOMAŃSKI

ZAUFAWANIE

W ciągu ostatnich dwudziestu lat zaufanie stało się stało się jednym z najczęściej analizowanych zjawisk w socjologii światowej. Teoretyczną przesłanką ważności tego problemu jest traktowanie zaufania jako jednego z podstawowych elementów podłoża stosunków i więzi zarówno na poziomie bezpośrednich relacji między ludźmi, jak i na poziomie makrostruktury społecznej. Z kolei argumentem empirycznym jest występowanie znaczących zależności między zaufaniem a różnymi aspektami świadomości i cechami położenia społecznego jednostek.

Jak dotąd, najobszerniejszego materiału empirycznego dotyczącego tego zjawiska dostarczyły wyniki międzynarodowego badania *World Values Survey* z lat 1990., które potwierdziły występowanie związku między poziomem zaufania a stopniem demokratyzacji, rozwoju ekonomicznego, zamożności, a przede wszystkim – rodzajem systemu społeczno-politycznego. Okazuje się, że najwyższymi wskaźnikami zaufania charakteryzują się społeczeństwa skandynawskie reprezentujące model państwa opiekuńczego, który najwidoczniej sprzyja rozwojowi tych postaw.

Moim celem jest uaktualnienie tych prawidłowości w oparciu o najnowsze dane Europejskiego Sondażu Społecznego. Czy w dalszym ciągu najwyższym poziomem zaufania charakteryzują się społeczeństwa skandynawskie? Jak kształtowały się te postawy w społeczeństwach postkomunistycznych?

Korzyści z większego zaufania

Najogólniej ujmując, zaufanie oznacza redukcję niepewności i ryzyka, stanowi więc ważne dobro, warunek funkcjonowania jednostek i systemów społecznych. Najbardziej wymierne korzyści zaufania występują **w sferze ekonomicznej**. Większe zaufanie pociąga za sobą mniejsze „koszty transakcyjne”, które ponosi się przy zawieraniu i realizacji kontraktów; polega to m.in. na skróceniu czasu negocjacji i łatwiejszym porozumiewaniu się stron – mniejsza jest również potrzeba monitoringu na etapie realizacji umowy. Zaufanie to również większe prawdopodobieństwo dotrzymywania zobowiązań – czynnik, który stymuluje do wzrostu przedsiębiorczości, wyzwala inicjatywę i pobudza aktywność

jednostek. Prawidłowości te znajdują odzwierciedlenie w wynikach analiz międzykrajowych, w których wskaźniki zaufania porównuje się z wskaźnikami zamożności i efektywności ekonomicznej. W analizach tych stwierdzono występowanie stosunkowo wysokich zależności między tymi zmiennymi (Uslaner i Dekker 2001).

Polityczne korzyści większego zaufania polegają na wzmocnieniu stabilności systemu społecznego i legitymizacji klasy rządzącej. Wiele wskazuje, że jest to obustronna zależność; o jej występowaniu zdaje się świadczyć fakt, że zaufanie rozpatrywane na poziomie relacji między ludźmi przekłada się na zaufanie do polityków i instytucji państwowych. I odwrotnie – zaufanie przesuwają się z góry do dołu. Okazuje się, że ludzie ufają sobie w tym stopniu, w jakim mają zaufanie do władzy. Jak długo politycy są szanowani i traktowani jako osoby uczciwe, a społeczeństwo ma pozytywny stosunek do członków klasy rządzącej, tym częściej ludzie skłaniają się do przestrzegania zasad lojalności, uczciwości i reguł gry na poziomie codziennych interakcji – w sklepie, banku, w interesach i kręgu bliskich znajomych.

Teoretycy demokracji zgodnie wskazują, że zaufanie sprzyja demokratyzacji systemu politycznego, m.in. dzięki większemu uczestniczeniu społeczeństwa w działalności różnych organizacji i większej partycypacji wyborczej. Ojcostwo tezy o pozytywnym związku zaufania z demokracją należy przypisać Alexisowi de Tocqueville – pochodzi ona z jego książki *O demokracji w Ameryce*. Powierdziły ją już pierwsze badania nad funkcjonowaniem społeczności lokalnych (Almond i Verba 1963).

Kolejnym argumentem są wyniki międzykrajowych analiz porównawczych, wskazujące na występowanie korelacji między indeksami demokratyzacji i poziomem zaufania dla poszczególnych krajów, mierzonym przez opinie respondentów (Inglehart 1997). Oczywiście zaufanie do władzy wiele ułatwia. W społeczeństwach charakteryzujących się wysokim zaufaniem ludzie łatwiej podporządkowują się zarządzaniem administracji państwowej, jak również chętniej przestrzegają prawa i norm obyczajowych kształtujących zachowania jednostek. Mechanizmy te regulują funkcjonowanie wszyst-

kich zbiorowości. Łatwiej jest rządzić w atmosferze wiarygodności, gdy widzi się wzajemne korzyści takiego układu.

Jeżeli chodzi o korzyści płynące z zaufania na poziomie **codziennych kontaktów**, to jego pozytywną konsekwencją jest poczucie pewności płynące z funkcjonowania w stabilnych strukturach społecznych. Można powiedzieć, że zaufanie daje poczucie komfortu, co znajduje odzwierciedlenie w wynikach badań wskazujących na występowanie silnej zależności między poziomem zaufania a satysfakcją z życia i poczuciem bycia szczęśliwym. To na wspólnotowości i bliskości innych budowana jest wiara, że ci inni nas nie zawiodą.

Zróznicowanie poziomu zaufania między krajami

Opierając się na tych ustaleniach można wnioskować, że zaufanie jest ważnym dobrem – zarówno dla społeczeństw, jak i w życiu jednostek – porównywalnym (pod względem zapotrzebowania) z dochodami, wykształceniem czy prestiżem społecznym. Jednak prawidłowością jest, że dobra cenione i ważne nie są powszechnie dostępne, czego odzwierciedleniem są nierówności zaufania między krajami.

Ponieważ zaufanie jest zjawiskiem, obejmującym różne aspekty świadomości, do jego pomiaru należy zastosować kilka wskaźników. We wszystkich edycjach ESS respondenci odpowiadali na trzy pytania: (1) „czy ogólnie biorąc uważa P., że większości ludzi można ufać, czy też w kontaktach z ludźmi ostrożności nigdy za wiele?”, (2) „czy gdyby nadarzyła się okazja, większość ludzi starałaby się P. wykorzystać, czy też postępować uczciwie?”, (3) „czy ludzie przede wszystkim starają się służyć pomocą innym, czy też przede wszystkim dbają o własny interes?”. Swoje opinie w tych kwestiach wyrażali posługując się skalami od 0 do 10. We wszystkich krajach odpowiedzi na te pytania okazały się spójnym syndromem elementów jednej postawy określającej stopień zaufania do innych. Stąd też można je zdefiniować przez zsumowanie wartości tych ocen. Tak więc, respondenci wskazujący na występowanie najwyższego zaufania uzyskali na tej sumarycznej skali wartość 30, a najniższego zaufania – wartość 0. Byli to ci, którzy przypisywali innym ludziom brak uczciwości, egoizm, osiągnięcie korzyści czyimś kosztem i którzy podkreślali potrzebę zachowania ostrożności w codziennych kontaktach.

Zacznijmy od zróznicowania między krajami. Informują o tym średnie wielkości sumarycznego wskaźnika zaufania dla 2002, 2006, 2010 i 2012 roku. Zgodnie z oczekiwaniami, najwyższe zaufanie występowało w krajach skandynawskich. Brak danych spoza Europy uniemożliwia stwierdzenie, czy jest to prawidłowość o wymiarze ogólnosiwiatowym, natomiast można z dużą pewnością twierdzić, że na kontynencie europejskim liderem była Dania – mieszkańcy tego kraju wyrażali w ciągu tych lat najsilniejsze przekonanie, że ludziom można zaufać. Na drugim miejscu sytuuje się Norwegia – w 2012 roku również Islandia¹ – a na kolejnych pozycjach były Finlandia i Szwecja. Jeżeli chodzi o inne kraje lokujące się w międzynarodowym rankingu zaufania w ścisłej czwórce, to należały do nich również

Holandia, Szwajcaria – symbol pluralizmu, demokracji i wolności – i Irlandia, której wysoką pozycję na skali zaufania można łączyć z pozytywnymi skutkami szybkiego rozwoju ekonomicznego i wzrostu stopy życiowej.

W których społeczeństwach postawy te występowały najstabilniej? Jeżeli rozwojowi zaufania stosunkowo najbardziej sprzyja skandynawski model państwa opiekuńczego, to należałoby stwierdzić, że największe bariery systemowe występują w krajach postkomunistycznych i śródziemnomorskich. W 2002 roku społeczeństwem o najniższym poziomie zaufania była Grecja, a w Portugalii systematycznie zmniejszało się ono 13,3 do 12,2. Zastanawiająca stabilność tej prawidłowości sugeruje występowanie w tych krajach jakiegoś trwałego podłoża (czynnik geograficzny, wartości, normy, struktura społeczna?) sprzyjającego przekonaniu, że ludzie kierują się głównie własnym interesem, i że w stosunkach z innymi należy zachować ostrożność. Niskim poziomem zaufania charakteryzowali się również mieszkańcy Włoch (w 2002 r. piąta pozycja od dołu) oraz Cypru. Występowanie koncentracji niskiego zaufania w społeczeństwach śródziemnomorskich nasuwa hipotezę o kontekstowym wpływie środowiska geograficznego, być może związanego z tradycyjną strukturą społeczną, charakterystyczną dla tego regionu. Wyjaśnieniem jest również niższy stopień rozwoju ekonomicznego tych krajów. Za interpretacją tą przemawia wyższy poziom zaufania w Hiszpanii i Francji, zaliczanych do regionu śródziemnomorskiego, a reprezentujących wyraźnie wyższy poziom rozwoju ekonomicznego i stopy życiowej.

Poziom rozwoju ekonomicznego nie różnicował wielkości zaufania wśród społeczeństw postkomunistycznych. Prześledzenie wielkości tego wskaźnika wskazuje na stosunkowo największe deficyty zaufania w Bułgarii, Kosowie, Rumunii, Rosji i w Polsce. W 2002 r. Polska sytuowała się w ramach byłej wspólnoty komunistycznej na ostatniej pozycji, a na przedostatniej – w ogólnej hierarchii – przed Grecją. Okazało się, że w 2006 r. jeszcze niższe zaufanie występowało w Bułgarii i Rumunii – na podobnym poziomie sytuowała się Rosja, a w 2012 niżej były Słowacja i Kosowo. Czy hierarchia ta kształtowała się tak samo w 2002 roku – tego nie wiemy. Bułgaria, Kosowo, Rumunia i Rosja nie uczestniczyły we wcześniejszych edycjach ESS, jednak międzynarodowa hierarchia zaufania jest raczej stabilna, większych zmian w czasie nie było, tak więc prawdopodobnie brzmi teza, że geograficznym ośrodkiem niskiego zaufania są (poza Polską) Rosja i kraje bałkańskie, położone na pograniczu Europy i Azji. Efekt „pogranicza” wydaje się być tu związany z efektem „peryferii” – znacznego oddalenia od centrum – czego przykładem jest Rosja. Natomiast kolejnym dowodem na rzecz oddziaływania kontekstu regionalnego w powiązaniu zapewne z podobną mentalnością i czynnikiem tożsamości etnicznej (wspólnota krajów nordyckich?) jest stosunkowo wysokie zaufanie w Estonii, które sytuują ją na poziomie krajów zachodnich.

W środkowych partiach europejskiej hierarchii zaufania sytuują się Austria, Belgia, Niemcy i Wielka Brytania – społeczeństwa, które nie wyróżniają się szczególną bliskością, poza zamożnością i wysokim poziomem demokratyzacji. W społeczeństwie brytyjskim „średnia” zaufania kształtowała się (w 2012 r.) na

¹ Islandia uczestniczyła tylko w ESS 2004 i 2012, sytuując się jednak w obu przypadkach na skali zaufania zaraz za Danią i na poziomie Norwegii.

poziomie 16,9, w Niemczech 16,1, ale w Danii 20,5. Nie najwyższa średnia zaufania w Wielkiej Brytanii wskazuje, że nawet długotrwałe tradycje brytyjskiej demokracji, wysoka stopa życiowa i pochodne tych zjawisk nie stanowią wystarczająco silnego podłoża tych postaw. Konieczne jest posiadanie jeszcze innych cech, np. „przyjaznego” systemu społeczno-ekonomicznego, jakim jest państwo opiekuńcze w krajach skandynawskich, które kreuje atmosferę życzliwości przez osłabienie (charakterystycznych dla gospodarki wolnorynkowej) elementów ryzyka.

Refleksja na temat możliwych przyczyn różnego zaufania

To, że najlepiej wypadają społeczeństwa skandynawskie wynika nie tylko z funkcjonowania ich w oparciu o model przyjaznego państwa opiekuńczego, ale i z posiadania przez nie również innych cech sprzyjających rozwojowi zaufania, do których zaliczane są m.in. niskie nierówności dochodów, przekonanie o równości szans, aktywność obywatelska przejawiająca się w uczestniczeniu w różnych organizacjach społecznych, najniższy poziom korupcji i wysoka legitymizacja polityków i rządu.

Zacznijmy od nierówności społecznych. Należy przypomnieć, że kraje skandynawskie wyróżniają się najniższymi wartościami indeksu Giniego (na poziomie 0,25-0,26, podczas gdy np. w Grecji wynosi on 0,34, w Hiszpanii 0,35, a w Wielkiej Brytanii 0,36), a społeczeństwo szwedzkie jest jednym z niewielu, w których odnotowano zmniejszenie się nierówności pochodzeniowych w dostępie do wykształcenia (Erikson i Jonsson 1995).² Większa otwartość i wyższe nierówności to mniejsze rozwarstwienie, z którym związane są słabsze dystanse i bariery społeczne, pociągające za sobą lepszą komunikację między członkami różnych klas, warstw i kategorii zawodowych. Brak tego rodzaju kontaktów może nie tylko utrudniać przełamywanie wzajemnych uprzedzeń, stereotypów i barier niewiedzy kreujących nieufność, ale może również ograniczać bezpośrednie relacje, zastępując je bardziej sformalizowanymi („urzędowymi”) stosunkami, wzmacniającymi poczucie obcości.

Potwierdzeniem ważności tego czynnika są wyniki długookresowych analiz dla Stanów Zjednoczonych, w których stwierdzono, że wzrost nierówności dochodów pociągał za sobą wzrost pesymizmu i osłabienie zaufania do innych, deklarowanego przez respondentów w badaniach. W świetle tych danych (obejmujących lata 1960-1998) współczynnik korelacji między wskaźnikami tak definiowanego zaufania i wielkości indeksu Giniego wyniósł $-0,74$ (był oczywiście ujemny). Świadectwem ogólniejszego zakresu tej prawidłowości są wyniki analiz porównawczych – wartość korelacji między zaufaniem a indeksem Giniego dla 38 społeczeństw wyniosła $-0,68$, przy czym zależność ta utrzymywała się przy kontroli kilku innych cech, takich jak stabilność polityczna, poziom GDP, stopień modernizacji i zróżnicowanie etniczne (Uslaner 2001).

² Indeks Giniego jest miernikiem koncentracji dochodów – jego wartości zawierają się w przedziale od 0, czyli hipotetycznego stanu uzyskiwania przez wszystkich jednakowych dochodów, do 1, czyli maksymalnej nierówności, gdzie jedna osoba ma wszystko, a pozostali nic.

Spocześnia skandynawskie charakteryzują się również wyjątkowo niskim poziomem korupcji, która generalnie rzecz biorąc obniża zaufanie przez zwiększanie nieprzewidywalności transakcji ekonomicznych i podważanie wiary w wiarygodność i uczciwość partnerów. W dziedzinie polityki wysoka korupcja osłabia zaufanie do władzy, a na poziomie codziennych interakcji wnosi element ryzyka. Jak wynika z międzynarodowego rankingu prowadzonego na podstawie *Corruption Perception Index*, najmniej skorumpowanymi społeczeństwami są Finlandia i Dania, a Norwegia i Szwecja utrzymują się w ścisłej czołówce (<http://www.transparency.org>).

Następnym czynnikiem, który znajduje pewne odzwierciedlenie w międzynarodowej hierarchii zaufania są różnice między krajami pod względem zakresu uczestnictwa w różnych organizacjach społecznych. Dowodów na rzecz występowania tej zależności dostarczyły wyniki badań nad kształtowaniem się demokracji lokalnej. Prowadzono je w tak różnych krajach jak Stany Zjednoczone i Włochy, analizując stopień aktywności w różnych formach inicjatywy oddolnej – od kółek zainteresowań i wspólnot sąsiedzkich do organizacji wyznaniowych (Putnam 2000). Ustalenia te wskazują na występowanie zależności między zaufaniem a aktywnością obywatelską, co wyjaśniano wskazując, że uczestniczenie w niej powoduje uaktywnienie normy odwzajemniania uprzejmości i usług.

Najlepiej byłoby mieć dużo organizacji nazywanych „pomostowymi” (*bridging*), które zrzeszają przedstawicieli różnych środowisk. Zaliczane są do nich m.in. kluby młodzieżowe, ruchy obrońców praw człowieka, religijny ekumenizm i wszystkie inne organizacje, które odwołują się do uniwersalistycznych wartości – z tego też względu aktywność w organizacjach „pomostowych” sprzyja zacieraniu dystansów społecznych. Czynnikiem działającym w przeciwnym kierunku są organizacje „spajające” (*bonding*), które dążą do wzmacniania wewnętrznej zwartości grupy społecznej, lub też zwartość jest skutkiem tych działań przez zachowanie ekskluzywności i ograniczanie członkostwa ludziom „z zewnątrz”. Przykładem są fundamentalistyczne związki wyznaniowe i elitarne kluby arystokracji i wielkiego biznesu.

O ile strukturalnym podłożem „otwartych” więzi pomostowych jest przenikanie się różnych środowisk, to podłożem więzi „zamkniętych” są: rodzina, krewni i tradycyjne wspólnoty sąsiedzkie. Rzecz jasna, organizacje o nastawieniu uniwersalistycznym kreują stunki zaufania o większym zasięgu niż organizacje zamykające się w sobie. Nie wiadomo dokładnie jak kształtowały się proporcje tych więzi między krajami, jednak można założyć, że wysoko rozwinięte demokracje zachodnie są silnym ośrodkiem więzi pomostowych, kreujących „inkluzywne” zaufanie, podczas gdy w społeczeństwach postkomunistycznych i śródziemnomorskich dominują więzi „ekskluzywne”, znajdujące oparcie w tradycyjnych strukturach społecznych. W krajach tych mogą występować nawet bardzo silne pokłady zaufania, ale jest ono „niszowe”, ograniczone do określonych środowisk, i nie przekłada się na zaufanie w skali globalnej.

Jeszcze jednym czynnikiem kształtującym różnice zaufania między krajami może być niskie za-

ufanie do władzy. Świadectwem znaczącej roli tego zjawiska są wyniki analiz dla Stanów Zjednoczonych, przeprowadzonych na danych Generalnego Sondażu Społecznego z lat 1972-1994. Analizy te pokazały występowanie korelacji między poziomem zaufania a poczynaniami rządu. Działania, pozytywnie odbierane przez społeczeństwo amerykańskie pociągały za sobą wzrost zaufania dla rządu, podczas gdy posunięcia odbierane negatywnie związane były ze spadkiem zaufania.

Dowodem na rzecz międzynarodowego zasięgu tej prawidłowości są analizy opierające się na danych Europejskiego Sondażu Społecznego z 2002 r., w których stwierdzono, że w społeczeństwach charakteryzujących się wyższymi wskaźnikami zaufania na poziomie jednostek występowało silniejsze poparcie dla władzy. Zróżnicowanie to kształtowało się w postaci hierarchii, w której najwyższym stopniem legitymizacji systemu politycznego charakteryzowały się kraje skandynawskie, a stosunkowo najniższym – społeczeństwa postkomunistyczne. W 2002 r. najgorsze oceny systemu politycznego były w Polsce, natomiast najlepsze w Danii i Szwecji; pozytywna ocena systemu politycznego i klasy rządzącej przekładała się więc na wysokie zaufanie, a negatywna ocena na niskie. Zaufanie interpersonalne stanowi punkt odniesienia dla instytucjonalnego zaufania w społeczeństwach postkomunistycznych i śródziemnomorskich – inaczej mówiąc generowanie zaufania postępuje w tych krajach jakby od dołu. Odwrotnie jest w społeczeństwach skandynawskich, ale również w Szwajcarii Holandii i Belgii, gdzie zaufanie do władzy poprzedza zaufanie występujące na poziomie jednostek. Natomiast obustronna zależność tych postaw występowała w pozostałych krajach europejskich, najsilniej w Anglii, Francji i Niemczech. Wzmacniały się tam one nawzajem (Domański i Pokropek 2012), a więc – w generatywnym sensie – żadna z nich nie była ważniejsza od drugiej.

HENRYK DOMAŃSKI

Almond G. i S.Verba. 1963. *The Civic Culture: Political Attitudes and Democracy in Five Nations*. Princeton: Princeton University Press.

Delhey J. i K. Newton. 2005. *Predicting cross-national levels of social trust*. European Sociological Review 21: 311-327.

Domański H. i A.Pokropek. 2012. *Zaufanie interpersonalne i zaufanie do władzy które z nich jest ważniejsze?* Studia Psychologiczne, Tom 50, zeszyt 2: 61-76.

Inglehart R. 1997. *Modernization and Postmodernization. Cultural, Economic and Political Change in 43 Societies*. Princeton: Princeton University Press.

Putnam R. 2000. *Bowling Alone. The Collapse and Revival of American Community*. New York: Simon and Schuster.

Uslaner M.E. 2001. *Volunteering and social capital*. W: Dekker P. i M.E. Uslaner (red.), *Social Capital and Participation in Everyday Life*. London: Routledge, ss. 104-117.

Uslaner M.E. i P. Dekker. 2001. *The 'social' in social capital*. W: Dekker P. i M.E. Uslaner (red.), *Social Capital and Participation in Everyday Life*. London: Routledge, ss. 176-187.

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Panu
MARIANOWI TURSKIEMU

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

* Jego pięknej drogi życiowej,
zawsze szlachetnych na niej
wyborów, myślenia o wspólnocie
z innymi i odwagi w sytuacjach
największego zagrożenia;

* Jego dorobku w budowaniu
świadomości historycznej
Polaków i Żydów, rozbudzaniu
wiedzy i twórczości naukowej
w dziedzinie historii;

* Jego wierności wartościom
lewicy i przyjaźniom,
które stworzyły podstawy
programowe tygodnika
„Polityka” – przewodnika
Polaków w drodze do Europy,
nowoczesności i pluralizmu.

Kraków, 10 lutego 2014 r.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

NIEWYOBRAŻALNE DOŚWIADCZENIE*

Dzieło to jest czymś absolutnie wyjątkowym, niespotykanym w świecie książek. Jego zawartość stanowią więźniarskie grypsy. Od 6 września 1942 do 18 stycznia 1945 roku wysłano ich 214, czyli średnio co czwarty dzień ekspediowano z wyjątkowo skrupulatnie strzeżonego obozu do odbiorców „na wolności” informacje, oceny, wskazania dotyczące wydarzeń w tym masowym przybytku niewoli oraz życia osadzonych w nim ofiar. Nie są to wszystkie grypsy wysłane z obozu. Część z nich została zniszczona, część zaginęła w sposób nie dający się już dziś odtworzyć. Jest to oczywiście strata niepowetowana, jednakże zachowany zasób jest dostatecznie obfity, aby uznać go za reprezentatywny materiał badawczy.

Samo pisanie grypsów, dajmy na to dla celów kronikarskich, byłoby przedsięwzięciem śmiertelnie niebezpiecznym, wymagającym niezwyklej odwagi, samozaparcia i umiejętności konspiracyjnych, a przecież chodziło tu o systematyczne, regularne sporządzanie, a następnie przemyt dokumentów dosłownie na wagę życia. Jako były długoletni więzień obozu koncentracyjnego (Mauthausen-Gusen, nr 47712), doskonale znający warunki zakwaterowania więźniów w typowym baraku KL-owskim, mogę sobie wyobrazić, na jakie trudności natrafiali autorzy grypsów w znalezieniu pomieszczeń umożliwiających sporządzanie raportów. Żyło się tu wszak w strasznym zagęszczeniu i „wygospodarowanie” intymnego kącika umożliwiającego przygotowanie przesyłki wydawało się niemożliwe.

Łamigłówką wymagającą stałego rozwiązywania stanowiło pozyskanie papieru do tajnej korespondencji. Był to papier zeszytowy, maszynowy, przebitkowy, czasem bibułka do papierosów, papier pergaminowy lub kalka techniczna – wszystko to w zależności do doraźnych możliwości nabycia. Grypsy pisane były ołówkiem zwykłym lub kopio-

wym, większość atramentem, bardzo drobnym piśmem, niektóre wręcz maczkiem. Na temat techniki szyfrowania grypsów nie chcę się wypowiadać, gdyż po prostu na tym się nie znam, zwracam jedynie uwagę, że była to rzecz jasna dodatkowa trudność w przygotowaniu korespondencji. Treść grypsów i ich obszerność były zróżnicowane; od krótkich, czasami jednozdaniowych, po wielostronicowe teksty. Ich skomponowanie wymagało stałej współpracy autorów, tj. Józefa Cyrankiewicza i Stanisława. Kłodzińskiego ze współwięźniami, którzy dostarczali informacje na temat obozu, wykradzione dokumenty itp., a następnie organizowali procedurę odsyłania korespondencji z obozu.

Procedura ta sprowadzała się nieraz do prawdziwego sztukiemistrzostwa: grypsy umieszczano we wkładkach, w obcasach butów, podwójnie zszytych rękawiczkach, w wydrążonych w środku świecach, ołówkach automatycznych, wiecznych piórach, futerałach na okulary, w tubkach i słoikach kremów, w pomadkach do ust, w cukierkach itp.

Prawdziwym majstersztykiem organizacji podziemnej były drogi przemytu tajnej korespondencji z KL Auschwitz do Krakowa. Tę znakomicie funkcjonującą sieć kontaktów zbudowała przede wszystkim PPS, z której inicjatywy utworzono w 1943 roku Pomoc Więźniom Obozów Koncentracyjnych (PWOK), utrzymującą stały kontakt z Okręgową Delegaturą Rządu oraz w kierownictwem PPS. Osobą szczególnie zasłużoną w działalności PWOK była Teresa Lasocka, którą konspiratorzy darzyli ogromnym szacunkiem i uwielbieniem.

Podsumowując swoje rozważania we Wstępie do *Grypsów...* Irena Paczyńska następująco określa ich znaczenie: 1. Stanowią one niezwyklej wagi materiał historyczny o KL Auschwitz-Birkenau jako największej chyba w dziejach ludzko-

ści mordowni ludobójczej. Jest to materiał, rzecz można, z pierwszej ręki, autentyczny aż do bólu; 2. Grypsy pozwalały utrzymywać stałą łączność ze światem zewnętrznym, dzięki nim pozyskiwano ratujące życie lekarstwa i szczepionki, przygotowywano ucieczki z obozu, przekazywano informacje o niebezpieczeństwach grożących ludziom i organizacjom podziemia; 3. Stwarzając system stałej komunikacji między obozem a „wolnością” grypsy nie pozwalały nie tylko polskiej, lecz także światowej demokratycznej opinii publicznej zapomnieć o celach straszliwej, ciągle przedłużającej się wojny, tj. o zniszczeniu totalitarnego potwora, którego synonimem stała się złowroga nazwa Auschwitz; 4. Grypsy dają symboliczne świadectwo polskiemu patriotycznemu heroizmowi, dodam od siebie – w nieporównanie większym i autentycznym wymiarze niż Katyń i Powstanie Warszawskie, a zarazem ze względu na odrażającą wymowę nazwy obozu zniszczenia skłaniają do tego, by pamiętać i czcić, ale notorycznie nie celebrować.

Przypomnijmy na koniec, że *Grypsy...* ukazują się w dwóch językach: polskim i niemieckim – chętnie upatrywałbym w tym fakcie obustronną przyjazną chęć podumania nad wspólną przeszłością, która chwala Bogu już nigdy nie wróci, że obu naszym narodom uda się odsunąć od siebie niemądre przysłowie brzmiące niczym fatalistyczna klątwa: *Póki świat światem/ Nie będzie Niemiec/ Polakowi bratem.*

* * *

W drugiej części mojego eseju chciałbym podzielić się pewnymi uwagami, jakie nasunęły mi się w trakcie lektury *Grypsów...*, nie tyle jako socjologowi, a raczej jako byłemu więźniowi niemieckiego obozu koncentracyjnego (22 październik 1941 – 5 maj 1945). Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż epopeja związana z grypsami mogła wydarzyć się w Auschwitz i tylko w Auschwitz-Birkeanu. W żadnym innym z licznych KL-ów hitlerowskich coś takiego nie mogłaby zaistnieć. Chyba we wszystkich obozach udało się konspiracjom więźniarskim, m.in. także w „moim” Mauthausen-Gusen, nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym, ale nigdzie tak bliskiego, trwałego i rozległego jak w Auschwitz. Tylko tu bowiem wpływu środowiska polskiego na życie samorządu obozu oraz niektórych SS-mańskich komórek administracyjnych (np. Politische Abteilung) były na tyle rozbudowane, aby umożliwić polskim konspiratorom wgląd w funkcjonowanie obozu jako swoistego systemu społecznego. Nawiązanie ścisłej współpracy ze światem zewnętrznym również było łatwiejsze niż w innych KL-ach, gdyż był on jednorodnie polski zarówno gdy idzie o ludność osiadłą, jak i ewentualnie o przybyszów.

Ta okoliczność sprawiła, że liczba udanych ucieczek z Auschwitz była znacznie wyższa aniżeli z innych obozów na terenie Rzeszy. Tylko tu mógł się zdarzyć wypadek, że więzień Jan Wężyk uciekł z lagru, po czym dowiedziawszy się, że za jego ucieczkę ma być rozstrzelanych kilku współwięźniów, dobrowolnie wrócił do swoich oprawców, którzy go – zgodnie ze zwyczajem – nie zabili, lecz skierowali do karnej kompanii. Nagminność ucieczek z Auschwitz stanowiła osobliwość tego obozu w porównaniu z innymi, w których zdarzały się

one, jak m.in. w Mauthausen-Gusen, zupełnie wyjątkowo i w dodatku kończyły się z reguły schwyтaniem uciekiniera i jego egzekucją. Niektóre ucieczki, jak np. Lucjana Motyki w lipcu 1944 roku, miały przebieg tak dramatyczny, obfitujący w okoliczności tak nieprzewidywalne, że aż prosi się, aby im nadać kształt sensacyjnej noweli filmowej.

Osobliwością lagru Auschwitz było także rozbudowanie sieci szpicli i donosicieli znanych szerokiemu ogółowi więźniów, a mimo to ze śmiertelną skutecznością stosujących prowokacje polityczne wobec prominentnych obozowiczów. Jedną z namierzanych przez nich ofiar był Józef Cyrankiewicz, któremu udało się uniknąć zastawionej pułapki. O likwidacji, prawdopodobnie tylko częściowej, tej groźnej zbrodniczej organizacji donosi Cyrankiewicz w obszernym grypsie nr 79. W innych obozach instytucją szpicli rzecz jasna również się postugiwano, ale nigdzie w takim jak w Auschwitz wymiarze prawdziwej plagi.

Swoją ponurą pozycję sztandarowego obiektu masowego wyniszczenia ludzi zawdzięczał Auschwitz prowadzonym w specjalnym bloku nr 10 eksperymentom medycznym. W grypsach poświęcono im stosunkowo mało wagi, o potworze Józefie Menele wzmiankuje się dwukrotnie w krótkich notatkach.

Podobnie rzecz się ma z jeńcami radzieckimi. O wyjątkowo okrutnym potraktowaniu transportu 10 800 jeńców wojennych osadzonych we wrześniu 1941 roku, z których w marcu 1942 roku pozostało po półrocznej kaźni przy życiu około 500, informują Cyrankiewicz i Kłodziński grypssem nieznanego autora. Kierownikiem obozu radzieckich jeńców wojennych był SS-Obersturmführer Fritz Seidler, „mój” późniejszy komendant KL Gusen.

Konspiracja obozowa przywiązywała ogromną wagę do tego, aby demokratyczna opinia publiczna świata była systematycznie informowana o losie więźniów obozów koncentracyjnych i aby ostrzegła ona Niemców, iż za ewentualną eskalację zbrodni w obliczu zbliżającej się klęski wojennej będą surowo ukarani. W związku z tym autorzy grypsów, stanowiący nieodrodną część owej konspiracji, składali swoim adresatom propozycje odnośnie do podjęcia działań na arenie międzynarodowej w obronie więźniów. We wrześniu 1944 roku pisali: *Jako bezpośredni świadkowie hitlerowskich zbrodni stwierdzamy z całym naciskiem, że to wszystko, co świat wie, jest zarówno jeśli idzie o cyfry, jak i metody, tylko częścią tego bezmiaru okropieństw, które są hitlerowską rzeczywistością.* Jedną z elementów tej akcji miało być ogłoszenie przez aliantów w środkach masowego przekazu wolnego świata kilkudziesięciu opisów zbrodniczej działalności głównych SS-mańskich masowych morderców. Ich wykaz przesłali w grypsie nr 165 z 16 września 1944 roku.

W trosce o to, aby świat prawdziwie postrzegał i oceniał niewyobrażalne potworności hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, w dodatku tak jak Auschwitz niszczycielsko sprofilowanego, autorzy grypsów, nijażko antycypując doświadczenia Jana Karskiego (jego opowieściom o holocaustie nie wierzyli syjonistyczni mędrzy), już w 1943 roku przewidzieli pojawienie się tzw. kłamstwa oświęcimskiego. Otóż w kwietniu 1943 r. w grypsie do Teresy Lasockiej pisze Stanisław

Kłodziński: *Nie dajcie się oszukiwać Katyniem. U nas jest gorszy Katyń. Od początku męskiego lagru mamy tu 78 000 (dokładnie) trupów zarejestrowanych, tj. heftlingów z numerami. W tę liczbę wchodzi już gazowania, rozstrzeliwania, szpryce [zastrzyk uśmiercający przez wstrzyknięcie do serca fenolu], śmierć naturalna w KB [Krankenbau] i śmiertelne pobicia. Nie liczy się tu transportów żydowskich czy polskich, które bez rejestracji korzystały z wygód naszych gazowni i krematoriów. I na zakończenie grypsu: My tutaj liczymy na Waszą zemstę, nie dajcie się tumanić Katyniem.*

Ponownie wraca do sprawy Katynia w grudniu 1943 roku Józef Cyrankiewicz, który analizuje przyczynę odwilży w obozie po odwołaniu Hössa i zastąpieniu go SS-Obersturmbannführerem Arthurem Liebehenschelem. Faktycznie rola tego dygnitarza SS, który w krótkim czasie zliberalizował system funkcjonowania obozu i nawiązał z Cyrankiewiczem niemalże przyjacielskie stosunki, nie została do dziś wyjaśniona; faktem jest, że Höss nie utracił sympatii i poparcia Himmlera, gdyż został pełnomocnikiem w sprawie przyszłości Auschwitz w przededniu wyzwolenia go przed Armię Czerwoną. Miał mianowicie spopielić cały obszar KL Auschwitz-Birkenau i nie pozostawić najmniejszego śladu zbrodni, jakie tu popełniono.

Otóż Józef Cyrankiewicz, analizując przyczyny niespodziewanej liberalizacji stosunków obozowych po katastrofie stalingradzkiej doszedł do wniosku, że berlińska centrala SS podjęła próbę (tylko próbę) zreformowania struktury Auschwitz z myślą o tym, by zamiast Auschwitz symbolem ZŁA uczynić Katyń.

Berlin – powiada Cyrankiewicz – zaaranżował komedię śledztwa, aby na kilku niższych funkcjonariuszy [...] przerzucić odpowiedzialność za to, że przekroczyli nakazane z góry normy mordowania. Pytanie wcale nie brzmi: „Dlaczegoście mordowali?”, tylko „dlaczego mordowaliście tak niezgrabnie i z takim hałasem, że opinia, na której nam teraz zaczyna zależeć, zna wszystkie szczegóły naszej mordowni i ile razy chcemy mówić o Katyniu to nam odbija Oświęcimiem”. Czyli że nadmierne nagłośnienie przez nazistów zbrodni katyńskiej ma na celu odwrócenie uwagi opinii publicznej świata od Oświęcimia, który był i pozostanie miejscem, w którym – w codziennych prawie egzekucjach i gazowniach więźniów – potrafiono w ciągu miesiąca wymordować jedną czwartą stanu więźniów, uzupełniając obóz stale nowymi transportami. Auschwitz był ponadto miejscem, w którym zagazowano wprost z pociągów, bez wciągania w numerację więźniów, ponad milion Żydów i kilkadziesiąt tysięcy Polaków, mężczyzn, kobiet, dzieci.

Józef Cyrankiewicz przywiązywał ogromną wagę do sprawy przypisania więźniom obozu koncentracyjnego wysokiego etosu moralno-politycznego. Świadczy o tym m.in. tekst *Rezolucji więźniów politycznych* przygotowany przez niego w odpowiedzi na oświadczenie Rolanda Freislera, przewodniczącego tzw. Trybunału Ludowego, sądu spiskowców, którzy przygotowali zamach na życie Hitlera w lipcu 1944 roku. Otóż Freisler oskarżył feldmarszałka Witzlebena o to, że zamierzał on aresztować załogi SS pilnujące obozu koncentracyjnego i chciał uwolnić czysto kryminalne elementy w nich osadzone.

Cyrankiewicz wyjaśnia: *W niemieckich obozach koncentracyjnych ilość przestępców kryminalnych, wyłącznie prawie niemieckich, nie przekracza w ogóle 5% ogólnej liczby więźniów. Są to rzeczywiście przestępcy zawodowi – mordercy i złodzieje, którzy jednak w systemie niemieckich obozów koncentracyjnych tworzą warstwę uprzywilejowaną – są oni bowiem, wbrew wszelkim przyjętym zwyczajom międzynarodowym, pomocnikami SS w dozorowaniu i bezkarnym mordowaniu więźniów politycznych (głównie jako tzw. kapo oraz starsi bloków i sztab).*

W niemieckich obozach koncentracyjnych – wyjaśnia Cyrankiewicz – znajdują się natomiast w 99 dziś procentach więźniowie polityczni wszystkich narodów walczących o wolność. [...] Znajdują się wszyscy, którym wolność własnych narodów droższa była niż życie. [...] Miliony, dosłownie miliony zostało już zadreęczonych, wymordowanych różnymi sposobami, rozstrzelanych, zagazowanych, zabitych zastrzykami fenolu w serce lub żyły i wygłodzonych. [...] Jesteśmy za drutami, jako żołnierze i jako członkowie swoich narodów – żądamy traktowania nas jako żołnierzy, żądamy praw ludzkich, praw jeńca wojennego w niewoli. Wiemy, że tylko zdecydowana postawa wolnego świata może nam takie prawa zapewnić.

Nie wiem, jak historia oceni Józefa Cyrankiewicza z racji roli, jaką odegrał w dziejach Polski Ludowej, jestem natomiast absolutnie pewny, że jako więzień obozu zagłady Auschwitz-Birkenau chwalebnie zasłużył się Polsce i zyskał prawo do wdzięcznej pamięci narodu. Podobnie jak współautor grypsów Stanisław Kłodziński i liczne grono więźniów i konspiratorów, bohaterów akcji grypsowej.

Zaiste brak mi słów dla wyrażenia podziwu i wdzięczności dla Pani Profesor Ireny Paczyńskiej za *Wstęp* i opracowanie monumentalnego dzieła. Pamiętam, że nasi mistrzowie i przyjaciele, profesoria: Kazimierz Tymieniecki, Jan Rutkowski, Henryk Łowmiański, Czesław Łuczak, Jerzy Topolski, Gerard Labuda przekonywali nas jako studentów o roli tzw. nauk pomocniczych historii w procesie tworzenia wielkich monografii. Otóż przygotowanie do druku *Grypsów...* jest niedościgłym przykładem perfekcyjnego zastosowania wymogów sztuki edytorskiej: każde wydarzenie stanowiące przedmiot grypsów obudowane jest pieczołowicie informacjami dotyczącymi okoliczności, zaangażowanych osób, następstw i wymowy określonych zdarzeń. Dzięki temu lektura grypsów sprawia, że czytelnik nie tylko „przyjmuje do wiadomości” ich treść, ale jednocześnie przeżywa ich zawartość, rozumie ich wagę i znaczenie, cieszy się i martwi przebiegiem opisywanych wypadków, odnosząc wrażenie, że w nich uczestniczy. Po stokroć gratuluje.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ
Warszawa, w styczniu 2014 r.

Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego. Wstęp i opracowanie Irena Paczyńska. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2013, s. CXXXI + 675.

MAREK KUCIA

GRYPSY Z PIEKŁA

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego wydało wiosną 2013 roku niezwykłą pozycję: *Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego*, ze wstępem i w opracowaniu naukowym dr hab. Ireny Paczyńskiej, profesor UJ. Ten obszerny, bo liczący 806 stron tom, zawiera 214 grypsów pisanych między 6 września 1942 a 18 stycznia 1945 roku przez dwóch więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz – J. Cyrankiewicza i S. Kłodzińskiego, oddzielnie lub razem, do członków ruchu oporu poza obozem. Duża część grypsów, które wszystkie znajdują się obecnie w Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, została opublikowana po raz pierwszy. Wszystkie, również te wydane wcześniej w różnych publikacjach powojennych, zyskały w wydanym tomie niezwykle wnikliwe, szczegółowe i wszechstronne opracowanie naukowe profesor Ireny Paczyńskiej, która w swojej pracy wykorzystała wszelką dostępną wiedzę, źródła i literaturę dotyczącą obozu. Każdy gryps zaopatrzone jest w nagłówek z numerem, datą powstania oraz krótką informację o autorze lub autorach oraz adresacie lub adresatach i tematyce. Poniżej treści każdego z grypsów znajduje się informacja źródłowa o miejscu przechowywania oryginału oraz o sposobie jego sporządzenia. Niektóre grypsy zaszyfrowane w całości lub zaszyfrowane fragmenty innych zostały odczytane. Tekst każdego z grypsów jest zredagowany według obecnie obowiązujących zasad językowych oraz obudowany wieloma ugruntowanymi w literaturze przedmiotu przypisami, wyjaśniającymi kim były postaci i czym były wydarzenia opisywane przez autorów.

Książkę otwiera obszerny wstęp autorstwa profesor Paczyńskiej oraz jego tłumaczenie na język niemiecki, a zamyka dwujęzyczny spis treści, bibliografia klasyfikowana oraz indeks nazwisk. Całość uzupełniona jest umieszczonymi w odpowiednich miejscach tekstu reprodukcjami oryginalnych fotografii opatrzonymi szczegółowymi objaśnieniami; fotografii przedstawiających postaci autorów, adresatów i kurierów grypsów oraz osób w tych grypsach wymienianych, jak również obozu Auschwitz i innych miejsc, których grypsy dotyczą.

Książka, która ukazała się dzięki wsparciu finansowemu Uniwersytetu Jagiellońskiego i Fundacji im. Tisłowiczów oraz pod patronatem Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, została niezwykle starannie wydana przez Wydawnictwo UJ.

*

Niezwykły charakter recenzowanej publikacji wynika z kilku względów. Po pierwsze, szczególnymi osobami byli autorzy grypsów. Po raz pierwszy ukazuje się tak obszerne wydanie korespondencji, jaką ze światem zewnętrznym z obozu Auschwitz prowadził Józef Cyrankiewicz (1911–1989) – przedwojenny działacz krakowskiej PPS, uczestnik konspiracji przeciwko okupantowi niemieckiemu, więzień polityczny KL Auschwitz (od września 1942 do ewakuacji obozu w styczniu 1945) a potem KL Mauthausen, współtwórca obozowego ruchu oporu w Auschwitz, po wojnie przywódca PPS, po zjednoczeniu tej partii z PPR członek władz PZPR, wielokrotny i długoletni premier rządu RP i PRL (1947–1952 i 1954–1970), przewodniczący Rady Państwa PRL, szef Związku Bojowników o Wolność i Demokrację i Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju. To wydanie grypsów Cyrankiewicza ukazuje się wraz z grypsami pisanymi wspólnie lub oddzielnie przez innego więźnia Auschwitz, Stanisława Kłodzińskiego (1918–1990) – przed wojną studenta medycyny, na początku okupacji społecznika niosącego pomoc uwięzionym, potem więźnia więzienia Montelupich w Krakowie i obozu w Oświęcimiu (od sierpnia 1941 do ewakuacji obozu w styczniu 1945), a następnie obozu Mauthausen, pracującego m.in. w szpitalu obozowym w Auschwitz i działającego w obozowej konspiracji, po wojnie lekarza, współinicjatora unikalnej serii „Przegląd Lekarski – Oświęcim”, autora licznych publikacji na temat chorób i leczenia więźniów i ocalałych z obozów koncentracyjnych, działacza społecznego na rzecz pamięci o II wojnie światowej i okupacji niemieckiej oraz na rzecz pojednania polsko-niemieckiego.

Dzięki wydaniu w jednym tomie grypsów Cyrankiewicza i Kłodzińskiego czytelnik otrzymuje poruszający

i najobszerniejszy jak dotąd dokument – bezpośrednie świadectwo więźniów największego i najokrutniejszego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz; świadectwo składane systematycznie przez prawie dwa i pół roku, podczas pobytu w obozie. Trudno o lepsze, bardziej bezpośrednie źródło poznania obozowych realiów, zwłaszcza z perspektywy ofiar. Liczne składane po wojnie relacje byłych więźniów, w tym Cyrankiewicza i Kłodzińskiego, oraz publikowane przez byłych więźniów książki mogą być tylko uzupełnieniem takich bezpośrednich źródeł. Opublikowane grypsy są tak samo ważnym źródłem, jak unikalne notatki Żydów – członków *Sonderkommando*, zmuszonych do pracy przy obsłudze urządzeń zagłady w Birkenau; notatki opublikowane w tomie *Wśród koszmarniej zbrodni* (1971).

*

Grypsy Cyrankiewicza i Kłodzińskiego dają czytelnikowi wgląd w funkcjonowanie obozu, relacje między ofiarami i oprawcami oraz pomiędzy więźniami, jak również w kontakty więźniów ze światem zewnętrznym. Z treści korespondencji wyłania się przede wszystkim obraz okrutnego obozu koncentracyjnego, w którym życie ludzkie nie znaczyło nic dla oprawców. Pod tym względem lektura grypsów przywołuje na myśl prozę „obozową” Tadeusza Borowskiego. Różnica polega jednak na tym, że jego opowiadania, jak np. *U nas w Auschwitzu*, mimo iż oparte na autentycznych doświadczeniach własnych i przejmujące w swym wyrazie, to jednak fikcja literacka powstała po wojnie.

W obrazie obozu, jaki dostarczają Cyrankiewicz i Kłodziński uderza zasadniczy podział ofiar na więźniów przebywających w obozie i przywiezionych na natychmiastową zagładę Żydów. W relacji więźnia Cyrankiewicza o zagładzie Żydów przywiezionych do Auschwitz z getta-obozu Theresienstadt oraz o „akcji węgierskiej” – masowej zagładzie Żydów deportowanych z Węgier, które to fakty go poruszyły, ten podział widać bardzo mocno. Żydzi, nawet zanim zostali zgładzeni w komorach gazowych, stali po stronie śmierci. Więźniowie, mimo iż ich życie nie znaczyło nic dla oprawców i większość z nich zginęła w obozie, mieli przynajmniej nadzieję, że przeżyją.

Niezwykle wyrazisty i mocny jest wyłaniający się z grypsów obraz samoobrony więźniów, polegającej na niesieniu sobie pomocy (np. Kłodziński pracujący w szpitalu obozowym), organizowaniu obozowej konspiracji (m.in. założenie międzynarodowej Grupy Bojowej Oświęcim), a nawet upominaniu się u oprawców o swoje prawa więźniarskie i ludzkie (Cyrankiewicz piszący skargę do komendanta Liebehenschla). I choć czytelnik zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości obozowej te i podobne wydarzenia były raczej doświadczeniem mniejszości niż większości więźniów i miały miejsce rzadziej niż częściej, to jednak bezpośrednie i autentyczne relacje o nich pozwalają widzieć Auschwitz nie tylko jako „porządek terroru” (por. Wolfgang Sofsky, *Die Ordnung des Terrors: Das Konzentrationslager*. S. Fischer, Frankfurt am Main 1993), ale również jako świat, w którym mimo wszystko nie zaginęły ludzkie wartości (por. Anna Pawelczyńska, *Wartości a przemoc. Zarys socjologicznej problematyki Oświęcim-*

nia, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa [1973] 1995).

W tekstach Cyrankiewicza i Kłodzińskiego przedstawiona jest również oczywiście zła, ciemna strona obozowego, więźniarskiego życia, które jest ciągłą grą o przetrwanie. Ci, którzy zagrażają więźniowi, to nie tylko oprawcy w mundurach SS, ale również wielu więźniów funkcyjnych oraz obozowi „szpicle” – więźniowie-Polacy będący na usługach *Politische Abteilung* (obozowego gestapo), którzy donoszą na współwięźniów i organizują prowokacje. Jako złowroga jawi się również rozbudowana i różnorodna hierarchia więźniów, której obraz zawierają grypsy. Pozycja w hierarchii zależy od realizowanej funkcji, od bycia użytecznym dla oprawców jako siła robocza. Im wyższa pozycja więźnia w tej hierarchii, tym większe szanse przeżycia. Zarówno Cyrankiewicz, pełniący m.in. funkcję pisarza blokowego, jak i Kłodziński, jako sanitariusz w obozowym szpitalu, obydwoj biegle znający niemiecki, należeli do wyższych warstw więźniarskiego społeczeństwa. Struktura tego społeczeństwa miała jednak profil piramidy. Ci, którzy należeli do liczniejszych niższych warstw mieli mniejsze szanse przeżycia. Mieli też mniejsze lub żadne szanse, aby działać w obozowej konspiracji, organizować i podejmować ucieczki oraz utrzymywać kontakt ze światem zewnętrznym poprzez grypsy.

Grypsy zawierają też obraz świata zewnętrznego, świata „za drutami”. To nie tylko odbiorcy tej swoistej korespondencji – najczęściej Tell, czyli Teresa Lasocka, działająca w konspiracji w Krakowie, ale wielka sieć ludzi poza obozem idąca z pomocą więźniom, pomagająca w ucieczkach, dostarczająca żywność i lekarstwa, przekazująca informacje o zbrodniach dokonywanych w obozie: mężczyźni i kobiety – polscy mieszkańcy okolicznych miejscowości, w tym członkowie konspiracyjnych organizacji PPS, AK, BCH; polscy pracownicy cywilni niemieckich firm pracujących na rzecz obozu; polscy kolejarze; nieliczni Niemcy – obozowi strażnicy i pielęgniarka.

*

Czytając grypsy, zwłaszcza te autorstwa samego Cyrankiewicza, przekonujemy się, jak wiele wiedzy, wyobrażeń i przekonań o Auschwitz ma w nich swe źródło. Wiele grypsów (np. nr 139) to bardzo precyzyjne relacje o aktualnej liczbie więźniów z podziałem na kategorie i grupy narodowościowe – dane uzyskane potajemnie z obozowej kancelarii przez pracujących tam więźniów-członków obozowego ruchu oporu. To na ogół dane adekwatnie oddające realia. Niektóre grypsy zawierają również szacunki dotyczące liczby ofiar – zmartych, a zwłaszcza zamordowanych w obozie, w tym o Żydach z różnych gett w okupowanej Polsce oraz z różnych innych krajów Europy zamordowanych w komorach gazowych Birkenau. Dane częściowe są najprawdopodobniej adekwatne. Dane zbiorcze, gdy mowa o milionach ofiar, są wyolbrzymione. Według aktualnych szacunków historyków w kompleksie obozowym Auschwitz straciło życie ogółem około 1,1 mln ludzi (Franciszek Piper, *Ilu ludzi zginęło w KL Auschwitz. Liczba ofiar w świetle źródeł i badań 1945-1990*, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 1992). W gryp-

sach znajdujemy też szczegółową listę oprawców (gryps nr 165 – *Katy Oświęcimia*), informacje o planach zatarcia śladów zbrodni (gryps nr 153 o tzw. akcji Molla) i o międzynarodowym charakterze obozu oraz o sytuacji Żydów tamże – „wyjętych spod jakichkolwiek praw” (gryps nr 166), przeznaczonych na śmierć przez nazistów, ale i narażonych na antysemicką nienawiść ze strony niektórych polskich współwięźniów (por. gryps nr 79, s.193). Gryps 165 zawiera sławny cytat z powitania więźniów przez Lagerführera Fritzscha „Przyjechaliście tutaj nie do sanatorium, tylko do niemieckiego obozu koncentracyjnego, z którego nie ma innego wyjścia, jak tylko przez komin. Jeśli się to komuś nie podoba, to może iść zaraz na druty. Jeśli są w transporcie Żydzi, to wy nie macie w ogóle prawa żyć dłużej niż 2 tygodnie. Jeśli są księża, to mogą żyć 1 miesiąc, reszta 3 miesiące. To wam zapowiadam”. Gryps nr 148 jest *de facto* listem przewodnim do fotografii „z Birkenau, z akcji gazowania”; fotografii wykonanych przez więźniów z *Sonderkommando* przedstawiających żydowskie kobiety gnane do komory gazowej, a potem ich martwe ciała palone w lesie nieopodal. Fotografie te są jedynym bezpośrednim wizualnym dowodem zbrodni ludobójstwa dokonanego na Żydach w Auschwitz. I jeszcze jedno: gryps nr 153 daje świadectwo idei zrodzonej w obozie, wśród więźniów, że „Oświęcim” jest symbolem zbrodni hitlerowskich; idei, która trwa w świadomości społecznej mieszkańców Polski i innych krajów świata od dziesięcioleci.

*

Opublikowane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego grypsy są również bezpośrednim świadectwem o ich autorach.

Józef Cyrankiewicz jawi się w nich jako ucieleśnienie więzienia politycznego KL Auschwitz, osadzonego („internowanego” – jak sam pisze) za konspiracyjną działalność polityczną przeciwko niemieckiemu okupantowi i prowadzącego nadal taką działalność w obozie. Jest przekonany, iż jako więźniowi politycznemu przysługują mu oraz takim jak on humanitarne prawa odbywania swojego internowania. Walkę o takie prawa prowadzi otwarcie z władzami obozowymi, pisząc petycję i zgłaszając się do raportu. Cyrankiewicz jawi się też jako niezwykle odpowiedzialny polityk, gdy z przebiegu powstania w Warszawie wyciąga wnioski o konieczności uniknięcia przygotowywanego w obozie powstania (gryps nr 143) i kiedy uczula ruch oporu działający na zewnątrz obozu na niebezpieczeństwa, jakie z planów ewakuacji Auschwitz, których jest świadom, wynikają dla więźniów (gryps nr 212). Jest też wrażliwy na sprawy osobiste więźniów („Zawiadam żonę Staszka Głowy, że on pojechał do Sachsenhausen dziś 29 VIII i że będzie pisał listy na adres siostry do Sosnowca”, nr 144). W ostatnim grypsie pisanym tuż przed ewakuacją z obozu, a w dniu, w którym Armia Radziecka wkraczała do Krakowa, żegna się z towarzyszami z konspiracji, dziękując im za współpracę.

Stanisław Kłodziński, widziany przez pryzmat grypsów, to jakby postać drugoplanowa. Jawi się jako osoba, która więcej robi, niż mówi czy pisze. Tragiczna jest jego historia uwięzienia: trafił do Auschwitz, gdy pomagał więźniom tego obozu wyprawiwszy się po zakup

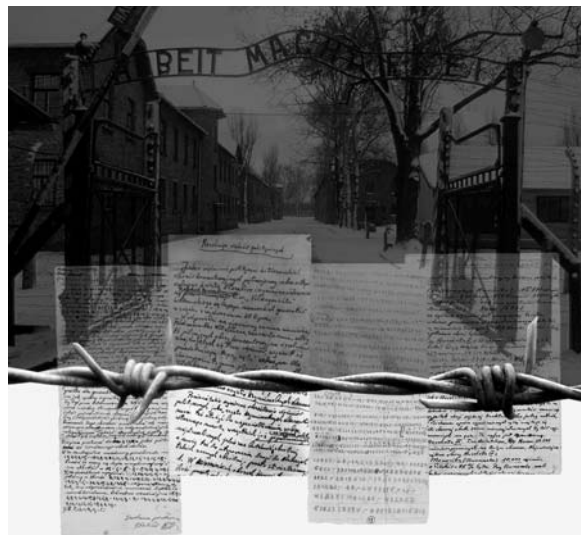
żywności, która miała być im wysłana. Uderzające jest to, iż każdy gryps jego autorstwa i prawie każdy podpisany przez niego oraz Cyrankiewicza zawiera długą listę lekarstw, o przesłanie których prosi, oraz podziękowania za lekarstwa przesłane poprzednio. Wśród koszmarnych zbrodni, jakie dokonywały się w obozie, w którym przebywał, cechą Kłodzińskiego była wrażliwość na innych.

*

KL Auschwitz istniał ponad cztery i pół roku. Kłodziński był więźniem obozu przez trzy lata i pięć miesięcy. Cyrankiewicz – przez dwa lata i cztery miesiące. Przez ponad dwa lata współpracowali ze sobą w obozowej konspiracji i pisali grypsy do konspiratorów na zewnątrz. Po wojnie każdy z nich przeżył długie i owocne życie. Po ponad dwudziestu latach od ich śmierci i po blisko siedemdziesięciu latach od wyzwolenia Auschwitz czytelnik otrzymuje do rąk książkę, która stanowi nie tylko zbiór obozowych grypsów, ale również pomnik pamięci ludzi tamtych czasów.

MAREK KUCIA

Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego. Wstęp i opracowanie Irena Paczyńska. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2013, s. CXXXI + 675.



Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz

Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego

Wstęp i opracowanie
Irena Paczyńska

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Reprodukcja okładki „Grypsy z Konzentrationslager...”

ANDRZEJ KURZ

KOBYŁA HISTORII I JEJ JEŹDZIEC

To nie tylko autobiografia jednej z najwybitniejszych postaci dwóch epok – Polski Ludowej i III Rzeczypospolitej. Obywatela i uczonego. To równocześnie rozważania o dziejach, przede wszystkim o Polsce i Polakach, o społeczeństwie i narodzie.*

Karol Modzelewski spoglądając przez okulary swego już ponad 75-letniego doświadczenia życiowego oraz wiedzy i charakteru uczonego i myśliciela zastanawia się nie tylko nad swą biografią, lecz biografią swego pokolenia, ludu, któremu oddał swe siły i swego narodu. Solidaryzuje się z ich nadziejami, które sam budził i z rozczarowaniami, za które czuje się współodpowiedzialny.

Zresztą rozdziały jego książki noszą tytuły epok całych, a nie tylko etapów własnego życia – *My, ZMP; Rewolucja do poprawki; Socjalizm z twarzą Gierka; Stan powojenny* i końcowy, wręcz symboliczny: *Wolność bez braterstwa*. Wszystkie łączą się integralnie z najważniejszymi sprawami życia publicznego, wręcz historii, które wpływały determinująco także na osobiste losy autora. W tych też sprawach od młodości brał zawsze czynny udział, usiłując osiodłać kobyłę historii.

Dla mnie najciekawsze okazały się rozdziały początkowe. Sprawy późniejsze związane z powstaniem opozycji i jej losami aż do Okrągłego Stołu, a potem objęcia przez nią władzy w III Rzeczypospolitej poznałem wcześniej dzięki książkom Andrzeja Friszkego, jednego z najwybitniejszych historyków Polski XX wieku, pisanych, zresztą szczęśliwie, pod dużym wpływem myśli Karola Modzelewskiego. Rozdziały początkowe jego autobiografii pomogły mi odpowiedzieć na pytanie, które stawiałem sobie od młodości. Towarzyszyłem w niej przez kilka lat, jako pomocnik – *ghostwri-*

ter, staremu komuniście, jednemu z najważniejszych przywódców Polski Ludowej, Polski Październikowej i rewizjonistycznego nurtu PZPR. Pytanie: co naprawdę odczuwali ci starzy polscy komuniści, doświadczeni nie tylko udręczeniem w sanacyjnych i stalinowskich więzieniach, ale i tragiczną świadomością, że polska klasa robotnicza, która była ich wyidealizowanym i zmitologizowanym ideałem, nie jest zdolna po wojnie polsko-bolszewickiej zaufać Związkowi Radzieckiemu. I jak oni, schronieni w czasie wojny w tym właśnie Związku Radzieckim, a w każdym razie wielu z nich, przeszli indywidualnie od czegoś, co wydawało się solidarnością, wręcz tożsamością z narodem radzieckim do prawdziwie polskiej świadomości narodowej. Myślę oczywiście o tych, którzy tego przejścia dokonali, byli bowiem i tacy – choć nieliczni – którzy służyli nie-polskim interesom.

Ten niezwykle proces jest w omawianej książce jednym z autobiograficznych nurtów głównych. Odwołuje się także do postaci ojca – jednego z najwybitniejszych twórców Polski Ludowej, częstochowskiego robotnika, ochotnika Wojska Polskiego w wojnie 1920 r., zaangażowanego komunisty, a także studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego i paryskiej Ecolles des Sciences Politiques, stalinowskiego więźnia i oficera armii Berlinga. A w końcu dygnitarza Polski Ludowej, jej ministra spraw zagranicznych w pierwszych latach powojennych, zwolnionego ze stanowiska i zmarłego na krótko przed wielkim zwrotem Października 1956.

Ale oczywiście najważniejsza jest tu opowieść o nici żywota i własnych przemyśleń chłopca nadzwyczajnej wrażliwości i inteligencji – Kiriuszy (do 1947r. Karol Modzelewski nosił imię Cyryla), urodzonego w Moskwie i od czwartego roku życia wychowanego przez

dom dziecka podczas straszliwej wojny, w radzieckiej biedzie i prawdziwym wojennym, radziecko-patriotycznym uniesieniu. A więc w poczuciu dziecięcej odpowiedzialności i więzi z kolektywem. Od 1945 r. w Polsce, wreszcie w dobrej rodzinnej atmosferze, gorliwego ZMP-owca, bardzo młodego uczestnika październikowych wydarzeń, zapatrzono w Lechosława Goździka – najpiękniejszą i najmądrzejszą postać autentycznego robotniczego przywódcy, jakiego wydała powojenna Polska.

Na wszystko to jednak patrzy dzisiejszy Karol Modzelewski – intelektualista i polityk, w każdej z tych ról jeden z najwybitniejszych we współczesnej epoce. Patrzy i opisuje tak subtelną polszczyzną, że wprost trudno sobie wyobrazić, że do późnego dzieciństwa mówił tylko po rosyjsku. Jak naturalnie porusza się dzisiaj i w rosyjskiej mowie, świadczy jego interwencja w tłumaczeniu dokumentów „sprawy Ołina”, kiedy wyłożył różnym domorosłym a pewnym siebie tłumaczom, co naprawdę znaczą niektóre rosyjskie zwroty. Absolutna dwujęzyczność w mowie kulturalnej, literackiej, to pewnie także zasługa jego matki Rosjanki, która związana integralnie z Polską i polskim środowiskiem pisarskim stała się znakomitą tłumaczką wielkiej literatury rosyjskiej.

Polszczyzna Karola Modzelewskiego jest nie tylko piękna, lecz i mądra, a ludziom życzliwa. Daje czytelnikowi radość rzadkiego obcowania z opowieścią ujmującą, która łączy potraktowaną krytycznie, czasem wręcz autoironicznie biografię z równie krytyczną, lecz życzliwą analizą epoki.

Okres późnego dzieciństwa i młodości, czas pełnego utożsamiania się z polskością, z polską wrażliwością narodową, znajduje intelektualną kontynuację w zainteresowaniach Modzelewskiego – naukowca, w jego wybitnych dziełach z historii wczesnego średniowiecza, traktujących o przekształcaniu się wspólnot plemiennych w społeczność typu narodowego, w szczególności poświęconych Polsce piastowskiej. Towarzyszy temu zainteresowanie problematyką ludu i ideowe utożsamienie ze sprawą klasy robotniczej. Tej ostatniej poświęcona jest polityczna działalność Modzelewskiego. Powstaje prawdziwa harmonia między racjami profesora – badacza historii a jego ideowymi wyborami głoszonymi na arenie publicznej.

Już od pierwszych lat życia w Polsce, w Polsce Ludowej, dominuje w poglądach i działaniach Modzelewskiego przekonanie, że prawdziwa sprawa robotników – socjalizm – to także jego sprawa osobista, w jego ZMP, w jego PZPR. Jeśli jakieś prymitywy czy pasyżny na ciele ludu zarucają mu, że jego działalność narusza polską rację stanu, to on, prawdziwy obrońca ludu jawnie im się sprzeciwi i co więcej, zmobilizuje lud do oporu. Ma bowiem moralną i ideową rację, i jest gotów za to siedzieć w więzieniu aż do zwycięstwa tej sprawy.

Muszę wyznać, że od początku, od połowy lat sześćdziesiątych szanowałem tę postawę szczerego i czystego zaangażowania, ale w tym miejscu zrodziła się i moja pierwsza trwająca do dziś obawa, że Karol Modzelewski nie we wszystkim miał rację. Właśnie wtedy, kiedy Gomułka (a nie prymitywny bezpieczniak czy śledczy) zarzucał mu naruszenie polskiej racji stanu, bezpieczeństwa i integralności państwa

polskiego w takich uwarunkowaniach międzynarodowych, w których znalazło się ono po Jałcie i Poczdamie. Wydaje mi się, że to raczej Gomułka miał w tej sprawie rację.

Zgłaszam w tym miejscu pretensje nie tylko do Modzelewskiego, ale do całej trójki „niezłomnych”, którzy już w drugiej połowie lat 60. stali się przywódcami opozycji najpierw w partii, a potem w państwie – Karola Modzelewskiego, Jacka Kuronia i Adama Michnika.

Autobiografia Karola Modzelewskiego potwierdza przy tym różnicę poglądów, które występowały coraz wyraźniej między trzema przyjaciółmi. Jeśli w oświeceniowym kanonie wyjściowym wszelkiej lewicy – wolności, równości i braterstwa – poszukiwalibyśmy wartości najważniejszej dla Kuronia – to byłaby nią równość, dla Michnika – wolność, dla Modzelewskiego – harmonia między równością i wolnością, ale z naciskiem na wartość najrzadszą, szczególnie bliską człowiekowi wiedzy i charakteru – braterstwo.

I to Modzelewski, intelektualny guru „Solidarności”, ten, który zaproponował ruchowi tę nazwę (pewnego rodzaju synonim braterstwa) pierwszy (a może równocześnie z Kuroniem) zauważył, jak ten ruch gubi ideę równości i braterstwa na korzyść idei rzekomej wolności, ale wolności rynku i jej podporządkowuje swoje żywiołowe, wręcz anarchiczne dążenie do równości.

Adam Michnik, najmłodszy z tej trójki intelektualista i moralista, od 25 lat guru „Gazety Wyborczej”, wciąż w euforii zwycięzcy powtarza, że warto było wiele poświęcić z tej oświeceniowej triady dla wolności właśnie (ale dla SLD tej wolności powinno być mniej – to teza Ewy Milewicz już dawno pod skrzydłami Michnika ogłoszona). Michnik ma pretensje do Modzelewskiego, że ten nie docenia, a nawet sprzeciwia się wolnościom, także tym balcerowiczowsko-tuskowym.

A to Modzelewski był jedynym senatorem, który pod koniec roku 1989 głosował przeciw reformom Balcerowicza. Do dziś zresztą walczy z wolnorynkowymi apologetami, a także wolnościowymi lustratorami i kłamcami. Rozczarowany rezultatami zwycięstwa i w poczuciu odpowiedzialności wobec biednych współobywateli, po pewnym okresie przewodzenia nowej lewicy (poprzez Unię Pracy) odszedł ze świata czynnej polityki. Został z własnego po raz drugi wyboru, z wielkim dla nauki pożytkiem, przede wszystkim uczonym - badaczem historii. Jednak z publicznego głoszenia swych poglądów nie tylko nie zrezygnował, lecz wręcz stał się ideowym i moralnym przewodnikiem lewicy myślącej.

Tak też traktuje go „Kuźnica”, która pozostając wierna lewicowym ideom społeczno-państwowym, czyta autobiograficzną książkę laureata Kowadła „Kuźnicy”, Karola Modzelewskiego, o poobijanym jeźdźcu kobyły historii z poczuciem solidarności ludzi też, choć inaczej, przez historię poobijanych, ale nie mających poczucia klęski.

ANDRZEJ KURZ

* Karol Modzelewski, *Zajeżdżmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźcy*. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013.

EDWARD KAROLCZUK

PARADOKSY OPISUJĄCE RZECZYWISTOŚĆ

Na marginesie książki Jana Kurowickiego¹

Książka profesora Jana Kurowickiego jest pełna logicznych paradoksów, a właściwie sama jest jednym wielkim paradoksem. Bo kiedy w oficjalnym dyskursie nie tylko dziennikarzy, ale i uczonych, Marksa przedstawia się jako utopistę o dość wątpliwej moralności i potwora, który odpowiada za zbrodnie stalinizmu, a IPN chętnie karałby za posiadanie „symboli komunizmu” – Jan Kurowicki z pełnym spokojem i powagą przyznaje się do czytania Marksa i wykorzystywania jego metody badawczej. Paradoksy logiczne znikają, gdy uwzględni się dialektykę. Paradoksy sformułowane przez niego stają się wówczas opisem sprzeczności części rzeczywistości. Zwrócimy uwagę tylko na niektóre problemy przewijające się w książce Jana Kurowickiego: problem transformacji ustrojowej; problem stosunku władza-obywatel, panujący-podwładni; problem roli uczonych i problem legitymizacji władzy.

Kapitalistyczna transformacja

Jednym z najważniejszych mitów dominujących w oficjalnym dyskursie ideologicznym jest teza o tym, że przed 1989 rokiem był w Polsce komunizm, a budowa kapitalizmu rozpoczęła się za sprawą antykomunistycznej opozycji w 1989 roku po przegraniu czerwcowych wyborów przez „komunę”. Zdaniem autora *Figur i masek...* upaństwowienie podstawowych środków produkcji już na początku PRL doprowadziło do swoistej postaci kapitalizmu państwowego, a jego funkcjonariusze stali się „zbiorowym kapitalistą”. „Ich pierwotne intencje, by stworzyć nową formację ustrojową, miały znaczenie drugorzędne. Od końca więc wojny tkwili nadal w kapitalizmie, choć o innej niż w międzywojniu formie” (s. 91). Ich ideowość wyciekała stopniowo, jak z dziurawej beczki. Stosunek do marksizmu przypominał stosunek pijanego do latarni – traktowali go jako punkt oparcia, a nie źródło światła, cytaty z Marksa zastąpiły jego metodę analizy, co skutkowało brakiem rozpoznania procesów społecznych i ekonomicznych, jakie swymi działaniami ślepo uruchamiali.

Zbuntowane społeczeństwo polskie wyobrażało sobie, że można ten ustrój obalić i zachować jego socjalne zdobycze; że jego zmiana pozwoli osiągnąć taki dobrobyt jak w najwyżej rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Tymczasem wyjście z „realnego socjalizmu” w istocie ekonomicznej oznaczało przejście od kapitalizmu państwowego do liberalnego i okazało się dla milionów przejściem z deszczu pod rynnę.

Do interpretacji kapitalistycznej transformacji Kurowicki wykorzystał lekturę szkolną – *Wizytę starszej pani* Dürrenmatta. Klara, jej tytułowa bohaterka, jako młoda dziewczyna zaszła w ciążę. Kochanek wyparł się jednak jej sprawstwa. Oskarżył ją o dziwkarstwo i pośrednio wepchnął na drogę prostytucji. Udało się jej jednak poślubić starego i bogatego ormiańskiego miliardera, który wkrótce zmarł oraz odziedziczył jego majątek. Zjawiła się w rodzinnym mieście po 45 latach z zamiarem poniżenia mieszkańców i zemsty na swym dawnym kochanku. Za zabicie go obiecała miastu pół miliarda dolarów i drugie tyle do podziału między jego mieszkańców. Mieszkańcy byli początkowo oburzeni, ale później zaczęli żyć na kredyt i godzić się na jej żądanie (sam kochanek również był za złożeniem siebie w ofierze). Mieszkańcy zabili go przy zgaszonych światłach.

Sztuka Dürrenmatta posłużyła autorowi książki do opisu i analizy współczesnych mechanizmów procesów społeczno-ekonomicznych i politycznych. W wizycie starszej pani ujawniły się takie kategorie jak rynek, giełda, władza, przemoc, manipulacja, bogactwo, pozycja społeczna, prestiż. Jego zdaniem swoistą „wizytę starszej pani” przeżyła Polska po 1989 r. w latach transformacji ustrojowej. Zadłużona u państw zachodnich (starszej pani) niestabilna Polska była jak to miasteczko ze spektaklu. Tym razem jednak nie ona bezpośrednio się pojawiła, lecz jej przedstawiciele m.in. w osobie Jeffreya Sachsa, który za dobicie PRL-u i neoliberalne reformy ekonomiczne obiecał „pomoc finansową, korzystne warunki spłaty zadłużenia i normalność taką, jak w Niemczech czy we Francji. Sprostanie temu uznano za środek realizacji dobra wspólnego” (s. 37). Ale „sprawy nie zakończyły się, jak u Dürrenmatta, artystycznym *happy-endem*; powstały

i utrwały się nowe podziały klasowe, zakwitło bezrobocie, całe regiony kraju znalazły się w gospodarczym i kulturalnym upośledzeniu” (s. 38). Wątpliwe „sukcesy” neoliberalnej gospodarki opłacono gigantycznymi długami publicznymi.

Autor omawianej książki stwierdza, że wizyta starszej pani przydarzyła się nie tylko Polsce, ale również Afganistanowi, państwom Afryki i Ameryki Łacińskiej. Wydobywa więc ze sztuki, którą niektórzy chcieliby interpretować w kategoriach etyczno-moralnych, aktualne treści społeczno-polityczne.

Postsolidarnościowi kombatanzi przypisują sobie nadmierne zasługi w obaleniu realnego socjalizmu. Zdaniem profesora już w latach 70. XX wieku władze PRL pod hasłem zbudowania społeczeństwa bezklasowego zmierzały faktycznie do udoskonalenia kapitalizmu państwowego, pomimo istniejących i rozdzierających go sprzeczności i podziałów. W ten sposób władze PRL chciały utrwalić i umocnić swoją pozycję i zachować *status quo*. W związku z tym marksistowskie kategorie były dla nich jedynie językiem partyjnej celi i rozmów z innymi państwami wschodniego bloku. Władze odwoływały się do nacjonalizmu i narodowych świętości. Miarą awansu cywilizacyjnego i kulturalnego stał się dla nich wybór papieżem Karola Wojtyły. „Panującym wtedy siłom politycznym zdawało się [...], że Jan Paweł II spadł specjalnie dla nich z (medialnego) nieba, jako ktoś, kto swymi widowiskami dodatkowo scementuje społeczeństwo wokół nich i ich legitymizację do rządzenia uświęci. On zaś zachowując teatralny dystans nie tylko nie wyprowadzał ich z błędu, lecz rozsnawał miraż pełni narodowego zjednoczenia. Jednocześnie budował drogę dla uprzywilejowanej pozycji Kościoła w państwie. A ten z kolei skupiał wokół siebie wszystkich niezadowolonych z ustroju. To pozwoliło, by pod jego protekcyjnymi skrzydłami przygotować, organizować i szkolić kadry zdolne w odpowiednim momencie do kształtowania odpowiedniej społecznej świadomości i przejęcia władzy” (s. 198).

Stosunek władza-obywatel, panujący-poddany

W swoich esejach Kurowicki wiele miejsca poświęca problemowi stosunku władzy do obywatela i panującego do podwładnego. Rozważania o rzymskim cesarzu Kaliguli stanowią przysłowiową wisienkę na torcie analizy współczesnych mechanizmów politycznych.

Wielu ludzi zapewne czytało o tym, że Kaligula mianował swego konia *Incitatusa* senatorem, a w przyszłości chciał go uczynić konsulem. Na nic zdały się argumenty przeciwników tej nominacji, że koń jest zwierzęciem i nie ma rozumu politycznego czy administracyjnego, że nie ma odpowiednich manier, nie umie zachowywać się przy stole, że nie ma odpowiedniego stosunku do religii, tradycji czy prezencji zewnętrznej. Koń miał bowiem jedną niepodważalną zaletę, był niezdolny do intrygantstwa, pozostawał lojalny i wierny, był mądry mądrością wszystkich doradców. Kaligula nie zdążył jednak zrobić z konsulem, ponieważ wcześniej został zamordowany.

Przypuszczalnie wielu informację o koniu traktowało i traktuje jako historyczną ciekawostkę i cesar-

ską fanaberię, będąc przekonanymi, że w dzisiejszych czasach jest to niemożliwe i nie próbuje tego odnosić do istniejących (panujących) stosunków społeczno-politycznych. Mylą się jednak bardzo – dla mianowanej politycznej świni można nadać ludzką skórę i ubrać ją w garnitur od *Armaniego*, ale istota problemu pozostanie. Istota struktury władzy, stosunku pomiędzy Kaligulą a koniem i senatem będzie taka sama, jak między dzisiejszymi rządzącymi a podległymi urzędnikami i obywatelami.

Jan Kurowicki podaje za Brechtem przykłady odwrócenia przyczyn i skutków – aktorka jest piękna, ponieważ odniosła sukces, a ktoś pije jak szewc. Przenosząc to pomieszczenie przyczyn i skutków na sferę zarządzania i polityki można by powiedzieć, że ponieważ „ktoś” pełni funkcję kierowniczą, jest mądry i ma talenty organizacyjne. Tymczasem to, czy je posiada naprawdę, jest mało istotne, ponieważ spływają one na niego wraz z objęciem funkcji. Ktoś, kto był postrzegany jako idiota i cham, nagle ulega transsubstancjacji w mądrego i duszę towarzystwa. Aby ta transsubstancjacja stała się wiarygodna, natychmiast otrzymuje wsparcie środków masowego przekazu. Polityk lub szef staje się celebrytą – czyli człowiekiem znanym z tego, że jest znanym.

Kaligula jako jeden z pierwszych zrozumiał, że koń może brać udział w rządzeniu państwem, ale to zależy od tego, jakie panują stosunki społeczne, formy i wzorce władzy, jakie otacza go zaplecze polityczne i intelektualne. W złożonej strukturze państwowej, z uwagi na istniejący podział pracy niektóre kompetencje urzędników są wybitne, ale w wielu dziedzinach są właśnie na miarę końskiego rozumu, chociaż urzędnicy ci nie jedzą owsa. Nie musi przy tym dziać się nic strasznego, „podejmowane decyzje będą na miejscu i kompetentne, gdy otoczy go odpowiednio ukształtowana struktura rządzenia czy zarządzania. Każda bowiem decyzja może być w jej obrębie odpowiednio przygotowana i podsunęta do zatwierdzenia; każdy też, za przeproszeniem, koński czyn czy gest władcy (*resp.* Pierwszego Konsula, prezydenta, ministra, prezesa, dyrektora, kierownika itp.) może dojść (lub nie dojść) do skutku zależnie od tego, jaka jest otaczająca go struktura (zaplecze) i stopień, w jakim je kontroluje” (s. 123).

O pozycji osób przewodzących i podwładnych decyduje więc nie tylko wiedza, ale również wyobraźnia historyczna i socjologiczna, a przede wszystkim zdolność do reprodukcji stosunków w najbliższym otoczeniu, zapewnienie warunków do reprodukcji kapitalistycznych stosunków społeczno-ekonomicznych i politycznych. Nawet gdyby kandydat do rządu był niekompetentny lub nijaki, ale zdolny do służenia celowi zasadniczemu, zostanie przez system wyposażony w te cechy, których osobiście może nie mieć. Wystarczy, że jakaś partia wygra wybory parlamentarne, a natychmiast pojawiają się ludzie z odpowiednimi „kwalifikacjami” – czy to członkowie tych partii, czy członkowie ich rodzin, czy znajomi. Wszystkie boksy w stajni zostają zapełnione...

Pozwała to profesorowi Kurowickiemu „zakwestionować oświeceniowe złudzenie, jakoby o efektywności władzy decydowały kompetencje, rozum i wola tych, co ją bezpośrednio z najwyższego szczebla sprawują. [...]

Nawet najbardziej kompetentne i rozumne działania owych sprawujących władzę są zawsze (bezpośrednio lub pośrednio) determinowane przez konkretne układy sił w obrębie ich zaplecza. Rządzący, którzy nie liczą się z tym, bo nie odpowiada im pozycja konia, prędzej lub później przegrywają” (s. 124).

W tym kontekście interesująco przedstawia się pytanie o to, jacy powinni być idealni podwładni. Wbrew pozorom nie są najważniejsze ich kompetencje merytoryczne. Idealni podwładni starają się bowiem postępować głównie zgodnie z obowiązującymi w danej strukturze normami i zasadami. Nie wynoszą się ponad szefów, nie przesuwają się ani w górę, ani w dół, ale nie pozwalają się też przesunąć na boczny tor. Cały czas pozostają elastyczni i kalkulują na chodno, co bardziej się im płaci. „Do utrzymania zajmowanej przez nich pozycji bowiem kompetencje fachowe nie wystarczają. Potrzeba tu czegoś więcej. Na przykład, gdy zauważy, że »góra« ma kwalifikacje na poziomie konia i popełnia ewidentne błędy, nie tylko nie wolno mu wprost zgłaszać zastrzeżeń do jej decyzji, ale, jeśli tylko może, tak musi wpływać na działania »góry«, by skutki nie szkodziły strukturze. Inaczej zagrozi sobie i swojej pozycji. Jest więc (wraz z innymi) ogonem, który czasami musi machać koniem. I nie ma w tym nic dziwnego, bo to tylko szczególna okoliczność wykonywania przypisanych sobie czynności i obowiązków” (s. 126).

Nie wolno też idealnemu podwładnemu „wynosić się ze swoimi kwalifikacjami fachowymi ponad równych sobie stanowiskiem, gdy zdarzają się im mniejsze lub większe błędy, bo to może prowadzić do jego izolacji. Nie powinien zresztą czynić tego i wobec usytuowanych niżej, chyba, że pojawią się okoliczności, kiedy nieujawnienie błędów jednych i drugich sprawi, że także on zostanie wyeliminowany z gry” (s. 127).

Idealny podwładny powinien chcieć żyć i dawać żyć innym, jeżeli ktoś nie kwestionuje jego kompetencji i nie podważa jego statusu. Dlatego zawsze będzie po stronie silniejszych w danym układzie, nawet gdyby to pociągało za sobą konieczność podejmowania działań czy decyzji niekompetentnych lub wymagało niedostrzegania ich. Sam zaś występować będzie przeciwko słabszej mniejszości, nawet jeśli po jej stronie będą racje merytoryczne i będzie z nią nieoficjalnie sympatyzował. Ponad te racje i prawdę przedłoży bowiem własną obecność w strukturze na danym stanowisku. Nie omieszką natychmiast przyłączyć się do mniejszości, gdy tej uda się zwyciężyć. Idealny podwładny powinien bowiem „manifestować partnerstwo, otwartość, życzliwość i chęć służenia każdemu pomocą, choćby się w nim kiszki skręcały, bo bez tego uznany zostanie za bojaźliwego urzędnika lub intryganta, który prędzej lub później pod takimi m.in. zarzutami może utracić stanowisko” (s. 127).

Autor książki stwierdza, że ze względu na te układy w działaniach nawet najbardziej kompetentnego urzędnika wstępuje mnóstwo świadomie niekompetentnych działań. Dzieje się tak dlatego, że „Te bowiem niekompetentne działania czy decyzje mają charakter nie podmiotowy, lecz strukturalny” (s. 128-129). Wynikają z chęci trzymania spójności struktury urzędniczej i swego w niej miejsca.

Jan Kurowicki przestrzega, by rozważań jego nie traktować jako wystarczających do zrozumienia cało-

kształtu mechanizmów politycznych, lecz jedynie ich zarys. „Z zaprezentowanego tu bowiem sposobu myślenia wynika, że jednostki są bezsilne wobec stosunków, których pozostają wytworem. Są zaledwie końmi, stajennymi, marginalizowanymi Don Kichotami lub nikim, czyli osobami bez znaczenia dla tych czy innych struktur, bo jeno zewnętrznymi względem nich osobnikami” (s. 137-138).

Uczeni-inteligencja

Uzupełnieniem rozważań o koniu Kaliguli może być w cytowanej książce problem roli inteligencji i uczonych, którym jakże często przypada podobna rola. W polskich warunkach lubią oni manifestować swą apolityczność. W rzeczywistości zaś stanowią klasę sług wytwarzających intelektualne środki legitymizacji aktualnie istniejącego ustroju politycznego i gospodarczego, którzy jednocześnie czują się odpowiedzialni za to, czy używane środki legitymizacji są skuteczne. W ich tworzeniu i stosowaniu wyraża się etos i fachowość inteligencji. Od tego też zależy jej prestiż, pozycja społeczna i standardy życia. Instytucje naukowe i uczelnie w procesie kapitalistycznej transformacji zostały przekształcone w „kapitalistyczne przedsiębiorstwa państwowe, którymi zarządza się przy udziale ogromnych środków finansowych i rzeczowych”. Sprawilo to, że pracownicy naukowci znaleźli się w takiej samej sytuacji, jak robotnicy w fabryce. Komercjalizacja i utowarowienie nauki spowodowało, że „niejeden z takich poważnych intelektualistów obiektywnie obniża swe loty do medialnej, ale poprawnej politycznie, magmy ideowej [...] w teorii docierali zaledwie tam, gdzie w praktyce dochodzą sklepikarze, albowiem mają wspólny horyzont myślenia i postępowania” (s. 150-153). Dlatego nie dziwi autora omawianej książki fakt przystosowania się inteligencji do warunków kapitalistycznej transformacji, zamienienia zebrań partyjnych na kościelne, sztandarów czerwonych na biało-czerwone.

Marksści w PRL

Inteligent i marksista – to słowa, które dla Kurowickiego generalnie brzmią dumnie. Stawia on pytanie o rolę, jaką odegrali w końcówce PRL-u, kiedy wydawało im się, że są pryncypialni, rzeczowi, mierzący zamiary na siły, świadomi istniejących sprzeczności i konfliktów, że przywrócą PZPR i państwu robotniczy charakter. Okazuje się, że przy tym wysokim mniemaniu o sobie ulegali złudzeniom, podobnie jak inteligencja innych epok i klas. Nie wyciągnęli wszystkich wniosków z tezy, że partia i państwo utraciły swój rewolucyjny zapał i ustrojową rzeczywistość PRL-u można by streścić wyrażeniem „kapitalizm państwowy”. Profesor, który w końcówce PRL należał do filozofów politycznie zaangażowanych i walczących, pisze z gorącością, ale ku przestrodze obecnego pokolenia lewicy, alterglobalistów, ekologów, genderystów itp., którzy tudzą się, że swoje cele mogą osiągnąć w ramach kapitalistycznych stosunków społecznych i pukają do drzwi różnych partii politycznych reprezentowanych

w parlamencie: „Nie braliśmy wszakże pod uwagę, że partia, jako istotny element owego zbiorowego kapitalisty, nie przystanie na to, bo byłby to koniec ukształtowanego od powojnia porządku. Byłaby to bowiem sytuacja węża, który pożera od ogona samego siebie, bo godząc się na to, co nam zdawało się konieczne – władza polityczna, jako ów zbiorowy kapitalista, sama siebie by unicestwiła. Ale my nie tylko idealizowaliśmy partię i możliwość jej przekształcenia, lecz nie dopuszczaliśmy do świadomości ani tego, że nie mamy do czynienia z nowym ustrojem, lecz inną tylko formą kapitalizmu; ani też tego, że to, co robimy, jest też jeno partykularnym momentem w grze sprzecznych interesów wśród panujących sił politycznych. [...] Daliśmy się zaczarować” (s. 96-97).

Medializacja demokracji

Zanim przejdziemy do ostatniego eseju w książce Kurowickiego, poświęćmy nieco uwagi na zjawisko medializacji polityki i demokracji, chociaż nie posługuje się on tą kategorią politologiczną. Medializacja związana jest z rozwojem parlamentaryzmu, masowych partii politycznych oraz komercjalizacją mediów w warunkach globalizacji i dominacji neoliberalizmu. Polega ona na podporządkowaniu polityki wymogom medialności (środkiem masowego przekazu, w tym szczególnie telewizji), aby maksymalnie przykuć uwagę opinii publicznej (potencjalnych wyborców). Media wciągają masowego odbiorcę niejako za kulis polityki i sprowadzają politykę do tego, co widać, co media zechcą ukazać. Polityczne decyzje zostają w dużym stopniu upublicznione, ale nie przekreśla to roli kuluarów i salonów politycznych. Wraz z komercjalizacją mediów, kiedy wymagania rynku stały się dominujące, wartość informacyjno-edukacyjna przestała być utożsamiana dążeniem do poznania i przedstawienia prawdy. Społeczeństwa za pośrednictwem mediów zaczęły poznawać nie prawdę obiektywną, a tzw. prawdę mediów, która nie wywala, ale zniewala umysł.

Wśród zwolenników neoliberalizmu powszechny był pogląd o tym, że środki masowego przekazu stanowią „czwartą władzę”, obok ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, oraz że kontrolowały je po to, aby przestrzegały demokratycznych procedur i nie działały wbrew interesom społeczeństwa. W rzeczywistości stały się „pierwszą siłą społeczną”, będącą poza kontrolą polityczną i odpowiedzialnością społeczną. Mogą przeskakiwać od skandalu do skandalu nie mając żadnych formalnych procedur ich prezentowania. Nie muszą one stosować się do zasady równości i sprawiedliwości, co daje im przewagę w stosunku do władzy formalnej. Z reguły występują one po stronie społeczeństwa lub w roli jego pośrednika w kontaktach z władzą – żądają podwyżek dla poszczególnych grup pracowniczych, pomocy finansowej dla chorych (szczególnie dzieci), ale przemiłczą kwestię zarobków w redakcjach i korzyści płynących z usługiwania władzy i reklamodawcom.

Współczesne media gonią za sensacjami i skandalami, które mają nie tylko szokować, ale i potwierdzać pożądane przez nadawców stereotypy, uprzedzenia i sposoby widzenia świata. Poza zaintereso-

waniem mediów pozostają interesy i troski większości uboższych obywateli, problemy płac roboczych i najwyższe dochody oligarchii, problemy walki z bezrobociem i programy walki z ubóstwem, naciski lobbystów, kwestia rodzajów własności i ich wpływu na dochody i pozycję społeczną poszczególnych obywateli, działalność redaktorów dokumentów państwowych, negocjacje liderów partii, interwencje dyplomatów i różnych instytucji finansowych i organizacji gospodarczych. Eksperti bankowi i lobbyści ukazywani są jako specjaliści od polityki, rozwoju społecznego i obiektywnych praw rynku. Media przyjmują założenie i próbują o tym przekonać pracujące masy, że problemy rynkowe i ekonomiczne są dla specjalistów i nie ma potrzeby objaśniać ich przeciętnym pracującym profanom.

Sondaże przeciw suwerenowi

Mirosław Karwat zauważa, że w oficjalnie funkcjonujących na rynku środkach masowego przekazu badanie opinii publicznej na mniej lub bardziej licznej próbie społecznej utożsamia się z wolą suwerennego ludu. Medializacja prowadzi do powstania sprzeczności pomiędzy absolutyzacją przez polityków i partie polityczne pojęcia elektoratu i wskaźników opinii publicznej a pomniejszaniem roli woli suwerennego ludu, pomiędzy zwracaniem uwagi na wskaźniki liczbowe a pomijaniem rzeczywistych ludzi, których one reprezentują. W jej wyniku polityk nie musi spotykać się i tłumaczyć przed tymi, o których poparcie w czasie kampanii wyborczej zabiegał i którym składał określone obietnice. Demokracja liberalna skazana jest na stopniowy uwiąd, bowiem polityk tłumaczy się „przed abstrakcyjną opinią publiczną, a konkretnie przed mediami, nieżyczliwymi często i tendencyjnymi, które podają się za rzecznika tej powszechnej i niepodważalnej opinii. Faworyt redakcyjnych rankingów i sondaży demoskopijnych może więc lekceważyć ludzi, którzy mu zaufali i na niego głosowali, gładko natomiast podporządkowuje się wyrokowi nie wiadomo kogo lub swych rywali recenzentów”².

Kamerdynerska wizja historii

Aby zwiększyć atrakcyjność swego przekazu, media prezentują rzeczywistość społeczną niejako zza kulis, przez pryzmat doświadczeń, jakie wynosi kamerdyner ze swoich kontaktów z panem, któremu służy. Hegel nazwał to „kamerdynerskim pojmowaniem dziejów”. Jan Kurowicki w swych esejach konsekwentnie występuje przeciwko takiemu prezentowaniu historii, powszechnemu we współczesnych mediach.

Hegel pisał, że dla kamerdynera nie ma bohaterów, ponieważ zna ich namiętności i słabości. „On przecież zdejmuję bohaterowi buty, pomaga mu przy pójściu do łóżka, wie, iż chętnie pija szampana itd.”. Bohaterowie opisywani przez takich „psychologicznych kamerdynarów źle na tym wychodzą; są przez tych swoich kamerdynarów niwelowani, stawiani na jednym poziomie albo raczej o parę szczebli niżej od

moralności takich świętych znawców ludzi³. W kamerdynerskim sposobie myślenia ważne wydarzenia zredukowane są do kroniki towarzyskiej, żądzy wielkich ludzi, używanej przez nich bielizny, romansów, ich chorób i dolegliwości, przypadłości pijackich i przywar charakteru widzianych często przez dziurkę od klucza. Hegel, który był idealistą obiektywnym, uważał, że bohaterowie dlatego zostają bohaterami, że lepiej rozumieją pochodź ducha dziejów. Kamerdyner natomiast „potrafi wszystkie uczynki wyjaśnić według skłonności serca i nadać im postać podmiotową, jak gdyby sprawcy tych uczynków wszystkiego dokonali z jakiejś małej lub wielkiej namiętności, z żądzy, a wskutek tych namiętności i żądzy nie byli ludźmi moralnymi⁴. Zdaniem Hegla takie podmiotowe zarzuty skierowane przeciwko wybitnej jednostce stawiane przez kamerdynerskich historyków są łatwe do postawienia i nie ukazują istoty rzeczy. Ponadto przy zarzutach stawianych wybitnej jednostce, kamerdynerski psycholog „staje [...] wzniośle i z wielką miną ponad rzeczą, bez wnikania w nią, tzn. bez uchwycenia jej samej, jej pierwiastka dodatniego⁵”.

Polityk medialny

Taka optyka patrzenia na wydarzenia również zdecydowania nie odpowiada Kurowickiemu. Konsekwentnie stara się on przywrócić polityce tradycyjne rozumienie – jako płaszczyzny w walce o interesy wielkich grup społecznych. Tymczasem medializacja polityki sprawiła, że przestało być ważne to, co polityk robi i jakie ma poglądy ideowo-programowe, ale stało się ważnym to, aby dawać mediom pretekst do mówienia o sobie. Walka o interesy poszczególnych sił społecznych zesza z pola widzenia mediów i poszczególnych partii politycznych. Politycy medialni muszą być pokazywani – nabierają coraz więcej cech celebrytów. Polityków medialnych w przeciwieństwie do profesora – mniej interesują głębokie przyczyny szerokich procesów społeczno-ekonomicznych i politycznych. „Polityczni celebryci – pisał Mirosław Karwat – absorbują sobą uwagę i odwracają ją od rzeczywistych problemów społecznych, dylematów politycznych, rzeczywistych źródeł politycznych inicjatyw i rozwiązań, od rzeczywistych sprawców działań, mocodawców i decydentów, od kierunku politycznych poszukiwań i eksperymentów, od rozkładu społecznych kosztów, strat i korzyści⁶”.

Kurowicki o medializacji

Ostatni esej w swej książce Kurowicki poświęca ogromnej roli Kościoła i religii katolickiej w procesie medializacji. Stosunki między Kościołem i religią a mediami oparte są na pewnym paradoksie. Bo z jednej strony religia, jego zdaniem, jest aksjologiczno-obyczajowym punktem odniesienia, wszystkie stacje telewizyjne zabiegają o recenzowanie wszystkich istotnych spraw narodowych, obyczajowych, kulturalnych i politycznych, i robią wszystko, aby nie narazić się hierarchom; a z drugiej strony środki masowego przekazu nie przepuszczą żadnej okazji, aby ukazać liczne afery pedofil-

skie we współczesnym Kościele, wypomnieć dogmatyzm w sprawach seksu przedmałżeńskiego, stosowania prezerwatyw, zakazu zabiegów *in vitro*, homoseksualizmu. Kościół chętnie deklaruje swą niezależność od państwa i apolityczność. Autor *Figury i masek...* natomiast posługuje się kategorią, która nie pozostawia żadnych wątpliwości co do jego rzeczywistej roli – określa Kościół jako „ideologiczny aparat państwowy”. Konsekwencją tych sprzeczności, istotnych z punktu widzenia „gry rynkowej” jest to, że właściciele mediów nie chcą i nie mogą ich zmienić w „elektroniczną świątynię”. Strona kościelna może tylko „śnić swe fundamentalistyczne marzenia”. Kościół nie zamierza zmieniać „stosunków własnościowych, by zapewnić sobie medialną wszechwładzę i wszechobecność”. „Właściciele mediów z kolei dobrze wiedzą, że różnorodne środki i treści religijne mogą służyć wytwarzaniu mnogości atrakcyjnych produktów medialnych” (s. 205-206).

Środki masowego przekazu funkcjonują jako przedsiębiorstwa, fabryki atrakcji. Przy tej okazji Kurowicki formułuje myśl, która jest odzwierciedleniem konsekwentnie stosowanej przez niego metody, a mianowicie wykazywania związku ekonomiki, polityki i ideologii: „Miarą natomiast każdej Medialnej Atrakcji nie jest ani jej wartość poznawcza, doniosłość polityczna czy społeczna; ani też znaczenie artystyczne. Tak jak w ekonomii ustala się wysokość renty gruntowej (według dochodów z najlichszych gruntów), tak kryterium rangi Medialnej Atrakcji jest jej zdolność do (negatywnego lub pozytywnego) pobudzania standardów emocjonalnych odbiorców; odbiorców – o możliwie najniższej kompetencji kulturowej, i możliwie bliskiej zeru wyobraźni socjologicznej. Samo zaś to pobudzanie jest stopniowalne: od mniej do bardziej delikatnego podrażnienia po zdolne wywoływać hysteryczne wybuchy” (s. 188-189).

Media bazują więc na podświadomości, stereotypach i psychice danego narodu. Granie na większości nawet nieświadomych odbiorców przyciąga reklamodawców i ich pieniądze. „Nie liczy się ani dobro ani zło; piękno czy brzydota; honor czy podłość itd., lecz przyciągania uwagi przez określone drażnienia standardów emocjonalnych; wyzwalanie współczucia albo nienawiści, radości lub przygnębienia” (s. 192).

Książka Jana Kurowickiego jest godna polecenia wszystkim tym, którzy dostrzegają paradoksy i sprzeczności we współczesnej rzeczywistości i szukają ich rozwiązania. Metoda stosowana przez niego pokazuje, że jest to możliwe.

EDWARD KAROLCZUK

- 1 Jan Kurowicki, *Figury i maski w praktykach ideologicznych*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2013.
- 2 Mirosław Karwat, *O karykaturze polityki*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2012, s. 593.
- 3 Hegel, *Wykłady o filozofii dziejów*, HACHETTE, Warszawa 2011, s. 40-41.
- 4 Tamże, s. 40.
- 5 Tamże, s. 45.
- 6 Mirosław Karwat, *O karykaturze polityki*, jw., s. 573.

ALEKSANDER ŁUKASZEWICZ

EKONOMIA POLITYCZNA PRZYSZŁOŚCI

(o książkach Grzegorza W. Kołodko)*

Książki, o których artykuł będzie traktował, są odrębne i mimo że tworzą dzieło o charakterze całości, nie są kolejno numerowanymi tomami. Więzy łączących te książki jest kilka: jednolita postawa poznawcza, jednolita metodologia, jednolite postulaty i rekomendacje dotyczące aplikacji polityk – na skalę krajową i międzynarodową, konsekwentne ułożenie rozważań w kontekście trwającego procesu globalizacji, jednolite oceny skutków tych procesów – pozytywnych i negatywnych.

Tytuł artykułu jest zapożyczony z podtytułu (III) – bowiem dociekania autora książek zmierzają właśnie do zarysowania konturów ekonomii politycznej przyszłości, odnosząc się zwłaszcza do rodzaju wyzwań poznawczych, miejsca ekonomii w rodzinie nauk społecznych, misji wobec tego co powinno być objaśniane i zmieniane.

Omawiane książki są bardzo obszerne: I – s. 440, II – s. 318, III – s. 447. Piszący o nich musi dokonać trudnego wyboru cech charakterystycznych, wątków wiodących – z osobna i dla całości, wreszcie różnic kontekstualnych wobec faktu zmieniających się okoliczności społeczno-ekonomicznych i politycznych w latach, kiedy książki powstawały. Podkreślić tu trzeba, że I znalazł się na światowym obszarze naukowym; dzieło to zostało wydane w przekładach w Chinach, na Węgrzech, w Turcji, Wietnamie, Rosji, USA, Iranie.

Wszystkie omawiane książki mieszczą się w gatunku rozpraw naukowych. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że autor nie unika fragmentów, nawet obszernych, które mają charakter publicystyczny (II). Nie tylko dla celów popularyzacyjnych, także dla literackiego ubarwienia wywodów. Przykładem jest rodzaj Dziurysza wydarzeń (II, rozdz. V) czy Listy (II, rozdz. XII). Zdaniem piszącego nie zakłóca to czystości gatunku; przykładów podobnych działań w literaturze światowej jest wiele. Z drugiej strony, współcześnie wysokiej klasy publicystyka często zasługuje na miano naukowej eseistyki.

Książki o tak szeroko zarysowanej problematyce obfitują w opis i analizę ogromnej ilości faktów, zdarzeń i procesów – a więc mają bogatą warstwę empiryczną. Liczne są również dane statystyczne (zwłaszcza dotyczące sfery podziału). Tutaj jednak autor odsyła

czytelnika do opracowanej przez siebie bazy danych, dostępnych w internecie.

Do faktów, zdarzeń, procesów oraz dynamiki światowych konfiguracji ekonomiczno-politycznych, jakie zawierają książki, trzeba jeszcze zaliczyć analizę transformacji ustrojowej w dawnych krajach socjalistycznych, włącznie zresztą z przypadkiem Chin Ludowych, wraz z ich osobliwą rolą w gospodarce światowej (zwłaszcza I i III), Zainteresowanie międzynarodowe (patrz wzmiankowane przekłady I) świadczą o tym, że uznano (przekłady) analizę procesu transformacji za wyróżniającą się głębokością i oryginalnością na tle przecież obfitej literatury światowej tym zagadnieniom poświęconej. Jest to tym bardziej godne wydobywania, bowiem ta literatura nie była wolna od pływów i wręcz wulgaryzmów historycznych i politycznych.

Procesy globalizacyjne, jak wspomniano, pozostają w centrum uwagi G. Kołodki, wraz z tłem tych procesów – postępowaniem technologicznym, wielkimi przemianami instytucjonalnymi świata, zmianami społecznymi oraz geopolitycznymi. Śledzenie procesów globalizacji, wiedza o ich siłach sprawczych i mechanizmach ewolucji przynosi ciągle nowe uzupełnienia, obserwacje i uogólnienia. Autor omawianych książek walnie się przyczynia do powiększania tego zasobu wiedzy, a zwłaszcza do interpretacji oczyszczającej z mitów, propagandowych przekłamań, a nawet przesądów.

Taka postawa badawcza i analityczna autora musiała zaowocować zastosowaniem metodologii holistycznej, przeciwstawnej metodologii indywidualistycznej, której hołduje ekonomia neoklasyczna (mianująca siebie nurtem głównym) i jej odgałęzienia – neoliberalizm i tzw. nowa ekonomia klasyczna. Tutaj panuje religijna wręcz wiara w zawsze dobroczynne żywiołowe działanie sił rynku, tutaj centralnym elementem analizy jest *homo oeconomicus* – jednostka całkowicie egoistyczna oraz obdarzona racjonalnością w swoich zachowaniach i wyborach, dążąca do maksymalizacji własnych korzyści. Doktryna ta, sięgająca korzeniami do utilitaryzmu epoki Oświecenia (J. Bentham), kiedy nietrudno uzasadnić jej przesłanie historyczne w ówczesnych warunkach. Pielęgnowana do dziś – stała się wręcz karykaturalna.

Pod wpływem wielostronnej krytyki dogmat racjonalności zastąpiono niedawno dogmatem racjonalnych oczekiwań, używając tego jako argumentu przeciw wpływowi państwa na procesy gospodarcze, państwa jakoby notorycznie błędzącego w zderzeniu z owymi racjonalnymi oczekiwaniami uczestników procesów gospodarczych. Ciągłe tu wraca przekonywanie, że machina biurokratyczna państwa wpływa niszcząco na wolność gospodarowania, na przedsiębiorczość, na motywacje działań podnoszących ekonomiczną efektywność. Deregulacje procesów gospodarczych, redukcje normatywnego wpływu państwa na procesy produkcji, wymiany i podziału – ta ewangelia neoliberalizmu – doprowadziły (w co wątpią dogmatycy neoliberalizmu) do obecnego kryzysu globalnego. I wtedy okazuje się, że kapłani neoliberalizmu żądają właśnie interwencji rządów i uspołecznienia strat korporacji, ale też zapewnienia, że prywatne zyski nie zostaną naruszone.

Tak więc – trzeba tu za Kołodką potwierdzić: spór o metodologię nie jest tylko sporem o akademicką jakość analizy, ale w efektach sięga szeroko do objaśnień wszystkich aspektów procesów społeczno – ekonomicznych oraz do procedur polityko – gospodarczych. Współczesny neoliberalizm uporczywie domaga się wolności gospodarczej jednostki – posiadacza i beneficjenta własności prywatnej, odmawiając dostrzegania miażdżenia tej jednostki przez mechanizmy uruchamiane przez wielkie korporacje. Nie pierwszy raz neoliberalizm ukazuje swoją antyhumanitarną postawę.

Wędrujący świat (I) może być uznany za wzorcowy przykład stosowania metodologii holistycznej, przy tym bez jakiegokolwiek śladu lekceważenia roli jednostki w procesie gospodarczym, jej potrzeb, aspiracji i motywów działania. Z kolei (III) zawiera szereg postulatów i propozycji pragmatycznego kreowania rzeczywistości – w tym przewyższania nieuzasadnionych racjami ekonomicznymi nierówności dochodowych i majątkowych. Tutaj Grzegorz Kołodko i korzysta z wielu światowych źródeł w literaturze przedmiotu, i przyłącza się do wielokrotnie praktycznie potwierdzonej tezy, że owe nierówności oddziałują wysoce negatywnie na efektywność gospodarowania, na jednostkową wydajność pracy, na identyfikację pracowników z miejscem ich zatrudnienia. Tym samym negatywnie wpływają na to, co dziś potocznie nazywa się „kapitałem ludzkim”.

Można by się dziwić żywotności mitu *Homo Oeconomicus*, jednostki całkowicie egoistycznej nastawionej wyłącznie na maksymalizację korzyści osobistych, pozbawionej jakiegokolwiek empatii – wszystko jest towarem, a stosunki między ludźmi to wyłącznie transakcje, gdyby nie to, że mit ten uzasadnia i usprawiedliwia bezwzględną walkę konkurencyjną na rynku oraz gloryfikuje zwycięzców. Jak można ten mit odnieść do rzeczywistości globalizującego się świata, większość gospodarki którego kontrolują wielkie korporacje – międzynarodowe i ponadnarodowe?. Projekcja pojedynczego członka społeczeństwa, jakiegokolwiek mu cechy nadać, na globalne procesy światowej areny jest samo przez się karkołomnym zabiegiem myślowym. Nie przestaje być jednak wygodnym narzędziem ideologii – a raczej swoistej religii. G. Kołodko krok

po kroku, rzeczowo i skutecznie podważa kolejne dogmaty tej religii – i to jest wielką zasługą omawianych tu książek.

Dla ich autora, postulującego (i tworzącego) nową ekonomię polityczną, nauka ta musi być otwarta na przyszłość, co także oznacza wystrzeganie się postaw dogmatycznych. Warto tu przypomnieć, że ekonomiści tzw. głównego nurtu, wyznawcy neoliberalnych dogmatów uważają, że ich system teorii ekonomii jest definitywny (czy nie przypomina to „końca historii” F. Fukuyamy?). Inni ekonomiści są pogardliwie zwani „dysydentami”, a oni sami – podobnie jak współcześni fizycy – są bliscy stworzenia „teorii wszystkiego”.

Wszechstronność oraz staranność i ostrożność G. Kołodki w klasyfikacji czynników działających egzo- czy endogenicznie w procesach społeczno-gospodarczych ostro kontrastuje z neoliberalną ekonomią neoklasyczną. Jej program badawczy koncentruje się na problematyce równowagi gospodarczej (przy użyciu i nadużyciu matematycznego modelowania), a w założeniach modeli zazwyczaj za czynniki egzogene uważa się postęp technologiczny, zjawiska demograficzne, zagospodarowanie przestrzeni geograficznej. Liczy się tylko „czas logiczny” – jeśli modele są dynamizowane, natomiast rzeczywisty czas historyczny jest nieobecny.

Ta ostatnia okoliczność różni szkoły ekonomii, neoliberalny neoklasycyzm od obecnie coraz bardziej popularnych szkół, np. instytucjonalizm czy ekonomia behavioralna. Trzeba tutaj dodać, że – zdaniem piszącego – poglądy autora są, rzec by można, osobne; czy i jak będą one przypisane jakiejś szkole pozostawić trzeba historykom myśli ekonomicznej. Jakies pokrewieństwa zapewne się znajdą, ale ważniejsze obecnie jest przesłanie książek oraz ich edukacyjne znaczenie.

Edukacyjnego znaczenia całego dzieła nie sposób przecenić (choć nie jest to podręcznik). Jest to natomiast szerokie kompendium wiedzy o wielu cechach współczesnego świata, a zawdzięcza to zastosowanej metodologii holistycznej oraz naturalnie z niej wynikającej interdyscyplinarności. Ta ostatnia jest coraz powszechniej uważana za atrybut naukowości w ogóle. Także coraz powszechniej dostrzega się związki między wszystkimi dziedzinami ludzkiego poznania, związki nawet między odległymi od siebie dyscyplinami, chociaż ujawniają się one rzadziej w okresach krótkich, natomiast zawsze w okresach długich.

Kolejną pozytywnie się wyróżniającą się cechą dzieła Grzegorza Kołodki jest położenie mocnego akcentu na problem jakości życia, co oznacza – o czym niżej – gruntowną rewizję metod pomiaru efektów rozwoju społeczno-gospodarczego. Ten akcent prowadzi do kolejnego ważnego kroku – umieszczenia kultury pośród czynników decydujących o rozwoju i postępie cywilizacyjnym. Wpływ tego czynnika nie jest, niestety, tylko pozytywny. Uparte kultywowanie wzorców tradycyjnych, które już utraciły rację bytu, czy tak dotkliwie dzisiaj odczuwany zgubny pod każdym względem fundamentalizm religijny są tego aż nazbyt oczywistym dowodem. Kołodko chyba zbyt łatwo pozostawił te kwestie w cieniu swoich wywodów.

Problem jakości życia, zawierając w sobie oczywiście także poziom konsumpcji oraz korzystanie przez

współczesnego człowieka z różnorodnych udogodnień cywilizacyjnych, zbyt długo był przez ekonomistów lekceważony. Był to rezultat koncentracji ich uwagi na dość wąsko pojmowanej ekonomicznej efektywności działań (w tym – alokacji posiadanych zasobów między różne ich zastosowania), w formie wąsko pojmowanej relacji koszty – korzyści.

Ekonomiczna efektywność działania oparta na rachunku koszty – korzyści jako motyw podjęcia jakiegokolwiek działania jednostkowego jest powszechnie obecny, a często staje się także instytucjonalną normą dla tegoż działania. Jednakże ekonomiczna efektywność jednostkowego przedsięwzięcia (zwłaszcza inwestycji w nowe obiekty, które dostarczą nowych dóbr czy usług) nie oznacza automatycznie korzyści dla całego otoczenia: miasta, regionu gospodarki narodowej, całej gospodarki narodowej, kontynentu czy wreszcie – gospodarki światowej. Istnieje bowiem zjawisko (i kategoria) efektywności społecznej o różnych skalach, a dla współczesności można zaryzykować stworzenie pojęcia efektywności globalnej. Aż nadto dobrze są znane przykłady wielce zyskowych przedsięwzięć jednostkowych, równocześnie – bezpośrednio czy pośrednio, skoncentrowanych czy rozłożonych w czasie – zgubnych dla środowiska naturalnego. Wskutek tego pogarsza się jakość życia – lokalnie lub globalnie (choćby efekt cieplarniany), bądź nadmierna urbanizacja jako rezultat wąsko pojmowanych tzw. korzyści zewnętrznych.

Tego rodzaju rozumowanie jest stale obecne w dziele G. Kołodki, stanowiąc kanwę propozycji strategicznych i operatywnych (III), które, przy świadomości obiektywnej konieczności globalizacji zmierza do co najmniej ograniczenia jej wielu negatywnych skutków. Całość dzieła nie pozwala stracić z oczu dramatów współczesnej cywilizacji z ich wieloma dylematami, jak choćby relacje: liczebność ludności – użyteczne dla człowieka zasoby planety, produkcja dóbr i usług – pojemność planety i jej atmosfery na odpady i odchody ze sfer produkcji i konsumpcji, itd., itp. Listę tę można mnożyć.

Dlatego też za ogromnie ważne trzeba uznać dążenia i dociekania dotyczące wyzwań przyszłości. G. Kołodko odnosi się obszernie do znanych przewidywań dotyczących postępu technologicznego, ale zawsze z zastrzeżeniem, że samo przez się nie będzie on remedium na istniejące i przyszłe wyzwania. Dlatego i przywołuje, i odnosi się do nauk społecznych, zwłaszcza do ekonomii politycznej, bowiem w spójnym działaniu z postępem technologicznym mogą stwarzać odpowiednie zespoły organizacyjne oraz instytucjonalne dla nie tylko ocalenia, ale i rozwoju cywilizacji. Po temu wszakże trzeba stanowczo odrzucić neoliberalizm – ideologię intelektualnie toksyczną, a wcieloną w politykę społeczno-gospodarczą oraz wobec środowiska naturalnego złowrogą.

Roli ekonomii politycznej w kreowaniu rzeczywistości Kołodko poświęca wiele uwagi – można to uznać za jeden z motywów wiodących całości rozważań. Postuluje sięgnięcie po narzędzia planowania (zwłaszcza III, rozdz. 7), ale pozbawionego błędów planowania centralistyczno-dyrektywnego. Chodzi tu o znane z doświadczeń wielu krajów planowanie indykatywne, dzięki któremu można wykorzystać reguły gry rynkowej

dla alokacji zasobów uwzględniającej potrzeby społeczne oraz rangę ich ważności. Autor trafnie wskazuje na sfery, których takie działania powinny dotyczyć. Są to zwłaszcza: infrastruktura ekonomiczna i społeczna, ochrona środowiska naturalnego, badania naukowe i wdrożenia, edukacja.

Trzeba tu dodać – jak się zdaje niedocenianą przez autora – sferę planowania geograficznej przestrzeni społeczno-gospodarczej, w tym – planowania urbanistycznego. Ta przestrzeń nigdy nie powinna być traktowana jako czynnik zewnętrzny wobec działań ekonomicznych, albo – co gorsza – pozostawiona żywiołowemu działaniu sił rynku. Problem ten ma wielkie znaczenie historyczne i przyszłościowe. To pierwsze wiąże się z jednym z dramatów cywilizacji; jak wspomniano nadmierne, żywiołowe (nierazko przestępcze) traktowanie tzw. korzyści zewnętrznych (położenie geograficzne, infrastrukturalne „uzbrojenie” terenów itp.) przez wiele lat wywołało nadmierną koncentrację przestrzenną działalności gospodarczej i sieci osiedleńczych, włącznie z nadurbanizacją czyli metropolizacją. Wiąże się to także z globalizacją – przeciw światowe metropolie tworzą globalną sieć centrów gospodarki światowej. Nadmierna przestrzenna koncentracja wywołuje tzw. niekorzyści zewnętrzne. Nie tylko wyraźnie negatywnie wpływa na jakość życia, ale także w ślad za erupcją motoryzacji transportu i komunikacji pociąga za sobą długotrwałe i kosztowne ciągłe przebudowy przestrzeni zurbanizowanej.

Ekonomia przyszłego kreowanego świata wymaga stałego prowadzenia studiów strategicznych konieczne – jak podkreśla autor – o charakterze interdyscyplinarnym, bez których planowanie indykatywne straciłoby rację bytu. Kreatywność zaś, czego autor trafnie dowodzi, wymaga zarówno kroczącej strategii, jak i kroczącego planowania indykatywnego.

W tym kontekście w wielu fragmentach książki Grzegorz Kołodko podnosi kwestię relacji rynek – państwo. Wbrew różnym dogmatom dowodzi, że dylemat ten nie jest i nie może być raz na zawsze rozstrzygnięty, bowiem jest i powinien być pragmatycznie rozstrzygany w określonym miejscu i w określonych przedziałach czasu, zawsze komplementarnie. Píše autor: „Rynki trzeba ex ante, z wyprzedzającą wyobraźnią obwarowywać takimi instytucjami, aby troszczyły się nie tylko o interesy doraźne, lecz również brały w rachubę koszty alternatywne w ujęciu czasowym. Za stosowną instytucjonalizację w tym zakresie odpowiada państwo. (III, s.89).

Ekonomia polityczna przyszłości – właśnie kreatywna – powinna być do tego przygotowana, aby sprostać wyłaniającym się wyzwaniom. Te ostatnie autor przekonująco grupuje w pakiet strategiczny odnoszący się zarówno do poszczególnych gospodarek narodowych, do gospodarek ugrupowań integracyjnych (zwłaszcza Unii Europejskiej) oraz do gospodarki światowej w całości. Analizowane szczegółowo wyzwania zajmują kilka rozdziałów III. G. Kołodko nazywa je „wielkimi sprawami przyszłości”. Są to: „Tempo i granice wzrostu gospodarczego, ewolucja wartości i ich kulturowe implikacje dla procesów rozwojowych, instytucjonalizacja globalizacji versus narastający brak koordynacji i chaos, integracja regionalna i jej sprzężenie z globalizacją, pozycja i rola organizacji pozarządowych, środowisko przyrodnicze

i konkurencja o wyczerpujące się zasoby naturalne, procesy demograficzne i migracje ludności, bieda, nędza i nierówności społeczne, gospodarka i społeczeństwo oparte na wiedzy, postęp naukowo-techniczny, ewolucja sieci i jej gospodarcze konsekwencje. konflikty i bezpieczeństwo, wojna i pokój” (III, s. 106).

Trzeba tu jeszcze podkreślić kwestię, do której autor przywiązuje wielką wagę. Jest to od dawna dyskutowana w światowej literaturze (oraz np. w dokumentach ONZ) problematyka pomiaru efektów rozwoju społeczno-gospodarczego. Produkt krajowy brutto (PKB) – miara skądinąd pożyteczna i niezbędna, nie może spełniać wszystkich wymagań i oczekiwań związanych z wiarygodnym pomiarem.

Mówiąc o kierunku poszukiwań właściwej miary, G. Kołodko wzbogaca literaturę o propozycję „zintegrowanego wskaźnika pomyślności”. Na jego wartość składa się: „1. poziom produktu krajowego brutto (40%), 2. subiektywne samopoczucie związane z ogólnym stopniem zadowolenia z życia, w tym z poziomem usług społecznych (20 %), 3. ocena stanu środowiska naturalnego (20 %), wycena czasu wolnego i wypełniających go wartości kulturowych (20 %). (III, s.387-88) .

Tę propozycję miernika dobrobytu autor wiąże z koncepcją wzrostu zrównoważonego (ekonomicznie, społecznie i ekologicznie), z akcentem na mniej nierównomierny podział majątku i dochodów. Uważa przy tym, że „nie lekceważąc rywalizacji neoliberalnego kapitalizmu z kapitalizmem państwowym (...) nie ta dychotomia będzie miała zasadnicze znaczenie dla przyszłości. O jej kształcie przesądzi wynik konfrontacji obu tych odsłon współczesnego kapitalizmu ze społeczną

gospodarką rynkową w formie Nowego Pragmatyzmu” (III, s. 378).

W ocenie neoliberalnego kapitalizmu oraz różnych cech globalizacji uwadze autora chyba umknęły dwie ważne kwestie, które czynią działania wielkich korporacji między i ponadnarodowych tak niebezpiecznymi dla gospodarki światowej. Są to alianse strategiczne – często o ukrytym charakterze kartelowym – oraz cały system tzw. rajów podatkowych jako powszechnie stosowana metoda okradania społeczeństw państw narodowych. Tak kategorycznie przestrzegane przez autora zasady wszechstronności oraz koincydencji wymagają nieco więcej konsekwencji w ich stosowaniu.

Całość dzieła należy do tych nielicznych publikacji, którym można przypisać rolę torowania nowych dróg naukowego poznania, otwierania wielu nowych pól poznawczych, wzbudzania krytycznych dyskusji. Pod względem rangi, stylu i rodzaju analizy naukowej oraz narracji, jak też dążenia do wszechstronności tejże analizy, całość dzieła można zaliczyć do rodziny dzieł takich uczonych jak np. L. Krzywicki, W. Kula, A. Walicki, L. Braudel czy J. Stiglitz.

ALEKSANDER ŁUKASZEWICZ

* Artykuł dotyczy trzech książek, w porządku chronologicznym: *Wędrujący świat* (2008), *Świat myśli* (2010), *Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości* (2013). Wszystkie wyd. Prószyński i Ska, Warszawa. Dla ułatwienia odniesień w tekście artykułu zastosowano oznaczenia według kolejności wydań książek: I, II, III.



MATEUSZ BURZAWA

ZJEDNOCZENIE LEWICY

Przyczyny impasu

Jeżeli mnie pamięć nie myli, do „Kuźnicy” zapisałem się w 2006 roku. Aktualnie jestem członkiem Rady „Kuźnicy”. Uczestniczę regularnie w jej posiedzeniach i dyskusjach o aktualnej sytuacji na lewicy oraz o tym, jak powinna zachować się „Kuźnica”. W naszym stowarzyszeniu żywa jest nadzieja na zjednoczenie lewicy. Co poniektórzy tęsknią za projektem LiD, a za źródło podziałów uważają tylko szorstką przyjaźń Leszka Millera z Aleksandrem Kwaśniewskim, oraz powiązane z nią powstanie SdPI Marka Borowskiego. W moim odczuciu, potwierdzonym wielokrotnie obserwacjami, to jest tylko fragment problemu. Dla mnie głównym źródłem problemu, a zarazem osi kryzysu na polskiej lewicy są kwestie ideowo-programowo-wizerunkowe. Chodzi mi tu o to, jak lewicowi wyborcy postrzegają ofertę, jaką dają im partie na lewo od PO. Dlatego pozwolę sobie tu przybliżyć moje subiektywne postrzeganie historii kryzysu na lewicy oraz aktualną sytuację.

2001-2005, czyli piętno SLD

SLD rządził i zawiódł, a lewicowi wyborcy o tym pamiętają i nie ufają partii. Gdy w 2001 roku SLD wygrał wybory odsuwając od władzy neoliberalno-konserwatywną koalicję AWS-UW, wielu lewicowych wyborców miało nadzieję na zmiany. Część tych nadziei została spełniona. Polska nadgoniła procedury niezbędne w procesie akcesji do UE i w Unii się znalazła. By jednak to osiągnąć, premier Leszek Miller zawarł dżentelmeńską umowę z Kościołem. W jej wyniku zaniedbał takie sprawy jak uporządkowanie działań Rządowo-Kościelnej Komisji Majątkowej czy likwidację Funduszu Kościelnego. Co gorsza, niektórzy politycy Sojuszu nazbyt ostentacyjnie poszukiwali religijnej legitymizacji, czego jaskrawym przykładem jest kalendarzyk wyborczy Krzysztofa Janika z wyborów parlamentarnych w 2005 roku, na którym jest jego wspólne zdjęcie z prymasem Józefem Glempem i kardynałem Franciszkiem Macharskim. Do Leszka Millera przyłgnęła etykieta tego, który dał koncesję na eksploatację bursztynu księdzu Henrykowi Jankowskiemu. Wielu polityków Sojuszu publicznie odcinało się od antyklerykalizmu czy walki z Kościołem. Wiem, że zarówno terminy takie jak „antyklerykalizm” czy „walka z Kościołem” są przez różnych ludzi diametralnie inaczej rozumiane. Jednak takie wypowiedzi w połączeniu z postawami polityków centrolewicy łączyły się w obraz klerikalnego SLD. Politycy SLD w kwestiach takich jak feminizm czy prawa osób LGBT razili swoją niewiedzą, seksizmem czy homofobią. Po latach perfekcyjnie wykorzystał to Janusz Palikot, zdobywając

znaczłą część antyklerykalnego elektoratu, który zresztą i tak już wtedy na SLD nie głosował.

Niestety, SLD równie nieroztropnie jak w tematyce światopoglądowej postępował w materii gospodarczej. Padł ofiarą błędów zachodnich socjaldemokracji, czyli koncepcji trzeciej drogi. Wspominał o tym swego czasu na spotkaniu w „Kuźnicy” prof. Zygmunt Bauman w wystąpieniu pt. *Czy przyszłość ma lewicę*. Jako urzędujący premier Leszek Miller palnął coś o wprowadzeniu podatku liniowego. SLD zlikwidował Fundusz Alimentacyjny. Kwintesencją niezrozumienia czym jest lewica, było powtarzane wielokrotnie przez L. Millera zdanie „W Polsce by prawica mogła rządzić, lewica musi wpiąć na to zarobić”. A zarabiać miała prowadząc bardziej liberalną gospodarczo politykę. Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o PKB, to SLD się spisał całkiem nieźle, ale jak zauważył na wspomnianym spotkaniu profesor Bauman, ważniejsze jest, na jakim poziomie żyje najbiedniejsza część społeczeństwa.

Dla całej masy elektoratu lewicowego SLD przestał być partią lewicową. Właśnie wtedy, gdy rządził SLD, zaczął powstawać tzw. lewicowy plankton (którego część i ja sam stanowiłem) typu: APP RACJA, SdPI, Unia Lewicy, Demokratyczna Partia Lewicy, Polska Partia Pracy itp. Wszystkie te małe partie chciały stworzyć lewicową alternatywę dla bezideowego SLD, jednak nie były do tego zdolne. Nie mogły organizacyjnie, finansowo i politycznie sprostać wyborom. W roku 2005 SLD poniósł porażkę, a SdPI odniosła klęskę, choć ta klęska wynikała również z błędnej diagnozy błędów SLD. SdPI postawiła na pokazanie, że jest uczciwą (nie skorumpowaną) wersją SLD, zamiast pokazać, że jest społeczno-gospodarczo i światopoglądowo na lewo od SLD.

Mniej więcej w tym okresie usłyszałem, od jednego z aktywistów małopolskiego SLD, „Wiesz Mateusz na lewicy liczy się tylko SLD. I elektorat lewicowy może na nas psioczyć, ale na nas zagłosuje bo nie ma alternatywy. My, by wygrać wybory i realizować nasz program, musimy jednak otworzyć się na elektorat centrowy”. To jak najbardziej logiczne myślenie miało konkretne konsekwencje w działaniu. Otwarcie się na elektorat centrowy oznaczało nic innego jak głoszenie neoliberalnych haseł. Tę strategię najmocniej realizowano w 2011 roku, gdy SLD podpisał porozumienie z BCC. W efekcie SLD nie został poparty przez OPZZ. Telewizyjna kompromitacja SLD podczas „pojedyńku” Napieralski+Wikiński+Gomułka kontra minister Rostowski, podczas której wyszło na jaw, że postulaty SLD są sprzeczne z postulatami BCC, tylko obnażyła skalę

nędzy i rozpaczy. Tak oczekiwany elektorat centrowy nie zagłosował na SLD, gdyż miał i ma nadal PO, która go najlepiej reprezentuje. Elektorat strictly socjalny nie uformowany politycznie dalej głosował na PiS. Co mógł zrobić w takiej sytuacji, uformowany światopoglądowo elektorat lewicowy? Mając dość oszukiwania przez SLD po prostu nie poszedł na wybory.

Czy zimny prysznic pomógł?

Rekordowo niski wynik wyborów w 2011 roku, który uświadomił działaczkom i działaczom SLD, że nigdzie nie jest powiedziane, iż SLD zawsze będzie w parlamencie, spowodował znaczne zmiany w Sojuszu. Walka nie toczy się wszak już o pozyskanie elektoratu centrowego, a o zachęcenie do pójścia na wybory elektoratu lewicowego. Dlatego SLD musi udowodnić, że jest partią lewicową. Niestety, niełatwo naprawić 10 lat błędów i wmawiania sobie, że czas idei minął, że liczy się pragmatyzm oraz technokratyczne zarządzanie, zgodnie z prawami jednej jedynej ekonomii. Aktualnie SLD organizuje w sejmie ciekawe konferencje, np. dotyczące praw kobiet, przemocy językowej czy sytuacji branży motoryzacyjnej. W partii też aktywniej działa Platforma Kobiet SLD, która „wprowadza gender” do partii na poważnie aktywizując kobiety w swoich strukturach. Na listach tej partii coraz więcej jest kobiet. Przykładowo w wyborach do Parlamentu Europejskiego w okręgu 10 (Małopolska i Świętokrzyskie) w 2009 roku stanowiły one raptem 10 proc. listy, a aktualnie jest to już 40 proc. Jest to ważne, gdyż SLD ciągle zarzuca się dominację mężczyzn.

Sojusz podejmuje różne inicjatywy o wyrażenie socjaldemokratycznym charakterze, chociażby zacieśnianie współpracy ze związkami zawodowymi. Dużo uwagi zwraca na upadającą polską prowincję. Postępuje w nim też cały czas ciekawa wymiana pokoleniowa. Szczególnie dobrze widać to w Małopolsce, gdzie prezydium Zarządu Wojewódzkiego stanowią inteligentni trzydziestolatkowie. Co ważne, wielu z nich cały czas się lewicowo edukuje, a właśnie z tym problemy mieli ich poprzednicy.

Aktualnie mamy bardzo przyjazny klimat dla antyklerykalizmu. Mam tu na myśli atak Kościoła na gender (stworzenie pojęcia ideologii dżender), afery pedofilskie jak i drastyczny rozdźwięk między Kościołem papieża Franciszka a polskim Kościołem. Poza tym *dominantes* spada, a politycy coraz bardziej dostrzegają, że katolików ubywa i to nie tylko w dużych miastach.

Kryzys neoliberalizmu również jest dla SLD szansą. Runęły liczne dogmaty „jedynej ekonomii”. Ekonomiczny dyskurs dr. Leszka Balcerowicza nie jest już traktowany jak prawda objawiona. Dlatego śmielsze postulaty ekonomiczne (np. bezwarunkowy dochód podstawowy) są traktowane przez opinię publiczną bardziej na serio. Pytanie brzmi, czy SLD jest gotowy do zaproponowania konstruktywnej, nowej wizji dla Polski? W jakim zakresie będzie rozsądnie antysystemowo reformatorski, a na ile populistyczno-krytykancki? I czy jego członkinie i członkowie „do serca” wzięli sobie naukę z lat 2005-2011? Na ile wartości lewicowe są dla nich ważne oraz w jakim stopniu je rozumieją?

Na lewo od SLD też jest lewica

W dyskusjach o zjednoczeniu lewicy zapomina się o licznych małych partiach. Rozumiem to, bo nie mają

one odnotowywanego poparcia społecznego. Małe partie nie mają rozbudowanych struktur mogących zebrać podpisy podczas wyborów, więc nie mają możliwości same startować. Często w okręgach wyborczych mają zbyt mało członkiń i członków, by nawet wypełnić listy wyborcze. Nie mają pieniędzy ani politycznego poparcia. Jednak kilka z nich prowadzi ciekawą pracę u podstaw, która za lat kilka może przynieść plony. Chodzi mi o Zielonych (mocno związanych ze środowiskiem Krytyki Politycznej) i Ruch Sprawiedliwości Społecznej, czyli nowej partii Piotra Ikonowicza.

Zieloni zdają się być reprezentacją polityczną ruchów miejskich. W ten sposób trafiają do ludzi, którym na czymś zależy, np. na ich dzielnicy, na parku, na komunikacji miejskiej, partycypacji i budżecie obywatelskim. Oczywiście w chwili obecnej takie ruchy obserwujemy w dużych miastach jak Warszawa, Kraków czy Poznań, ale pozytywny przykład z góry idzie w dół, a wraz z nim rośnie zasięg tych, których Zieloni rozumieją, i których mogą być reprezentantami. Siłą jak i słabością Zielonych jest wysoki poziom intelektualny członkiń i członków tej partii. Jest to zaleta przy kwestiach programowych czy analitycznych. Może być to jednak wadą w komunikacji z mniej czytanyymi potencjalnymi wyborcami. W chwili obecnej Zieloni reprezentują miejską lewicową inteligencję. Przy wsparciu ruchów miejskich mogą więc teoretycznie osiągnąć sukcesy w wyborach samorządowych w dużych miastach, choć czeka ich bardzo dużo ciężkiej pracy.

Ciekawą i społeczno-polityczną potrzebną inicjatywą na lewicy jest antysystemowy, socjalistyczny Ruch Sprawiedliwości Społecznej pod przewodnictwem małżeństwa Ikonowiczów. Jest to oferta dla tych (wielu), którzy już nigdy SLD nie zaufają. Jest to też polityczna oferta dla tych, którzy są zmęczeni obecnym późno-neoliberalnym systemem i pragną zerwania z nim raz na zawsze. Dla nich główny nurt polskiej centrolewicy zbyt zakorzeniony jest w tym systemie. Co gorsza, do tej pory jedyną ofertę antysystemową zgłasza PiS i jego pochodne oraz ruchy nacjonalistyczne. Dlatego *strictly* lewicowa formacja na lewo od centrolewicowych SLD, UP czy SdPI może zwiększyć frekwencję podczas wyborów i stać się lewicowym koalicjantem dla centrolewicy, po wyborach (wiem, iż jest to scenariusz hiperopptymistyczny). Posiadanie konkurenta na lewo od SLD wymusi na Sojuszu dbanie o lewicowego wyborcę.

Czy Twój Ruch (Palikota) jest lewicowy

Obserwując Ruch Palikota odniosłem wrażenie, że partia ta prowadzona jest jak firma produkcyjno-usługowa, której oferty adresowane są do różnych klientów. Jest tam więc oferta dla antyklerykałów, zwolenników legalizacji marihuany, LGBT ale też dla klasy średniej, a konkretnie właścicieli małych i średnich firm. Równocześnie inny pakiet przewidziany jest dla klasycznych lewicowców, ludzi biednych, zagrożonych eksmisją na bruk, tyle tylko, że tak samo jak w przypadku SLD to się nie sprawdza. Inny interes klasowy mają średni przedsiębiorcy, (w tym deweloperzy), a inny pracownicy czy zagrożeni eksmisją. I co z tego, że Anna Grodzka przygotowuje ustawę o ochronie lokatorów i walce z bezdomnością, jak zaraz nie spodoba się ona w partii, gdyż uderzy w interes deweloperów i właścicieli mieszkań czynszowych itp. Problemem ideologicznym Twojego

Ruchu jest jego świadoma postpolityczność zmieszana z trzecią drogą i wiarą w technokrację. Wielokrotnie taka wizja padała z ust prof. Jana Hartmana czy samego Janusza Palikota, a myślenie zawsze przekłada się na działanie. W moim odczuciu Twój Ruch na poziomie ideologicznym popełnia te same błędy, jakie popełniał SLD. Oczywiście nie wszystkie. Nadal jest to partia antyklerykalna (aczkolwiek w środowisku laickim dostrzegana jest coraz bardziej płytkość tego antyklerykalizmu) jak również partia, która wie, że parytety są bardzo ważne. Jednak postpolityczność tej partii wpływa na jej rozmycie programowe na poziomie społeczno-gospodarczym, a nie można równocześnie „dwóm panom” służyć.

Trafnie zauważył też Cezary Michalski¹, że Twój Ruch to partia mieszczańska. A mieszczenie są na dobroku i nie chcą się jeszcze dzielić swoimi dochodami z resztą społeczeństwa. Oczekują niskich podatków i cięcia socjału, a biedniejszą część społeczeństwa traktują jak nierobów. Twój Ruch więc walczy o centrowy liberalny wielkomiejski elektorat, głosujący najczęściej na PO.

Z jednej strony zarówno we władzach Twojego Ruchu jak i na listach Europy Plus pomyślano o parytetach. Co więcej, Europy Plus udało się pozyskać do kandydowania w majowych wyborach wiele ciekawych kobiet, m.in. Kazimierę Szczukę, Barbarę Nowacką, Dorotę Gardias czy kandydatki Kongresu Kobiet. Pytanie brzmi, jak duży będą one miały wpływ na kluczowe decyzje w Europie Plus? Przecież w Europie Plus rządzą same samce (w większości z SLD). Kwaśniewski, Siwiec, Kalisz, Kwiatkowski i Palikot. Istnieje obawa, że dominuje tam męska polityka, która traktuje kobiety na listach jak kwiatek do kożucha.

Również „kawiorowość” i „celebryzm” A.Kwaśniewskiego czy R.Kalisza nijak ma się do wizerunku Europy Plus jako lewicy. Oni nie zdają sobie chyba z tego sprawy, jak bardzo szkodzą przenosząc odium „lewicy kawiorowej” z SLD do Europy Plus i Twojego Ruchu milionera Janusza Palikota. Jest to bez wątpienia działanie na wizerunkową korzyść SLD.

Ciekawe jest też to, że po pierwszej fali migracji ludzi z SLD do Ruchu Palikota, gdy przechodzili głównie politycy i polityczki antyklerykalni i kulturowo liberalni typu Anna Grodzka, Robert Biedroń, a później Sławomir Kopyciński, teraz Europę Plus chcą budować SLD-owscy konserwatyści typu R.Kalisz, A.Kwaśniewski. O konieczności stworzenia wspólnej listy centrolewicowego SLD z centrowym Twoim Ruchem mówi też kolejny konserwatysta Włodzimierz Cimoszewicz. W Europie Plus z frakcji konserwatywnej SLD brakuje chyba tylko Józefa Oleksego i Krzysztofa Janika. Jest to jednak dziwna sytuacja. Bo pod jednym szyldem mamy zarówno otwartych antyklerykałów i antyklerykałki z SLD oraz dawnej Antyklerykalnej Partii Postępu RACJA, a z drugiej strony konserwatystów z SLD, którzy jak mogli, hamowali w SLD antyklerykalizm i liberalizm kulturowy. Zwróćmy uwagę, że Europie Plus przewodzi Aleksander Kwaśniewski, który jako prezydent twierdził, że antyklerykalizm to choroba, którą należy leczyć, i który podpisał ratyfikację Konkordatu. Przypuszczam, że te różnice doprowadzić mogą prędzej czy później do konfliktu.

Może on dać szansę SLD na odzyskanie wartościowych polityczek i polityków, zwłaszcza Anny Grodzkiej, którą uważam za wzór lewicowej posłanki. Ma ona olbrzymie wyczucie społecznych problemów i potrafi z lokatorami, ludźmi zagrożonymi eksmisją systematycznie pracować nad nowelizacjami ustaw, np. *Ustawą o ochronie lokatorów i przeciwdziałaniu bezdomności*. Dla SLD utrata A.Grodzkiej była jakościowo większą stratą niż odejście celebryty R.Kalisza.

Zgodzić się mogę z Włodzimierzem Cimoszewiczem, że demokracja to budowanie kompromisu, szukanie możliwe najszerszego marginesu wspólnych poglądów, ale politycy w Polsce nie znoszą konkurencji, pojmują politykę jako rywalizację wszystkich ze wszystkimi, i tą chorobą jest dotknięta także lewica. W.Cimoszewicz ma absolutną rację twierdząc, że „gdy w SLD pojawiły się ruchy kontestujące różne patologie – jak inicjatywa Marka Borowskiego – potraktowano je jak zdradę. SdPI stała się najgroźniejszym przeciwnikiem, którego trzeba było zniszczyć. SLD ciągle woli walczyć ze środowiskami bliskimi ideowo.”² Nie zmienia to jednak faktu, że nie każdy kompromis jest do zaakceptowania przez lewicę (np. tzw. kompromis aborcyjny), a nadmiar kompromisów eroduje wiarygodność partii, gdyż oznacza odejście od obietnic wyborczych. Kryzys poparcia społecznego wobec SLD to również kryzys zaufania do lewicowości SLD. Eksperymentujący z „trzecią drogą” Twój Ruch, upatruje swój sukces w dogadaniu wszystkim, czyli w ideowym rozmyciu. Dla SLD powrót do tej strategii byłby gwoździem do trumny. W.Cimoszewicz, A.Kwaśniewski, M.Siwiec czy R.Kalisz nie potrafia tego zrozumieć.

Zresztą gdy W. Cimoszewicz do jednego wora wrzuca dr. Leszka Balcerowicza z prof. Grzegorzem Kołodko (który jest wielkim krytykiem ideologii promowanej przez L.Balcerowicza) i sugeruje, że SLD będzie wiarygodny jeśli będzie powtarzać neoliberalne frazesy (np. o potrzebie wprowadzenia podatku liniowego czy obniżania podatków przedsiębiorcom) to ciężko mi tego pana potraktować poważnie. To co głosi dr L.Balcerowicz nie jest wcale elementem realizmu, tylko ideologia stworzoną przez Friedricha A. von Hayeka i Miltona Friedmana, którą w latach 80. XX wieku wypromowali anglosascy konserwatyści Margaret Thatcher i Ronald Reagan. To właśnie ta ideologia zgotowała nam (przewidziany przez prof. G.Kołodkę³) obecny kryzys.

Odnosnie sporów na linii Twój Ruch a SLD, w moim odczuciu ważne jest jednak to, by nie palić mostów między Twoim Ruchem, Europą Plus a SLD, tak by partie te potencjalnie mogły zawrzeć koalicję po wyborach. Żenujące pyskówki między Leszkiem Millerem a Januszem Palikotem temu nie służą.

Dlaczego zjednoczenie nie jest na razie możliwe

Podsumujmy. SLD jest nadal najsilniejszą partią na centrolewicy. Różne ośrodki badań sondażowych dają tej partii między 10 a 16 proc. poparcia. Realnie szacują poparcie dla SLD na poziomie 12-14 proc. głosujących. Twój Ruch, zgodnie z sondażami, może liczyć na 2 do 6 proc. Inne partie na lewo od centrum nie są

¹ Cezary Michalski, *Lewica skazana na mniejszość*, <http://www.polityka.pl/kraj/analizy/1567001,1,dlaczego-mamy-w-polsce-tak-marna-lewice.read>

² Agata Nowakowska, Cimoszewicz, *Został malenki SLD, idę na emeryturę*, http://bialystok.gazeta.pl/bialystok/1,35235,15351905,Cimoszewicz_Zostal_malenki_SLD_ide_na_emeryture.html

³ Grzegorz W Kołodko, *Wędrujący świat*, Prószyński i Ska, Warszawa 2008.

rejestrowane przez te ośrodki badawcze. SLD jest więc tu najsilniejszy i jest tego świadomy. Choć nie jest tak arogancki w stosunku do mniejszych podmiotów jak kiedyś, to jednak struktury tej partii chcą być doceniane i uwzględniane na listach. Małe partie poza szczydem (o niskiej wartości politycznej) nie mają własnych atutów. Tylko UP ma do zaoferowania coś więcej, np. popularnych w okręgach polityków typu Adam Gierek czy Jan Orkisz, którzy mają swój elektorat. Reszta małych partii nie ma na razie silnych kart przetargowych. Wiele małych partii ma jednak swój etos i honor oraz przecenia swoje znaczenie. Nie chcą być wykorzystywane przez SLD jako jego legitymizacja i startować z najgorszych miejsc na jego listach wyborczych.

Jednak i te małe partie mają kłopoty ze zjednoczeniem. Źle się do tego zabierają. Historia Unii Lewicy, gdzie z 6-7 partii powstała 8 jest tego dowodem. Oczywiście pewne małe partie postępują racjonalnie, np. po 11 latach działalności RACJA Polskiej Lewicy (dawna Antyklerykalna Partia Postępu RACJA) zjednoczyła się w 2013 r. z Ruchem Palikota tworząc Twój Ruch, jednak połączenia partii zdarzają się rzadziej niż ich rozłamy.

Spór między Twoim Ruchem a SLD jest również sporem personalnym. Należy jednak pamiętać, iż w 2011 roku to Janusz Palikot mówił o zmiążdżeniu SLD, czym zraził do siebie aktyw tej partii. Leszek Miller, gdy przejął kierownictwo nad SLD po Grzegorzcu Napieralskim, wykorzystał te nastroje, choć nie zawsze w rozważny sposób (zob. akcję SLD pod idiotycznym tytułem *Książka zamiast marihuany*). Nie wolno zapominać, iż Twój Ruch nie jest partią lewicową ani nawet centrolewicową. Anna Grodzka (która nawet nie jest członkinią tej partii) czy inni byli działacze SLD tego stanu nie zmieniają. A SLD nie potrzebuje koalicjantów, którzy rozmyją z tak w wielkim trudem odbudowywany lewicowy wizerunek. Dlatego projekty typu Europa Plus, Lewica i Demokraci czy zapomniane już Porozumienie dla Przyszłości w moim odczuciu są wielkim zagrożeniem dla SLD i innych partii lewicowych oraz centrolewicowych.

Zieloni i Ruch Sprawiedliwości Społecznej nie uznają SLD za partię lewicową, więc nie widzą możliwości koalicji z nią. Zresztą te projekty polityczne, by zaktywizować siedzący podczas wyborów w domach elektorat *stricto* lewicowy czy potencjalnie lewicowy (ludzi wykluczonych lub zagrożonych wykluczeniem, prekariat itd.)⁴ muszą trzymać się od „skompromitowanego SLD” z daleka. SLD może zaprosić do siebie trochę centrolewicowego „planktonu” (np. SdPI, UL) i centrolewicowych wyborców. Małe partie lewicowe typu PPS czy PPP raczej powinny wspomóc Ikonowicza czy Zielonych (którzy nawiązali współpracę z Partią Kobiet). Program tych partii musi być rozsądnie antysystemowy, to znaczy muszą zaprezentować możliwą do realizacji „nową” wizję, w miejsce obecnego konserwatywno-neoliberalnego systemu.

Samemu SLD taka sama, głęboko reformistyczna strategia również by nie zaszkodziła. Kryzys tego systemu hodzi nam totalitaryzmu. Przykład Węgier pokazuje, że UE nas nie uchroni przed wewnętrznym zagrożeniem ze strony radykalnie prawicowego populizmu.

⁴ Lewicowość elektoratu wiąże się z jego świadomością polityczną. Bycie wykluczonym wszak nie oznacza posiadania lewicowej świadomości. Wykluczonymi często są np. sympatyczki i sympatycy Radia Maryja. Część prekariatu wierzy Korwinowi-Mikke.

Bardzo niska frekwencja w wyborach spowodowana niską jakością naszej sceny politycznej spowoduje, że o wynikach wyborów zadecydują twarde elektoraty. Najliczniejszy twarde elektorat ma PiS. I w walce z tym zagrożeniem cała Polska lewica musi być zjednoczona, co jednak nie oznacza wystawienia jednej listy wyborczej. Zjednoczenie lewicy nie jest celem samym w sobie i paradoksalnie dwie listy – centrolewicowa (np. SLD+UP+SdPI+UL+...) i lewicowa (np. RSS +PPS+Zieloni+...) mogą zdobyć więcej głosów niż jedna wspólna (nierealna zresztą) lista. A Twój Ruch niech zjednoczy resztę liberalnego centrum (PD, SD itd.), ale nie nazywajmy tego centrolewicą, a tym bardziej lewicą.

Dylemat przyszłości

Dużo wskazuje, że najbliższe wybory wygra PiS, a do sejmu wejdą trzy partie czyli PiS, PO i SLD. Przy takim scenariuszu, jeśli PiS nie zdobędzie 50 proc. + 1 mandatów, to aby powstał rząd, SLD będzie musiał być czymś koalicjantem. Jedna i druga opcja jest dla tej partii wizerunkowo i politycznie tragiczna. Niestety bojkot POPiS-u też nie jest rewelacyjnym wyjściem, gdyż to na SLD spaść może odium kryzysu rządowego i przedterminowych wyborów, których wynik może być bardzo różny. Dobrze by było, aby do sejmu dostał się więc PSL, i aby mógł powstać w miarę stabilny rząd, bez SLD. W tym czasie Sojusz mógłby dalej odzyskiwać swoje utracone poparcie, bez konieczności zawierania wielkiej koalicji na wzór niemiecki. Jeśli jednak SLD będzie musiał wejść w pakt z diabłem, to będzie to diabeł PO, a SLD będzie wzorować się na niemieckiej wielkiej koalicji z udziałem SPD. Utrudni to jednak bardzo odbudowę lewicowego wizerunku tej partii. Wtedy siły na lewo od SLD będą miały politycznie jeszcze lepsze warunki do rozwoju, jednak to za mało, by wygrać kolejne wybory.

Do wyborów parlamentarnych mamy jeszcze niecałe dwa lata, więc zobaczymy, co się do tego czasu wykluje. A scenariuszy możliwych wydarzeń można teraz napisać setki. Ważne jest jednak to, aby relacje między SLD, Europą Plus i RSS były na tyle dobre, by podmioty te miały możliwość koalicyjną po wyborach. I pamiętajmy – rozsądna antysystemowość wynikająca z krytycyzmu nie jest zła. Ale antysystemowość musi bazować na wizji i zerwaniu z aktualnie wyznawanymi dogmatami. Zadaniem lewicy i centrolewicy w początkach XXI wieku jest zerwanie z 30-letnią hegemonią zglobalizowanego neoliberalizmu. W Polsce na dodatek ma ona za zadanie odklerykalizować kraj. W sytuacji ekspansywnego, roszczeniowego klerikalizmu lewica nie ma możliwości na porzucenie antyklerykalizmu. Ważne, by był to rozsądny acz stanowczy antyklerykalizm.

W „Kuźnicy” kondycja na centrolewicy jest tym czymś, czym się martwimy. Ale często zapominamy, że te podmioty które traktujemy jako lewicowe, nie są za takie traktowane przez społeczeństwo, a ich lewicowość jest kwestią ich deklaracyjności, nie realizowanych działań. Zapominamy, iż lewica w Polsce nie odrodzi się na salonach, na spotkaniu bijących sobie brawa dawnych liderów, tylko z pomocą pracy u podstaw. Właśnie to nam mówił Zygmunt Bauman w „Kuźnicy”. Jego widzenie lewicy jest mi bardzo bliskie.

MARIAN STĘPIEŃ

O »»K U Ź N I C Y««

Fragmenty dziennika (I)

22 X 1978

Teraz, po powrocie, odczuwałem niepokój przed pierwszymi kontaktami z różnymi miejscami, po prawie rocznej nieobecności. Z Uniwersytetem, Instytutem, studentami i właśnie z „Kuźnicą”.

W zasadzie w „Kuźnicy” nie było rozczarowania. To słówko: „w zasadzie” jest tu potrzebne. Poczułem się dobrze w gronie ludzi, przed którymi mogłem nie ukrywać, co myślę, ale jakieś elementy przezornej ostrożności były. Zauważyłem interesujące różnice między postawami kilku osób, powiedziałbym, na moją korzyść. Spotykałem sojuszników mojego myślenia. Były wprawdzie wystąpienia dziwnie płaskie i pokorne na spotkaniu z Najdowskim, w wymianie myśli na temat wyboru Papieża dawało się zauważyć u niektórych rozmówców zbytnią ostrożność, jakby oczekiwanie na opinię „instancji”.

18 XI 1978

Wczoraj wieczór w „Kuźnicy”. Dwugłos (Hieronima Kubiaka i mój) na temat: Polonia współczesna i jej literatura. Spotkanie udane, przedłużone dyskusją i pytaniami do ponad trzech godzin. Był Hołuj, Broszkiewicz, kilku młodych polonistów z Uniwersytetu i WSP. Miałem sposobność sformułować głośno i publicznie tezę o jedności literatury polskiej (tej w kraju i tej na emigracji), o naszym obowiązku zajęcia się wszystkimi obszarami literatury współczesnej. Opowiadałem o spotkaniu z Czesławem Miłoszem, komentowałem fragment listu Danuty Mostwin: „Recenzja, a raczej esej Pana w »Miesięczniku« dotarł do mnie przez »Kulturę« paryską. Giedroyc przysłał mi odbitkę, oczom nie mogłam uwierzyć, że taki artykuł ukazał się w kraju. Widocznie coś się pozmieniało, nie wiadomo na jak długo”.

Miłosz, Giedroyc jako pośrednik między mną a Danutą Mostwin, „Kultura” paryska – wszystko to musiało zabrzmieć dość niezwykle, bo kiedy wychodziłem, byłem już w drzwiach usłyszałem za sobą szept: »Marian, radzę ci, byś tak nie opowiadał o spotkaniu z Miłoszem i o tym Giedroyciu i „Kulturze”. Odwróciłem się. To [...] sączył mi te słowa do ucha, niby z życzliwości«.

3 XII 1978

W piątek było spotkanie w „Kuźnicy” z Hubertem Orłowskim na temat lewicy intelektualnej w RFN. Mówił żywo, ciekawie, ze znakomitą znajomością realiów. Prezentował dużą ilość druków niemieckich wydawa-

nych przez lewicę. Świetnie orientował się w przedmiocie; górował nad zebranymi w sposób prosty, naturalny, bez chępliwości. Brakowało mi jednak pytań dotyczących postawy tej lewicy: wobec ZSRR, zjednoczenia Niemiec i Polski. Kilka osób w dyskusji próbowało się zbliżyć do tych kwestii

5 I 1979

Prezydium „Kuźnicy”. M. in. dyskusja nad faktem publikowania własnych prac przez członka Partii w „Tygodniku Powszechnym”.

11 I 1979

Po zebraniu w „Kuźnicy” (miał być Barcikowski – nie dojechał, utknął w Warszawie, skąd nie odleciał samolot do Krakowa) pojechaliśmy na noworoczne przyjęcie do domu recepcyjnego Urzędu Miasta Krakowa na Woli Justowskiej, w tzw. Kaczym Dole. Byłem tam pierwszy raz.

Najłatwiej byłoby dać upust złośliwościom, ironii, obserwacji z boku – ale jakoś mnie w tym kierunku nie szczególnie nie popycha. Jak zwykle przy takich okazjach wielu ludzi za wszelką cenę starano się pokazać, być w pobliżu różnych ważnych osób, czyniąc w tym kierunku zabawne wysiłki – ale zjawisko takie, znane od dawna, nie skłania do zatrzymania na nim uwagi.

Spotkanie było może nawet zbyt poważne, pozbawione występującej w podobnych okolicznościach niefrasobliwej wesołkowatości. Może ciążyła nad wszystkimi świadomość naszych niedostatków i braków, tak dotkliwie obnażonych przez atak zimy, gwałtowny, to prawda, ale, na razie przynajmniej, nie tak długotrwały i nie tak silny, by usprawiedliwiał wszystkie komplikacje.

23 I 1979

Wieczorem w „Kuźnicy” dyskusja o sytuacji w środowiskach twórczych – przed plenum Komitetu Krakowskiego PZPR. Z udziałem: Pietscha, Pieszcachowicza, Chudzińskiego, Kubiaka, Miklaszewskiego, Polonego. Żebyż tak można z tym autentycznym słowem wyjść szeroko, otwarcie; przez prasę, radio, telewizję. Wywołać poruszenie umysłów, spowodować energiczniejsze działanie, śmiałej wyzwolić inicjatywę, pomysłowość. Śmiało wyjść z pełną prawdą o wszystkim. Mądrzej decydować, poprawiać, co zrobiło się źle. Dużo można by tu mnożyć życzeń, które datyby się

sprowadzić do kilku prostych prawd: uczciwości, prawdomówności, praworządności, mądrości. Czyżbyśmy się już tak zaplątali, że straciliśmy zdolność powrotu do tych postaw?

28 II 1979

Przedwczoraj dostałem pismo z „Kuźnicy” dotyczące zorganizowania wiosną sympozjum poświęconego Grupie Krakowskiej. M.in. z moim referatem. Jest to następstwo dawno wyrażonej przeze mnie zgody, kiedy nie wiedziałem jeszcze, że znajdę się w tak trudnej, jak obecnie, sytuacji. Ale nie chcę się z tego wycofywać.

1 III 1979

...o przedwczorajszym spotkaniu w „Kuźnicy” ze Skarżyńskim z Centralnego Zarządu Wydawnictw i Łowickim z Wydziału Kultury KC. Wyszedłem z tego spotkania przygnębiony, rozstrojony, zrezygnowany, z poczuciem zmarnowanego czasu. Była to rozmowa głuchych. Z jednej strony – pełne zaangażowania, niepokojnej myśli, ciekawe i ważne wystąpienia z sali: Kurza, Broszkiewiczza, Woźniakowskiego, Surdykowskiego, może i moje, a z drugiej – tępe, urzędowe przemówienia, nie podejmujące niczego z dyskusji; jakby jej nie było.

Chciałem jeszcze, pełen oburzenia, zabrać głos ponownie, ale Hołuj szybko zamykał spotkanie. Może to i dobrze, bo pewno bym się nie opanował i poobrażał przyjezdnych gości „Kuźnicy”.

7 III 1979

Nagroda „Kowadła” dla Andrzeja Wajdy. Wywoływała kontrowersje. Jedni chcieli, by ona była za *Człowieka z marmuru*. Nie wszystkim (z władz i z „Kuźnicy”) to się podobało. Skończyło się na kompromisie, który właściwie wszystkich zadowolił. Wajda dostał „Kowadło”, ale ze szczególnym wyeksponowaniem *Ziemi obiecanej*.

Dziękując za wyróżnienie Wajda powiedział m.in., że nagrodę „Kowadła” przyjmuje z dużą satysfakcją, przede wszystkim dlatego, że otrzymał ją z rąk środowiska twórców marksistowskich. Wspomniął, iż kiedyś, po kolaudacji *Ziemi obiecanej*, jeden z wybitnych marksistowskich pisarzy rzekł mu: „Pan jest większym marksistą niż niejeden z nas siedzących na tej sali”. Na to Wajda: „Może pan to powie głośno”.

Tym pisarzem był Jerzy Putrament. A Wajda przypominając tę sytuację nie dodał tego, co od niego po tych słowach usłyszał: „Obawiam się, że mógłbym tym panu zaszkodzić w pańskim środowisku”.

17 III 1979

Wczoraj w „Kuźnicy” dyskusja nt. Granice literatury faktu. Zeszli się i zjechali dziennikarze-reportażyci z Krakowa i z całej Polski: Zbigniew Kwiatkowski, Janusz Roszko, Dorota Terakowska, Wojciech Adamiecki, Jerzy Surdykowski, Józef Kuśmerek, Stefan Maciejewski, Romuald Karaś, Stanisław Jankowski, Krzysztof Kasprzyk i jeszcze wielu innych. Dyskusja trwała wiele godzin, była bardzo autentyczna. Zeszła nieuchronnie na ponure diagnozy dzisiejszej polskiej rzeczywistości.

Możliwość lub niemożliwość pisania; zniewolenie; zależność od różnych naczelnych i najczelniejszych;

konieczność wykonywania nieprzekonujących poleceń, pisanie pod rygiorem utraty posady – to główne wątki dyskusji. A przy tym refleksje o partii, o stosunku do jej decyzji, o ich aprobacie i odmowie. Niby nic nowego, a jednak...

Jesteśmy chorzy. Może nie na schizofreniczne rozdwojenie, jak niektórzy sugerowali, ale chorzy jesteśmy. Łapiemy okazję, by wyrzucić z siebie coś, co w nas wzbiera. Nie żyjemy normalnie, A co najgorsze – gadamy bezskutecznie.

Lecz trzeba to tu urwać, bo już wchodzę w ton podobny i poświęcam czas częściej pisaninie i bezskutecznemu rozmyślaniu. Oczekuje się zmian. To oczekiwanie wisiało nad naszą dyskusją.

22 III 1979

Przygotowuję przemówienie z okazji wręczenie Janinie Dziarnowskiej nagrody „Kowadła” za *Słowo o Brunonie Jasieńskim*. Złowrogi i jakże obcy nam świat, na jaki Jasieński trafił w ZSRR – i jaki po wojnie trafił do nas.

28 III 1979

Po południu spotkanie w „Kuźnicy” z kilkusobową delegacją kulturalną z KC SED. Rozmowa głównie o „Kuźnicy”. Czym jest, jakie treści wypełniają jej program. Rozmowa – wbrew oczekiwaniom i obawom – okazała się bezpośrednia, otwarta i ciekawa.

Aż trudno uwierzyć, ale z całego „kuźnicowego” grona, o różnym przecież poziomie i poglądach, człowiekiem najmniej ciekawym wydaje się Jerzy Krassowski. Dziś również wystąpił. Tyle denerwującego narcyzmu, wadliwe poczucie humoru. Ostatnio teatru też nie robi dobrego. Przypominam sobie jego służalcze wystąpienie na spotkaniu z ministrem Najdowskim.

21 IV 1979

Zebrań Prezydium „Kuźnicy”. Malo interesujące, nijakie. Informacje o stosunku cenzury do „Zdania”.

24 V 1979

Dziś w południe otwarcie wystawy dorobku Grupy Krakowskiej w Pałacu Sztuki TPSP. Pierwsze wrażenie imponujące. I duże uznanie dla realizatorów tej wystawy. Po obiedzie sympozjum poświęcone tej Grupie i sprawom z nią związanym. Referat Mieczysława Porębskiego, potem mój (*Lewica artystyczna Krakowa w dziesięciolecie przedwojennym*) następnie pani Haliny Hryńczuk, Anny Mayer, Janusza Zagrodzkiego, Bogdana Kędziorka (ma on ładne zbiory dzieł twórców z Grupy Krakowskiej).

Sympozjum trwać będzie jeszcze jutro i pojutrze, ale nie ono, lecz wystawa nada właściwą rangę wydarzeniu, do którego przyczyniła się „Kuźnica”.

23 VI 1979

„Kuźnica” otrzymała nagrodę „Trybuny Ludu”. W imieniu „Kuźnicy” odbierałem ją, razem z Siatkowskim i Lubaszenką, wczoraj w Warszawie, w KC PZPR, z rąk Jerzego Łukaszczyka (!). Spotkaliśmy laureatów z Krakowa: Halinę Czerny-Stefańską i Juliana Kawalca.

Przemawiał Jerzy Łukaszczyk. Nawet lepiej niż się spodziewałem. Słabo wystąpił Rainko w imieniu

nagrodzonych. Trochę wyróżniono delegację „Kuźnicy” (w zatrzymaniu uwagi, w Dzienniku Telewizyjnym). Dobrze, że „Kuźnica” zyskała sobie i tutaj uznanie, bo jeszcze niedawno tego nie było.

14 X 1979

W piątek (12 bm) spotkanie w „Kuźnicy” z historykiem W. T. Kowalskim na temat września 1939 roku. Nie było rewelacji, ale coś oczyszczającego w rozmowie, w której poruszało się bez zahamowań sprawy: paktu Ribbentrop-Mołotow, 17 września, deportacji Polaków z Kresów, Katyń.

Siedziałem obok Celiny Bobińskiej. Przypomniałem jej, jak to na mnie posypały się gromy między innymi z jej strony (a także Waldenberga i Kędziorka), gdy po wysłuchaniu referatu Chruszczowa w auli Collegium Novum upomniałem się o prawdę o Katyniu. Powiedziała, że wówczas (w 1956 roku!) była pewna, że to zrobili Niemcy. Gdy wspomniałem o dającym dużo do myślenia potraktowaniu zbrodni Katyńskiej na Procesie Norymberskim w 1946 roku, sprawiła wrażenie, że po raz pierwszy o tym słyszy. Historyk...

31 X 1979

Dzisiaj w „Kuźnicy” spotkanie z Adamem Hanuszkiewiczem. Ciekawe, żywe, interesujące. Ale bardzo niepewne były tezy bohatera wieczoru. Podawał je znakomicie, jeśli wziąć pod uwagę retorykę wspieraną dobrym aktorstwem. Irracjonalizm, intuicja, prądy elektrobiologiczne – gdyby do nich, jak to czynił – zredukować program jego teatru, zostałoby niewiele. A pozostaje dużo dzięki temu – co powiedział dopiero, gdy został sprowokowany przez dyskutantów – że teatr dla niego – to kościół laicki, to misterium narodowe, to powroty do wielkiej ewangelii narodowej, jaką są dramaty wielkich klasyków.

11 XI 1979

Przedwczoraj było w „Kuźnicy” spotkanie z Mieczysławem Rakowskim. Dał próbę diagnozy obecnej sytuacji, sformułował najważniejsze zadania na najbliższe lata. To, co mówił, zdawało się odbijać rozmowy i poglądy światlejszych kręgów partyjnej „góry”. Denerwowało, bo zawierało stwierdzenia i prawdy dawno dla wielu z nas wiadome.

7 XII 1979

Wieczorem długa, ponadczterogodzinna dyskusja w „Kuźnicy” na temat też przedzjazdowych. Prowadził ją Tadeusz Hołuj. Występowali: Kurz, Kubiak, Pietsch, Lipiec, Siatkowski, Chudziński, Broszkiewicz, ja.

Dyskusja była ciekawa, ale i tej, jak wielu innym, można zarzucić jałowość ze względu na brak widocznych jej rezultatów. Rozmowa była szczera, we fragmentach bardzo gorzka i melancholijna, a bardzo krytyczna wobec tej i – co więcej – wobec tego stylu myślenia, jakiego one są odbiciem. Należała do jednych z tych, które uzasadniają istnienie „Kuźnicy” i spotkanie się w niej.

22 XII 1979

Po południu posiedzenie Prezydium „Kuźnicy”. Przedświąteczne, ze śledziem i karpiem, ale też z poważną rozmową. Wysłuchaliśmy z taśmy udanego wy-

stąpienia Tadeusza Hołuj na ostatnim plenum Komitetu Krakowskiego, zakończonego fragmentem poetyckim z Tuwima, wstrząsająco aktualnym.

8 I 1980

Wieczorem w „Kuźnicy” spotkanie z ministrem Januszem Górkim. Trwało pięć godzin. Zaatakowałem blok nauk politycznych i społecznych w programie studiów. Minister ostro polemizował z moim stanowiskiem, trochę zresztą zniekształcając moje intencje. Także nieprędko – jak z jego wypowiedzi wynika – doczekamy się przywrócenia studiów pięcioletnich.

15 I 1980

Skusiłem się jednak na obejrzenie filmu Romana Polańskiego *Bal wampirów*. Był to zamknięty(!) pokaz dla członków „Kuźnicy”.

Oto nonsensy naszej sytuacji. Film produkcji amerykańskiej, reżyserowany przez Polaka, ściślej – polskiego Żyda, z napisami czeskimi (widocznie w Czechosłowacji szedł normalnie na ekranach kin), tłumacz przekładał nie z angielskiego (bardzo wyciszzonego) lecz z czeskiego, a to wszystko w dodatku na zamkniętym pokazie, tylko dla wybranych. A najważniejsze – film można było sobie darować. Ktoś na widowni (na filmie o wampirach!) pochrapywał, a za mną siedziała rodzina Polańskiego zachwycająca się Romkiem (*jaki szczupły!*). A z nią Maśliński. I te głośne komentarze...

26 I 1980

Dzisiaj w „Kuźnicy” spotkanie z Ryszardem Frelkiem. Mówił o obecnej sytuacji politycznej na świecie. Jego analiza dzisiejszego położenia prowadziła do wniosków ponurych. Szczególnie przygnębiająco podziały słowa o czekających nas trudnościach w przypadku konieczności zwiększenia zbrojeń w państwach Układu Warszawskiego. Użył określenia, że może nadejść czas, kiedy będzie tylko „chleb i karabin”.

W pytaniach padających z sali przebiegały nuty krytycyzmu wobec ostatnich posunięć Związku Radzieckiego (Afganistan, postępowanie wobec Sacharowa, brak konsultacji z państwami-członkami Układu Warszawskiego).

Odpowiedzi Frelka nie zadowalały. Raził ton jakiejś buńczuczności wobec Zachodu, zbyt skwapliwe i wszechobejmujące usprawiedliwianie wszystkich decyzji Związku Radzieckiego. A już szczególnie mnie irytowały jego końcowe uwagi o skuteczności zachodniej, a nieskuteczności naszej propagandy. Wszystko bowiem w takim przypadku (a dzieje się tak często) próbuje się sprowadzić do fachowości i doświadczenia w manipulowaniu opinią społeczną. Nie widzi się tego, co najważniejsze: prawdziwości informacji.

8 II 1980

Wieczorem spotkanie w „Kuźnicy” poświęcone wspomnieniom o niedawno zmarłym Zbigniewie Kwiatkowskim. To trudna rzecz – taki wieczór wspomnień (myślę o nim z punktu widzenia jego organizatorów). Wymaga wrażliwości, dużej kultury u wspominających.

Po fragmencie taśmy z niskim, charakterystycznym głosem Kwiatkowskiego Zbigniew Bauer odczytał

wydrukowany już (czy przeznaczony do druku) tekst o Kwiatkowskim. Tekst dobry, chociaż nie wiem, czy na taką sposobność najlepszy.

Najbliższy właściwemu ujęciu był Włodzimierz Maciąg, który z własnych obserwacji i obcowania ze Zmarłym próbował – z dużą wrażliwością – zrekonstruować, choćby we fragmentach, jego duchowy portret. Zaczął dobrze, później rzecz rozlazła się trochę, była mało spójna, miała powtórzenia, dłużyzny i puste miejsca. Przemyślał – widać – partię początkową, spodziewał się, że dalej „już pójdzie”. Ale niezupełnie „poszło”. Było to jednak – z przygotowanych – najlepsze wystąpienie. Przeniknięte ciekawością dla osobowości zmarłego, szacunkiem i nieśmiałością w rysowaniu jego konturów.

Mówił też Janusz Roszko – niestety – najwięcej o sobie, a tam, gdzie od siebie odchodził, wdawał się w ogólne rozważania o reportażu, co byłoby właściwsze na jakiejś sesji dziennikarskiej.

14 II 1980

We wtorek dla „Kuźnicy” pokaz filmu *To jest Ameryka*. Przejaskrawiony obraz degeneracji tego kraju. Najwięcej o pornografii. Chciałbym, by w Polsce było takie zdrowie społeczno-moralne, jak w większości społeczeństwa amerykańskiego. Zwłaszcza w codziennej uczciwości i prawdomówności.

13 III 1980

Wczoraj po południu – do wieczora – odbyło się spotkanie prezydium „Kuźnicy” z nowym I sekretarzem Komitetu Krakowskiego PZPR, Krystynem Dąbrową, który przyszedł do Krakowa na miejsce Barcikowskiego, powołanego na stanowisko wicepremiera w rządzie Edwarda Babiucha.

Co do osoby nowego sekretarza – niewiele mogę powiedzieć. Wzrost niewielki, buzia okrągła. Mówił mało; powiedział, że uczy się dopiero Krakowa. Raczej słuchał, albo i prawie wyłącznie słuchał. Może taka powściągliwość była właśnie najbardziej wskazana? Przyszłość dopiero pokaże, kim jest i czego potrafi dokonać.

22 IV 1980

Wczoraj wieczorem zebranie Rady „Kuźnicy”. Wcześniej – jej Prezydium. Dyskutowaliśmy m.in. o nagrodach „Kowadła”. Wymieniano kandydatów: Kapuścińskiego, Koźniewskiego, Smolenia (dyrektora muzeum w Oświęcimiu), Kućmy (twórca pomnika Obrońców Poczty Gdańskiej), Szajny, Rostworowskiego (za *Polaków portret własny*). W dyskusji wyłonili się trzy kandydatury: Kapuścińskiego, Smolenia i Kućmy.

4 VII 1980

Zaczęły się egzaminy ustne. W południowej przerwie było spotkanie aktywu wyższych uczelni Krakowa z Andrzejem Werblanem. Nieudane. Organizatorzy pomysleli je jako prezentację aktualnych problemów przy udziale ustalonych wcześniej dyskutantów.

Lepsze było spotkanie z nim po południu w „Kuźnicy”. Żywsza była, bardziej autentyczna wymiana myśli, stawianie pytań. Rozmowa toczyła się wokół polityki naukowej, ruchu robotniczego i wzajemnego stosunku

partii komunistycznych. Jak bumerang wielokrotnie powracał problem Afganistanu.

27 VIII 1980

Strajki trwają. W „Kuźnicy” schodzimy się, rozmawiamy, dzielimy się myślami i troską. Zamierzamy opracować jakiś tekst, który by zawarł nasze stanowisko wobec tej sytuacji. Oczekuje się ustąpienia Gierka.

Czytałem kilka dokumentów z Trójmiasta. Przywiózł je Krzysztof Jasiński, który tam był. Przekazał nam trochę dokładniejszych informacji. Niektóre szczególnie przygnębiają, inne potwierdzają nasze odczucia i oceny. Wielu dzieli przekonanie, że ruch socjalistyczny może dużo zyskać na tym doświadczeniu. Ale wszyscy boimy się, by proces, który się rozpoczął, nie poszedł za daleko, bo wówczas ponieśliśmy jako naród i państwo straty nieobliczalne.

Jutro wieczorem mamy się zejść w „Kuźnicy”, by zastanowić się nad dokumentem zawierającym nasze stanowisko wobec sytuacji w Polsce. Dlatego jutro i dlatego wieczorem, że oczekujemy jakichś ważnych decyzji, to znaczy – krótko mówiąc – ustąpienia Edwarda Gierka.

28 VIII 1980

Wieczorem zebranie Prezydium „Kuźnicy”. Omawialiśmy treść dokumentu, który mamy opracować w związku z obecną sytuacją w Polsce. Na zakończenie Tadek Hołuj odczytał nam list, jaki wysłał do Gierka 30 lipca 1976 roku. Bardzo sensowny, autentyczny głos zasadniczej krytyki pod adresem ówczesnych władz, także wobec Gierka. Miał on przez Werblana przekazać Hołujowi w odpowiedzi słowa: „Mnie też serce boli”.

2 IX 1980

Przed południem w „Kuźnicy”, z Jankiem Brońkiem i Józkiem Lipcem. Rozmowa o naszym dokumencie, który – mimo wątpliwości w jego dzisiejszą sensowność (po podpisaniu porozumienia w Szczecinie i przystąpieniu robotników do pracy) – postanowiliśmy napisać, ale ująć go inaczej, niż nam się przed paru dniami wydawało.

Broniek przeczytał nam listę osób aresztowanych w ostatnich dniach za działalność, która godziła w podstawowe interesy państwa. Wśród aresztowanych pojawiały się znane już wcześniej z podobnych okoliczności nazwiska: Kuroń, Michnik. Nie było bliższej motywacji. Z kręgu młodych niespokojnych ludzi w Krakowie aresztowano m. in. Wildsteina, naszego studenta, przez jakiś czas już zawieszono w prawach studenckich; potem mu te prawa rektor przywrócił. Postać – z moich obserwacji i kontaktów – mało sympatyczna i niebudząca zaufania. Ale żeby aresztować?

5 IX 1980

Długa i trudna, z kilkoma momentami impasu, dyskusja nad listem „Kuźnicy” do członków Komitetu Centralnego.

W czasie jej trwania przyszła wiadomość o chorobie Gierka. Przypuszczamy, że ma ona charakter dyplomatyczny. W dzienniku telewizyjnym programowe wystąpienie nowego premiera Pińkowskiego. Ktoś – wydawał się dobrze poinformowany – przyniósł wiadomość, że o 11 wieczorem zbiera się kolejne plenum KC.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że proces dopiero się zaczyna. Wielu wyraża obawę, by logika wydarzeń nie potoczyła się tak jak w 1968 roku w Czechosłowacji, ze wszystkimi konsekwencjami

Ujawniają się – jak zwykle w bardziej dramatycznych momentach – różne małości ludzkie. Nagle stają się bardzo liberalni ci, którzy byli do niedawna bardzo stanowczy w „marksistowskim” myśleniu i nawet „Kuźnicy” mieli za złe zbyt dużą swobodę rozmów.

12 IX 1980

Dziś pierwsze „piątkowe” spotkanie w „Kuźnicy”. Pierwsze z tych (bez przygotowanych materiałów) zapowiedzianych ostatnio, których celem jest wymiana myśli na temat wydarzeń w kraju. I nie tylko wymiana, jak wykazała to choćby dzisiejsza dyskusja, która doprowadziła do wniosku, by zająć się kolejno najważniejszymi problemami, nawet w formie opracowania czegoś w rodzaju na piśmie ujętych propozycji.

Początkowo spotkanie miało przebieg mało ciekawy. Trochę z powodu zagajenia, które przywoływało sprawozdania z przebiegu dyskusji i zebrań w różnych instytucjach kulturalnych. Na szczęście dość szybko ten charakter został zarzucony i dyskutanci zaczęli podejmować problemy istotne.

Wystąpienia, we fragmentach wzajemnie polemiczne, wykazywały jednak jednolitość poglądów w sprawach podstawowych, zgodność w ocenie obecnej sytuacji w kraju. Świadczyły o głębokim jej przeżywaniu.

Wiele było wystąpień ciekawych (Hołuja, który prowadził spotkanie, Marka Sobolewskiego), ale dla mnie znamienne i ciekawe było przede wszystkim przemówienie Jerzego Surdykowskiego, który był w tych dniach w Trójmieście. W jego stylu, w słownictwie było coś, co odbiegało od innych wystąpień. Widać było, że był „Tam”, że „To” przeżył, że o „Tamto” doświadczenie jest teraz dojrzały.

Rozwinąłem w dyskusji te refleksje, które przedstawiłem w Warszawie 3 września w Wydziale Kultury w KC. Najkrócej: pewno, że chodzi o poprawę bytu materialnego. Ale klęską zakończy się ten ruch, jeśli wszystko sprowadzi się do podwyżek płac i wzrostu produkcji. Gra idzie o coś znacznie więcej. O wartości, dla których można i niedostatek znosić jeszcze przez pewien czas: o odkłamanie naszego życia publicznego, o postawienie skutecznej tamy nagminnie szerzącej się prywatności i nadużyciom, o pełną sprawiedliwość, o autentyczny i swobodny ruch myśli, o stworzenie takiego mechanizmu, który by wyzwalał ludzką energię, najlepszych i najwartościowszych popychał ku stanowiskom, na których mogliby oni dużo zdziałać dla ogółu; o pełne mówienie o naszej historii narodowej, także tej najnowszej, o usunięcie barier, które zniekształcają, upraszczają ograniczają śmiałą myśl ludzką we wszystkich dziedzinach, o władzę, której horyzonty byłyby na miarę aspiracji światłych kół społeczeństwa.

Po spotkaniu Surdykowski prosił, by ująć to w formie artykułu publicystycznego dla „Życia Literackiego”.

21 X 1980

Przygotowuję na jutrzejsze spotkanie w „Kuźnicy” uwagi o podstawowych zasadach polityki kulturalnej Partii, o tym, jaka ona powinna być. Powiedziałbym za

Miłozsem, że Partii jest potrzebna „dykcja nowa”. Próbuję rozwinąć, na czym ona miałaby polegać.

1. Partia musi stać się z czynnika kontrolującego swobodę myśli twórczej – czynnikiem broniącym jej wolności.
2. Musi zmienić swoje położenie względem głównych elementów porozumienia na Wybrzeżu. Dbać o to, by były one przestrzegane – ale z nie mniejszą uwagą pilnować, by nie były one nadużywane i stosowane przeciwko swobodzie myślenia i twórczości.
3. Musi przyjąć do wiadomości i wyprowadzić z tego wszystkie istotne konsekwencje, że twórczość artystyczna (jak wszelka ludzka działalność twórcza) jest *ex definitione* wyrazem dezaprobaty dla zastanego stanu. Rodzi się z niepokoju i poszukiwań. Partia więc powinna nie przeszkadzać zawartej w twórczości artystycznej refleksji krytycznej, lecz przeciwnie – powinna być jej sojusznikiem w pokonywaniu ograniczających ją barier administracyjnych.
4. Największą pochwałą ustroju i panującej w nim polityki kulturalnej są nie utwory artystyczne sławiące ten ustrój, będące panegirykami i pochwalnymi hymnami, lecz poczucie swobody twórczej artystów i ich osiągnięcia.
5. Zaufanie do zbiorowej mądrości ludzi sztuki musi wziąć górę nad ostrożnością. W zakresie stwarzania sprzyjającego twórczości klimatu nie można pozabawiać się prawa do ryzyka.
6. Gwarantem właściwego rozwoju twórczości artystycznej i właściwej a naturalnej proporcji między różnymi jej tendencjami musi być żywy i śmiały ruch myśli twórczej, znacznie wzmożona i stała aktywność ideowych polemik, dyskusji, spierających się o wartości, o prawdę dzieła.
7. W Polsce dokonane zostały nieodwracalne przeobrażenia socjalistyczne. Rozbudowuje się i doskonalą socjalistyczną strukturę społeczną. Nagromadziło się wszakże wystarczająco dużo doświadczeń, by zrozumieć, że w realnych warunkach społecznych i politycznych, w wyniku gry różnych sił i tendencji w kraju i poza jego granicami, w okolicznościach, których działaniu jednakowo podlega cały świat, niezależnie od ustroju społeczno-politycznego – w tych wszystkich, w skrócie wielkim zarysowanych warunkach – socjalizm – tu i teraz – nie jest zbiorem oczywistych pojęć. Wnosi dramatyczne komplikacje, które dojrzejają i ujawniają się zwłaszcza w momentach politycznych przesileń, które odkrywają obszary skomplikowanych doświadczeń ludzkich, dramatów, nieraz tragedii, dylematów moralnych, nowych niesprawiedliwości. A wszystko to przekładane być powinno na język dzieł artystycznych. Toteż, odpowiednio do tego przeświadczenia, polityka kulturalna partii musi traktować twórczość artystyczną także jako odkrywanie, ujawnianie nabrzmiewających konfliktów. Musi wspierać twórcę w pokonywaniu przeszkód stawianych przez te czynniki w społeczeństwie, które obawiają się śmiałej, krytycznej myśli.
8. PZPR jako partia rządząca odpowiedzialna jest za harmonijny i wielostronny rozwój kultury i sztuki polskiej.

9. W twórczości artystycznej wyraża się przyrodzone człowiekowi pragnienie wolności, także w sferze nieskrępowanego manifestowania stanów swego życia duchowego. Partia powinna strzec tej wolności i dbać o to, by jej zakres nie ulegał ograniczeniom.
10. Wielką jest rolę partii w zakresie zapewnienia ludziom pracy warunków korzystania ze zdobyczy kultury (organizowanie pracy i czasu wolnego, polityka wydawnicza i repertuarowa teatrów i filmu, patronat nad amatorskim ruchem artystycznym, upowszechnianie kultury, pilnowanie, by zasada rentowności nie brała góry nad wartościami artystycznymi, troska o środki materialne, zapobieganie oszczędnościom na kulturze).
11. Podstawową przesłanką musi być przeświadczenie, sformułowane przez polski ruch socjalistyczny już w dobie rewolucji 1905 roku, że nie ma pełnej emancypacji proletariatu bez jego wyzwolenia się z upośledzenia kulturalnego.

7 XI 1980

Po południu w „Kuznicy” dyskusja nad przygotowanym przeze mnie projektem programu kulturalnego partii. W zasadzie krytyczna w stosunku do moich propozycji. Wydaje mi się, że nie zostałem dobrze zrozumiany. Dyskusja mnie nie przekonała.

18 XI 1980

Posiedzenie prezydium „Kuznicy”. Tadek Hołuj, który był wczoraj do końca w Warszawie, a potem słuchał nagrań z przebiegu uroczystości 11 listopada w różnych miastach Polski, opowiadał o silnych tendencjach nacjonalistycznych, które tym obchodom towarzyszyły. Żądano Polski w granicach przedrozbiorowych, mówiono o uwolnieniu braci Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. Śpiewano *Rotę* Konopnickiej ze słowami: „Aż się rozpadnie w proch i pył radziecka (czy sowiecka?) zawierucha”.

9 XII 1980

W piątek w „Kuznicy” dyskusja o inteligencji, z udziałem telewizji. Wczoraj, na Krzemionkach, oglądałem całe nagranie, by pomóc w montażu. Dzisiaj spotkanie z Józefem Klasą na temat masowych środków przekazu.

29 XII 1980

Wczoraj telewizja nadała „kuźnicową” dyskusję o inteligencji. Oglądałem to razem z Dorotą Terakowską, którą prosim o przyświe do mnie, gdyż chciałem jej opowiedzieć o działaniu „Solidarności” na naszym Wydziale, o tej żałosnej inicjatywie wywieszania list z nazwiskami i podawaniem dochodów. Chciałem, by coś o tym ukazało się w prasie. Potem nadszedł jej mąż, Maciej Szumowski. Opowiadał o sytuacji „Gazety Krakowskiej”, o wojnie przeciwko niej podjętej przez niektórych działaczy.

19 I 1981

Wczoraj walne zebranie „Kuznicy”. Hołuj nadal prezesem. Był jedynym i uznanym przez większość zebranych kandydatem na to stanowisko. Potem dyskusja, z przewagą głosów różnych, ale rozsądnych i otwar-

tych na nowe zjawiska w Polsce. Odbiegał od nich „obronny”, zachowawczy głos Machejka.

Wspólnej uchwały nie udało się przyjąć – sprawę odsunięto. Dzisiejsza „Gazeta Krakowska” przyniosła omówienie tego zebrania z obszernym przytoczeniem mojego przemówienia.

24 I 1981

Wczoraj na posiedzeniu nowo wybranej Rady „Kuznicy”. Według mnie i Rada, i wyłonione przez nią Prezydium przedstawia się ciekawiej i lepiej niż poprzednio. Wszedłem ponownie do Prezydium. Gdyby nie mój wyjazd do Meksyku, przyjąłbym pewno proponowaną mi funkcję wiceprezesa Stowarzyszenia.

W „Życiu Literackim” z tego tygodnia Machejek – ze sceptycznym dystansem – przytacza fragment mojego wystąpienia w dyskusji na Walnym Zebraniu „Kuznicy” w ostatnią niedzielę.

29 IX 1981

Komunikat z „Kuznicy”. W nim pomyślna wiadomość. „Zdanie” może być przekształcone w miesięcznik.

9 X 1981

Wczoraj w „Kuznicy” posiedzenie prezydium, którego jestem członkiem od styczniowych wyborów i mimo mej nieobecności z powodu wyjazdu na dłużej do Meksyku nie przestałem nim być. Serdeczne przyjęcie, ale dyskusja wskazuje, że jesteśmy tzn. „Kuznica” w trudnym okresie.

„Zdanie” ma być miesięcznikiem od stycznia. To dobrze, jeżeli tylko nie zmieni swojego zasadniczego charakteru. Redaktorem ma być Zbigniew Regucki. Dowiaduję się o fakcie, który zdarzył się wczoraj. Pracownik sekretariatu „Kuznicy”, Bułka, chory, z wysoką temperaturą poszedł do przychodni lekarskiej po pomoc i zwolnienie. Duża kolejka, ale przepuszczono go, gdyż skutek wysokiej temperatury był bliski omdlenia. Jakiś przypadek wirusowej grypy. Lekarz zwrócił się do niego po legitymację ubezpieczeniową, zobaczył, że pracuje w „Kuznicy”. I tu się zaczęło.

Żona Bułki przyszła do „Kuznicy” z płaczem. Lekarz naigrawał się z jej męża w słowach mniej więcej takich: „A to pan z tych komunistów; o, to pan jest twardym człowiekiem, zwolnienia pan nie potrzebuje. Najwyżej dam panu trzy dni. To wyście narobili tyle złego. Przepisz panu lekarstwo, ale takie, którego pan nie znajdzie w aptece”. I dalej w tym stylu. Biedny Bułka, zmordowany gorączką powiedział tylko: „Jak wyzdrowieję, to przyjdę do pana na dyskusję, nie teraz”.

16 X 1981

Wczoraj było posiedzenie prezydium „Kuznicy”. Głównym tematem było „Zdanie”, które od stycznia ma ukazywać się jako miesięcznik, w zmienionym (większym) formacie, pod inną redakcją (naczelnym jest Regucki, ponadto: Chudziński, Kasprzyk, Szulc, Surdykowski, gdzieś tam też jestem).

Ale kto będzie nas czytał? Czy nie będziemy bojkotowani jako związane z lewicą? Czy nie będzie się wokół nas – nielojalnie – urabiało fałszywej a niekorzystnej opinii? Tak już przed sierpniem było wokół „Kuznicy”. Przeciwnicy ideowi spod znaku „solidarno-

ści” są wyjątkowo nielojalni i stosują zasadę *catch as can catch*. Pod tym względem nie różnią się od działaczy partyjnych z najgorszego okresu.

21 X 1981

Wczoraj długie zebranie Rady „Kuznicy”. Jak to często bywa, sprawy istotne zaczęły się w punkcie *Wolne wnioski*. Kilka osób (również do nich należałem) podniosło sprawę usunięcia z partii Stefana Bratkowskiego. Uważało mianowicie, że „Kuznica” powinna wziąć go w obronę, wyrazić dezaprobatę dla tej decyzji i sposobu powiadomienia o niej opinii społecznej (chodzi zwłaszcza o oficjalną motywację).

Wymiana zdań ujawniła tkwiące w tym gronie duże różnice poglądów na to, co się dzieje w Polsce. W spokojnej rozmowie może okazałyby się, że rozbieżności nie są zbyt wielkie. Ale i tu zagrały emocje, i jakieś zaszłości, których zaledwie mogłem się domyślać, bo zaistniały pod moją nieobecność. Niechętny zajmowania stanowiska w sprawie Bratkowskiego był Tadeusz Hołuj, który nawet w uniesieniu zapowiedział wystąpienie z „Kuznicy”, jeśli Rada coś takiego postanowi. Poparł go walnie Siatkowski, który w dłuższym przemówieniu rozdawał ciosy Bratkowskiemu, „Gazecie Krakowskiej” i „Kuznicy” z ostatniego, posierpniowego okresu (dowiedziałem się potem, że przez cały rok Siatkowski nie przychodził do „Kuznicy”, że wczoraj przyszedł pierwszy raz po dłuższej nieobecności, pewno zachęcony i podbudowany przez IV plenum KC i jego uchwały).

Dyskusja skończyła się powołaniem czteroosobowego zespołu dla opracowania dokumentu, który zostanie przedstawiony Radzie (Magdoń, Lipiec, Chudziński, Jerschina).

Inny szczegół, wprost tragikomiczny. Ustaliliśmy wczoraj, że członkowie „Kuznicy” opodatkują się dobrowolnie w celu zakupu dla Stowarzyszenia wydawnictw z nielegalnego obiegu, gdyż są tam pozycje cenne, a drogie, więc w ten sposób ułatwi się do nich dostęp.

Niby wszystko w porządku i bardzo dobrze, sam dałem pieniądze zainteresowany tymi publikacjami. Ale nie mogłem pohamować refleksji: oto stowarzyszenie partyjnych intelektualistów w sposób otwarty i zorganizowany będzie zaopatrywać się w nielegalne druki, podczas gdy partia, do której należą, zwalcza, jak może, chociaż mało skutecznie tego rodzaju działalność. Ale inaczej ci intelektualiści nie mieliby dostępu do wartościowych książek. Zebrani zdawali się nie dostrzegać komizmu i obłudy tej sytuacji. Trochę żałuję, że powstrzymałem się od szyderczego i autoszyderczego komentarza.

27 X 1981

Po południu zebranie Rady „Kuznicy” poświęcone dokończeniu dyskusji nad dokumentem zawierającym nasze stanowisko wobec obecnej sytuacji w partii. Dyskusja był burzliwa; ujawniły się w niej ekstremalne stanowiska (np. nieoczekiwana apologia Stalina w wykonaniu Siatkowskiego), ale w końcu przyjęliśmy dokument w zasadzie dobry. Powinien jutro ukazać się w „Gazecie”, a także dotrzeć do członków jutrzejszego plenum KC.

Podczas dyskusji, w krótkiej rozmowie na boku z Tadeuszem Hołujem zrodził się pomysł przyznawania

przez „Kuznicę” czegoś w rodzaju „Medalu za Odwagę Cywilną” tym, którzy mają odwagę przeciwstawić się zbiorowym nastrojom.

20 XI 1981

Wieczorem w „Kuznicy” wieczór meksykański. Nie oceniam, sam byłem jednym z jego twórców.

Wczoraj dość niespokojne zebranie Rady „Kuznicy”, na którym większością głosów przyznaliśmy nagrodę „Kowadła” Maciejowi Szumowskiemu i zespołowi „Gazety Krakowskiej”.

Nieco później spotkanie towarzyskie z okazji 65 rocznicy urodzin Tadeusza Hołuja. Na toasty i życzenia odpowiedział bardzo osobistym wierszem.

28 XI 1981

Wczoraj wieczorem skromna uroczystość w „Kuznicy” z okazji wręczenia nagrody „Kowadła” Szumowskiemu i zespołowi „Gazety Krakowskiej”. Wieczór trwał dość długo, dawał okazje do rozmów. Miłym gościem był Jerzy Turowicz, który pierwszy raz zawitał na imprezę w „Kuznicy”, co przyjęliśmy z radością i nadzieją na współpracę z ludźmi mądrymi naszego miasta.

16 XII 1981

W „Kuznicy”, w zespole „Zdania” dramatyczne rozmowy w związku z kilkoma deklaracjami wystąpienia z partii. Dziennikarze znaleźli się w szczególnej trudnej sytuacji i skomplikowanej moralnie. Podzielono ich na niby lepszych, zatrudnionych nadal i tych niby gorszych, którym udzielono okolicznościowego urlopu. A poza tym, co wiąże się z ich zawodem, są szczególnie narażeni na różne ideologiczne łamańce.

Nastąpiła wielka przegrana partii, która musiała uciec się do wprowadzenia stanu wojennego. Być może, że w połowie grudnia krok taki był już konieczny. Ale to nie pomniejsza przegranej partii. Doszło do szczególnego powikłania racji, działań, decyzji koniecznych, wymuszonych i błędów, które w końcu doprowadziły do położenia, w jakim już było tylko jedno wyjście: stan wojenny. Być może, że dalsze zwlekanie z jego wprowadzeniem przyniosłoby jedynie ofiary, nieszczęścia, tragedie, a wcale nie odsunęłoby konieczności stanu wojennego. Chciałoby się powiedzieć: wprost przeciwnie.

Pytanie, którego nie można zagłuszyć: Jak można dalej pozostawać w partii? Na razie jeszcze decyzję się odwleka, z mniejszym czy większym przekonaniem, że nie można odchodzić i zostawiać pole siłom naprawdę złowrogim, co wydaje się mieć dzisiaj silniejsze uzasadnienie niż dawniej. Należy się także liczyć z zamknięciem „Kuznicy”. Spotykamy się tam codziennie, prowadzimy wzburzone rozmowy, zbierają się w niej „urlopowani” dziennikarze.

23 XII 1981

Najpierw zebranie redakcji „Zdania” z wielkim pytaniem „Co robić?” – Jakie będą losy pisma? Co z materiałami, które zostały już przygotowane? Jakich od nas żądać się będzie kompromisów? Na jakie z nich będzie nam wolno pójść? Wreszcie – jaki pozostanie zespół?

W południe skromny przedwigilijny śledzik w „Kuznicy”. Zeszli się, kto był w częstszym kontakcie, znaczna część prezydium. Tadek Hołuj wznosił smutny toast

wodą mineralną. Potoczyły się rozmowy. Bez radości, czasem ze sztuczną wesołkowatością.

6 I 1982

W „Kuźnicy” odnalazła mnie zaptakana żona Jacka Balucha. Opowiadała, jak mocno dzieci przeżywają nieobecność ojca, który został internowany. Zwróciła się do rektora UJ, Józefa Gierowskiego z prośbą o poparcie jej podania do generała Sulimy o zwolnienie jej męża z internowania. Rektor przystał ją do mnie mówiąc, że podpisze podanie, jeżeli wpierv ja je poprę. Zastanowiło mnie stanowisko rektora, który jako prełożony Jacka Balucha powinien podjąć samodzielną decyzję, nie asekurując się moim stanowiskiem. Tym bardziej że nie wchodziła tu w grę żadna zależność formalno-służbowa. Jacek Baluch był po prostu moim młodszym kolegą z tego samego wydziału, kiedyś, przed laty był też krótko moim studentem, gdy wykładałem literaturę polską na slawistyce.

Bez wahania pod podaniem napisałem rozwiniętą opinię, w której nie tylko popierałem prośbę p. Baluchowej, ale i we własnym imieniu upomniałem się o uwolnienie jej męża. I z tym wróciła do rektora Gierowskiego.

7 I 1982

Długa i obfitująca w różne stanowiska dyskusja w „Kuźnicy”. Padały różne oceny o inteligencji i jej zachowaniu się między sierpniem a grudniem (bardzo pozytywne i bardzo negatywne). Całość była nagrywana na taśmę. Co z niej – jako ewentualny materiał do publikacji wyjdzie, zobaczymy.

Dość daleko do porozumienia się w dyskutującym gronie (prezydium „Kuźnicy”, redakcja „Zdania”, Klasa, Szumowski) co do zasadniczych spraw związanych z działaniem „Kuźnicy”. A porozumienie jest konieczne i trzeba będzie takie spotkanie jeszcze powtórzyć. Będzie ono jeszcze bardziej skomplikowane, gdy weźmie w nim udział większa niż dzisiaj część członków naszego Stowarzyszenia.

Można zauważyć – z jednej strony – pojawienie się odpychającej postawy typu: „A nie mówiłem...”, „Wiedziałem, że...” itp., a z drugiej – ci, którzy zaangażowali się po stronie „Solidarności” mają teraz skłonność do przesadnego dramatyzowania i wzniosłego a fałszywego patosu wokół swej moralności.

Ci, którzy wystąpili z partii lansują opinię, że są obdarzeni szczególną wrażliwością moralną. Zwróciłem uwagę, by lepiej wstrzymać się od werdyktów moralnych, bo równie dobrze można myśleć zupełnie przeciwnie; że ci, którzy w partii mimo ciężkiej próby pozostali, byli właśnie, czy są, moralnie wartościowi. Po prostu lepiej pozostawić te sprawy własnemu sumieniu i nie odmawiać sobie wzajemnie moralnej wrażliwości.

Na zakończenie posiedzenia coś łżejszego. Trzeba było rozdać, co nam przypadło z darów zagranicznych. Ciągnęliśmy losy. Wyciągnąłem papier toaletowy i puszkę konserwowej fasoli. Przyniosłem to do domu jak wielką zdobycz, zwłaszcza papier toaletowy, którego nie oglądałem od powrotu z Meksyku.

28 I 1982

Co dalej z „Kuźnicą”? Jest stan wojenny, musieliśmy zawiesić zwykłą działalność. Nie organizujemy spotkań, nie zapraszamy prelegentów.

Schodzimy się w południowej porze w niewielkim, dość określonym gronie: niektórzy z urlopowanych i czekających na decyzje dziennikarzy, członkowie Prezydium Stowarzyszenia, kilka osób najbardziej zaprzyjaźnionych z „Kuźnicą”, nie działający jeszcze normalnie zespół redakcyjny „Zdania”.

Co dalej z „Kuźnicą”? Otacza ją teraz krytyczne nastawienie. Zawsze jej takie towarzyszyło, ale obecnie jeszcze się zaostrzyło. Ma się do niej pretensje: za wystąpienie paru jej członków z partii, za sympatię dla „Gazety Krakowskiej”, za dyskusje w niedawnej, przedgrudniowej przeszłości zbyt współbrzmiające z „Solidarnością”. Plotki donoszą, że w Warszawie „Kuźnica” dzisiaj przeszkadza.

Krąży i inna opinia: „Teraz się zacznie! Będą podsluchy, donosy”. To już nie będzie ta sama „Kuźnica”.

29 I 1982

Cokolwiek by się mówiło o niedostatkach pracy „Kuźnicy” przed sierpniem 1980 roku, nie ulega wątpliwości, że na otaczającym ją tle wyróżniała się jaśniejszym światłem. Ze względu na swobodne dyskutowanie, żywość myśli, atakowanie autentycznych problemów, podejmowanie spraw trudnych i niewygodnych; ostre, śmiałe i trafne krytykowanie władz. To prawda, nie umiała – co wynikało z ogólnych ówczesnych warunków – w sposób bardziej istotny wpłynąć na rozwój rzeczywistości.

Inną jej słabością było zamknięcie się w ograniczonym kręgu osób. Słabość ta była uświadamiana sobie przez kuźniczan, wielokrotnie o tym mówiło się w dyskusjach. Próbowano podjąć współpracę z inteligencją innych kręgów ideowych, ale nie udało się to pełniej zrealizować. Nie tylko z winy „Kuźnicy”.

Podstawowe hasła Sierpnia witała „Kuźnica” jako wartości również swoje. O wiele z tych spraw, które znalazły wyraz w proteście robotniczym, potem w podpisanych porozumieniach, „Kuźnica” upominała się wcześniej. Toteż zarówno w oburzeniu na zbankrutowaną ekipę Gierka, jak i w żądaniach reform, które by raz na zawsze położyły kres naszym periodycznym kryzysom, „Kuźnica” solidaryzowała się z ruchem sierpniowym i odpowiednie poglądy sformułowała w dokumencie uchwalonym przez Radę, i przesłanym do Biura Politycznego KC PZPR.

W solidaryzowaniu się „Kuźnicy” z protestem robotników Wybrzeża mieścił się jednak znaczny margines krytycznego dystansu do zjawisk, które od początku musiały budzić niepokój, z biegiem czasu coraz bardziej uzasadniony. Dotyczył on haseł i sformułowań, w których można było widzieć początki szerszej później rozwiniętego programu antysocjalistycznego i wreszcie bezpośrednio i niesprawiedliwego ataku na całą partię.

Program „Solidarności” znaczną częścią budził odruch aprobaty, ale był on uwikłany w taką niekiedy frazeologię, sposób działania i – coraz wyraźniej – w ludzkie postawy, że znaczna część „Kuźnicy” do „Solidarności” nie wstąpiła, a w dyskusjach „kuźnicowych” zawsze było miejsce – w różnych proporcjach – na trzeźwą, racjonalną, krytyczną analizę zachodzących żywiołowo przemian.

W sierpniu-wrześniu 1980 roku „Kuźnica” przeżywała swoiste „poczucie winy”. Za to, że nie jej członkowie byli doradcami robotniczymi na Wybrzeżu.

Świadectwem tego była „kuźnicowa” dyskusja o klasie robotniczej, o inteligencji w partii.

W okresie posierpniowym „Kuźnica” należała do tych nie tak bardzo licznych środowisk, które nie straciły głowy, zachowały rozsądek, zdolność trzeźwej oceny sytuacji, a równocześnie otwarty stosunek do wszystkiego, co działo się w tym czasie w Polsce. Nic nie było potępiane z pozycji wcześniej przyjętych dogmatów, ale i nie zachwiały się podstawy ideowe tradycji, z jakich „Kuźnica” wyrosła.

Nie ominęło „Kuźnicy” zjawisko, które dotknęło całą partię: występowanie z partii. „Kuźnica”, której członkowie mogą być – w myśl statutu – bezpartyjni, ma teraz takich członków więcej niż kiedykolwiek. Przyjmowani byli jako członkowie partii, teraz znaleźli się poza nią, ale nie poza „Kuźnicą”.

13 II 1982

Po południu posiedzenie Prezydium „Kuźnicy”. Postanowiliśmy wysłać do Stefana Olszowskiego list z prośbą o zgodę na zatrudnienie w „Zdaniu” Kasprzyka.

Tadeusz Hołuj poinformował nas o niekorzystnych opiniach o „Kuźnicy” dochodzących do władz wojskowych, które nawet – podobno – zastanawiają się, czy „Kuźnicy” nie zamknąć. Pozostaje to w związku ze skupianiem się w „Kuźnicy”, spotykaniem się dziennikarzy zwolnionych z „Krakowskiej”. Kilku z nich czeka na postępowanie wyjaśniające w komisji kontroli partyjnej. To wszystko dostarcza władzom i osobom nam niechętnym argumentów przeciwko „Kuźnicy”. Mam nadzieję, że nie dojdzie do jej zamknięcia. Ale problemy przed nami są trudne i skomplikowane.

24 II 1982

Chodzą pogłoski (bardzo – zdaje się – uzasadnione) o likwidacji wszystkich ostatnio powstałych klubów partyjnych typu Klub Karola Marksa, Forum, Warszawa 80 itp. Decyzja taka podobno – przynajmniej na razie – nie dotyczy „Kuźnicy”.

26 II 1982

Dzisiaj zebranie zespołu partyjnego przy Radzie „Kuźnicy”. Dość długie, bo trwające ponad cztery godziny i równie burzliwe. Najwięcej miejsca w dyskusji zajęła sprawa tych „kuźniczan”, którzy wystąpili z partii, bądź też – często w konsekwencji swej decyzji – zostali z niej wydalen. Zarysowały się dwa stanowiska. Jedno – bardzo radykalne – prowadziło do wniosku o ukaranie ich, oddanie ich sprawy do Sądu Koleżeńskiego. Padały przy tym pod ich adresem bardzo ostre sformułowania krytyczne. To stanowisko reprezentowali Siatkowski i Kaniewski.

Drugie stanowisko zawierało pogląd, że nie powinni oni zasiadać we władzach Stowarzyszenia. A ci z nich, którzy obecnie w nich zasiadają, powinni z tego zrezygnować. Co do ich przynależności do „Kuźnicy” – należy rzecz potraktować indywidualnie, z nimi porozmawiać i decyzję pozostawić Radzie Stowarzyszenia. Takie stanowisko zyskało szersze poparcie.

4 III 1982

Wieczorem konferencja prasowa w „Kuźnicy” dla korespondentów zagranicznych akredytowanych w

Polsce. Przyjechała ich chyba ponad setka. Konferencja przebiegała łagodniej, niż myślałem. Spodziewałem się wyższej temperatury, ostrzejszych i trudniejszych pytań.

Odniosłem wrażenie, że są trochę zawiedzeni, bo na pytania o zwolnienia dziennikarzy i profesorów otrzymywali odpowiedzi zgodne z prawdą, lecz nie potwierdzające ich oczekiwań i – zdaje się – ich życzeń.

Pewne zainteresowanie wywołała moja osoba ze względu na moje wystąpienie telewizyjne. Pytali o reakcje widzów na nie. Interesowali się również stopniem zaangażowania lub odmowy współpracy z władzami ze strony inteligencji. Byli zdziwieni, że nie zobaczyli w Krakowie oddziałów wojska i czołgów na ulicach, jak w Warszawie.

27 III 1982

W „Kuźnicy” trwa kryzys, może nawet się zaostrza. Wystąpiło to wyraźnie na wczorajszym posiedzeniu Rady. Przyjęto rezygnację z udziału w pracach prezydium Jerschiny, Serczyka, Chudzińskiego. Sztompka nadesłał oświadczenie o rezygnacji z udziału w pracach Rady. Dyskusja była bardzo niemiła, głównie z powodu agresywnego i niemądrego reagowania Doroty Terakowskiej.

Posiedzenie prowadził Tadek Hołuj. Bardzo dobrze, cierpliwie, z pełnym opanowaniem nerwów, co nie było wczoraj zbyt łatwe.

18 IV 1982

W „Kuźnicy” spotkanie z Jerzym Urbanem. Dosyć ciekawe, ale niektóre pytania z sali irytująco infantylne. Np. Ewa Żarnecka-Biały, profesor (czy docent) logiki pyta z odcieniem pretensji: „Dlaczego już parę lat wcześniej Związek Radziecki nie zwracał nam uwagi, że nie należy zaciągać długów na Zachodzie? Podobnej klasy pytań było – niestety – więcej.

Urban m. in. poinformował, że Rada Prymasowska wydała dokument, w którym Kościół podejmuje się roli arbitra rozstrzygającego spory dwóch „ważniejszych” stron: partii, rządu, władzy – ze społeczeństwem.

Halinie Czerny-Stefańskiej uniemożliwiono wykonanie koncertu. Zebrała się grupa ludzi, którzy hałaśliwie klaskali na każde jej zjawienie się na estradzie i zmusili artystkę do zrezygnowania z wystąpienia. Hołuj uznał, że „Kuźnica” powinna w tej sprawie zająć stanowisko potępiające takie zachowanie. Podał to pod głosowanie. Wyraźna większość pomysł poparła. Trzy głosy (w tym Terakowskiej) były przeciwne.

2 V 1982

Wczoraj w „Kuźnicy” usłyszałem dobrą anegdotę. Jak to Andrzej Wajda zwrócił się do Teichmy – z odcieniem pretensji – dlaczego nie został internowany. W odpowiedzi usłyszał: „Nie wiedzieliśmy, z kim pana posadzić. Z byłymi prominentami, czy z działaczami »Solidarności«. W końcu nie zamknęliśmy pana wcale”.

MARIAN STĘPIEŃ

(*cd. w następnym numerze*)

HIERONIM KUBIAK

PLUS RATIO QUAM VIS

ROLA SZKOLNICTWA

W ROZWOJU AMERYKAŃSKIEJ CYWILIZACJI

Prolog

Wg danych The National Center for Education Statistics oraz U. S. Department of Education w roku szkolnym 2005/2006 do szkół wszystkich poziomów (podstawowych, średnich i wyższych), publicznych – federalnych (obejmujących wyłącznie akademie wojskowe, w tym: the Army, Air Force, Navy, Coast Guard oraz Merchant Marine), stanowych oraz municypalnych – i prywatnych (w tym należących do różnych wyznań religijnych) uczęszczało ponad 75 mln. dzieci i dorosłych. Zatrudniały one 6,8 mln osób: w szkolnej administracji, w rolach wychowawców, nauczycieli, nauczycieli akademickich, pracowników naukowo-dydaktycznych, a także personelu pracowni badawczych, laboratoriów i bibliotek. Ich utrzymanie wymagało każdego roku nakładów w wysokości 878 miliardów. Ale to dzięki tym wielkościom Stany zajmowały w początkach XXI w. dziesiąte miejsce w świecie pod względem wartości Human Development Index¹.

Do szkół wyższych w początkach XXI w. zaliczano w Stanach Zjednoczonych 1700 kolegów 2-letnich oraz 2450 kolegów 4-letnich i uniwersytetów w pełnym tego słowa znaczeniu. W sumie studiowało wtedy w amerykańskich szkołach wyższych ponad 14,8 miliona słuchaczy, a udział absolwentów w wieku 25 lat i więcej, którzy ukończyli co najmniej 4 lata studiów wynosił ok. 26 procent ogółu ludności.

O poziomie amerykańskich uniwersytetów oraz ich profilu kształceniowym i badawczym najlepiej świadczy typ i liczba nagród Nobla zdobytych przez zatrudnionych tam uczonych. Otóż w latach 1901-2000 zdobyli oni 24 nobile w dziedzinie ekonomii, 45 – fizjologii i medycyny, 42 – fizyki i 37 w dziedzinie chemii. Stanowi to łącznie ok. 40 proc. wszystkich przyznanych w XX

stuleciu nagród Nobla w tych czterech dyscyplinach nauki. Nie bez powodu więc uczelnie amerykańskie mają również – pomimo bardzo wysokiego czesnego – największą procentowo wśród wszystkich szkół wyższych świata liczbę zagranicznych studentów. W połowie lat dziesiątych XXI w. szacowano ich liczbę na ok. 500 tysięcy, podczas gdy liczba Amerykanów studiujących w tym samym czasie za granicą (głównie w Wielkiej Brytanii, we Włoszech, w Hiszpanii, Francji i Meksyku) wynosiła ok. 150 tys.

Co o tym zdecydowało?

Krótki zarys dziejów amerykańskiego szkolnictwa

Dla zewnętrznego obserwatora czy nawet profesjonalnego analityka, „system edukacyjny USA jawi się jako rozbudowany i zróżnicowany, a nawet chaotyczny. Ale w ramach tej złożoności, amerykański system edukacyjny odzwierciedla historię, kulturę i wartości całego kraju dynamicznie zmieniającego się w kolejnych stuleciach. Zatem dopiero widziany z tej szerszej perspektywy system ten – jego rozmiary, struktura organizacyjna, wyrazista decentralizacja i wzrastająca różnorodność – staje się zrozumiały”.²

Dla kolejnych fal osadników szukających przez dziesięciolecia swej szansy życiowej już nie tylko na Wschodnim Wybrzeżu i wzdłuż południowych brzegów Wielkich Jezior (co w XVII i XVIII w. najczęściej zdarzało się brytyjskim kolonistom), lecz w głębi amerykańskiego kontynentu szkoła obok sanktuarium i hotelu stawała się symbolem bezpośredniego ukorzenia w nowej przestrzeni i zaczyne ojczyzny prywatnej. Ojczyzna regionalna, a tym bardziej ideologiczna były dla nich dopiero *in statu nascendi*.³ W świadomości zbiorowej ich obraz miała zapisać na trwałe dopiero szkoła.

¹ Pierwsze dane Human Development Index (HDI) opublikowała Organizacja Narodów Zjednoczonych w ramach Development Program w 1991 r. Wskaźnik ten, mierzony na skali od 1 do 100, uwzględniał jednocześnie zmienną wykształcenia (dorosłych oraz liczbę dzieci i młodzieży uczącej się we wszystkich rodzajach szkół), średnią długość życia oraz poziom dochodów (=stopa życiowa). Wartość wskaźnika HDI dla Stanów Zjednoczonych w połowie pierwszego dziesięciolecia XXI w. wynosiła 0.944. Zob. *Encyklopedia. Świat i Polska 2007*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 12 i s. 186.

² Structure of U. S. Education, <http://iipdigital.usembassy.gov/st/english/publication/2008/09/20080911223538eafas...>, s. 1, tłumaczenie własne, H. K. Zob. także Robert L. Kelley, *American Colleges and the Social Order*. Macmillan, New York 1940.

³ Nazwy „ojczyzna prywatna”, „ojczyzna regionalna” oraz „ojczyzna ideologiczna” zostały tu użyte w znaczeniach nadanych im przez Stanisława Ossowskiego. Zob. jego *Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny*, „Myśl współczesna” nr 2/1949, s. 154-175 oraz *Zagadnienia więzi regionalnej i więzi narodowej na Śląsku Opolskim*, „Przełęcz Socjologiczny”, t. IX/1947.

Właściwości amerykańskiego procesu dziejowego, a zwłaszcza zmieniający się wraz z upływem lat skład etniczny i religijny imigrantów, zasady demokratycznego ustroju politycznego i przyjęte w Konstytucji USA rozwiązania prawne spowodowały, że współczesne Stany Zjednoczone mają w istocie nie jeden, lecz – na poziomie stanowym – pięćdziesiąt systemów szkolnictwa charakteryzujących się daleko posuniętą suwerennością. Każdy ze stanów może więc rozwinąć swój system szkolny odpowiednio do własnych środków, wyobrażeń i pragnień. Co więcej, każdy ze stanów włącza do procesu ustalania zasad i realizacji polityki oświatowej także władze powiatów i społeczności lokalne, często przeznaczające na utrzymanie szkół część podatków od własności. Rezerwując dla siebie decyzje w kwestii ogólnych standardów edukacyjnych, *curriculum* kształcenia na wszystkich poziomach władze stanowe ustalają już wspólnie z tymi społecznościami. Ponadto pozostawiają im prawo do samodzielnych decyzji co do sposobu spełnienia stanowych standardów, w tym doboru administracji szkolnej, zatrudnienia nauczycieli i organizacji roku szkolnego.⁴

Pośród norm konstytucyjnych odnoszących się także do sposobu działania amerykańskiego systemu edukacyjnego dwie wydają się szczególnie ważne. Pierwsza z nich zawarta jest w Poprawce I, a druga w Poprawce X. Obie wprowadzono do Konstytucji USA w 1791 r. Pierwsza stwierdza, że „Kongres nie może stanowić ustaw wprowadzających religię albo zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych, ani ustaw ograniczających wolność słowa lub prasy, albo naruszających prawo do spokojnego odbywania zebrań i wnoszenia do rządu petycji o naprawę krzywdy”. Druga orzeka, iż „Uprawnienia, których Konstytucja nie powierzyła Stanom Zjednoczonym ani nie wyłączała z właściwości poszczególnych stanów, przysługują nadal poszczególnym stanom bądź ludowi”.⁵

Pierwsza poprawka wyłączała z programu szkół publicznych nauczanie religii, co miało później zasadniczy wpływ na rozwój szkół wyznaniowych, a druga legła u podstaw omówionej już złożoności amerykańskiego systemu edukacyjnego.

Dla ustalenia celów i zasad polityki oświatowej oraz wyrównania szans uczniów i studentów na poziomie federalnym najistotniejszą rolę spełniał zawsze Kongres Stanów Zjednoczonych (jako ciało ustawodawcze) i rząd federalny oraz podległe mu agendy, a zwłaszcza w ostatnich latach Federalny Departament Edukacji (jako władza wykonawcza).

Poczynając od połowy XX w. do najważniejszych decyzji Kongresu należą *Elementary and Secondary Education Act* (ESEA) z 1965 r. oraz ustawa z 2001 znana jako *No Child Left Behind Act of 2001* (NCLB). Ustawy te zmierzały do wyrównania szans edukacyjnych wszystkich grup amerykańskiej młodzieży niezależnie od statusu społecznego ich rodziców, zobowiązywały władze stanowe i powiatowe do stałej troski o poziom kształcenia oraz do koordynacji procesu wy-

dawania środków finansowych przeznaczonych w budżecie federalnym na potrzeby systemu edukacyjnego.

Rola Federalnego Departamentu Edukacji jako organu inspirującego działania instytucji edukacyjnych oraz analizującego efekty procesów edukacyjnych stale wzrasta. Do jego obowiązków należy również – z pomocą the Office for Civil Rights – nadzór nad realizacją antydyskryminacyjnych przepisów prawa (zapewniających równy start wszystkim, niezależnie od rasy, koloru skóry, pochodzenia narodowego, poziomu opanowania języka angielskiego, płci, stopnia niepełnosprawności i wieku) przez instytucje edukacyjne otrzymujące środki z budżetu federalnego. W pierwszych latach XXI w. departament zatrudniał 4.800 pracowników i dysponował budżetem przekraczającym 54 miliardy dolarów.

Instytucje federalne wspierane były ponadto przez:

a/ sądy, m. in. w sprawach dot. równego dostępu do instytucji kształceniowych, przejawów segregacji rasowej, ale także finansowania szkół i weryfikacji poziomu nauczania;

b/ organizacje pozarządowe, w tym organizacje charytatywne, związki nauczycielskie, stowarzyszenia rodziców i nauczycieli i wiele innych;

c/ środowiska i stowarzyszenia przedsiębiorców wspierających instytucje i przedsięwzięcia edukacyjne finansowo, uczestniczących w analizach efektywności kształcenia zawodowego i konferencjach różnego rodzaju.

W sumie system edukacyjny USA tworzą współcześnie głównie: 1/szkoły podstawowe publiczne/municipalne/lokalne i prywatne (na poziomie podstawowym i ponadpodstawowym; spośród 55,8 mln uczniów kształcących się w roku 2007/2008 w szkołach tego typu, 6 mln uczęszczało do szkół prywatnych); 2/ publiczne (w tym federalne) i prywatne (w tym obliczone na dochód) szkoły wyższe (kolegia kończące się licencjatem/bakalaratem; kolegia kształcące do stopnia magistra; szkoły/wydziały akademie, akademie i kolegia sztuk pięknych/muzyki/teatru, instytuty techniczne, instytuty i uniwersytety umożliwiające zdobycie stopnia doktora oraz prowadzące studia podyplomowe); 3/ szkoły różnych stopni prowadzone przez wyznania i instytucje religijne (najstarsze szkoły i jednocześnie kształcące ponad połowę wszystkich uczniów/studentów uczęszczających to tego typu szkół zakładało, prowadziło i prowadzi nadal szeroko pojęte środowisko katolickie; własne szkoły zakładały ponadto praktycznie wszystkie amerykańskie wyznania).

Ponadto, jak wskazują najnowsze dane, około 1,1 mln uczniów kształciło się poza wszystkimi instytucjami szkolnymi – we własnych domach, pod nadzorem rodziców, ale wg programów i zasad ustalanych w poszczególnych stanach.

Niezależnie jednak od typu szkoły, wszystkie instytucje tworzące amerykański system szkolny wraz z jego 50. podsystemami, przez wszystkie stulecia ich istnienia wspomagały proces kształtowania się amerykańskiej tożsamości narodowej, bowiem „w klasach szkolnych ujawniały się jak w soczewce skutki wszystkich doświadczeń związanych ze zróżnicowaniem rasowym, stosunkami pomiędzy większością i mniejszościami etnicznymi, specyfiką kolejnych faz procesów imigracyjnych, rozwojem miast, zasiedlaniem terytoriów zachodnich, wzrostem gospodarczym Stanów,

⁴ Zob. Joseph M. Cronin, *Educational Administration*, (w:) Herbert J. Walberg (ed.), *American Education: Diversity & Research*. A Forum Series of the Voice of America, Chicago, ILL. 1979, s. 101-111.

⁵ Oba cytaty pochodzą z polskiego wydania Konstytucji USA. Zob. *We the People. Konstytucja Stanów Zjednoczonych*. Oficyna Wydawnicza „Galicja”, Kraków 1990, s. 30 i s. 33.

indywidualną wolnością i wykształconą pod wpływem wszystkich tych czynników tożsamością zbiorową powstających społeczności”.⁶

Cały ten proces stanowi przedmiot debaty trwającej przez stulecia i znajduje swój wyraz także w refleksji nad rozwojem amerykańskich szkół wyższych i reprezentowanych przez nie standardów. Dzieje się tak, ponieważ szkoły te w ich fazie embrionalnej nie tylko wyrastały ze szkół elementarnych, ale i zależały później w dużym stopniu od ich efektywności.

The IVE League⁷

Historia amerykańskich szkół wyższych najpełniej widoczna jest na przykładzie ośmiu najstarszych uczelni, powstałych i istniejących do dziś na północno-wschodnich terytoriach Stanów Zjednoczonych. Utworzone przez te uczelnie prestiżowe stowarzyszenie przyjęło nazwę the IVE League. Do stowarzyszenia należą uniwersytety: Brown, Columbia, Cornell, Dartmouth, Harvard, Princeton oraz the University of Pennsylvania.

Proces powstawania amerykańskiego systemu edukacyjnego, w tym tworzenia podstaw przyszłych uczelni rozpoczyna się już w czasach kolonialnych. Stymulują go nie tylko potrzeby egzystencjalne, lecz także przekonania religijne, wg których „każde dziecko powinno umieć czytać Biblię”.⁸ Po przekształceniu się w 1776 r. trzynastu brytyjskich kolonii w suwerenne Stany Zjednoczone dodatkowym czynnikiem stymulującym rozwój szkolnictwa staje się, z jednej strony, wzrastająca w szybkim tempie wielkość zasobów, jakimi dysponuje społeczeństwo amerykańskie, a z drugiej – demokratyczny charakter ustroju politycznego oraz mądrość elit politycznych.

Zaspokajanie niecierpiących zwłoki potrzeb egzystencjalnych w nowej przestrzeni wymuszało innowacyjność, a ta wymagała wiedzy. Do jej zdobywania zmuszał również wyrosły z protestanckiego *credo* obowiązek czytania i rozumienia Biblii przez każdego oraz podporządkowania się imperatywom etycznym wynikającym z predestynacji. Twórcy amerykańskiego systemu politycznego byli ponadto przekonani – tak jak Thomas Jefferson – że społeczeństwo może stać się demokratyczne tylko wtedy, gdy tworzące je jednostki potrafią „czytać i rozumieć co się na świecie dzieje”.⁹

Najstarszą z uczelni amerykańskich i jednocześnie znajdującą się od lat na pierwszym miejscu we wszystkich światowych rankingach jest Harvard University, usytuowany w Cambridge, Mass.¹⁰ Jego zasoby materialne szacowane są współcześnie na miliard dolarów. Wśród jego absolwentów byli m. in. liderzy amerykań-

skiej wojny o niepodległość (m. in. John Adams, Samuel Adams, John Hancock), a także późniejsi prezydenci Stanów (John Adams, John Quincy Adams, Theodore Roosevelt, Franklin Delano Roosevelt, John F. Kennedy, Barack Obama).

Aby założyć pierwszą w brytyjskich koloniach w szkołę, która rozpoczęła trwający przez wieki proces przekształceń i stawania się Harvard University, pastor John Harvard otrzymał od the General Court of Massachusetts w 1636 r. 400 funtów brytyjskich. Jego szkoła miała „kształcić młodych purytańskich pastorów, którzy – po jej ukończeniu – mogliby stać się misjonarzami zapewniającymi rozwój i powodzenie purytanizmu w granicach Massachusetts”.¹¹ W swoim testamencie zapisał na rzecz szkoły 400 książek oraz 779 funtów.¹² Ten dar spowodował, że na podstawie decyzji Sądu Stanowego szkole nadano jego imię i nazwisko.

Zanim po ponad dwu wiekach Harvard stał się wielowymiarowym uniwersytetem, był najpierw (do końca XVII wieku) główną szkołą kształcąca elity pastorów dla kolonii Nowej Anglii. Od początków XVIII w. mógł z nim pod tym względem konkurować tylko Yale University, założony w 1701 r. przez pastorów Kościoła Kongregacjonalistów w kolonii Connecticut (od 1716 r. zlokalizowany w New Haven).

Ewolucję w kierunku uniwersytetu nadającego swym słuchaczom wszystkie stopnie i tytuły naukowe Harvard rozpoczął od utworzenia w 1782 r. szkoły medycznej. Kolejnymi znaczącymi krokami na tej drodze było otwarcie wydziałów: teologicznego (1816 r.), prawa (1817 r.) oraz wydziałów politechnicznych (1847 r.). Stałej rozbudowie ulegało ponadto zaplecze badawcze. W ostatnim ćwierćwieczu XX w. uczelnia posiadała 50 znakomicie wyposażonych laboratoriów, 95 specjalistycznych bibliotek i 9 muzeów. W procesy dydaktyczne i badawcze zaangażowanych było wtedy ok. 6 tys. pracowników, co w przeliczeniu na liczbę studentów dawało wskaźnik 1 do 6.

Poza Harvardem do ważnych szkół, których historia rozpoczęła się jeszcze w Ameryce kolonialnej należały¹³:

1/ Kolegium Williama i Marii, otwarte w Wirginii w 1693 r. przez Kościół anglikański, szczytujące się najstarszym w Ameryce Północnej wydziałem prawa;

2/ założone w 1740 r. kolegium i akademia w Filadelfii. Dziś jest to University of Pennsylvania, posiadający najstarszy w USA wydział medyczny (działający od 1765 r.) oraz rozbudowane i cieszące się prestiżem wydziały nauk przyrodniczych i fizycznych;

3/ Princeton University, zał. w r. 1747 przez duchownych Kościoła prezbiteriańskiego, od 1756 r. zlokalizowany w Princeton, N.J.; wg zamysłu organizatorów miał rywalizować z Harvardem, Yale oraz kolegium Williama i Marii. W czasie wojny o niepodległość Stanów służył jako siedziba Kongresu Kontynentalnego. Dziewięciu alumnów tej szkoły (w tym James Madison, William Paterson i Oliver Ellsworth) było delegatami na Konwencję Konstytucyjną (r. 1787);

4/ istniejący w Nowym Jorku Columbia University (początkowo, od 1754 r. jako King's College; później, od r. 1784 jako Columbia College i od r. 1896 jako uni-

⁶ Zob. *Introduction: Education in Brief. Success of the educational system is fundamental to U. S. democracy.* <http://iipdigital.usembassy.gov/st/english/publication/2008/09/2008091122054/eaifas...> s. 2.

⁷ Budynki w kampusach najstarszych, powszechnie znanych szkół, zwłaszcza na północno-wschodnich obszarach Stanów, porośnięte były z reguły bluszczem. Z tego też powodu bluszcz zaczęto po latach postrzegać także jako zewnętrzny symbol ich statusu. Zob. *The American Heritage Dictionary of the English Language*. Houghton Mifflin Company, Boston / Dallas / Geneva, Illinois / Hopewell, New Jersey / Palo Alto, 1979, s. 697.

⁸ Zob. Samuel Eliot Morison, *An hour of American History*. BEACON PRESS, Boston, fourth printing, 1970, s. 13.

⁹ Opinię Thomasa Jeffersona cytują za Roy'em Honeywell'em. Zob. jego *The Educational Work of Thomas Jefferson*. Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1931, s. 13.

¹⁰ Zob. Samuel Eliot Morison, *Three Centuries of Harvard, 1636-1936*. Harvard University Press, Cambridge 1936

¹¹ *Family Encyclopedia of American History*, op. cit., s. 245.

¹² Jednak po procesie sądowym wszczętym przez rodzinę, tylko połowa z tej sumy przekazana została szkole.

¹³ Por. Lawrence A. Cremin, *American Education: the Colonial Experience, 1607-1783*. Harper and Row, New York 1970.

wesytet posiadający nie tylko wydział medyczny i prawny, lecz także wydziały: inżynierski, architektoniczny, dziennikarski, międzynarodowy, sztuk pięknych i teatralny, handlu, pedagogiczny, pracy socjalnej. Ponadto, od r. 1889 w jego ramach istniał również Barnard College for Women);

5/ ufundowany przez baptystów w 1764 r. jako Rhode Island College, nazwę Brown University uzyskał w 1804 r. Wg intencji założycieli miał nigdy nie wprowadzać testów religijnych i być otwarty na młodzież katolicką oraz studentów związanych ze środowiskami liberalnymi. W r. 1981 otwarto tu Women's College (w r. 1928 przemianowany na Pembroke College);

6/ Queens College, otwarte w New Jersey w 1766 r. przez Dutch Reformed Church (istniejące do dziś jako Rutgers University);

7/ Dartmouth College, zał. w r. 1769, pierwotnie w Hanover N. H. przez Kongrecjonalistów. W królewskim akcie fundacyjnym zapisano, że kolegium to miało kształcić przede wszystkim „Youth of the Indian Tribes”. Wkrótce jednak stało się szkołą przede wszystkim dla młodzieży pochodzącej z rodzin „the well-to-do”.

Spośród szkół wyższych powstałych prawie sto lat później (w czasie wojny secesyjnej) na dodatkową uwagę – m. in. nie tylko ze względu na zakres i poziom kształcenia, ale także nowoczesną politykę rekrutacyjną – zasługuje Cornell University. Otwarty w mieście Ithaca, NY z inicjatywy Ezry Cornella oraz Andrew Dickson White'a i dzięki ich dotacji Cornell University miał być zorganizowany tak, aby każdy student mógł znaleźć w nim drogowskaz w każdym kierunku studiów. Dlatego też wkrótce Cornell University posiadał czternaście wydziałów. Na siedmiu studia kończyły się licencjatem, a na pozostałych droga edukacyjna prowadziła do magisterium i doktoratu. Zakres przedmiotowy wykładów i badań obejmował m. in. prawo, medycynę (uwzględniającą zwłaszcza potrzeby weteranów), rolnictwo i weterynarię. Ponadto Cornell University był od początku koedukacyjny oraz dostępny dla słuchaczy należących do wszystkich ras i wierzących, agnostyków i niewierzących. Dziś kształci nie tylko młodzież amerykańską, lecz także studentów pochodzących z ponad 120 krajów.

W piśmiennictwie amerykańskim za pierwszy w pełnym tego słowa znaczeniu nowoczesny (zarówno pod względem zakresu jak i poziomu kształcenia, a także badań naukowych) uniwersytet uważa się jednak dopiero powstały w 1873 r. Johns Hopkins University, ufundowany w 1876 r. w Baltimore przez kwakra, handlowca i bankiera, Johns Hopkinsa. Proces kształcenia oferowany przez tę uczelnię oparty był na wzorach najlepszych uniwersytetów europejskich, zwłaszcza niemieckich. Program nauczania adresowany był tu do studentów chcących zdobyć stopień magistra i / lub doktora. W 1893 r. amerykańskie ruchy emancypacyjne przeznaczyły na potrzeby otwieranej tu Johns Hopkins Medical School dotację w wysokości pół miliona dolarów pod warunkiem jednak, że szkoła ta będzie przyjmowała na studia mężczyzn i kobiety na tych samych warunkach.

W początkach XIX w. setki istniejących wtedy prywatnych kolegiów musiały stawić czoła wyzwaniu ze strony szkół publicznych, utrzymywanych z funduszy stanowych, powiatowych i municypalnych. Sprostały

temu wyzwaniu tylko najsilniejsze, a pozostałe znikły ze sfery publicznej równie szybko jak powstały. Ale i te najsilniejsze zderzyły się z kolejnym zagrożeniem swej wolności. Zawierało się ono w podejmowanych przez władze federalne i stanowe próbach poddania prywatnych uczelni państwowej kontroli. Szczególnie wyrazistym przypadkiem tych prób był konflikt pomiędzy władzami stanowymi New Hampshire i the Dartmouth College. Zakończył się on w 1819 r. korzystnym dla the Dartmouth College wyrokiem Sądu Najwyższego, uznającym ingerencję władz w sprawę uczelni za sprzeczne z Konstytucją Stanów Zjednoczonych. I choć wyrok Sądu Najwyższego z 1837 r. (w sprawie, która przeszła do historii jako the Charles River Bridge Case) wprowadziła pewne ograniczenia do wykładni z 1819 r. to jednak sama zasada niezależności uczelni prywatnych od władz państwowych stanowi do dziś podstawę egzystencji szkół prywatnych.¹⁴

Nie znaczy to jednak, że uczelnie prywatne nie były nigdy i nie są nadal wspierane przez władze (federalne i stanowe) oraz fundacje. Najstarsze formy wsparcia wyrażały się w bezpłatnej ziemi używanej pod budowę kampusów, a także dotacji na rozwój szczególnie pożądanym kierunków kształcenia i badań naukowych (np. związanych z potrzebami rolnictwa).

Do najstarszych decyzji federalnych umożliwiających tego typu wsparcie należały Morrill Act z 1862 r., the Hatch Act z 1887 r. oraz the Smith-Lever Act z 1914r. Spośród dotacji prywatnych w literaturze poświęconej rozwojowi amerykańskiego szkolnictwa wyższego szczególnie często – poza wymienionymi przeze mnie w tym artykule już wcześniej – przypomina się dotacje: Cornelius'a Vanderbilta (w 1873 r. w wysokości 1 mln. dolarów na założenie Vanderbilt University), Lelanda Stanforda w wysokości 20 mln. dolarów dla Stanford University oraz John'a D. Rockefellera – 30 mln. dolarów dla the University of Chicago.

Część najstarszych uczelni amerykańskich, w tym spośród należących do Ive League, nadal należy do ścisłego grona najlepszych szkół wyższych świata. Według Akademickiego Rankingu Uniwersytetów Świata (Academic Ranking of World Universities, ARWU), sporządzanego od pierwszej dekady XXI w. przez Uniwersytet Jiao Ping, do pierwszej dziesiątki najlepszych uniwersytetów świata w roku 2013 należało siedem uniwersytetów amerykańskich (Harvard University, California Institute of Technology, Stanford University, Princeton University, Massachusetts Institute of Technology, University of Chicago i University of California-Berkeley) oraz trzy brytyjskie (University of Oxford, University of Cambridge i Imperial College of London).¹⁵

Krucjata przeciwko rasizmowi i męskiemu szowinizmowi.

Amerykańskie szkoły z północnych Stanów, zwłaszcza związane z kongregacjami baptystów, metodystów i prezbiterian, stosunkowo wcześniej podjęły próbę przeciwstawienia się rasizmowi oraz nierównemu traktowaniu kobiet i mężczyzn. To one wykształciły wielu abolicjonistów, a w okresie rekonstrukcji po woj-

¹⁴ Zob. *Family Encyclopedia of American History*, op. cit., ss. 246 i 323.

¹⁵ Zob. <http://www.gazetaprawna.pl/wiadomości/artykul/554180>.

nie domowej zaangażowały się szczególnie aktywnie w działania na rzecz likwidacji analfabetyzmu wśród byłych niewolników oraz uformowania ich świadomości obywatelskiej i narodowej.

Za pierwsze kolegia koncentrujące się na problemach czarnoskórych Amerykanów uważa się Ashmun Institute (zał. w Pensylwanii, 1854 r.), Wilberforce University (powstały w Ohio w 1856 r.) oraz powstałe w 1866 r. Lincoln University (Missouri), Show University (North Carolina) i Fisk University (Tennessee). Jednak zasadnicze znaczenie miało powstanie w Waszyngtonie D. C. w r. 1867 Uniwersytetu Howarda (nazwanego tak od nazwiska gen. Oliwera Otisa Howarda, rektora w latach 1869-1874) i przez wielu uważanego za Black Harvard.

Wspierany od początku przez subwencje federalne (także współcześnie!), Howard University stał się po latach koedukacyjną uczelnią złożoną z 15 wydziałów i kolegiów kształcących do stopnia magistra i doktora (nawet w zakresie nauk medycznych i prawnych). Rozbudowa uczelni zaczęła się od medycyny i farmacji (r. 1868/1869), teologii (1870), stomatologii (1881), muzykologii (1883), inżynierii i architektury (1910).

W pierwszym roku akademickim cała społeczność studencka Howard University liczyła 94 studentów, głównie byłych niewolników i ich dzieci, w większości analfabetów i półanalfabetów. Pod koniec XX w. społeczność studencka liczyła już dziesiątki tysięcy Afro-Amerykanów, białych obywateli USA (ok. 20 proc. wszystkich studentów) oraz obcokrajowców z 80 krajów, studentów i stypendystów różnych prestiżowych fundacji. Warto w tym miejscu dodać, czarnoskórzy studenci tej uczelni nie należeli do najbogatszych klas społeczeństwa amerykańskiego. Ok. 4/5 całej społeczności, aby zdobyć środki na opłacenie czesnego i utrzymanie, w trakcie nauki pracowało zarobkowo.

Ambicją uczelni było jednak od początku, aby jej absolwenci byli nie tylko wysokiej klasy specjalistami w określonych dziedzinach, lecz także uczestnikami czy nawet liderami ruchów Afro-Amerykanów oraz działaczami państwowymi. Ten klimat społeczny i intelektualny spowodował, że po latach wśród jej amerykańskich absolwentów byli już kongresmeni i senatorowie, sędziowie Sadu Najwyższego i ambasadorowie, a wśród obcokrajowców – prezydenci szeregu krajów z tzw. Trzeciego świata oraz profesorowie bardzo znanych szkół wyższych.¹⁶

Problematyka właściwa dla późniejszych ruchów feministycznych pojawiła się w amerykańskich szkołach wyższych jeszcze wcześniej niż ruchów abolicjonistycznych, bowiem już w drugim dziesięcioleciu XIX w. Nie znaczy to jednak, że równie szybko osiągnięto pożądane rezultaty.¹⁷ Początkowo sprawą zasadni-

czą był w ogóle dostęp kobiet do szkół i audytoriów uniwersyteckich, a dopiero po latach na równych prawach z mężczyznami. Jeszcze później – w centrum uwagi znalazły się ich prawa wyborcze i zakres udziału w życiu publicznych.

Pierwsze, wyposażone przez władze stanowe w odpowiednie uprawnienia (tzw. *state charter*) kolegium, przeznaczone wyłącznie dla kobiet, założone zostało przez Kościół metodystów i zostało zarejestrowane w stanie Mississippi w 1819 r. i otrzymało nazwę Elizabeth Female Academy. Kolejne powstawały w 1821 r. (ufundowane przez Emmę Hart Willard Troy Female Seminary; obecna nazwa Emma Willard School), 1836 r. (Mount Holyoke College), 1836 r. (Georgia Female College działające do dziś pod nazwą Wellesley Collage; to właśnie kolegium jako pierwsze otrzymało uprawnienia do nadawania stopni naukowych), 1861 r. (Vassar College), 1870 r. (Smith College), 1880 r. (Bryn Mawr), w 1886 r. (Newcomb), 1889 r. (Barnard), 1891 r. (Pembroke) i w 1894 r. (Radcliffe).

Podstawa programowa tych szkół początkowo w dużym stopniu wynikała z przekonania dominującego i Europie i Ameryce, iż kobiety nie są genetycznie odpowiednio wyposażone do poważnego intelektualnego wysiłku, a ich rola społeczna wyznaczona jest przez macierzyństwo oraz powinności matki i żony. Stereotypy płci kulturowej były przełamywane stopniowo, a akademickie standardy programów realizowanych w później powstałych kolegiach i seminariach stale podwyższano. Z upływem lat idea dostępności wyższego wykształcenia także dla kobiet zyskiwała coraz szersze społeczne poparcie. Jej spełnieniem stało się otwarcie pierwszej wyższej szkoły koedukacyjnej – Oberlin College. W 1841 r. trzem pierwszym kobietom w USA nadano stopień bakałarza. Te tendencje jeszcze wyraźniej zmanifestowane zostały w Vassar College, w którym poziom nauczania w niczym nie ustępował nawet najlepszym szkołom męskim (w publicystyce z tamtych lat znaleźć można m. in. pogląd, że Vassar stał się tym dla kobiet, czym był Yale i Harvard dla mężczyzn).

Tę tendencję silnie wspierały dotacje ówczesnych Amerykanek. Do najwcześniejszych i jednocześnie najbardziej znanych należała dotacja w wysokości 500 tys. dolarów, przekazana przez Sopię Smith na rzecz utworzonego w 1871 r. Smith College w Northampton, Mass.

Pod wpływem tendencji koedukacyjnych w końcu XIX w. powstała idea tzw. *coordinate college*. Jej zwolenniczki dążyły do otwarcia w ramach szkół przeznaczonych pierwotnie wyłącznie dla mężczyzn także wydziałów dla kobiet. W tym trybie w 1889 r. w ramach Columbia University powstała Bernard School, a pięć lat później Harvard utworzył Radcliffe College.

¹⁶ W trakcie jednego z pobytów badawczych w tej uczelni (możliwemu dzięki grantowi American Council of Learned Societies) na początku lat 70. XX w. zbierała materiały do swej późniejszej znakomitej książki prof. zw. dr hab. Ewa Nowicka. Zob. jej *Afrykanie z wyboru. Afryka w świadomości Murzynów amerykańskich*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1979.

¹⁷ Druga żona Floriana Znanięckiego, Eileen Markley-Znanięcka (Amerykanka irlandzkiego pochodzenia, którą poznał F. Znanięcki w 1914 r. w czasie swego pierwszego wieloletniego pobytu w USA) wspominała po latach, że jako studentka the University of Chicago musiała – zgodnie z obowiązującymi wtedy zasadami – słuchać wykładów siedząc za drzwiami audytorium, aby swą obecnością na sali nie przeszkadzać bardziej utalentowanemu kolegom. Zob. m.in. Zygmunt Dulczewski, *Florian Znanięcki. Życie i dzieło*.

Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1984. Dla porównania warto w tym miejscu dodać, że limity przyjęć studentek obowiązywały np. w polskim szkolnictwie wyższym jeszcze w okresie międzywojennym. Jak wynika z dokumentów Wydziału Medycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, Rada Wydziału Lekarskiego postanowiła, że na I rok studiów w roku akademickim przyjmie maksimum 5 proc. kobiet, a to z tej przyczyny, że nie grzeszą one ani pilnością, ani postęпами w naukach, tylko niepotrzebnie zabierają miejsce w szczupłych pracowniach. Zob. Hieronim Kubiak, *Metamorfozy polskiej inteligencji*. (w:) *Wojciechowi Jaruzelskiemu, żołnierzowi i mężowi stanu*. (prac. zbior. pod red. Jerzego J. Wiatra, Andrzeja Gąszczolowskiego, Andrzeja Kurza i Gabriela Zmarzlińskiego). Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2013, s. 90.

Już w początkach XIX w. 71 proc. amerykańskich szkół wyższych wszystkich typów miało charakter koedukacyjny. Za szczytowy moment dla tego procesu przekształcania się uważa lata siedemdziesiąte XX w. Wtedy to udział studentów szkół przeznaczonych wyłącznie dla mężczyzn lub kobiet spadł do poziomu 7 proc. ogółu studiujących.¹⁸

Równoległe z działaniami na rzecz pełnego dostępu do wyższego wykształcenia, Amerykanki walczyły o prawa wyborcze oraz otwarcie dla nich na równych prawach z mężczyznami wszystkich dróg: do pracy zgodnie z zasadą *equal pay for equal work*, a także do podstawowych sfer życia publicznego i państwowego, w tym do służby wojskowej. W pierwszej kwestii, tj. praw wyborczych, zapoczątkowany w 1848 r. w Seneca Falls, NY i w dwa lata później zebrany na konwencji w Worcester, Mass. Women's Rights Movement¹⁹ zatriumfował w 1920 r. po ratyfikacji przez Kongres XIX poprawki do konstytucji. Stanowiła ona, że „Stany Zjednoczone ani którykolwiek ze stanów nie może obywateli Stanów Zjednoczonych pozbawić praw wyborczych ani ograniczyć ich ze względu na płeć”.²⁰

Inne wymiary równouprawnienia, zawarte w opracowanej w 1923 r. kolejnej poprawce do konstytucji (znanej jako Equal Rights Amendment, stanowiącej prawną podstawę do ostatecznego zniesienia dyskryminacji kobiet w stosunkach pracy, przy podpisywaniu umów finansowych różnego rodzaju, edukacji, wynajmowaniu mieszkań, zawieraniu małżeństw i postępowaniu rozwodowym itd.) musiały poczekać jeszcze pół wieku (zostały zatwierdzone przez Kongres dopiero w 1972 r.). Ale i nie wszystkie zawarte w tej poprawce prawa w świecie zdominowanym przez mężczyzn zostały zrealizowane od razu, np. w stosunkach pracy. Choć w ostatnich dziesięcioleciach XX w. kobiety stanowiły ok. połowy amerykańskiej siły roboczej, to jednak ich średnia płaca wynosiła nadal tylko ok. 60 proc. analogicznej średniej mężczyzn. Ten stan rzeczy spowodował powstanie kolejnych silnych organizacji feministycznych (zwłaszcza the National Organization for Women, NOW), a także doprowadził do radykalizacji młodszych grup wiekowych, w tym w szkolnictwie wyższym. Ameryka pod wpływem tego syndromu stawała się nowym społeczeństwem.

Choć Stany nie miały nadal ogólnonarodowego programu i *curriculum*, to jednak rząd federalny na przełomie XX i XXI w. żądał już od wszystkich szkół korzystających z środków rządowych aby:

1/ zlikwidowały wszelkie pozostałości (tak materialne, jak i osadzone w świadomości zbiorowej) dawnej segregacji rasowej;

2/ wszelkie programy, w tym kształcenia zawodowego i wychowania fizycznego, zapewniały równe szanse wszystkim uczniom i studentom niezależnie od ich płci;

3/ uczniowie i studenci niepełnosprawni otrzymywali od szkół pomoc odpowiednio do ich specyficznych potrzeb;

4/ uczniowie, dla których język angielski nie jest językiem ojczystym, mogli kształcić się w systemie bilin-gwalnym.²¹

Uwagi końcowe

Proces stawania się i stopniowego uwalniania się amerykańskiego systemu szkolnego od rasizmu i męskiej dominacji trwał ponad dwa wieki. W punkcie wyjścia był możliwy ponieważ Deklaracja Niepodległości napisana, jak wielu twierdzi, głównie przez Thomasa Jeffersona i przedstawiona Kongresowi Generalnemu 4 lipca 1776 r.²² uznawała następujące prawdy za oczywiste: „wszyscy ludzie stworzeni są równymi, (...) Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, (...) w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście, (...) celem zabezpieczenia tych praw wyłonione zostały wśród ludzi rządy, których sprawiedliwa władza wywodzi się ze zgody rządzonych”.²³

System był w więc możliwy dzięki prawdom podstawowym stanowiącym zaczątek amerykańskiej cywilizacji, a jednocześnie to ten system szkolny – poprzez kształtowanie osobowości, umiejętności racjonalnego myślenia i pragmatycznego rozwiązywania bieżących problemów, a także gotowości ciągłego naprawiania rzeczywistości – przygotowywał Amerykanów do spełnienia roli rzeczywistego suwerena amerykańskiej demokracji. To w nich kształtowała się, jak to określił Henry Steele Commager, amerykańska umysłowość, a ona z kolei przekształcała cały *habitus*.²⁴

W istocie więc mamy tu do czynienia ze sprzężeniem zwrotnym: procesy formowania się amerykańskiego systemu szkolnego były niemożliwe bez przyjęcia aksjomatów wstępnych, iż wszyscy jesteśmy równi, wolni i mamy jednakie prawo do ludzkiego szczęścia, a jednocześnie amerykańska cywilizacja bez absolwentów tych szkół zostałaby pozbawiona sobie tylko właściwego *spiritus movens*.

HIERONIM KUBIAK

²¹ Por. Joseph M. Cronin, *Educational Administration*, (w:) Herbert J. Walberg (ed.), *American Education. Diversity & Research*, op. cit., s. 108.

²² Deklarację Niepodległości zalicza się – obok Konstytucji – do dwu podstawowych dokumentów w historii Stanów Zjednoczonych. 10 czerwca 1776 r. do przygotowania projektu tej deklaracji Kongres (obradujący w Filadelfii) powołał pięcioosobowy zespół w składzie: Thomas Jefferson, John Adams, Benjamin Franklin, Roger Sherman i Robert R. Livingston. Po dyskusji nad treścią dokumentu, zespół zwrócił się do Jeffersona o napisanie projektu i jego ostateczną redakcję (por. Paweł Zaremba, *Historia Stanów Zjednoczonych*. Instytut Literacki, Paryż 1957, s. 72). Wielu historyków twierdzi, że podstawowe zasady wpisane do projektu Jefferson zaczerpnął od Johna Locke'a. Kongresowa debata nad tym projektem rozpoczęła się 2 lipca, a dwa dni później, 4 lipca 1776 roku tekst Deklaracji został przez Kongres zatwierdzony.

²³ Zob. Andrzej Bartnicki, Krzysztof Michalek, Izabela Rusinowa, *Encyklopedia historii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dzieje polityczne (od Deklaracji Niepodległości do współczesności)*. Wydawnictwo Ergas Morex, Warszawa 1992, s. 67 – 68.

²⁴ Por. Henry Steel Commager, *The American Mind. An Interpretation of American Thoughts and Character Since the 1880's*. Yale University Press. Twenty seventh printing, Clinton, Mass. 1976 r. W rozumieniu Norberta Elias'a, pojęcie habitus odnosi się do zróżnicowanych wzorów ludzkiego doświadczenia i działania, w których spleta się determinizm natury z regulatywnym oddziaływaniem kultury, historia ze strukturą społecznych zależności. Zob. Elżbieta Hałas, Elias Norbert, (w:) *Encyklopedia socjologii. Suplement*. Oficyna Naukowa, Warszawa 2005, s. 62,

¹⁸ Por. *Family Encyclopedia of American History*, op. cit., s. 247.

¹⁹ Wtedy jeszcze w zdominowanej przez mężczyzn amerykańskiej opinii publicznej panował pogląd wyrażony w filadelfijskiej gazecie „Public Ledger”, iż kobieta jest nikim. Żona jest wszystkim. Por. *Family Encyclopedia of American History*, op. cit., s. 1256.

²⁰ *Konstytucja Stanów Zjednoczonych*, op. cit., s. 39.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

JEZUS W INDIACH?

Biografia na święto Trzech Magów¹

Piekło na Bliskim Wschodzie zaczęło się na długo przed Jezusem. Przetrwowało jego czasy, dotrwało do naszych. Zaraz po narodzinach musiał uciekać do Egiptu. W trzydzieści lat później jego działalność uznano w rzymskiej administracji za wywrotową. Żydzi też tak uważali, ale się nią fascynowali. Nie przyszło im do głowy karać młodego Mistrza, bo może pochodził od Boga? Umyli ręce, dopiero Piłat, śliski jak piskorz, skazał go na największy krzyż, jaki nomen-omen zbito w Palestynie. W latach między Neronem a Kaligulą, na które przypada czas pierwszej „żydokomuny”, dręczyła Rzym i jego prowincje „spiskowa teoria dziejów”. Gdyby nie ówczesna wersja prawa i sprawiedliwości, może by przeżył. Jezusa śledzili szpiedzy. Leczył, nauczał, czynił cuda – więc podejrzany. Monumentalny podręcznik chronologii *An Encyclopedia of World History* Williama L. Langer² mówi wyraźnie:

...the primitive Christian community is now shown to have stood in the same tradition of Jewish sectarianism. Its institutions, including its early practice of religious communism (podkreślenie moje – km), its church organisation, and even the sacraments of baptism and communion owe much to earlier Jewish institutions and liturgical practices of the Essene type.

Nic dziwnego, że Michaił Gorbaczow wizytując Izrael już po rozpadzie Związku Radzieckiego złożył na Golgocie wieniec z szarfą: „Pierwszemu komunście ostatni komunista”.

W czasach Jezusa nic wielkiego na świecie się nie działo. Rzym zajęty był północą cesarstwa, powstaniami w Pannonii i Dalmacji, ustanawianiem granicy na Dunaju i Renie. Augustus zapewnił emerytury dla żołnierzy i zmniejszył liczbę legionów z 70 do 27. Jego armia w dalszym ciągu była potężną i to nawet jak na dzisiejsze stosunki – 300 tysięcy ludzi! Zagony Germanicus poszły podbijać Armenię. W Persji stabilizowała się dynastia szachinszachów Pahlavich, w Indiach miał wkrótce zacząć rządzić wielki król Kaniszka, Koreę kolonizowali Chińczycy. Japonii jeszcze nie było.

Imię Jezusa po aramejsku brzmi Jeshua. Było tak popularne, jak u nas Jasio. Do chrystianizmu weszło w swej greckiej postaci „Jezus” o przydomku „Chrystus”. Greci używano nad wschodnimi wybrzeżami Morza Śródziemnego z powodu krótkotrwałego „grecczenia” kultury w czasach imperium Aleksandra Macedońskiego. Palestyna była nazwą kraju, Izrael – nazwą zamieszkującego ją ludu. Zdaniem Ernesta Renana³, autora najstynniejszej, pisanej na kolanach, lecz odrzucanej przez ortodoksów biografii Chrystusa, Jezus był jednym z największych intelektualistów wszechczasów. Arystoteles stworzył podwaliny pod nowoczesną naukę, Sokrates – pod filozofię, a późniejszy od nich o trzysta lat Jezus – pod nowoczesną religię.

Gdyby śledczy Piłata przesłuchując Jezusa kazali mu napisać życiorys, jeśli potrafił pisać, skreśliłby kilka linijek: urodziłem się w czwartym roku przed Chrystusem. Do dwunastego roku życia wychowywałem mnie Józef i Matka. Uciekłem im z domu na trzy dni, żeby dołączyć w świątyni do dyskutujących rabinów. Znaleźli mnie, zbesztali, więc uciekłem na dłużej, na osiemnaście lat. Nie wiadomo, co w tym czasie robiłem. Potem chodziłem od wsi do wsi i nauczałem, aż trafiłem przed sąd Piłata, który mnie skarży o przygotowywanie zamachu stanu. Nie wiem, czym się to wszystko skończy...

W ewangeliach, czyli biografii Jezusa napisanych przez świętych Jana, Mateusza, Marka i Łukasza, z których tylko Jan był jako tako wykształcony, brak wiadomości o życiu świętego w okresie od dwunastego do trzydziestego roku życia. Biografowie, jak Peter Seewald⁴ nazywają te lata „ukrytymi”.

Trafili całą rodziną (Maria, Józef i chłopiec) do Nazaretu, miasteczka ponoć wtedy 80-osobowego, które nie wiadomo, czy istniało. Jezus może i mógł się bawić z rówieśnikami, ale raczej pomagał „ojcu” w zajęciach stolarskich. Seewald zakłada, że pracował też dorywczo w miejscowych warsztatach kamieniarskich i na budowach. Raz tylko zniknął rodzicom. Po trzech dniach znaleźli go w synagodze, gdzie rozstrzygał spory między uczonymi i dawał im dojrzałe rady. Ofuknął ich, że szukają, kiedy on jest u „Ojca”.

¹ We wszystkich apokryfach mówi się o Magach, a tylko w jednym o Mędrcach. Nigdzie – o Królach. Patrz: *Apokryfy Nowego Testamentu*, część 1 i 2 pod red. ks. Marka Starowieyskiego, WAM, Kraków 2003.

² William L. Langer, *An Encyclopedia of World history*, Harrap, London 1968, p.117.

³ Ernest Renan, *Żywot Jezusa*, w: Barbara Skarga, *Renan*, WP, Warszawa 2002, s. 193-209.

⁴ Peter Seewald, *Jezus Chrystus*. Biografia, Dom Wydawniczy Rafael, Kraków b.r.w. (2012?).

Ten brak informacji o dziecięcym i młodzieńczym latach Jezusa wywołał falę apokryfów. Trwa to do dziś, a początkujący autorzy pozwalają sobie na bardzo swobodne i często obrazoburcze opowieści o niepokalanym poczęciu⁵.

Apostołowie nie pisali o dzieciństwie, bo najwiodoczniej nic się takiego ważnego nie działo. Dziecko bawilo się w piaskownicy, jak każde inne. Żadne cudowne zamki z piasku ani święte babki, jak u Gaudiego w kościele Familia Sagrada w Barcelonie, nie rosły. Tak przynajmniej wynika z ewangelii, nie z apokryfów. Zdarzeniem nadzwyczajnym stało się dopiero spotkanie malca z uczonymi mężami. Może było takich więcej? Nawet jeśli nie śledził ich naoczny świadek, wiadomo byłoby o nich, bo wieść o mądrości chłopca musiała się rozchodzić lotem błyskawicy. Wacław Korabiewicz⁶ nie może się pogodzić z nieobecnością Jezusa przez osiemnaście lat. Jeśli zniknięcie na trzy dni sprawiło, że rodzice zaniepokojeni szukali go wszędzie, cóż się wobec takiego stało, że nie szukali go przez osiemnaście następných lat?

Mitologia według Korabiewicza

Wacław Korabiewicz wykorzystuje swoje talenty podróżnicze. Wiedział, że karawany chodziły wtedy do Indii i przynosiły wiadomości mogące interesować młodych ludzi. Tak zaczynała się korespondencja zagraniczna, choć jeszcze nie było mediów. Jacyś mężowie – opowiadano – spacerowali w Indiach nagimi stopami po rozżarzonych węglach. Koncentrowali się i zapewniali o możliwości lewitacji, jogini ćwiczyli różne formy koncentracji. Nie mogło to nie zaciekawić chłonnego i wrażliwego chłopca. Poszedł z karawaną do Indii. Po powrocie odszukał swego kuzyna Jana, żeby się ochrzcić. Woda w Indiach zawsze pełni podstawową rolę w obrządkach świętych. Jezus „przyniósł” ją ze Wschodu.

Ze Wschodu przybywały też inne „cuda”. Korabiewicz pisze:

„Najciekawszą analogię znajdziemy chyba w Indiach, gdzie w roli »matki bożej« występuje królowa Devaki, rysowana i rzeźbiona zazwyczaj z małym Kriszną na ręku. To Kriszna właśnie jako niemowlę, przechowywany w ubogiej stajence, w koszyku z sianem, cudownie uniknął śmierci, gdyż pastuszka Nana, słysząc o zarządzonej rzezi niemowląt podmieniła swą martwo urodzoną córeczkę na żywego Krisznę. Co nam to przypomina?”⁷

Na Wschodzie obowiązywała męska linia pochodzenia. Szanowany jest wszędzie ojciec rodziny, klanu, plemienia, narodu. O matkach nie wiadomo. Matka Boska jest w kulturze Wschodu kimś oryginalnym, by nie powiedzieć – nowatorskim. To wpływ judaizmu, w którym dziedziczy się po matce, bo „matka zawsze jest wiadoma”.

Matka Jezusa pojawia się w kulturze islamu, co też budzi zdumienie. Według Koranu była ona córką Imrana i jego żony Anny, i siostrą Aarona. Więcej zajmują się tam jej bratem niż jej synem i jej rodzinami niż rodzinami jej dziecka. Ale Mahomet wymienia ją

jako matkę Jezusa⁸. Natomiast Jezus zasłużył tylko na kilka słów w cytowanym dykjonarzu:

*ISA The name Niven to Jesus on the Quran and All Muhammadan writings*⁹.

Jak w każdej rodzinie Wschodu, Jezus miał licznych braci i siostry, które Maria powiła później bez pomocy sił nadprzyrodzonych i Ducha Świętego. Ewangelie nie rozwodzą się nad tym. Matka Boża przedstawiana jest przez świadectwa ewangelistów jako kobieta niemal obca synowi. I nic dziwnego, skoro opuścił ją na osiemnaście długich lat. Opuścił, ale w notatkach biblioteki klasztornej w Himis (Indie) zachowały się jego uwagi o matkach w swej subtelności i dobroci niepodobne do niczego, co na ten temat czytamy w przekazach Orientu:

„8. W tym czasie stara kobieta zbliżyła się, aby lepiej słyszeć słowa Jezusa. Ktoś stojący przed nią potrącił ją.

9. Natenczas Jezus rzekł – źle, gdy syn odtrąca matkę, aby zająć należne jej miejsce. Kto nie szanuje matki swojej, najświętszej po Bogu, ten jest niewart imienia syna.

10. Słuchajcie tych słów: czcigodna jest kobieta, jako że ona jest matką wszechświata. W niej leży prawda tworzenia.

11. Ona jest podstawą wszystkiego co piękne, co dobre, stanowiąc zarodek życia i śmierci. Od niej zależne jest życie człowiecze, jako że ona stanowi jego moralną i naturalną podstawę.

12. W cierpieniu rodzi was. W pocie czoła pracuje troszcząc się o wasz los, który po śmierci sprawia jej największy niepokój. Błogosławcie ją więc za to, uwielbiajcie, albowiem ona jest waszym jedynym przyjacielem i jedyną podporą.

13. Szanujcie i brońcie jej, postępując w ten sposób zdobędziecie miłość i serce, a także radość Boga, który wiele grzechów wam za to wybaczy.

14. Kochajcie wasze żony i szanujcie je, albowiem jutro staną się matkami waszych dzieci, a później pokoleń.

15. Bądź posłuszny swojej żonie, jej miłość bowiem uszlachetnia męzczyznę.

16. Zarówno żona jak i matka są bezcennym skarbem, nasyconym Bogiem. One są najpiękniejszą ozdobą wszechświata, z nich rodzi się wszystko, co zamieszkuje ten świat.

17. Jak Bóg oddzielił światło od ciemności, a lądy od wód, tak kobieta posiada w sobie boską moc oddzielenia w męczyźnie cech dobrych od diabelskich.

18. Zaprawdę powiadam wam – po Bogu najlepsze wasze myśli powinny towarzyszyć kobiecie-żonie, ona jest świątynią boską, w której osiągniecie prawdziwe szczęście.

19. Aby zapomnieć o kłopotach i upadkach, z tej właśnie świątyni czerpać macie wasze moce moralne. Tą drogą odzyskacie zmarnowane siły potrzebne wam do pomocy bliźniemu.

20. Nie narażajcie kobiety na upokorzenia, albowiem odtrącając skarb miłości upokorzycie sami siebie. Bez miłości nie ma istnienia.

21. Ochraniaj swoja żonę, aby ona mogła chronić ciebie i twoją rodzinę. Wszystko dobro, jakie uczynisz

⁵ Mariusz Wieteska, *Pewnego dnia przyszedł do mnie...*, Anagram, Warszawa 2011.

⁶ Wacław Korabiewicz, *Tajemnica młodości i śmierci Jezusa*, Przedświt, Warszawa 1992

⁷ Op.cit. s. 26.

⁸ Thomas Patrick Huhges, *Dictionary of Islam*, Rupa, Calcutta 1988, reprint z 1885, s. 328.

⁹ Op.cit. s. 216.

swojej matce, żonie, wdowie albo innej kobiecie będzie policzone na dobro Boga.

XIII

1. W ten sposób nauczał święty Jezus lud Izraela, wędrując w ciągu trzech lat od wsi do wsi gościńcem i polem, a wszystko, co powiedziały, spełniło się¹⁰.

Korabiewicz tłumaczył ten tekst z angielskiego. Autor wersji angielskiej dysponował podstawą francuską we własnym przekładzie z rosyjskiego, na który przełożono z tybetańskiego co zrobili ludzie osiadłego w Himalajach rosyjskiego malarza Roericha? Na tybetański w każdym razie mnisi przełożyli tekst z pali, w którym – jak cały kanon buddyjski – pisano biblioteki korzystając z oryginałów w tym przypadku aramejskich. Sześć kolejnych języków potrafi zniekształcić wiele, ale nie sens sprowadzający się do kilku słów, a zwłaszcza jednego, które we wszystkich językach brzmi tak samo: mama.

Apokryf Notowicza

Na Wschodzie – mówiliśmy – zawód i warsztat przejmują się po ojcu. Nic nie wiadomo o tym, że Jezus potrafił zrobić stół, wiadomo natomiast, że potrafił mnożyć chleb i ryby, więc warsztat pracy jako talenty odziedziczył i to po swoim Wielkim Ojcu. A że wierni nie ciekawią się lukami w ewangeljach, to inna sprawa. Wiadomość o tym, czy Jezus miał siostry i czy bawił się z koleżankami z punktu widzenia wiary nie jest ważna i wierzący jej nie potrzebują. Natomiast głęboka wiara w świętość Matki Bożej demonstrowana i propagowana przez Jana Pawła II jest czymś na kształt utożsamienia Matki Bożej z Jego własną matką. Jedna z zakonnic mówiła, że zwraca się do Matki Bożej mówiąc Mamusi!

Pisze Korabiewicz, że 12-letniego Jezusa słuchał w świątyni radża Orisy i zaproponował mu wyprawę do Indii. Takie są przypuszczenia autora oparte na wcześniejszych przypuszczeniach kogoś innego. Bez świadectw z Indii nie możemy tego potwierdzić. Tak czy owak 12-letni Żyd zdolny był do żeniactwa. Skoro debatował w świątyni, to tym bardziej nadawał się do dalekiej podróży.

Korabiewicz znalazł ślady świadectw. Pozostawił je carski oficer polskiego pochodzenia z Kaukazu, Nikołaj Notowicz. Zaciekawiony wieściami o joginach wyruszył statkiem, a potem powozem do Lahore. Stamtąd jako „góral” z Kaukazu powędrował w góry Kaszmiru. Na sporej wysokości spotkał mnicha buddyjskiego, który opowiedział mu o synu Buddy, który wędrował bezdrożami Indii i podobnie jak mnisi buddyjscy wojował z brahinami przeciwko ich koncepcji nierówności człowieka. Starzec poradził Notowiczowi, aby poszukał śladów tych debat w klasztorze w Ladakhu. Notowicz zawędrował do Himis, gdzie zapoznano go z pismami z czasów Jezusa. Kiedy wrócił do Kijowa i dał do czytania własne opracowanie na ten temat archimandrycie Platonowi, ten odradził publikację, za to zaoferował kupno rękopisu. Notowicz odmówił i udał się do Watykanu, gdzie usłyszał to samo. Trafił zatem do Paryża i opublikował książkę (*La Vie Inconnue de Jesus Christ*, 1894), która następnego dnia zniknęła z półek, lecz nie wzbudziła żadnych dyskusji. Nie ukazała się ani jedna recenzja.

¹⁰ Op.cit. s.69-70.

Wznowił wydanie i znowu to samo. Siedem kolejnych wydań zniknęło bezszelestnie. Dwa egzemplarze zachowały się w British Museum – z czwartej i siódmej edycji. Kolejne nakłady ukazały się w Lizbonie i Nowym Jorku. Notowicz zainteresował tekstem Ernesta Renana, ale wycofał się z lęku przed zawłaszczeniem odkrycia przez uczonych. W końcu doczekał się recenzji Alberta Schweitzera, muzykologa, teologa, lekarza, laureata Nagrody Nobla, który orzekł, że „rewelacje” Notowicza są płodem szalbierstwa. A co najmniej – nieporozumienia:

„...wciąż ponawiane próby wyjaśnienia doktryny Jezusa wpływami buddyjskimi należy uznać za daremne, nawet jeśli dopuścimy, choć to nader mało prawdopodobne, że Jezus miał możliwość zapoznania się z myślą indyjską”¹¹.

Wcześniej pisze jednak:

„Budda nie żąda wprawdzie aktywnego miłosierdzia i tym się różni w swych etycznych zasadach od Jezusa. Wspólną cechą obydwu jest przede wszystkim to, że ich etyka, zdeterminowana przez negację świata jest w zasadzie etyką wewnętrznego doskonalenia się, a ponadto dominuje w niej miłosierdzie”¹².

A dalej:

„Chociaż doktryny Buddy i Jezusa są oparte na negacji świata, wykazują jednak pewne skłonności do afirmacji, a to z powodu wagi, jaką ich etyka wewnętrznego doskonalenia przywiązuje do przykazania miłości bliźniego. Dzięki niemu buddyzm i chrześcijaństwo mogą wyzwolić się z negacji, dlatego mentalność japońska, skłonna do postawy afirmatywnej, jest w stanie przekształcić buddyzm zgodnie ze swoim charakterem”¹³.

Znamienne, że Schweitzer mówiąc o Jezusie ogranicza się jedynie do relacji chrześcijaństwa z buddyzmem. Natomiast wpływu Jezusa na myślicieli indyjskich dopatruje się, idąc z Bliskiego na Środkowy Wschód, jak szedł Jezus w micie Korabiewicza *Ahimsa (bez Gewalt)* Gandhiego to nic innego jak: „miłujcie nieprzyjaciół wasze”.

Tak jak Budda mówił „żyj i daj żyć innym”, Chrystus głosił „miłuj bliźniego swego jak siebie samego”.

Problemem spornym między Dalajlamą i Janem Pawłem II, choć się lubili i często – jak na takich mężów – spotykali, była kwestia soteriologii, czyli teorii zbawienia. Buddyzm jest „religią” ateistyczną, a mimo to mówi o zbawieniu podczas gdy według Kościoła zbawienie może nastąpić nie inaczej, jak przez Chrystusa.

Spekulacje

Korabiewicz dotarł do oświadczeń mnichów buddyjskich w Tybecie, którzy wycofali się z rewelacji będących w posiadaniu ich klasztorów i w końcu rzecz można uznać za trop ślepy. Kiedy zapytałem Dalajlamę, czy to prawda, że Jezus przebywał w Indiach, Ocean Mądrości odpowiedział: zapytaj twój Wojtyłę. Nawiasem mówiąc podręczniki historii Indii (Kieniewicz, Kavalam Madhava Panikkar) o Jezusie w Indiach

¹¹ Albert Schweitzer, *Wielcy myśliciele Indii*, Cyklady, Warszawa 1993, s. 84.

¹² Op.cit. s. 83.

¹³ Op.cit. s. 110.

nie mówią. Książka o Żydach w Kerali Edny Fernandes¹⁴ też nie.

Autor najgłośniejszej biografii Jezusa, Ernest Renan, francuski filozof, filolog i historyk, Indiami nie zajmuje się zupełnie. Zastanawia się natomiast co by było, gdyby Jezus dożył 70. roku życia.

„Wyobraźmy sobie, że Jezus do 60 lub 70 lat dźwigałby na sobie brzemień swej boskości, dopóki nie wypalił się w nim święty ogień i dopóki się całkiem nie zużył!”¹⁵

Taką hipotetyczną spekulację przedstawiła Wisława Szymborska na zupełnie inny temat. Postępuje się domniemaną biografią nie Jezusa, a poety:

„Do pensjonatu w górach jeździłby,
na obiad do jadalni schodziłby,

(...)

z bródką przyciętą w szpic
tysawy, siwiejącej, w okularach,

(...)

zwyżkuje cena za to, że się nie umarło wcześniej,
i również on tę cenę płaciłby

(...)

chrząstce ucha, ledwie draśniętej pociskiem
– gdy głowa uchyliła się w ostatniej chwili –
»cholerne miałem szczęście« mawiałby.

(...)

czekając aż podadzą rosół z makaronem
dziennik z bieżącą datą czytałbym
wielkie tytuły, ogłoszenia drobne

(...)

czasami ktoś od progu wołałby:

»panie Baczyński, telefon do pana« –

I nic dziwnego w tym nie byłoby

(...)

bo zwykłe to zdarzenie – a szkoda a szkoda –
jako zwykłe zdarzenie traktowano by”.¹⁶

Niewidy

Jak mówiliśmy cytując Renana – podwaliny pod nowoczesną wiedzę dał Arystoteles, pod filozofię – Sokrates, pod religię – Jezus. Renan pisze zarazem, że w systemach filozoficznych ówczesnego świata wiara w cuda była trwałym elementem kultury. Działo się tak wszędzie z wyjątkiem starożytnej Grecji i dawnego Rzymu.

Jezus leczył. Medycyna w starożytnej Palestynie nie miała niczego wspólnego z nauką o medycynie praktykowaną w starożytnej Grecji. Dobre słowo wielkiego człowieka działało na chorego z uzdrowicielską mocą. Przypadki takie niekoniecznie będące cudami znany przecież i w nowożytnej Polsce dzisiejszej.

Cuda Jezusa odbierane jako zjawiska nadprzyrodzone w Palestynie, w Indiach mogły być normalnymi zachowaniami jogina, który osiągał stan panowania nad zmysłami. Korabiewicz przywołuje nazwiska mężów zdolnych leczyć paralityków, wskrzeszać umarłych i chodzić po wodzie. Niestety, żadne z nich nie pojawia się w znanych mi encyklopediach hinduizmu.

¹⁴ Edna Fernandes, *Ostatni Żydzi w Kerali*, Cyklady, Warszawa 2010.

¹⁵ Barbara Skarga, *Renan*, Wiedza Powszechna, Warszawa 2002 s. 200.

¹⁶ Wisława Szymborska, *Nic dwa razy wybór wierszy*, WL., Kraków 1997, s. 260.

Natomiast z informacjami o cudownych uleczeniach i wskrzeszeniach spotykałem się w Indiach wielokrotnie, widząc w nich czasami znaki hosztaplerstwa. Używam tego terminu zwłaszcza w odniesieniu do szkoły lewitacji Maharisziego Makhesza Jogi. Dziś mamy jednak znacznie więcej możliwości weryfikowania danych o „cudach” niż w czasach Jezusa. Korabiewicz ponosi fantazja. Znany dziś powszechnie Sai Baba, który rzekomo wyginał (bo już umarł) latające w powietrzu widelce, uznany byłby w Palestynie przed dwoma tysiącami lat za cudotwórcę większego od Jezusa. Dziś też niewiele mu brakuje, zwłaszcza wśród wyznawców na całym świecie. Pamiętajmy, że cudotwórcza moc wzrasta wprost proporcjonalnie do czasu i odległości od momentu i miejsca cudu.

Pierwsi Żydzi pojawili się w Indiach około 175 roku przed Chrystusem. Byli to zarówno kupcy jak i uchodźcy. Wędrowali przez Persję i Zatokę Perską. Pierwsze większe ich skupisko to Bombaj. W roku 1170 było tam około tysiąca ich rodzin. W roku 1950 liczba wzrosła do 10.000¹⁷. Może jednym z tych wcześniejszych był 12-letni podróżnik, który maszerował przez Persję i Afganistan na wielbłądzie do Sindu trzy miesiące? Wszak Pusztuni, mieszkańcy starożytnej Ariany, uważani przez antropologów Hitlera, zwłaszcza Rosenberga, za prawników rasy aryjskiej, są według własnych wierzeń potomkami zagubionego w górach Hindukuszu plemienia żydowskiego?

Pisma buddyjskie o Jezusie mówią, że wrócił on do Izraela.

„Ziemia się otworzyła i zapłakały niebiosa, gdyż wielkiej zbrodni dokonano w ziemi izraelskiej.

Właśnie zakończono tortury i stracono tam wielkiego prawego Jezusa, w którym mieszkał duch Wszzechrzeczy”¹⁸

Tak czy owak nadal nie wiemy, co Jezus robił przez osiemnaście najpłodniejszych lat swego życia. Milczą na ten temat wszystkie cztery ewangelie. I co najważniejsze – wszystkie apokryfy, a jest ich bez liku: ewangelia Bartłomieja, ewangelia gruzińska, ewangelia Hebrajczyków, ewangelia Barnaby, ewangelia Tomasa, zresztą zamęczonego w Indiach i pochowanego w Madrasie (dziś Chennai)... A to dalece nie wszystko. Dziwna zмова...

Według Judasza

Ewangelie według Judasza napisano w II wieku po Chrystusie. Powstała w języku koptyjskim (w jego odmianie saidzkiej). Było to tłumaczenie z greckiego. Polski tekst znamy dzięki przekładowi księdza profesora Wincentego Myszora¹⁹. Zapisana jest w formie dialogu, jak to bywało z ówczesnymi pismami filozoficznymi. Jezus rozmawia osiem dni z Judaszem na krótko przed paschą. Poetyka przypomina miejscami apokalipsę, czyli objawienie. Pisano to więc po Zmartwychwstaniu zarówno jako prorocstwo jak i retrospektywę. Zwraca uwagę kosmologia bardzo przypominająca wierzenia hinduizmu z przejętą arytmetyką i zapętloną geometrią.

¹⁷ Martin Gilbert, *The Dent Atlas of Jewish History*, London 1993. P.14.

¹⁸ Op.cit. s. 53.

¹⁹ *Apokryfy Nowego Testamentu* pod red. Ks. Marka Starowiejskiego, WAM, Kraków 2007, t.2. s. 887-940.

Judasz pokazuje innym Jezusa w modlitwie i bierze za to pieniądze. Judasz posiadał gnozę czyli bezmyślną naukę, dzięki czemu wydał Jezusa i pomógł zbawić ludzi.

W ewangelii według Judasza Jezus dwukrotnie się uśmiecha. W Piśmie Świętym nie ma niczego o uśmiechu. Jak gdyby w religii nie było miejsca na poczucie humoru. Pan Bóg, który ma wszystko, tego akurat nie ma?

Jezus według Judasza uśmiecha się po eucharystii, czyli dziękczynieniu, krytykując jak gdyby organizację kościelną. Bardzo to indyjskie z ducha.

Uczniowie zapytali:

– Nauczycielu, dokąd poszedłeś i co robisz, gdy nas opuściłeś? – rzekł im Jezus:

– Udałem się do innego świętego pokolenia.

– Wiem, kim jesteś i z jakiego wyszedłeś miejsca. Wyszedłeś z *eonu* (*boskiej sfery*) i od tego, który cię wysłał – rzecze Judasz.

I dalej mamy czysty hinduizm: Jest wielki *eon* w którym istnieje wielki, niewidzialny duch. Obłok stworzył anioła do posługi. Uczynił to Antogenes, który pośredniczy w objawieniu najwyższego bytu (w hinduizmie jest to brahman). Jest niezrodzony. Może oznaczać przymiot bytów boskich, a może być bytem sam w sobie. Jest bogiem światłości. Stworzył pierwszego Oświeciciela i stworzył setki tysięcy aniołów służących. (Arytmetyka ewangelii, dziesiąta – jak widać – nie pochodzi z astronomii, w której rok nie ma tysiąca dni, a dzień setki godzin).

W hinduizmie nie ma aniołów, a *eon* (*sfera*) to może *Aditi*²⁰ (*pra-matka*)? Wtedy anioły to może *aditjowie*?

Drugi Oświeciciel powołał dwunastu, dwudziestu czterech, siedemdziesięciu dwóch aniołów. Typowo hinduskie drzewo genealogiczne: bogiem nazwano wszystkie anioły razem wzięte. W pierwszym obłoku zjawił się Adamas, pierwszy człowiek w *eonie* boskim. Wraz z Bogiem stworzyli pokolenie niezniszczalne Seta. Cizba Oświecicieli objawiła 360. Byli w tej liczbie aniołami po pięciu na jednego. A ich ojcem jest dwanaście *eonów*. Dla każdej *eon* (*sfer*) przewidziano sześć niebios z 72 Oświecicielami. Dla nich – pięć firmamentów, aż powstało 360. *Eonom* służą armie aniołów i dziewicze duchy. Ta plejada staje się światem, ale podlega zniszczeniu przez Ojca (w hinduizmie – Śiwa, bóg odrodzenia przez zniszczenie).

Wśród dwunastu uczniów mamy Odstępcę i Głupca. Stworzył ich pierwszy Adamas posiadający niezniszczalną moc. Każdy wziął sobie część nieba. Każdy uczynił sobie swoje pokolenie, to znaczy ród i plemię. Pierwszych pięciu potomków Odstępstwa panowało nad przepaścią i chaosem.

Soklas, Głupiec, kazał stworzyć swoim aniołom Adama i Ewę na podobieństwo swoje.

Judasz zapytał:

– Jak długo będzie żył człowiek? – Odparł Jezus:

– Dlaczego dziwisz się, że Adam przyjął czas pod zarządem w miejscu, w którym przyjął jego panowanie? (Stwórca?).

Judasz:

Czy duch człowieka może umrzeć? – Jezus odrzekł:

Bóg rozkazał dać im duchy ludzkie... to jest duch razem z duszą. Aby nie panowali nad nimi władcy chaosu i otchłani. Gwiazdy skończą się nad nimi wszystkimi. Będą popełniać cudzołóstwa w imię moje, i zabijając będą swoich synów. – Następnie Jezus roześmiał się.

– Czemu się śmiejesz? – zapytał Judasz.

– Śmieję się z błędu gwiazd.

I tu już kończy się hinduizm.

Pozostaje kwestia honorarium, które wziął Judasz.

„Melchior,²¹ jeden z Trzech Króli ofiarował Jezusowi trzydzieści denarów (srebrnik miał 10 denarów – km). Te trzydzieści denarów wybił Terach, ojciec Abrahama dla władcy Mezopotamii, a jego syn trzymał je pilnie w czasie swej wędrówki...”. Potem kupił za denary ziemię na miejsce pochówku żony, Józef został przez braci sprzedany za tę kwotę, potem Saba ofiarowała je świątyni Salomona. Wzięli je zdobywcy z Babilonu i tak dostały się do rąk Melchiora, który ofiarował je Jezusowi, a Matka Boska zgubiła pieniądze w czasie ucieczki do Egiptu. Znalazł je Beduin, który ofiarował je za uleczenie ze śmiertelnej choroby i tak denary trafiły do kiesy, którą trzymał szafarz Jezusa, Judasz, co bez końca podkradał pieniądze.

Kiedy Judasz usłyszał od Żydów: „To jest Jego uczeń, który jadł i pił razem z nim: on Go zdradził i wydał na śmierć. Judasz powrócił do siebie i wziął trzydzieści denarów i zaniósł je przywódcom Kapłanów i pisarzom. I rzekł do nich: »Weźmijcie swoje pieniądze, a wypuście Jezusa!« A oni mu odpowiedzieli: »my ich nie weźmiemy, ty natomiast przyjmij cenę krwi«. Gdy oni odmówili, zwrócił je porzucając w świątyni. I był tym tak udręczony, że poszedł pod drzewo, przywiązał doń sznur, powiesił się i umarł w piekle na wieki wieków”.²²

Demokracja uliczna doprowadziła Jezusa na krzyż.

Ukrzyżować go, ukrzyżować! – wrzeszczał tłum w domu Poncjusza Piłata. Ten zaś umył ręce.

x x x

Wierzący powie: tajemnica rozciągająca się nad częścią życia Panajezusowego dowodzi tego, że był świętym pochodzenia boskiego.

Niewierzący powie: mam większe zmartwienia, na przykład OFE.

Agnostyk będzie się zastanawiał: prawdopodobieństwo, że Jezus jako młody człowiek wraz z arcybiskupem Hoserem uciekał z Ruandy przed ludobójstwem jest mniejsze niż to, że nie był w tym czasie wraz z księdzem Lemańskim pod Wołominem, bo nie był w ogóle. Jako Bóg mógł być lub nie być wszędzie. Indie w owym czasie znaczyły wszystko: Jemen, Afrykę, Persję, Afganistan, Pendżab, Bombaj...

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

Rozdział książki *Pastwisko świętych byków*, która przygotowana jest do druku w wydawnictwie Zysk. Skróć tekstu ukazał się w internetowym portalu dziennikarzy niezależnych Stefana Bratkowskiego Studio Opinii.

²⁰ *Słownik mitologii hinduskiej* pod red. Andrzeja Ługowskiego, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 1994.

²¹ *Apokryfy* ... op.cit. s.913.

²² Op.cit. s.931.

ADAM KOMOROWSKI

ŚWIĘTY PAWEŁ, KONIEC ŚWIATA I KRZYSZTOF MROZIEWICZ

Rozmyślenia nad „Korespondentem”

Krzysztof Mroziewicz jest przystojnym, wysokim, białym mężczyzną. To nie jest najlepsza rekomendacja dla korespondenta udającego się do świata nazywanego kiedyś Trzecim czy krajami rozwijającymi się, a *de facto* świata biedy. Znajdujemy się tam bowiem nagle – nie tylko zazwyczaj wśród ludzi o ciemniejszej od nas karnacji, ale także niższych, nieustannie przebywamy wśród ludzi, którzy sięgają nam do ramion. Przestrzeń, w której przebywają, została uładzona na ich miarę. Pierwsza rzecz, której w tej przestrzeni należy się nauczyć, to schylać głowę, by jej o coś nie rozwalić. Kiedy wchodzimy do chaty, futryna drzwi stanowi zagrożenie, konstrukcja prymitywnego zadaszania nad straganem grozi wybicciem oka, moskitiera skrojona wymiarami do łóżka, w którym ledwie się mieścimy, w nocy, gdy we śnie wyprostujemy nogi przestaje stanowić ochronę przed insektami. Świat biedy jest światem skurczonych wymiarów. Nawet pisać jest trudniej, bo stoliki są niskie, a krzesła (jeśli w ogóle są) miniaturowe. Z tego świata, jeśli nie mieszkaliśmy tylko w Intercontinentalu w Managui, *Sheratonie* w Bombaju czy Manili, albo w ośrodkach dla turystów w Puket, musimy wrócić z poobijaną głową. Pobyt tam to nauka nieustannego pochylania głowy. „Ciężar białego człowieka” to ciężar głowy.

Być może to uwarunkowanie antropologiczne sprawia, że wśród najlepszych korespondentów zagranicznych z tamtych stron przeważają ludzie wysocy. Niskim ta lekcja nieustannego schylania głowy zostaje zaoszczędzona, wraz z nią zdolność do empatii.

W naszym świecie jesteśmy poddani nieustannej hegemonii krajobrazów, które są prezentowane jako przestrzeń konsumpcyjna. Ten biedniejszy świat Południa to słońce przez cały rok, piękne plaże, safari, ośnieżone szczyty, kolorowe stroje kobiet, egzotyczne kuchnie i rytmy, zabytki starych kultur, obiecująca aura erotyzmu. To turystyczny pakiet, obietnica przygody, na którą pozwolić sobie może nawet bezrobotny (w końcu są kredyty). Globalizacja przedstawia nam świat jako przestrzeń, w której możemy wzbogacić swoje doświadczenia konsumentów wybierając się, np. jak król Hiszpanii Juan Carlos, na polowanie na słońce. Był bardzo zaskoczony, że jego zachcianka (za pieniądze podatników) nie za bardzo spodobała się podda-

nym. W końcu nie myślał inaczej niż oni, że świat jest zasobem turystycznych pakietów, kolorowych jak prospekty biur podróży.

Nasza reakcja na obyczajowy terror talibów w Afganistanie była raczej umiarkowana. Prawdziwą natomiast grozę i egzaltację mediów wywołało zburzenie monumentalnych, wykutych w litej skale, posągów Buddy. Jak mogli zniszczyć coś, czego nie zdążyliśmy zobaczyć? Południe zostało wpisane w krajobraz konsumpcyjny jako miejsce rekreacji dla bogatszych od jego mieszkańców, rodzaj wielkiego spa. Dlatego typ korespondenta, o którym pisze Mroziewicz, dla którego Południe jest nie tyle miejscem do odwiedzenia i rekreacji mieszkańców metropolii bogatszego świata, ale miejscem codziennej walki o przetrwanie, to postać anachroniczna. Dzisiaj korespondent to rodzaj nadrecententa, który ma nam doradzić, czy udać się na wakacje na Cabo Verde, Malediwy, Bali czy Puerto Viejo, gdzie w Limie można zjeść ceviche (surową rybę) i się nie zatruć. Świat jako kalejdoskop ciekawych miejsc do zobaczenia i zjedzenia; Wojciech Cejrowski i Robert Makłowicz wymiksowali Mroziewiczów z telewizji. Dla tego nowego dziennikarza-celebryty świat jest jedynie tłem dla promocji własnej osoby. Tytuły książek Beaty Pawlikowskiej wyznaczają dobrze ten paradygmat: *Blondynka na Czarnym Łądzie*, *Blondynka w Amazonii* itp... To tak jakby Mroziewicz tytułował: *Mroziewicz w Indiach* czy *Mroziewicz wśród terrorystów*.

David Halberstam w swojej przedmowie do dwutomowego wyboru reportaży Huntera S. Thomsona (napisanej na jego prośbę, choć dwie równie niepodobne osobowości i stylistyki dziennikarskie trudno sobie wyobrazić) ze zgrozą opisuje billboardy, na których medialne konglomeraty reklamują swoich dziennikarzy-celebrytów. Twierdzi, że ten typ promocji, w którym piszący czy mówiący jest ważniejszy od treści, informacji i sensów to świat, w którym dla dziennikarstwa, jakie uprawiali, nie ma już wiele miejsca. Ich autorytet dziennikarski nie był budowany na marketingu i autopromocji, ale jakości informacji, jej autonomicznej perswazyjności. Mieli do sprzedania informację (wraz z kontekstem), które sami zdobyli, a nie swój wizerunek.

Tak jest nie tylko w Polsce. Zbigniew Bauer nazwał dziennikarstwo Ryszarda Kapuścińskiego „niemedia-

nym". Dziennikarstwo, które stawia pytania, zawraca głowę walką o przetrwanie ludzi i całych grup społecznych np. w Afryce czy Azji, nie może liczyć na wysoką oglądalność i czytelników tabloidyżującej się prasy. Jako takie nie jest interesujące dla reklamodawców, którzy je finansują. W prasie miejsce korespondencji zagranicznych zastąpiły turystyczne rekomendacje, tak jest nawet w „Polityce” i „NYT”. W prasie tyrania *design*, czyli *lay out* sprawiła, że dziennikarz musi się zmieścić w formatach wyznaczonych przez grafika. Tekst dłuższy (taki, którego nie można przeczytać w całości siedząc w WC) ma znikome szanse na publikację w wersji integralnej. Podziwiać można Adama Michnika, że niekiedy w „Gazecie Wyborczej” (coraz rzadziej) udaje mu się przepchnąć dłuższy tekst burzący „perfekcję” sformatowanych stron. Tyrania skodyfikowanych formatów dotknęła także tygodniki, które coraz bardziej przypominają meble IKEA. Dziś Kapuściński miałby duże trudności z drukowaniem swoich tekstów. Hal Foster określił tyranię *design* jako zbrodnię. Miał na myśli depersonalizację przestrzeni, w prasie oznacza to amputację myśli. „Dziennikarstwo polega na myśleniu, pisanu i mówieniu” – czytamy u Mroziwicza. Niestety urząd pierwszego członu tej triady w mediach wydaje się procesem nieodwracalnym. Kraśko mówi i pisze, gdyby jeszcze myślał, mogłoby to zagrozić jego karierze.

Jest jeszcze jeden problem, na który rzadko zwraca się uwagę. Otóż globalizacja bynajmniej nie poszerzyła tematycznej amplitudy tematyki zagranicznej w mediach. Mamy do czynienia z procesem odwrotnym. Problematyka zagraniczna w mediach jest ograniczana na korzyść lokalnej. W tej perspektywie media na świecie coraz bardziej upodabniają się do mediów amerykańskich, dla których problematyka zagraniczna była zawsze marginesem. Związane jest z tym niewiarygodne wręcz ujednoczenie i spłaszczenie problematyki zagranicznej. Luis Izquierdo Abella przeanalizował cztery czołowe dzienniki madryckie: „ABC”, „El Pais”, „El Mundo” i „La Razon” (*La uniformidad de las secciones internacionales frente a las; Uniformización de secciones internacionales en comparación con las acciones locales en la prensa*, Communications Pappers, 2012). Okazało się, że w analizowanym okresie wszystkie te wielkie dzienniki podejmowały identyczne problemy zagraniczne, natomiast w problematyce lokalnej tematyka była bardziej zróżnicowana. W działkach zagranicznych każdy z tych dzienników pisał nie tylko o tym samym, ale niemal to samo. Nie znam podobnych badań polskiej prasy, ale na pewno by przyniosły podobne wyniki. Mroziwicz odnotowuje podobną prawidłowość: „Każdy z reporterów (piszących o sprawach zagranicznych – AK) ma gorzką świadomość, że choćby był świadkiem najważniejszego wydarzenia i opisywał absolutnie wielką w historii chwilę, w centrali odbiorą go jako autora drugorzędnej depeszy, który awanturuje się, że ją skrócili i dali na ostatniej kolumnie wśród »michałków«, bo wiadomości lokalne okazały się istotniejsze i dano je na pierwszą stronę”. Być może to właśnie sprawia, że korespondenci zagraniczni, zwłaszcza z terenów obdarzanych mniejszą uwagą przez redakcje, starają się także interesująco pisać. Żeby tekstem z Afryki, Azji czy Ameryki Południowej zainteresować Europejczyka czy Amerykanina, nie wystarczy zdobyć ważną infor-

mację, trzeba jeszcze umieć o tym napisać. Dlatego tak wielu korespondentów z obszarów peryferyjnych musiało wykazać się prawdziwymi literackimi talentami. Tak było w wypadku Kapuścińskiego, Halberstama czy Tiziano Terzianiego. Korespondent w Moskwie czy Paryżu mógł być literackim grafomanem. W Warszawie, Abdis Adebie czy Gwatemali już nie. Mroziwicz jest tego doskonałym dowodem.

Tematy zagraniczne przetwarzają się przez media falami, nie mają początku ani końca. Gdy obalano Kadafiego, pisali (czy mówili) o tym wszyscy, tym co dziś się dzieje w Libii media nie są zainteresowane. Problematyka zagraniczna w mediach jest nie tylko zuniformizowana, ale fragmentaryczna i pozbawiona kontynuacji. Świat jest chaosem eksplozji, które nie mają przyczyn ani konsekwencji.

Izquierdo Aballa sugeruje, że powodem jest odchodzenie redakcji od inicjowania problematyki zagranicznej. W ostatnich dekadach redakcje odchodziły od utrzymywania własnych korespondentów zagranicznych, głównie z powodów finansowych. Tematyka zagraniczna, jej ramy („agenda setting”) pozostawiono wielkim agencjom. Radykalne redukcje dotknęły w redakcjach przede wszystkim korespondentów zagranicznych. Dziś cztery wielkie madryckie dzienniki mają jedynie stałych korespondentów w Waszyngtonie, Paryżu i Londynie. Wśród wiodących agencji hegemoniczna pozycja Associated Press uległa utrwaleniu i to ona wyznacza agendę. Inne agencje coraz bardziej skupiają się na problematyce lokalnej, godząc się na filtr AP. Co prawda francuska AFP, niemiecka DPA, hiszpańska EFE starają się bronić swoich pozycji, Reuters skoncentrował się na problematyce ekonomicznej, ale dominacja AP postępuje.

Charakterystyczny dla zimnej wojny pluralizm agencyjnych serwisów (w wypadku TASS, SINHUA, TANJUG czy Prensa Latina, motywowany walką ideologiczną) należy do przeszłości. Proces ten dotknął dotkliwie PAP tak bliski sercu Mroziwicza. Dzisiejszy PAP wpisał do swoich annałów czasy, gdy miał w swoich szeregach Juliana Strykowskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Mirosława Ikonowicza, Stanisława Głabińskiego czy samego Mroziwicza. Dziś jest agencją koncentrującą się na serwisie krajowym. Wraz z transformacją PAP zamykał się na świat. Z hiszpańską EFE dzieje się podobnie, a przecież była to agencja posiadająca placówkę w Moskwie w czasach, kiedy pomiędzy frankistowską Hiszpanią a ZSSR nie istniały stosunki dyplomatyczne. Dawne opory ideologiczne przeciwko korzystaniu z AP przestały istnieć. Stali korespondenci są na wymarcu (w Polsce niekiedy „poszli w dyplomację”), zastępują ich tzw. *stringerzy*, działający na zasadzie wolontariatu, dla których dziennikarstwo nie jest głównym zawodem czy źródłem utrzymania. Dziś korespondent zagraniczny to dziennikarz wysłany na krótko do miejsca, o którym nie ma zazwyczaj pojęcia, do zdarzenia, którego waga została wyznaczona przez agencje. Najczęściej dowiadujemy się od niego, że w miejscu, gdzie go wysłano, naruszono prawa człowieka. Im bardziej to naruszenie jest spektakularne, tym większy rejwach medialny. Istotne jest, by „naruszenia” nie trwały zbyt długo, bo wtedy media tracą zainteresowanie, obojętnie czy jest to Korea Północna, czy Guantanamo. „Prawa człowieka” mają to do siebie,

że medialnie liczą się jedynie, jeśli nieustannie ich „naruszenie” ulega przemieszczeniu.

To samo dotyczy terroryzmu; w momencie gdy staje się endemiczny, jak w Iraku, media przestają się nim interesować. Najciekawsze dla mediów są akty terroru w miejscach, gdzie pojawia się stosunkowo rzadko. Dziś w Iraku jest mniej korespondentów aniżeli w czasie obalania Saddama Husseina, mimo że ludzi ginie więcej niż wtedy. I „jak opisać pełzający koniec świata”? Korespondenci, o których Mroziewicz z takim entuzjazmem opowiada, emigrują z mediów. Podobnie jak on, piszą książki. Jest paradoksem, że w świecie, w którym media pretendują do ogarnięcia świata, autentyczne próby znajdujemy jedynie w książkach, czymś pozornie anachronicznym, ale pozwalającym na namysł, którego media nie znoszą.

Eksplodują talentów dziennikarskich w PRL paradoksalnie była związana z faktem, że najlepsi byli izolowani od mediów. PAP utrzymywał sieć korespondentów zagranicznych, zmuszał do morderczej pracy, ale poddane cenzurze media z niej nie korzystały (albo w bardzo małym stopniu). Mroziewicz ujął to krótko i przenikliwie: „Paradoks PRL polegał na tym, że dobrym dziennikarzem był ten, kto był autorem nieznanym (jego teksty opatrywano nagłówkiem »nie do publikacji w prasie«). A jednak ich teksty istniały, ukazywały się w Biuletynie Specjalnym. Biuletyn zawierał w sobie analizy, raporty i korespondencje, które nie trafiały do oficjalnej prasy, radia czy telewizji. Były to poufne, objęte zakazem publikacji teksty docierające do zamkniętego kręgu odbiorców. Normalni obywatele nie mieli z Biuletynem kontaktu. Nawet o nim nie wiedzieli”. Biuletyn powielany na fatalnym, odpychającym w dotyku, papierze w tysiącu egzemplarzy znajdował się w każdej redakcji (mogła to być równie „Trybuna Ludu” jak „Tygodnik Powszechny” czy „Przypięciółka”). Liczbę czytających lub mających dostęp do Biuletynu, należy więc zwielokrotnić. Nakład tysiąca egzemplarzy to niewiele, ale istotne jest, kto czyta. Na pewno czytał je wydawca dziennika telewizyjnego, w którym mówiono, że Ameryka się wali. Dziennikarze pierwszej linii pisali i mówili, że w USA pogłębiają się w kryzysie, a Murzyny są bici. Tymczasem co kilka dni czytali korespondencje Stanisława Głabińskiego (zresztą syna przedwojennego endeckiego senatora, by nawiązać do modnego dziś śledzenia prowienencji rodzimych dziennikarzy), z której dowiadawali się, że jest odwrotnie. Wbrew pozorom to nie było pisanie na darmo. Elity władzy w Polsce były, dzięki papowskim korespondentom, ich kompetencji, talentowi i odwadze (tak, Krzysztofie, Ciebie to też dotyczy) dobrze poinformowane o tym, co się dzieje na świecie. Bez tego nie siadłyby do Okrągłego Stołu. Czegoś podobnego, jak Biuletyn Specjalny, nie było w żadnym z krajów ludowej demokracji. Fenomen BS pozostaje tematem do zbadania przez historyków, muszą to zrobić jak najszybciej, bo kiepski papier, na którym był powielany, szybko się rozpada. A przecież korespondencje, np. Kapuścińskiego, ich autorzy w części tylko wykorzystali w swoich książkach. Dzisiaj to skarb.

Pracując w studenckiej gazecie podobnie jak Mroziewicz zetknąłem się z Biuletynem we wczesnej młodości. Czytałem go systematycznie obok „Commentary”, które zaprenumerował mi stryj w USA (cenzura

PRL nie zatrzymywała, z wyjątkiem pornografii, prasy obcojęzycznej, emigracyjne wydawnictwa kubańskie też dochodziły), ale korespondencje w BS były zawsze bardziej kompetentne aniżeli w piśmie Normana Podhoretza. Nikt nigdy nie podważał wpływu „Commentary” na amerykańskie elity. A przecież miało ono nakład 10 tys. egzemplarzy. Zważywszy skalę kraju („The Partisan Review”, równie wpływowy, miał nakład 3500 egzemplarzy) są to nakłady porównywalne. Oczywiście „Commentary” w USA mógł nabyć i prenumerować kto chciał, a BS był z przydziału dla wybranych.

Dziennikarze i władza miała ten przywilej. Biuletyn nie wyznaczał standardów pisanie i mówienia o świecie, ale wyznaczał standardy myślenia o nim, także kierownika wydziału KW partii. Rolę korespondentów PAP i Biuletynu w politycznej edukacji polskich elit rządzących trudno przecenić, choć sprawa wydaje się zapoznana. Na postawione w tytule książki Mroziewicza pytanie „jak opisać pełzający koniec świata” można więc odpowiedzieć: tak jak pisali korespondenci do BS. Oczywiście w tym wypadku chodziło o „pełzający koniec świata” realnego socjalizmu.

Na powód degrengolady dziennikarstwa zwrócił uwagę Donald A. Ritchie w *Reporting from Washington. The History of the Washington Press Corps*. Jest nim terrorystyczna obsesja. Kiedy czytamy reportaże Kapuścińskiego z Angoli czy Halberstama z Wietnamu, nie ma tam podziału na świat zła i dobra. Wiemy, że piszący mają swoje sympatie i preferencje, ale nie traktują jednej ze stron zbrojnego konfliktu jako wcielenia demoniczności. W „wojnie z terrorem” wszelkie usiłowania nawet częściowej bezstronności są wykluczone. Nie można być bezstronnym, jeśli uznamy, że walka toczy się między złem a dobrem. Szaleństwo entuzjastycznej dyspozycyjności mediów wobec interwencji USA w Iraku to najczarniejsza karta w historii amerykańskiego dziennikarstwa, (zdaje się, że tylko „NYT” przeprosił za to swoich czytelników).

Jonathan Franzen, podpisując się pod zarzutami Karla Krausa wobec prasy wiedeńskiej, która rozpętała histerię po zamachu w Sarajewie na arcyksięcia Ferdynanda i przyczyniła się do rozpętania I wojny światowej (we wstępie do *Kraus Project*) napisał: „Można jednak twierdzić, że Ameryka w 2013 to podobny wyjątkowy przypadek (jak C.K. Austria tuż przed I wojną – AK) – osłabione imperium snujące opowieści o własnej wyjątkowości, które niewidzialne siły znoszą ku apokalipsie”. Jeśli zamiast Ameryka napiszemy Europa, też można się zacząć bać.

To, że żyjemy w „czasie ostatnim”, nieustannie przypomina nam najbardziej wpływowy z korespondentów, św. Paweł. Ci, do których i dla których pisał, byli przekonani, że koniec jest blisko, że nastąpi za ich życia. On sam jednak, upierając się, że to czas ostatni, jednocześnie napominał: „Abyście nie tak szybko dali się zbałamucić i nastraszyć, czy to przez jakieś wyroczynie, czy przez mowę, czy przez list, rzekomo przez nas pisany, jakoby już nastał dzień Pański. Niechaj nikt was w żaden sposób nie zwodzi; bo nie nastąpi pierwaj, zanim nie przyjdzie odstępstwo i nie objawi się człowiek niegodziwości, syn zatracenia”. (II List do Tesaloniczan, 2. 2,3).

ADAM KOMOROWSKI

IZA DESPERAK

OD KOLEJKI DO LUMPEKSU¹

Analiza polskiej transformacji nie może obyć się bez zwrócenia uwagi na jej wymiar potoczny, codzienny, a także perspektywę płci. Refleksja nad udziałem kobiet w przestrzeni publicznej to następstwo dyskusji o relacji między sferą publiczną i prywatną, zdefiniowanych do niedawna zgodnie z opozycją męskość / kobiecość. Obecność kobiet w „realnej” przestrzeni jest wieloraka. Mieszkają tam, pracują, podróżują. Tradycyjny stereotyp KKK: *Kirche, Küche, Kinder* przypisywał je do miejsc: kościoła, pokoju dzieciennego i kuchni – z czego tylko kościół miał charakter przestrzeni publicznej, i przez wieki był jedyną publiczną przestrzenią otwartą przed kobietami. Polski akronim kobiecego przeznaczenia: 3M oznaczający triadę: „Miłość, Małżeństwo, Macierzyństwo” nie definiuje kobiety w kategoriach miejsca, tylko społecznej roli. Tradycyjna definicja roli kobiety – matki Polki, została rozszerzona o role zawodowe. Choć w dyskursie publicznym role te są wciąż sobie przeciwstawiane, czego wyrazem jest fałszywa alternatywa: „praca czy kariera?”, praca zawodowa stała się jednym z wyznaczników definicji roli kobiety. Na redefinicję tę wpłynęły zarówno aspiracje emancypacyjne samych kobiet, jak i polityka aktywizacji zawodowej kobiet w okresie PRL. W tym czasie obok kobiety pracującej na dwóch etatach – domowym i zawodowym, pojawił się jeszcze jeden element definicji roli: kobiety stojące w kolejkach, by potem nakarmić rodzinę, zapewnić dzieciom i mężowi odzież, a gospodarstwu domowemu najpotrzebniejsze wyposażenie².

Transformacja systemowa położyła kres kolejkom do pustych półek, zastępując je co najwyżej kolejkami do kasy w hipermarketach. Ze spędzającej w kolejkach znaczną część swego czasu „matki gastronomicznej”³ kobieta zamienić się miała w hedonistyczną konsumentkę. Rolę tę przypisuje się kobiecie zarówno dzięki tradycji, jak i nowym treściom nowych mediów i reklam, służących wolnorynkowemu społeczeństwu. Tra-

dycja z zakupów uczyniła – jak pisze Tomasz Szlendak – pierwszą formę uczestnictwa kobiet w życiu publicznym, a także pierwszą formę kobiecego wyzwolenia i manifestację wolności⁴. Wolny rynek nałożył – na kobiety i mężczyzn – nowy obowiązek konsumowania, wyrzucając tych, którzy się z konsumpcji nie wywiązują, na margines społeczeństwa, jako ludzi zbędnych⁵.

Stereotypy płci determinują też formę konsumpcji. Dorota Nowalska-Kapuścik przestrzeń konsumpcji postrzega jako poszerzenie terenu gospodarstwa domowego, a „naturalność” obecność kobiet w przestrzeni konsumpcyjnej wyjaśnia traktowaniem zakupów jako przedłużenia podstawowego obowiązku, którym jest zarządzanie gospodarstwem domowym. Konsumpcja w wydaniu kobiecym przedstawiana jest albo jako czynność trywialna, nieciekawa, wręcz nijaka, albo jako przyjemność, sfera płytkiej, powierzchownej, niewymagającej refleksji rozrywki. Konsumpcja w wydaniu męskim jawi się jako bardziej przemyślana, istotniejsza. Stereotypowy wizerunek konsumenta- mężczyzny z jednej strony przedstawia go jako niechętnego zakupów, z drugiej strony jako eksperta, zwłaszcza za męskie uchodzących produktów RTV/AGD⁶. Jeżeli mężczyzna-konsument jest tylko jedną z licznych ról, jakie są mężczyznom oferowane, to kobieta-konsumentka jest jedną z kulturowych klisz: kobieta „zarabia na waciki”, do internetu wchodzi, by odwiedzać internetowe sklepy, nawet prostytuuje się – jak bohaterki opartych na faktach *Galerianek* – po to, by zdobyć modne łaszki czy gadżety.

Proksemiczną metaforą transformacji jest supermarket, centrum handlowe i jego następczyni: galeria handlowa, swą nazwą sugerująca obiekt kultury wysokiej – to właśnie galerie wyznaczają nowe centra miast i zmieniają je nie do poznania. To z galerii dumni są

¹ Tekst w nieco innej formie ukazał się w mojej rozprawie habilitacyjnej *Płeć zmiany. Zjawisko transformacji w Polsce z perspektywy gender*, Wydawnictwo UŁ, Łódź 2013.

² Por. M. Mazurek, *Spółczesność kolejkami*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2010.

³ Termin Sławomiry Walczewskiej, por. *Matka gastronomiczna*, „Pełnym Głosem” 3, 1995, s. 54-55.

⁴ T. Szlendak, *Leniwe maskotki, rekiny na smyczy, W co kultura konsumpcyjna przemieniła mężczyzn i kobiety*, Jacek Santorski Co Agencja Wydawnicza, Warszawa 2005, s. 61.

⁵ Z. Bauman, *Zbędni, niechciani, odrzuceni - czyli o biednych w zamierzonym świecie*, „Folia Sociologica”, „Acta Universitatis Lodzianensis”, nr 27, 1998.

⁶ D. Nowalska-Kapuścik, *Czy konsumpcja ma płeć? O znaczeniu płci w społeczeństwie*, [w:] *Nowy wspaniały świat. Moda, konsumpcja i rozrywka jako nowe style życia*, [red.] W. Muszyński, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009, s. 131-132.

mieszkańcy, choć standaryzacja sprawia, że odwiedzając te współczesne świątynie konsumpcji⁷, nie wiemy, czy jesteśmy w Budapeszcie, Krakowie czy może na peryferiach powiatowego miasta. Jednak obok supermarketów i galerii, zaprojektowanych dla aspirujących do klasy średniej, Polki robią zakupy zupełnie gdzie indziej.

W *mass mediach*, a zwłaszcza reklamie, kobieta zdefiniowana jest przez rolę konsumentki. Jednak model ten niełatwo naśladować: konsumpcja wymaga pieniędzy, a tych kobiety mają mniej od mężczyzn. Dlatego oprócz galerii handlowych, supermarketów i dyskontów kobiety są klientkami licznych lumpeksów – sklepów z używaną odzieżą, które pojawiły się przestrzeni publicznej na początku transformacji, i dla dziennikarzy lokalnych mediów stanowią obecnie dowód na symboliczny upadek centrów miast. Należałoby jednak raczej spojrzeć na to zjawisko jako manifestację różnic w poziomie konsumpcji i zarobków w różnych częściach Europy, i różnic w stylach życia, wciąż dzielących Europejczyków.

Ilustruje je różnica w zakupowych i ubraniowych zwyczajach Polek i mieszkank Wielkiej Brytanii, kraju docelowego najświeższej fali emigracji zarobkowej i kraju pochodzenia dużej części zachodniej odzieży używanej. Polacy migrujący do Wielkiej Brytanii początkowo ograniczają wydatki na konsumpcję, by jak najwięcej pieniędzy zaoszczędzić i przywieźć do kraju. Gdy migracja okazuje się bardziej długotrwała, przestają odmawiać sobie wszystkiego i zaczynają naśladować lokalne wzorce konsumpcji, czemu sprzyja relacja między wyższymi niż w Polsce płacami i niższymi cenami popularnych marek, które w Polsce są wciąż jeszcze traktowane jako luksusowe. Jeden z bohaterów reportażu o Polakach w Wielkiej Brytanii opowiada, jak jednym z rodzinnych zwyczajów stały się coweekendowe wyprawy żon na zakupy do sklepów H&M. Ceny odzieży popularnych marek są tam od lat tak niskie, że wymienia się ją co sezon albo częściej, a ubrań, w których urwie się guzik lub zatnie się eksprez nie opta się reperować, tylko wyrzuca albo oddaje do *charity shopu*.

Z czasem Polki mieszkające w Wielkiej Brytanii zaczynają naśladować odzieżowe i zakupowe zachowania Brytyjek, odległe od zwyczajów krajowych, spadku po dziesięcioleciach gospodarki niedoboru. Jeszcze w kryzysowych latach 80. XX w. Polki cerowały rajstopy, przerabiały odzież, robiły na drutach, podobnie jak samodzielnie robiły twarogi z mleka nastawianego na zsiadłe, budynie czy kisiele z mąki ziemniaczanej, i prały kilkadziesiąt pieluszek tetrowych dziennie. Projektantka Barbara Hoff wspomina, jak wylansowała na łamach „Przekroju” przerabianie dostępnych w handlu tenisówek na modne baleriny⁸, dwadzieścia lat później moda młodzieżowa kryzysowych lat 80. opierała się na przeróbkach: w tym samym piśmie projektantka radziła, jak uzyskać modną wtedy „koszulę dziadka”⁹. Gospodarka niedoboru determinowała styl życia nie tylko Polek –

w tym samym czasie radzieckie poradniki instruowały gospodynie, jak wykorzystać powtórnie zużyte pończochy czy podartą siatkę¹⁰. Dopiero ich córki nie musiały kultywować tradycyjnych kobiecych umiejętności przydatnych w gospodarstwie domowym, co znalazło nawet swe odbicie w likwidacji zajęć ZPT w szkołach.

Dorosło już pierwsze pokolenie Polek, dla których umiejętność szycia czy znajomość robótek ręcznych nie jest elementem koniecznym definicji kobiecej roli. Podobną zmianę społeczeństwo zachodnioeuropejskie przeżyło kilka pokoleń wstecz: dzisiejsze mieszkanki zachodniej Europy nie naprawiają samodzielnie odzieży, a skracanie spodni czy wszywanie zamków błyskawicznych powierzają wyspecjalizowanym placówkom, które za usługi te pobierają stosunkowo wysokie opłaty, robótki ręczne stały się zaś kosztownym hobby o wysokim poziomie specjalizacji. W Polsce usługi przeróbek i dopasowywania kupionej odzieży zaczęły świadczyć punkty umieszczone w dużych galeriach handlowych, w tym czasie jednak znikają z miejskiego pejzażu pracownie krawieckie, które oferowały takie usługi, lub uzupełniając swą ofertę o sprzedaż odzieży używanej. O upadek przemysłu odzieżowego oskarża się zarówno tani import, jak i przenoszenie produkcji przez światowe marki na wschód. Jednak na brak popytu na szytą w kraju odzież wpływa miało upowszechnienie się odzieżowych *second handów*, zwanych lumpeksami, ciucholandami, czy – ironicznie Peweksami”.

Jeżeli supermarkety i inne świątynie konsumpcji stały się tematem wielu analiz¹¹, to lumpeks znajduje się – jak dotąd – na ich marginesie. W latach osiemdziesiątych zauważono specyfikę obecności kobiet na ulicach – stanie w kolejkach było czynnością specyficzną kobiecą, to o czas spędzony w kolejce powiększał się budżet czasu kobiety pracującej zawodowo został nazwany „tragicznym bilansem czasu”¹². Kolejki stały nie tylko przed pustymi sklepami mięsnymi, ale także przed sklepami odzieżowymi, w pewnym okresie buty można było dostać na kartki, a garnitur – na zaświadczenie o pogrzebie. Dla wszystkich, kobiet i mężczyzn, ogólnie czytelnym wyznacznikiem statusu była odzież i inne produkty pochodzenia zagranicznego – co drobiazgowo opisuje Anna Pelka w *Teksas-landzie*¹³. Ci, którzy nie mogli jej sobie przywieźć, zakupów dokonywali na ciuchach, bazarach i w komisach. Handel odzieżą „z paczek”, a później walizkowego przemytu był liczącą się branżą biznesową. Opisuje tę społeczną walkę o ciuchową.

W czasie stanu wojennego do Polski trafiła pomoc zagraniczna – żywność, leki i ciuchy. Powoli organizacje rozdzielające pomoc zostały zastąpione przez lumpeksy. Polki odreagowały lata estetycznych upokorzeń kupując modne zachodnie ubrania. Dla kobiet, które spędzały dotąd godziny w kolejkach, lumpeksy stały się konsumpcyjnym rajem. Kupowały odzież dla

⁷ Por. G. Ritzer, *Magiczny świat konsumpcji*, Wydawnictwo Muza, Warszawa 2001; R. Sulima, *Antropologia codzienności*, Wydawnictwo UJ, Kraków 2000.

⁸ W. Kalicki, *Polityczny fason kiecki Barbary Hoff*, *Gazeta Wyborcza*, *Wysokie Obcasy* z 29 stycznia 2007.

⁹ A. Pelka, *Teksas – land. Moda młodzieżowa w PRL*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007, s. 217.

¹⁰ I. Głuszczenko, *Sowiety od kuchni. Mikołaj i radziecka gastronomia*, wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 167.

¹¹ Jak choćby przez G. Ritzera w *Magicznym świecie konsumpcji*, Wyd. Muza, Warszawa 2001, czy R. Sulimy w *Antropologia codzienności*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2000.

¹² Por. I. Reszke, *Sytuacja kobiet w sferze pracy zawodowej w Polsce*, [w:] B. Jedynak, [red.] *Kobieta w kulturze i społeczeństwie*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1990, s. 275.

¹³ A. Pelka, *Teksas-land. Moda młodzieżowa w PRL*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007.

siebie, dzieci, mężów. Dopiero potem pojawiły się supermarkety, i tylko niektóre klientki lumpeksów się tam przeniosły, a niektóre kupują w obu rodzajach sklepów. Odzież z super- i hipermarketów jest droższa od używanej, i nie ma metek znanych firm. Te otwierają swe sklepy w kolejnych galeriach handlowych, jednak ceny tam są barierą dla wielu kobiet – inaczej niż w Wielkiej Brytanii kupuje tam jedynie rodząca się polska klasa średnia.

Nie tylko różnice w zarobkach dzielą dziś kobiety na zaopatrujące się w galeriach handlowych i lumpeksach, różne modele konsumpcji wiążą się z różnymi stylami życia. Choć mass media zachęcają kobiety do kupowania w firmowych sklepach, część kobiet odpowiada na to wezwanie kupując, ale w niereklamowanych i tańszych sklepach z używaną odzieżą. Zakupy w lumpeksie są wciąż popularne, a nawet można zaryzykować twierdzenie, że stały się elementem stylu życia wielu kobiet, przede wszystkim kobiet, z wielorakich powodów. W lumpeksach ubiera się – wedle szacunków Federacji Konsumentów – jedna trzecia Polaków¹⁴. Import, segregacja i sprzedaż odzieży używanej to licząca się branża biznesu, szacowana na 1 mld 164,5 mln złotych¹⁵.

Bariera ekonomiczna jest jedną z podstawowych: Polki wciąż zarabiają mniej niż ich koleżanki z krajów zachodniej Europy, skąd sprowadzana jest używana odzież. Dzięki zakupom w lumpeksie mogą zarówno zaspokoić odzieżowe potrzeby swoje i bliskich, jak i podnieść swój i rodzinny status poprzez okazyny zakup modnej markowej odzieży.

Lumpeks pełni też rolę terapeutyczną, pozwala zaspokoić aspiracje rozbudzone przez komercyjną reklamę. „Podaruj sobie odrobinę luksusu” – wzywa jeden z reklamowych sloganów. Dla wielu kobiet lumpeks jest środkiem do zrealizowania tego marzenia. Używana tania odzież nie tylko zaspokaja podstawowe potrzeby wielu mniej zamożnych rodzin. Możliwość kupna butów, kaloszy, kurtki przeciwdeszczowej czy ciepłego płaszcza oraz fajnych zabawek poprawia jakość życia, bezpośrednio lub pozwalając zaoszczędzone pieniądze wydać na coś innego (niestety osoby skrajnie biedne nawet na lumpeks nie mogą sobie pozwolić). Używana odzież podnosi status towarzyski i zawodowy, zwłaszcza że kobiety w pracy postrzegane są przez to, co mają na sobie, a większość szkoleń dla bezrobotnych kobiet zawiera porady dotyczące ich wyglądu i biznesowego *dress-code'u*. Istnieją nawet programy (jak *Dress for Success*), które na zmianie kodu ubraniowego opierają gwarancję sukcesu np. dziewcząt zagrożonych wykluczeniem, choćby w pracy z wychowankami z poprawczaka w Radzionkowie¹⁶.

Lumpeks to często jedyna dostępna sąsiedzka przestrzeń wspólna tam, gdzie zniknęły osiedlowe sklepiki i ośrodki zdrowia, księgarnie i kawiarnie czy Ośrodki Praktycznej Pani. Osoby niezamożne czy wręcz

żyjące w ubóstwie dotyka wykluczenie ze wszystkich wymiarów życia społecznego. Nawet gdy dysponują wolnym czasem – bo są bezrobotnymi, rencistami lub emerytami – ich aktywność społeczna jest ograniczona¹⁷, także przestrzennie. Ogromną rolę w ich życiu pełni, jak zwraca uwagę Elżbieta Tarkowska, lokalny sklep, gdzie można kupić „na zeszyt”, przejrzeć gazety bez ich kupowania, porozmawiać. Podobną rolę pełnią coraz częściej lumpeksy, zwłaszcza poza centrum, na małych osiedlach. Lumpeks stał się miejscem spędzania czasu wolnego, zwłaszcza przez te kobiety, które mają go nadmiarze: bezrobotne, przedwcześnie emerytki, matki małych dzieci. Lumpeks jest też często jedynym rodzajem działalności gospodarczej, który ma szansę się utrzymać na małym osiedlu, ich właściciele i właścicielki reagują na potrzeby swoich klientek, uzupełniając ofertę o środki czystości czy kosmetyki. Lumpeksy są źródłem utrzymania nie tylko dla właścicieli i sprzedających. Część klientek odsprzedaje korzystnie kupioną tam odzież: kupując worki byle czego na wagę czy za złotówkę za sztukę i wystawiając na bazarze, lub wybierając ze stosów niesortowanej odzieży kilka markowych egzemplarzy, które sprzedają – z kilkudziesięciokrotnym przebicciem – na serwisach aukcyjnych.

Lumpeksy są też specyficzną przestrzenią zarezerwowaną dla kobiet. Mężczyźni czasem robią tam zakupy, niekiedy są sprzedawcami, jednak większość klientek stanowią kobiety. Kupują one nie tylko dla siebie i dzieci, ale i mężczyzn z rodziny. Kobiety stwarzają, zwłaszcza w małym lokalnym lumpeksie, przestrzeń przypominającą tradycyjny bazar lub lokalny sklep spożywczy, gdzie zakupy mogą być pretekstem do spotkania, rozmowy, sąsiedzkich plotek. Charakter lumpeksu wzmacnia tę jego zastępczą rolę, bowiem nie oczekuje się od wszystkich klientek błyskawicznego zakupu: rzeczy mogą być za duże lub za małe, nie pasować lub nie podobać się po przymiarce – wiele kobiet czerpie przyjemność z przymierzania, i nie naraża się na negatywną reakcję obsługi, gdy nic nie kupi – odzież jest jednak używana, więc niepełnowartościowa. Lumpeks stwarza przestrzeń przyjaznej konsumpcji, gdzie brak pieniędzy albo nieefektywny wygląd nie narażają na pogardę selekcyjnych klientelę ekspedientek.

Lumpeks to nie tylko alternatywa dla najbiedniejszych. Wiele klientek płaci za używane ubrania znanych marek tyle, ile zapłaciłyby za nowe, ale nie opatrzone metką ubrania w sklepie lub na rynku. Lumpeks pozwala też na regularne zakupy odzieży choćby na nowy sezon, czyli naśladowania konsumpcyjnych zwyczajów Zachodu. Do Polski, wraz z *chic-lit* i popularnymi serialami dotarł też model kompulsywnej zakupoholizacji¹⁸, trudny jednak do naśladowania w polskiej rzeczywistości ekonomicznej. Niektóre kobiety kompulsywną potrzebę zakupów realizują więc w lumpeksach i co najwyżej nadwyżkę odzieży wystawiają do śmietnika.

Lumpeks pozwala ubrać się osobom o nietypowych rozmiarach, zaopatrzyć niedrogo w oryginalne dodatki, kupić dzieciom zabawki, a starszym angielskie książki czy nawet słowniki za parę złotych. Jest też symbolem

¹⁴ Polacy stracili głowę dla zakupów w lumpeksach, http://wyhacz.gazeta.pl/Wyhacz/1,88542,5633090,Polacy_stracili_glowe_dla_zakupow_w_lumpeksach.html

¹⁵ Rocznik Statystyczny Handlu Zagranicznego 2009, tabela 20: Import towarów według sekcji i działów nomenklatury CN w 2008 roku. Sekcja - Materiały i artykuły włókiennicze. Dział: Inne konfekcjonowane artykuły włókiennicze; odzież używana i używane artykuły włókiennicze; szmaty.

¹⁶ K. Jakiewicz, *Dress for Success*, http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,7032963,Dress_for_Success.html.

¹⁷ Por. E. Subocz, *Konsumenci z usterką – o stylu życia osób ubogich*, [w:] W. Muszyński [red.], *Nowy wspaniały świat. Moda, konsumpcja i rozrywka jako nowe style życia*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009, s. 170-172.

¹⁸ jak książka Sophie Kinsela, *Wyznania zakupoholizki*, i jej ekranizacja.

alternatywnego, a nawet antykonsumpcyjnego stylu życia, w którym wartością jest recykling i niekupowanie produktów powstałych dzięki wyszkowi siły roboczej, gdzie unika się zanieczyszczenia środowiska czy zużycia energii, kupowanie tam może być realizacją idei zrównoważonego rozwoju w wymiarze świadomych decyzji konsumentów.

Zachodnie sklepy z używanymi rzeczami to często firmy charytatywne, funkcjonujące dzięki ofiarności przekazujących odzież i wolontariatowi, ten trend powoli dociera też do Polski. Zjawisko z pogranicza kulturowego tabu powoli wkracza do masowej kultury: instytucje te, początkowo ukryte w niepozornych sklepikach i pomijane wstydlwym milczeniem znalazły swe miejsce przy głównych ulicach wielkich miast, w *mass mediach*, a nawet w literaturze: w jednej z popularnych powieści Marty Fox występuje sklep „Tani Armani”¹⁹, a u Olgi Tokarczuk w *Prowadź swój plug przez kości umarłych*²⁰ lumpeks jest pełnoprawnym sklepem i miejscem spotkań przynajmniej żeńskiej połowy lokalnej społeczności.

Odzież używana pojawia się w sesjach modowych, choćby „Wysokich Obcasów”, tak jak odnowione meble ze śmietników i targów w pismach wnętrzarskich. Symbolicznym przykładem przemiany statusu lumpeksu może być wielkanocna fotograficzna sesja mody „Wysokich Obcasów”, gdzie Grażyna Hase, jedna z zasłużonych projektantek mody w PRL, wymieniana wielokrotnie w przywoływanym już *Teksas-landzie* Anny Pelki, występuje w obok projektantki młodego pokolenia, Joanny Poradeckiej, która „wykorzystuje w projektowaniu recykling”, a na zdjęciu występuje w „zielnej sukience Ungaro z warszawskiego ciucholandu za 10 zł”²¹. Odzież używaną zestawia – w innej sesji modowej tego pisma²² – z drogimi elementami Barbara Hanuszkiewicz, profesor w Katedrze Projektowania Ubioru łódzkiej ASP. „Szafiarki”, czyli, wedle Małgorzaty Jankowskiej, miłośniczki szaf, które poszukując oryginalności i „uciekając przed systemem” odświeżają stare stroje, same szyją ubrania, wykonują biżuterię i dodatki, zaopatrują się głównie w *second-handach*²³.

Lumpeks pełni więc różnorodne role: od tańszego zamiennika galerii handlowej poprzez modową grę z trendami masowej konsumpcji do aktu konsumpcyjnego nieposłuszeństwa. Biznes ten z globalnej perspektywy okazuje się przetwarzaniem śmieci na towar. Bardziej rozwinięte regiony, gdzie recykling odpadów jest coraz większym problemem, ale i gałęzią gospodarki, znajdują tani sposób na ich pozbycie się dzięki zapotrzebowaniu na odzież używaną w krajach mniej rozwiniętych. Tak jak polscy przedsiębiorcy oczyszczają niemieckie czy holenderskie „wystawki” ze śmieci, zanim odbierze je śmieciarka, oszczędzając służbom

oczyszczania miasta kosztów i czasochłonnej pracy, tak pośrednicy i hurtownicy odbierający z zachodnioeuropejskich magazynów używaną odzież odciażają kraje jej pochodzenia z kosztów ewentualnego recyklingu. Przemysł ten przypomina nieco wciąż obecnych w polskim pejzażu śmietnikowych „nurdów”, osoby które zarabiają odzyskując i odsprzedając rzeczy ze śmietników. W obu przypadkach mamy do czynienia z pewnego rodzaju biznesem i swego rodzaju recyklingiem. Tak jak rzeczy wystawione do śmietnika w średniozamożnych dzielnicach (ale nie na grodzonych osiedlach) zasilają dzielnice mniej zamożne, tak śmieci i odpady wystawiane przez Brytyjczyków, Niemców czy Holendrów stają się cenionym dobrem konsumpcyjnym w Polsce. Rzeczy wrzucane przez Polaków do pojemników na używaną odzież, które nie nadają się do odsprzedania czy rozdania lokalnym biednym, transportowane są z kolei do Pakistanu, Indii lub Afryki (lub zamieniane na czyściwo). W ten sposób światowe centra i peryferia, czy raczej wedle Wallersteinowskiej terminologii, państwa rdzenia i peryferii definiują nie tylko wyszok jednych przez drugich²⁴, ale i podrzucanie śmieci, które w trakcie tego procesu śmieciami być przestają i zamieniają się w poszukiwany towar.

To używane meble z Holandii sprzedawane na polskich rynkach, używana odzież z Wielkiej Brytanii czy Skandynawii u nas sprzedawana w lumpeksach, lub włoska odzież, która trafia do lumpeksów afrykańskich, podobnie jak polska używana odzież trafiająca jako pomoc [?] do Afryki. Śmieci mieszkańców państw rdzenia stają się poszukiwanymi i ekonomicznie ważnymi dobrami w obszarach peryferyjnych i półperyferyjnych. Początkiem tego zjawiska w Polsce były „ciuchy” w początkowym socjalizmie, czyli bazy, gdzie kupowało się wszystko, co miało zachodni sznyt, mimo oznak zużycia. Albo nawet ubiory z powojenno demobilu i pomocowej UNRR-y. Potem „paczki z zagranicy” stały się nie tylko formą pomocy, ale i niezłym biznesem. Część handlu używaną odzieżą koncesjonowały w pewnym momencie sklepy komisowe. W latach 80. znów staliśmy się adresatami pomocy humanitarnej, która oprócz powielaczy dla działaczy obejmowała używaną odzież dla ludności i mleko w proszku dla dzieci. W pewnym momencie obieg pomocy humanitarnej został zastąpiony przez kapitalistyczny obieg kupna – sprzedaży, w którym pożądanym dobrem dla transformującego się społeczeństwa stały się odpady społeczeństwa bardziej nowoczesnych. Zauważmy, że z odbiorcy pomocy humanitarnej przeskoczyliśmy do kategorii pomagających, nie tylko wysyłając produkty i artykuły, ale także specjalistów, wolontariuszy, ratowników i pieniędzy.

Droga pokoleń kobiet od wielogodzinnych kolejek do pełnych półek to także kawałek polskiej historii. Pełne półki to z jednej strony opiewany przez media i analizowany przez badaczy supermarket, czy globalna galeria handlowa i internetowy sklep. To także zapyziały lumpeks, następcą „ciuchów” i komis, i sposób na odnalezienie się w roli konsumentki i nonkonformistki bojkotującej globalny wyzysk.

IZA DESPERAK

¹⁹ Istnieje w świecie rzeczywistym, we Wrocławiu, gdzie mieszka autorka.

²⁰ O. Tokarczuk, *Prowadź swój plug przez kości umarłych*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

²¹ *Od święta*, „Wysokie Obcasy”, 7 kwietnia 2012 r., nr 14 (669) s. 20-21.

²² *Pani od mody: Kocham swój wiek, chodzę w dzinsach i martensach, rozmowa z prof. Barbarą Hanuszkiewicz*, http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53660,11019631,Pani_od_mody__Kocham_swoj_wiek_chodze_w_mini_i_martensach_.html

²³ M. Jankowska, *Uciekając przed systemem. Recz o szafiarkach polskich*, [w:] *Nowy wspaniały świat. Moda, konsumpcja i rozrywka jako nowe style życia*, [red.] W. Muszyński, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009, s. 75.

²⁴ Por. I. Wallerstein, *Analiza systemów światów: wprowadzenie*, DIALOG, Warszawa 2007.

ANDRZEJ BANAŚ

„Przez okno spojrzysz się czasem
W szlak dróg żelaznych daleki,
Dłońmi się czoło podeprze
I łzami zająd powieki”

Julian Tuwim, *Na stacji Chandra Unyńska*

SMUTNE KOLEI KOLEJE LOSU

Pierwotnie tytuł miał brzmieć: *Konkurs skoków cywilizacyjnych*, ale po namyśle zamiar zmieniłem powodowany obawą, że sportowy podtekst może sugerować rozprawkę tematycznie związaną z rozumianą szeroko kulturą fizyczną w jej ważnym, bo cywilizacyjnym aspekcie.

Nie o te skoki chodzi, jakkolwiek nieco dalej się o skokach wwyż, w dal, trójskoku i skokach narciarskich pojawią zdań kilka, bowiem temat jest wielotorowy, więc i na nie także przyjdzie kolej.

Skoro zaś o tym mowa, to coś mi szepce, że niedaleki jest czas, kiedy nabywszy bilet będziemy mieli prawo odbywać po kolejowych torach bliższe lub dalsze przechadzki, zaś owych torów właściciel niewielkim nakładem sił i środków, być może unijnych, zagwarantuje nam i spacerom naszym pełne bezpieczeństwo. Niewielkim, bowiem słowo „pociąg” odzyska wreszcie jedynie słuszne znaczenie, które mu się w ojczystej mowie od dawna należy i używając go będziemy mieli na myśli pociąg do kobiet, hazardu, gorzały i innych podobnych, skądinąd całkiem sympatycznych nałogów. I zgoła niesympatyczny pociąg do władzy też. Zniknie z polskiego słownika, mam nadzieję – bezpowrotnie, zapożyczony niegdyś bezmyślnie znaczenie, za którym kryła się masa hałaśliwego żelastwa włączona przez bardziej jeszcze hałaśliwe, pogwizdujące ustrojstwo zwane lokomotywą. Zniknie, bo nie będzie o czym mówić. A lokomotywie, czas był po temu najwyższy, nadaliśmy już nowe znaczenie, za którym stoi wygadany waźniacha umieszczony na wyborczej liście na pozycji pozwalającej do parlamentu wejść nie tylko jemu samemu, lecz pociągnać za sobą wcale liczną grupę „wagoników” z budzącą politowanie liczbą głosów. Jeszcze bardziej żałosną, jeśli spojrzeć na procentowy wskaźnik odniesiony do liczby uprawnionych wyborców. O intelektualnym poziomie dłuuuuuuuugiego pociągu wagoników, pomny art.216 § 1 i 2 kk, wspomnieć się nie ośmielę.

Jeśli w tej sytuacji coś budzi żal i poczucie straty, to potrzeba pogodzenia się z faktem, że młodszy Polacy utracą szansę dostrzeżenia niepowtarzalnego czaru sławnej od paru pokoleń *Lokomotywy* autora mojego dzisiejszego motto. Dzisiaj pewnie Tuwim ze tzą w oku pochylony nad obowiązującą ordynacją wyborczą i jej rezultatami musiałby napisać:

„Pęta się w mediach lokomotywa
I męża stanu kiepsko odgrywa
A tacy co się podoczepiali
Patrzą jak polska kolej się wali”.

Mam nadzieję, że nikogo nie zwiodła prześmiewcza tonacja wstępu, bo tak naprawdę, stąd motto, jest to klasyczny przypadek gogolowskiego śmiechu przez łzy

Wszystkie te, sięgające sfery polityki uszczypliwości, biorą się z niepokoju. Jego przyczyną jest widoczne gołym okiem zjawisko upadku polskiego kolejnictwa, którego nie tylko blisko dwustuletnia historia zasługuje na uwagę. Nie tylko, bowiem, nie bagatelizując mnóstwa utyskiwań na poziom pasażerskich i towarowych przewozów, była to do niedawna całkiem przyzwoita kolej. Była, już nie jest i optymistycznych perspektyw nie widać. Chybnym pomysłem okazała się restrukturyzacja, która już z założenia uznała, że remedium na wszelkie kłopoty okaże się konkurencja. Ortodoksyjny liberalny lek okazał się trucizną, bowiem praktyka dowiodła, że sam podział i pojawienie się w miejsce nieruchawego być może giganta mnóstwa mniejszych rywalizujących z sobą podmiotów zaowocowało zwyczajnym bałaganem. Nie konkurencją lecz szamotaniną wśród mnóstwa kompetencyjnych i własnościowych kolizji. Równocześnie nieuniknione w takich sytuacjach rozrost kadry menedżerskiej ma, obok kosztowych, także inne niedobre dla INFRASTRUKTURY konsekwencje.

Co też to takiego ta infrajakiejtam?

Wedle popularnych wydawnictw encyklopedycznych pojęciem **infrastruktury** w najogólniejszym uję-

ciu przyjęto określać **ogół podstawowych urządzeń i instytucji koniecznych do prawidłowego funkcjonowania gospodarki**. Urządzenia te obejmują stworzone przez człowieka, trwale zlokalizowane liniowe i punktowe obiekty użytku publicznego, stanowiące podbudowę życia społeczno-gospodarczego, z uwagi na ich **funkcje przemieszczania osób i ładunków (transport)**, wiadomości (łączność), energii elektrycznej (energetyka) i wody (gospodarka wodna).

Oglądając to wszystko trudno nie ulec choćby na chwilę pokusie zabawy przedrostkami i przyjrzeć się, co też owo magiczne „infra” może oznaczać. Potocznie zastosowanie tego przedrostka oznacza, że coś, co po nim następuje jest pod, poniżej, mniej. Daleko mi do żartów, ale jest coś na rzeczy, boć przecież polski transport, ten kolejowy i ten drogowy, są wyraźnie poniżej. Poniżej europejskich standardów, poniżej oczekiwań, poniżej krytyki – słowem, **infra**–struktura jak się patrzy.

Trąby jerychońskie, jak wynika z badań pewnego uczonego, skruszyły mury Jerycha emitując infradźwięki. Nie śmiem rzeczy wyrazić wprost, ale gdyby za pomocą jakiegoś infra-wynalazku udało się pokonać lub zburzyć przeszkody stojące polskiemu szeroko rozumianemu transportowi, temu pasażerskiemu i temu cargo, na „drodze” (wolałbym jednak „torze”) ku zdrowemu rozsądkowi, skłonny byłbym się na krótko nawrócić.

Od lat blisko dwudziestu obserwuję stan naszej gospodarki przez pryzmat systemu zamówień publicznych. To one właśnie lub szerzej nieco, wydatki publiczne uznać można za wcale niezły monitor służący zobrazowaniu wagi, jaką administracja publiczna przywiązuje do rozwoju poszczególnych elementów (może dziedzin?) infrastruktury, także tych dotyczących transportu.

W poszukiwaniu przykładu uznałem z powodów, których wyjaśniać nie chcę i nie trzeba, że regulacje dotyczące zamówień publicznych z racji rozległości przedmiotowej, znacznej liczby korespondujących z nimi wprost lub pośrednio aktów prawnych, wagi dla szeroko rozumianej gospodarki oraz społeczne konsekwencje mogą się okazać przydatną dla istoty wywodu ilustracją. Nikogo chyba nie trzeba przekonywać, że właśnie w zamówieniach publicznych, jak w soczewce skupiają się problemy makro- i mikroekonomiczne, których znaczenie dla państwa i jego obywateli osiąga wymiar szczególny.

Infrastrukturalny obrazek ilustruje problem ostro i przydaje mu wagi.

Musi więc dać do myślenia fakt przesunięcia gigantycznych pieniędzy przeznaczonych pierwotnie na kolejowe inwestycje, na budowę dróg i autostrad. Jako żywo nie mam nic przeciw drogom i autostradom, których zarówno mierzona w kilometrach liczba jak i ich stan od dawna pozostawiają wiele do życzenia. Nie da się zaprzeczyć, iż dróg mamy zbyt mało, zaś ich stan, łagodnie rzecz określając, to katastrofa sama w sobie i przyczyna mnóstwa katastrof. Prawda. Wszelako budżetowa roszcza, o której mowa, dowodzi po pierwsze krótkowzroczności, po wtóre zaś ma się nijak do wspólnotowych, wyrażanych w wytycznych i komunikatach, tendencji.

Nie od dziś wiadomo, wskazują na to doświadczenia krajów wysoko rozwiniętych wsparte prostym, może skądinąd prostackim rachunkiem ekonomicznym, że kolej jest deficytowa, w związku z czym wymaga dopłat z publicznych pieniędzy. Nie zaprzeczają temu pewne wyjątki jak cargo czy szybki ruch międzymiastowy. Pogłębiony rachunek wykazuje jednak, że dopłacać warto, bowiem koszty zewnętrzne kolei okazują się być daleko niższe w porównaniu z transportem drogowym. Lista kosztów zewnętrznych dokumentujących przewagę kolei mogłaby być długa, lecz poprzestańmy na tej ich części, która wynika z zanieczyszczenia powietrza, skażenia wód, emisji hałasu, zajmowania coraz większej powierzchni terenu. Niebagatelne znaczenie z punktu widzenia zewnętrznych kosztów należy przyznać wypadkom drogowym, których cenę wyznacza liczba ludzkich istnień. Nie ma cienia przesady w stwierdzeniu, że w dzisiejszym kształcie, szczególnie w polskich warunkach transport drogowy to nie tylko zagrożenie dla środowiska, to bardzo poważne zagrożenie cywilizacyjne.

Unijnych preferencji w tej ważnej sprawie albo nie rozumiemy, albo je z niezrozumiałych przyczyn bagatelizujemy. Jest rzeczą oczywistą, że w warunkach rynkowej gospodarki niewątpliwie pożądane przejście z transportu drogowego na kolejowy nie może się dokonać w wyniku zalecenia UE lub odgórnej decyzji rządu. Mowa rzecz jasna nie o pełnym zastąpieniu dróg kolejowymi szlakami i zaniechaniu działań inwestycyjnych skierowanych na drogi. Idzie o przywrócenie w transporcie sensownych proporcji, w których nie będzie miejsca na budzący grozę widok w sąsiedztwie Słubic, gdzie trzydziestokilometrowy korek na drodze „szybkiego” ruchu sąsiaduje blisko (widać gołym okiem) z biegnącą równolegle i godzinami niemal pustą magistralą kolejową Berlin–Warszawa. Ścieżka, jeszcze nie droga, ku tym sensownym proporcjom może prowadzić poprzez stosowanie zachęt, takich choćby jak ściśle określone i starannie zaplanowane inwestycje w inne formy transportu, zdolne przejąć przewozy dotychczas realizowane drogami oraz systemy opłat odzwierciedlające **rzeczywiste koszty użytkowania dróg** i powodujące naturalne przejście do alternatywnych form transportu. Celem takich działań byłoby zmniejszenie ilości towarów i liczby pasażerów w transporcie drogowym, przy równoczesnym ich zwiększeniu w przewozach kolejowych. W tej sytuacji budżetowe faworyzowanie transportu drogowego kosztem kolei wydaje się nie tylko dość zaskakujące, ale też sprzeczne z wspólnotowymi założeniami zrównoważonego rozwoju z jego środowiskowymi aspektami w pierwszym rzędzie. Powtarzane tu i ówdzie argumenty o potrzebach związanych – było, minęło – z Euro 2012 nie powinny być traktowane serio. Pogłębiony, rzetelny rachunek ekonomiczny tę sprzeczność bez cienia wątpliwości potwierdzi. W imię niewątpliwie ważnej i prestiżowej sportowej imprezy nie wolno było biernie przyglądać się trwającej dość długo destrukcji kolei. Z tym „biernie” też pojawiają się wątpliwości i warto by się przy okazji rozejrzeć, spróbować odszukać teoretyków, specjalistów od infrastruktury, na których spoczywa znaczna część odpowiedzialności za ten pierwszy, drogowy skok cywilizacyjny.

Nie przypadkiem nazywam ciąg tych zdarzeń, głównie skądinąd zaniechań, faworyzowaniem sfe-

ry drogowej. Spójrzmy. Środki pochodzące z akcyzy, którą obłożono paliwa, trafiają w pełnym wymiarze na infrastrukturę drogową, zaś kolejową się pomija, mimo że jest w tej puli niemała część pochodząca z opłat za paliwo dla lokomotyw spalinowych. Koszty budowy i utrzymania infrastruktury kolejowej są ponoszone całkowicie przez kolej, a infrastruktury drogowej nigdy przez zarządcę drogi. Tereny kolejowe obciążone są podatkiem od nieruchomości, a grunty pod drogami nie. Taka sytuacja powoduje, że transport kolejowy jest droższy, a Polacy wybierają samochód jako tańszy środek komunikacji pomiędzy miastami. W Polsce takie czynniki jak powierzchnia kraju, liczba mieszkańców, korzystny układ geograficzny, kilka dogodnie rozmieszczonych miejskich aglomeracji liczących powyżej pół miliona mieszkańców sprzyjają komunikacji kolejowej. Tylko zła, chaotyczna i niespójna polityka transportowa powoduje, że marnowana jest szansa na rozwój kolei. Jeszcze trochę i zmarnuje się ją bezpowrotnie..

Czyta się i słyszy, że niemałe europejskie pieniądze przeznaczone na rozwój i modernizację sieci kolejowej nie zostały wykorzystane lub skierowane inaczej niż przewidywały to pomocowe warunki, co musi oznaczać rygor zwrócenia ich Unii.

Warto chyba, krótko choćby, skomentować problem przez pryzmat zielonych zamówień, o których od długiego czasu się mówi i pisze, ale od jałowego gadania do materialnych faktów daleko. Skoro byliśmy przy przedrostkach, to może warto powiedzieć sobie rzetelnie, że od pustych deklaracji nie zrobi się *super* ani *ultra*. Wciąż jest szaro i smutno.

Miło byłoby usłyszeć lub przeczytać następujący, oficjalny tekst:

„Z punktu A do punktu B, odległych od siebie o 500 km przewożonych będzie rocznie kilkadziesiąt tysięcy ton ładunku. W trakcie dialogu konkurencyjnego zmierzającego do rozwiązania problemu rozważany będzie wariant drogowy i kolejowy. Przy wyborze oferty stosowane będą następujące kryteria: cena 30 proc., wykorzystanie istniejącego połączenia kolejowego 70 proc.”

Pomarzyć wolno każdemu, aliści nie spodziewam się „dożyć tej pociechy”, bowiem tego rodzaju koncepcji nim dotrą „pod strzechy” przebyć muszą długą i stromą ścieżkę, wiodącą korytarzami (może lepiej będzie kuluarami) ważnych gmachów użyteczności publicznej. Może być jeszcze gorzej. Oczyma wyobraźni już widzę medialną zawieruchę, pośród której „fachowcy” zakapują do organów kontrolnych wszelkiego szczebla i autoramentu „wyrzucanie w błoto publicznych pieniędzy”. Znajdą się tacy, którzy publicznie, w telewizyjnym okienku będą drzeć na sobie odzienie wykrzykując o marnotrawstwie, korupcji i podobnych paskudztwach. Szkoda tylko, że nikomu z pokrzykujących nie przyjdzie do głowy dokonać na chłodno i rzetelnie rachunku kosztów, tych krótkich, bezpośrednich i tych odleglejszych nieco, choć równie ważnych, a nader często ważniejszych. Z liczeniem jest pewien kłopot, który je różni od gadania – nie wystarczy chcieć, trzeba umieć.

Zdumiewające, że ten sam lub ta sama, odsapnawszy trochę i uładziwszy garderobę podejmie nowy, modny temat i będzie opowiadać dyrdymały o zrównoważonym rozwoju i jego społeczno-gospodarczych uwarunkowaniach.

Nie zamierzam ukrywać, że kolejowa sprawa interesowała mnie od dawna, zaś szczegółami zacząłem się zajmować z powodu tematycznej bliskości problemu i rozumianych szeroko zielonych zamówień; pokrewieństw na gruncie energetycznym, szkód wyrządzanych środowisku przez hałas, emisję spalin, szkód wyrządzanych ludziom. Otwarcie przyznaję, że dla dzisiejszego tekstu bezpośrednią inspiracją stał się żałosny spektakl w dwu odsłonach, którego pierwotny tytuł brzmiał chyba „Rozkład jazdy”, zaś skrócony przez rzeczywistość brzmieć powinien po prostu **rozkład**, pisany z małej litery. Tyle w sprawie aktu pierwszego.

Jak każą teatralne reguły, nastąpił kiczu ciąg dalszy, choć antrakt zamiast kilkunastu minut trwał kilkanaście miesięcy. Kilkustopniowy mróz (może infratemperatura ?) doprowadził do paraliżu kolejowego transportu pasażerskiego i towarowego, który skwitowany został krótko i wdzięcznie: „Sorry, taki mamy klimat”. I wszystko jasne, a klimat ma jedną niebagatelną zaletę. Można nań wyrzekać, ale stawianie mu zarzutów jest absurdem samym w sobie.

Wszystko o czym wyżej dotyczyło kolosalnych pieniędzy pochodzących z europejskiego funduszu spójności, którego tzw. perspektywa 2007- 2013 dobiegła właśnie końca i jedyne, co się z nią wiąże dzisiaj, to kłopot z rozliczeniem wydatków poniesionych w sposób niezgodny z warunkami towarzyszącymi ich przyznaniu.

O katastrofie związanej z budową dróg i autostrad napisano już tyle, że dalsze wałkowanie tematu szkód nie ma żadnego sensu. Warto tylko zauważyć, że niebawem staniemy wobec obowiązku zwrotu wspólnotowych środków wydanych w sposób uchybiający zarówno prawu jak i zdrowemu rozsądkowi. O szkodach społecznych lepiej zmilczeć. Tych, które dotknęły przedsiębiorczość, również.

Wracamy do teatru. Kiedy więc kurtyna, wśród chłodnych okłasków zapadła, pojawić się muszą recenzje. Oto **moja recenzja**:

„Nie wiadomo co gorsze, reżyseria czy obsada.

Zgrany temat, brak spójnej koncepcji, ogólny bałagan i mocno podniszczona scenografia. Struktura spektaklu zdecydowanie infra. Kolejny kłops, nic tylko sięść i płakać”

Od tej kiepskiej recenzji za wczoraj ważniejsze jest jednak dzisiejsze uważne spojrzenie wprzód, bowiem zamknięcie poprzedniej otwiera perspektywę nową zawartą w cezurze 2014-2020. Siedmioletnia perspektywa spójności i związana z nią kasa dotyczy, wszystkich nie wymienię, programów operacyjnych o niezwyklej dla kraju wadze. Te najważniejsze to: **Infrastruktura i Środowisko**, Innowacyjna Gospodarka, Kapitał Ludzki oraz 16 programów regionalnych. Przyznaje nam 105,8 mld euro, co przekładając na złotówki oznacza rząd 400 mld PLN. Suma jest gigantyczna i także związane z nią możliwości. Pomędzy możliwościami i rzeczywistością rozpościera się wszakże całkiem spory obszar, gęsto zaludniony przez specjalistów, którzy zaadresowane wyraźnie i czytelnie środki zechcą za sprawą różnych klimatów, głównie politycznych na szczeblu centralnym i politykijskich na szczeblu niższym, przeadresować. W opisywanej dziedzinie w sposób infrarozsądkowy, a później się zobaczy.

Owo wieloletnie programowanie ukierunkowane jest na osiągnięcie celów funduszy poprzez zapewnienie dostępności niezbędnych zasobów finansowych oraz spójności i ciągłości szerokiej gamy wspólnych działań Unii i państw członkowskich. Realną całkiem widzi mi się, wobec niedawnych doświadczeń, „perspektywa” następnego skoku cywilizacyjnego, w którym klimatyczne osobliwości zatriumfują nad rachunkiem ekonomicznym, że o zdrowym rozumie nie wspomnę. Mimochodem zaś wspomnę, że obawy przed kolejnym skokiem kojarzą mi się z pomysłem zimowych igrzysk olimpijskich w roku 2022, w których to planach wiele się w sprawie infrastruktury zamierza. To jednak temat na zupełnie osobne wypracowanie, w którym klimatem też poświęcić zamierzam słów kilka.

Sorry, ale coś mi się widzi, że w Norwegii, Szwecji, Finlandii – krajach o bardziej surowym od naszego klimacie jeżdżą pociągi i w każdym z tych krajów inwestuje się w ostatnich latach w transport szynowy poważne pieniądze i, ciekawostka, temu kierunkowi rozwoju infrastruktury przyznaje się priorytet. Parę rzeczy wydaje się wskazywać, że tam potrafią liczyć i dbają o środowisko. Posiedli też cenną umiejętność roztropnego wydawania pieniędzy, ale to być może sprawa klimatu.

Nie wolno, zmierzając ku puencie, zapomnieć o naszym kolejowym sukcesie. Mowa, co oczywiste, o zakupie Pendolino. Że nie ma się po czym poruszać – to przecie drobiazg. Ważne, że wykazaliśmy się talentem do inwestowania w nieruchomości.

Po dojrzałym namyśle doszedłem do wniosku, że warto na koniec przypomnieć pierwszą strofę wiersza, który posłużył mi za motto:

„Na stacji Chandra Unyńska
Gdzieś w mordobijskim powiecie
Telegrafista Piotr Płaksin
Nie umiał grać na klarnecie”.

Nie musiał. Telegrafista ma się znać na łączności, ważnym elemencie infrastruktury. Swoją drogą, ciekawe jak z grą na klarnecie radzą sobie bohaterowie mojej opowiadki. Podobno ćwiczenie czyni mistrza i myślę sobie niekiedy, że parę osób warto by nakłonić, ku wszechnemu pożytkowi, aby zamiast infrastruktury zajęły się muzykowaniem. Może być klarnet, choć u nas w Galicji nazwanie tak kogoś uważa się za inwektywę.

Łza się w oku kręci, kiedy wspomnieć, że byli czasy, kiedy podróż z Paryża do Stambułu pociągiem Orient Express była dla pasażera czymś w rodzaju nobilitacji. Pisano o nim, pociągu, nie pasażerze, książki, kręcono filmy. Dziś jest tak, że w Polsce i tym się od Europy różnimy, samochód nie jest traktowany jak środek transportu. To symbol statusu społecznego i posiadanie wypasionej bryki, koniecznie z napędem na cztery koła i kilkilitrowym silnikiem czyni z posiadacza prawdziwego arystokratę lub przynajmniej celebrytę, który zadaje szyku na nie zapłaconych dotąd drogach „szybkiego” ruchu Smutne. Czy aby na pewno taka musi być KOLEJ rzeczy?

ANDRZEJ BANAŚ



XIV REALITY SHOPKA SZOŁ

SREBRNE WESELE

w Teatrze Groteska, 15 02 2014 r.

Okiem Sfinksa

tekst: **Mariusz Parlicki, Adolf Weltschek**

wykonanie: **JACEK MAJCHROWSKI**

Chociaż Kraków to nie Giza,
a Wawel nie piramida
Wielki Sfinks, jak ten w Egipcie,
tu nad Wisłą też się przyda.
Prasa pisze, że nad Wisłą,
w tym prastarym grodzie Kraka,
chcą obalić Majchrowskiego,
jak w Egipcie – Mubaraką.

Jarek Gowin – w opozycji
umie stanąć sam do siebie.
Mówi ciepło i spokojnie,
jakby – żyjąc – był już w niebie.

Gowin wolno słowa cedzi
Więc gdy jakieś zdanie kończy
Sens z początku się ulatnia
Z końcem nie ma go jak złączyć.
To jest bardzo dobra cecha
Bezcenna dla prezydenta
By obietnic, które składa
Nie był w stanie nikt pamiętać.

By wybory były jasno,
W pierwszej turze rozstrzygnięte,
Do urn Gowin chce dopuścić
Dzieci – jeszcze niepoczęte.

Delikatny jest na pozór.
Lecz to polityczne zwierzę.
Z arsenałem mocnych środków
jest krzyżówką – dzika z jeżem.

Andrzej Duda – mężny poseł
w trójcy jeden PiS-u rzecznik,
obalony przez Hofmana
co powrócił znów na świecznik.

Duda czuły jest jak Prezes,
religijny jak Sobiecka,
nie obnosi się, jak Hofman
z tym, co nosi w swych majteczkach.
Więc ma bardzo duże szanse
prezydentem miasta zostać,
chyba że go w tych wyborach
z PiS-u inna przyćmi postać...
Geniusz – Antek Macierewicz,
poematu wart, nie strofy.
Tropicielem jest i twórcą
Oj!!! niejednej katastrofy!!!

Zbigniew Ziobro ma też chrapkę
żeby prezydentem zostać.
Zbyszek Ziobro taka jasna...,
jasna!!! jak cholera postać.
Kurski byłby jego vice,
Kempę zrobiłby rzecznikiem,
a Dziwisza by zastąpił -
Hoserem albo Rydzykiem.

Kto z Platformy wystartuje?
Wiele dusz się rwie do raję.
Bo w Platformie, tak jak zawsze!!!,
mają klęskę urodzaju.

Róża świetnie się nadaje.
Jednak Państwo dobrze wiecie,
że niepolskie ma nazwisko –
pierwsze, drugie, no i trzecie.

Raś: wytrawny to polityk
i na cztery łapy kuty,
prezydentem mógłby zostać –
lecz przez Lipca został struty.
Lipiec byłby jak się patrzy,
wszyscy mu wygrana wróżą,
lecz czy dwoje Lipców w roku
to przypadkiem nie za dużo!?

Pożyjemy, zobaczymy,
kandydatów jest gromadka,
I jak zawsze w takich razach –
Finał –SFINKSA TO ZAGADKA.

Pieśń Świętojańska o Hofmanie

tekst: Mariusz Parlicki, Adolf Weltschek

wykonanie: **ROBERT BIEDROŃ**

Kiedy na wizji jest Adam Hofman
oczy zachodzą mi mgłą, a mrówki
i ciarki czuję na swoim ciele,
czyli od główki... aż po zelówki.

To facet z klasą, pięknie pachnący,
rumiana buźka, włoski na boczek,
wśród członków PiS-u członek wiodący,
prawy katolik, nie żaden zboczek.

Lubi zapalić dobre cygaro,
mądry jest prawie tak, jak Kaczyński.
Kiedyś zostanie polskim Clintonem
a wkoło tabun Monik Lewinsky'ch.
(lub „Z tabunem chętnych.....”)

Gdy przy Adamie siedzę co tydzień
kawę na ławę zwykle wylewam.
Bo przy Adamie w jednym programie
zbyt rozkojarzam się i rozgrzewam.

Mam przed oczami wtedy nagranie,
po którym straszna wybuchła draka,
na tym nagraniu niespodziewanie
Adaś pokazać chciał nam zwierzaka.

To świetny filmik posta Adama,
wtedy odegrał on rolę życia.
Obnażył wszystkie swe mocne strony,
dowiódł, że nie ma nic do ukrycia.

Widząc Adasia nie wiem dlaczego
lecz w brzuchu czuję trzepot motyla
i jak Zychowi w Sejmie mi staje...
ten obraz w oczach. Staje co chwila.

Dziś Zbyszek Ziobro mówi, że Adam
do klubu *go-go* za młodu chadzał.
Mnie to nie zraża, lecz widać Zbysia
boli, że może Adaś go zdradzał.

Nie martw się Zbysiu i nie zachowuj
się w sprawie *go-go* jak ludzie prości.
Adam tam chodził, lecz chodzą słuchy,
że nie czuł żadnej w tym przyjemności.

Kiedy dziewczyny przed nim na rurce,
wiły się w tańcu zwinnie jak frygi,
Adam nagrywał na swej komórce
pornowyczyzny posta Szeligi.

A może śledził Agent Tomka,
który kontakty miał w tych biznesach,
żeby lojalnie wszystko donosić
do chlebobawcy swego – Prezesa.

Adam świadomy jest, że ma wzięcie,
cieszy go rozwój takiego trendu,
Jeżeli myślałbym o boysbandzie
to bym Adama wziął do boysbandu.

Jak mu zagrają, tak Adam śpiewa,
w co się da wetknąć, chętnie się wtyka.
Samą Pawłowicz... Adam rozgrzewa,
bo ma sprzęzystość kota Alika.

Sobecka przy nim myli zdrowaśki,
Antek się czule gładzi po brodzie,
Szydło chce wygląd znów mieć szesnastki,
ksiądz Gil się studzi w święconej wodzie.

Zbyś dziś szaleje widząc Adama,
kocha go Prezes, kocha ojczyzna,
ja o nim marzę w nocy i z rana
bo to naprawdę słodka mężczyzna.

* * *

tekst: Mariusz Parlicki

wykonanie: **JOHN GODSON**

Jestem Zorro – ze ziemi walczę,
noszę białą broń, nie flintę,
Zorro Godson, co go Tusek
traktował jak Kunta Kinte.

Lecz ja na to się nie godzę
moja misja to nie bubel,
ja z Gowinem oraz z Żalkiem
wywiniemy tobie numer.

Pokażemy czym Platforma
stała się za twej tyranii.
Przedstawimy listę ofiar:
począwszy od Jana Marii,
który dzisiaj na wychodźstwie,
ścigany przez komornika,
spalony Toskanii słońcem...
o bruk włoski się potyka.

Dziś Platforma jest kobietą,
która trochę w ciąży zaszła
brzydkie czyny, słodkie miny
i jak budżet – puste hasła.

Z przerażeniem patrzę Tusku
i swą rozpacz próżno duszę,
gdy zupełnie bez skrupułów
– skrzydełka wyrzucasz – Musze.
A Grześ Schetyna już nie robi
dobrej miny do kamery.
Oj niejednej ty się stałeś
grabarzem Tusku kariery.

Nie po drodze Ci z Gowinem,
wolisz nietykalne kasty,
wnet umówi Cię z Rywinem
– Leszek Miller lub Czarzasty.

Dziś Platforma wywołuje
w moim sercu... gorzki żalek,
bo zboczyła na złą drogę,
zbudowaną za – zegarek.
I tą drogą w dół się toczy,
i z łoskotem w otchłań leci,
ku uciezce – szczaw jedzących
przy przydrożnym rowie – dzieci.

Choć Tuskowi Niesiołowski
kornie hołdy czołem bije,
koniec partii widać bliski.
Gniew – wyborców ją dobije.

Z rządu każdy chce do Unii
wystartować póki pora.
Tusk niebawem żyrandole
będzie czyścił u Komora.
Lub u boku słynnej córki
poprowadzi blog o modzie.
Może bajkę skrobnie dzieciom –
o kranie i ciepłej wodzie!

Za scenariusz ten dziś kciuki
ściska tak jak umie – mocno
miłośnik zielonych jabłek,
tajemniczy – Zorro-Godson.

Cze z Biłgoraja

tekst: Mariusz Parlicki

wykonanie: **DARIUSZ JOŃSKI**

Na polowaniu byłem raz w lesie,
wtem mnie opadła złoczyńców zgraja.
Kto im przewodził? Wieść gminna niesie,
że Cze Ghewara – ten z Biłgoraja.

Ten samozwańczy lider wszystkiego,
ten twórca ruchu swego imienia,
niedawny czciciel Marii Dziewicy,
dziś wojujący z nią bez wytchnienia.

Jąłem się lękać szafu Janusza
i jak osika serce mi drżało,
kiedy Palikot zaczął mi czytać
w oryginale książeczkę Mao.

Krzyczał, że kocha Czerwonych Khmerów,
Armię Czerwoną i pomidory.
Krzycząc to prawie dostał wylewu,
może na haju był lub był chory.

Oj widać biedak postradał główkę,
chce na swych piersiach dziergać Engelsa,
i z Kum Dzong Unem grać w koszykówkę
a Fidelowi – zmienić pampersa.

Hugo Chaveza pomnik zamówił,
kupił trabanta, pali kosmosy,
i na czerwono chce ufarbować,
jak niegdyś Michał Wiśniewski włosy.

Z Siwcem całować ziemię kaliską
poszedłby chętnie, choćby i teraz,
a gdyby Miller Leszek był blisko
to by po stopach lizał Milera.

Znany happener z atrapą członka,
z flaszką dla Głodzia i głową świni,
Kazałby Grodzkiej, tak jak ksiądz Rydzyk
Jeździć maybachem lub lamborghini

Wydawał „Ozon”, a dziś jest w stanie
Michalikowi przerwać homilię,
jeść w Wielki Piątek tłustą golonkę,
no i z Bratkowską spędzić wigilię.

Chociaż Kwaśniewski raz go pogłaskał
Choć Jaruzelski raz go zaszczycił
i tak nie wmówi on narodowi,
że jest lewicą, bo z tego nici.

Bo nie wystarczy, by być lewicą
walczyć o prawo przerywania ciąży.
Już się wypalił Janusz Palikot,
twój ruch Narodzie, Twój Ruch pograży.

ELŻBIETA WOJNAROWSKA

EKSLIBRIS

Nigdy nie kończy się asfaltowa droga. Takie ma się wrażenie, patrząc w dół z tej odległości. Stąd nad urwiskiem widać to szczególnie wyraźnie. Wygląda jak kłęb poprutej wstążki. Przechodzi jedna w drugą. Niekończący się labirynt szos. Z którego nie da się wypłatać ani wzdłuż, ani wszerz, ani w żadnym innym kierunku. Można tylko iść czy jechać do przodu, każda zmiana nie ma sensu. I trzeba patrzeć przed siebie. Prosto w horyzont. Wierzyć, że umykająca wciąż sprzed oczu ciemna linia jest coraz bliżej, i że osiągniemy ją tak jak cel naszej podróży. Jeżeli oczywiście celem jest to, co nam się wydaje. Na moment straciłam oddech, jak zawsze przy szybkim marszu. Jestem prawie na szczycie. To Pico de la Zarza, 807 m n.p.m., najwyższy szczyt Fuerteventury. Podejście zajęło mi prawie 4 godziny. Nie było jednak zbyt trudne, raczej męcząco monotonne. Słońce grzeje niemilosiernie. Muszę przystanąć i zaczerpnąć powietrza. Z tej wysokości każda rzecz w oddali zmalała do wielkości punktu. Wzrok leci przed siebie z prędkością światła. Dosięga najdalszych krańców wyspy. Żółta Fuerteventura faluje w oczach przecięta na pół niebieską, zamazaną linią horyzontu. Jest ogłuszająco cicho, w uszach cisza tak dzwoni, że prawie pękają mi bębenki. Jeszcze krok, jeszcze jeden, pot zalewa oczy, nogi odmawiają posłuszeństwa. Koniec. Przysiadam na wielkim głazie, jakich tu wiele wokół. Ostre, wiatry nie stępiły przez lata ich krawędzi, trwają niewzruszone, oparte jakiegokolwiek erozji. Same dla siebie. I dla kruków, które pośród nich, wysoko, nad samym urwiskiem uwiły gniazdo. Kruki kołują teraz nade mną, ich chrypliwy głos płynie w przestrzeń i poza nią. Dźwięk, który trwa długo, a jeszcze dłużej w mojej wyobraźni. I w mojej pamięci. Bo łączy się tam z tym dźwiękiem, który kiedyś słyszałam, a chciałam teraz usłyszeć. Chrypliwe wołanie kruków. Wystarczy zamknąć oczy i wszystko łączy się w całość, staje się jednym i tym samym. Droga, urwisko, kruki i ich krzyk. Teraz jest rok 2011, mam lat 30, i co z tego? Przeszłość staje się teraźniejszością, i tak samo jest nieprawdziwa i wyobrażona, pełna subiektywnych projekcji, jak przyszłość. Ta przyszłość, tak samo wymyślona, stworzo-

na ze złudnej wiary, że możemy ją kształtować wedle własnych wyobrażeń. Wyjmuję z bułek plastry szynki i rzucam je na skały twoim gestem, Christianie. Kruki mają świetny wzrok, krążą teraz wokół skał, prawie nie poruszając skrzydłami, musiały zapamiętać to samo co ja. Widziałam tylko film, który nakręciłeś tu na szczycie, a jednak tak wyraźnie mam przed oczami twój gest, choć ja tak naprawdę nigdy cię tu nie widziałam, w przeciwieństwie do kruków. Nie upłynęło tak wiele lat od czasu, kiedy tu byłeś, możliwe nawet, że to te same kruki obserwują teraz, kołując, leżącą niedaleko cenną zdobycz. Możliwe nawet, że pamiętają smak tamtych plasterów, rzuconych im wtedy przez ciebie. Powieliłam zdarzenie sprzed pięciu lat z dziwną premedytacją. Z determinacją, jakby powtórzenie tego samego, odbierało tamtemu zdarzeniu wyjątkowość, a więc degradowało go do jednego z wielu, pozabawiając ich magii i znaczenia. Czy właśnie po to tu przyszedłam? Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie.

Skały są czarno- szare, wulkaniczne. Wokół pomarańczowy popiół. Opiera się wiatrowi, którego świsu tu, na szczycie Pico de la Zarza nie zagłusza nawet wołanie kruków. Kruki krążą teraz bardzo wolno. Są dwa, czarne i wielkie. Plastry znikają w oka mgnieniu w ich przepastnych gardłach. Rzucam w powietrze bułkę, żeby odciągnąć ich żarłoczny wzrok od mojej czaszki. Nie czuję się przy nich bezpieczna, jednocześnie wiem, że to jedyni moi towarzysze tutaj, i że ich obecność dodaje mi dziwnej otuchy. Podzielenie się z nimi czymkolwiek, to przecież jak rytuał jak wypalenie fajki pokoju. I faktycznie, zataczają coraz szersze kręgi, prawie płyną w powietrzu, jakby w podzięcie ofiarowały mi na krótko gościnę obok siebie. Jestem im wdzięczna za ten gest. Niczego bardziej teraz nie potrzebuję jak tej niezmierzonej przestrzeni, z którą tak hojnie się ze mną podzieliły. Rozglądam się ospale i sennie. Z lewej strony widać wyraźnie ścieżkę, którą tu przybyłam, i niżej niej wijącą się pasterską drogę prowadzącą poza urwisko, tam gdzie nie sięga mój wzrok. Nie wiem, co jest dalej. Tylko kruki to widzą, i wiedzą dokąd ta kręta nad przepaścią droga wiedzie

wspinających się tu czasem samotnie pasterzy kóz czy zbłąkanych turystów. Po prawej stronie, wprost ze szczytu pędzi w dół skalista przepaść, kończąca się dziką rozległą na wiele kilometrów plażą. Stąd, z góry widać wyraźnie głębokie wiry w oceanie, tuż przy brzegu, i widać, jak szalone wiatry niczym obłądne tańczące huragany nawiewają falami piach na plażę, nie pozostawiając falom miejsca na odpływ. Tworzą zajadłe poodcinane od siebie jeziora, odbijające tylko przez chwilę głęboki lazur nieba, żyjące krótko, bo tylko do następnej fali i do następnego szalonego osypiska piachu, który rozdziela tę topiel i tworzy kolejne, błyszczące niczym lustra dzieła obłąkanego artysty. Jak okiem sięgnąć nie ma nikogo, żywej duszy. Czuję się tu i teraz jedyna na świecie i jest mi z tym dobrze. Pod ciemnym od szafiru niebem, wśród nieokreślonej woni soli i smoły, na końcu świata, odczuwam jedność ze sobą samą jak chyba nigdy wcześniej. Dziwną harmonię z krążącymi nad głową ptakami, znoszącymi cierpliwie mój widok i moją tu obecność. Powoli zaprzyjaźniam się z tym, co roztacza się przed moimi oczami. Akceptuję bezkres. I bezsilność ciała. Upał, oślepiającą jaskrawość słońca, jednostajny dźwięk, jaki wydobywa się z gardeł kruków i idący jakby sprzed wieków hipnotyczny zaśpiew wiatru smagającego bezlitośnie skały. Wiem, że widziałeś to samo, mogłam więc mieć pewność, że czas nie ma żadnego znaczenia i że pewnie niewiele się tu zmieni za sto, czy za tysiąc lat, pozostanie i tak tym, czym jest w tej chwili. Bo właśnie ta chwila jest jedyna i niezmienna. I jako taka pozostanie na zawsze. Choćby tylko w mojej pamięci. I zawsze będzie tam na mnie czekać.

Pamięć istnieje niezależnie od nas. Z naszą wolą nie ma nic wspólnego. Jest zaborcza i nie dzieli się z nikim zdobyczą. Rozrasta się jak nie przycinana zieleń, jak nie plewiony, zaniedbany ogród, porasta w końcu chaszczami i zamienia w dziką, nieokiełznaną dżunglę, pełną niebezpiecznych zasadzek. Stąd te pułapki myślowe. Nie sposób od nich uciec. Przedostają się do ciebie nie wiadomo skąd, panoszą się, władają twoją wyobraźnią, twoim samopoczuciem, narzucają humor i punkt widzenia. No więc idę tak dobrze mi znajomą drogą, bo jestem nagle o wiele mil stąd, tak wiele lat wstecz, i wszystko dzieje się jednocześnie. Twarze ludzi nakładają się na siebie w świetlisty kolaż. Zamazują. Zostają tylko kolory, barwne plamy, jakby słońce tańczyło na starych fotografiach gubiąc ostrość konturów. Muszę się wysilić, żeby sobie przypomnieć dawno znajome rysy. Dziwne, że kiedyś stanowią dla mnie wyraźnie wymierny świat. Pełen czasu i rzeczywistości nie abstrakcyjnej, ale jak najbardziej często dotkliwie namacalnej. Wszystko to ulotne teraz jak widma. Fantomy przefruwają przede mną i muszę wysilić wyobraźnię, żeby rozpoznać co przedstawiają, jakich ludzi, jakie zdarzenia. I jakie emocje od dawna nieprawdziwe i zwietrzałe, a teraz ożywiane siłą woli i wiary, że można je na nowo przywołać i ożywić, by znów istniały. Jestem teraz daleko od Fuerteventury, daleko od kruków. Droga do mojego domu jest inna niż ta na Fuerteventurze, ta, którą wspierałam się na szczyt góry tej wulkanicznej wyspy. Droga, którą teraz kroczę wstecz, jest kamienna i wyboista. Prowadzi wzdłuż

lasu, jakim obrośnięty jest mały staw. Złoty Staw, bo tak go nazywaliśmy. Widzę dobrze. Nadciąga właśnie koniec lata, upału nie odczuwa się już aż tak bardzo. Drzewa powoli przybierają dostojny odcień przejrzącej zieleni, niektóre z nich połyskują już złotem i czerwono, ale bardzo jeszcze nieśmiało. Nieliczne poletka zbóż dawno żółte, czasem jakieś snopki czekają jeszcze na wywózkę. Łąki pokładają się od nazbyt przez lato wybujałych traw, domagają się gwałtownie pilnego koszenia. Gdzieś porykuje nie wydojona krowa, po którą ktoś się spóźnia, więc dopomina się, żeby ją zagnać do obory, niecierpliwie macha ogonem i kołyszce pełnymi wymionami. I widzę was tam kolejno, a jednocześnie – równocześnie. Dziwne, że w tym wszystkim nie ma chaosu. Przechodzenie z czasu do czasu jest czymś tak niesłychanie oczywistym. Nie ma żadnej chronologii, wszystko dzieje się naraz, podporządkowane sobie tylko znanym prawom. Tamci ludzie trwają we mnie życiem zmyślnym, to znaczy poniekąd wymyślnym przede mną, ale i tamtym prawdziwym, które istniało faktycznie, i oba te stany nie wykluczają się nawzajem, a wręcz uzupełniają. Jakby teraz, po latach wszystko stało się zrozumiałe i jasne, pozbawione tajemnicy i większego znaczenia. Skupiam się, aby przywołać minione dni w pierwotnym kształcie, jak je zapamiętałam. Wystarczy trochę wysiłku i barwy szybko ulegają nasyceniu, a z mroku pamięci wydobywają się coraz to nowe szczegóły, twarze stają się coraz bardziej wyraziste, zaś dramaturgia zdarzeń płynna. Droga, którą kroczę, prowadzi jak dawniej do mojego domu, i jest to dom istniejący tak realnie, jakbym naprawdę teraz do niego wchodziła.

A więc połowa sierpnia, pięć lat wstecz. Ogród i ganek. Płot z ciemnych, drewnianych sztachet. Za nimi malwy. One wytyczały granice mojego świata tutaj. Poza nimi zawsze byłam outsiderem. To się nie zmieniło nigdy. Tak pozostało do dziś. Mimo to, ilekroć wracam do domu, czuję się jak zbieg, którego złapano i na powrót wsadzono do klatki. Choć nigdzie nie czułam się tak bardzo u siebie jak tu, na tym małym skrawku ogrodu, pomiędzy kwitnącymi malwami. To było jak bicie serca. Mojego serca. Tu zawsze je słyszałam. Wiedziałam, że to ja, że to moje serce. Że należy tylko do mnie. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że serce można wydrzeć i połamać w każdym miejscu. Nawet tam, gdzie czujesz się najbardziej bezpiecznie. Krok po kroku wydobywam z mroków pamięci i powoli rozpoznaję każde drzewo. Każdy wyrosnięty już krzew, żyjący teraz własnym, niezależnym życiem. Znam każdą dziuplę i wiem, gdzie jesienią spomiedzy bezlitośnie bezlistnych gałęzi wyłonią się czarne opustoszałe gniazda. Ileż razy obserwowałam kołujące majestatycznie pod niebem jaskółki. Wyciągałam do nich ręce, odpowiadały głośnym ćwierkotem, i miałam niezachwianą pewność, że ich dźwięki, które pędziły poprzez przestworza, przez dziwnie zniechęcone powietrze kierują się właśnie do mnie. I że żadna chwila, nic z mojego życia, nie przepłynie mi przez palce. A teraz ta cisza, którą dobrze znam i którą przedtem chłodna i kojąca, stała się nagle duszna i lepka. Ogarnia mnie lęk, i na nic odrzucanie go niczym zbędnego balastu. Wypływa z najgłębszych zakamarków duszy i zostaje. Jest. Realny, jak furka

owinięta ciasno pnączami róż, jak drzwi ocienione dojrzałą już winoroślą, czerwony spadzisty dach z gontem i duży komin, który kiedyś dymił, a teraz osmolony przypomina smętnie o minionych czasach. Powietrze jest idealnie czyste, zatyka płuca aż trudno oddychać. Drzwi nie są zamknięte na klucz, ustępują pod dotknięciem ręką klamki. Dziwnie głucho brzmią moje kroki, gdy tak idę niepewnie poprzez wąski przedpokój. Dom wydaje się teraz taki mały, ciasny i ciemny. Kiedyś był prawie warownią. Dziecięce oczy zawsze wydobywają z przedmiotów nieistniejące walory, przydają im blasku i egzotycznego piękna. Potem z latami stopniowo wszystko szarzeje, powraca do właściwych wymiarów, włącza w ramy zwyczajności, maleje i powszednieje. Życie składa się z powrotów. Powroty są nieubłaganą konfrontacją rzeczywistości ze światem dzieciństwa. Działają jak gilotyna, odcinając bezlitośnie to co wyobrażone, pozbawiają nas złudzeń. W ten sposób kończą się wszystkie bajki.

W przedpokoju panował cień i wilgotny chłód, jakby nie palono tu od dawna, żadnych zapachów dobiegających z zamartej kuchni oprócz lizolu i nieprzyjemnej stęchlizny starzyzny. To nie było tak znowu dawno, najwyżej dwa, trzy tygodnie temu. Pamiętam więc dobrze, jaki wysiłek, wręcz wyzwanie stanowiło dla mnie wejście do sypialni matki. Przez dłuższą chwilę nie mogłam się zdecydować: chcę tam wejść czy nie. Poruszyłam lekko klamką u drzwi prowadzących do jej pokoju i wiedziałam, tak prawie widziałam oczy mamy utkwione w tym przerwany w półgeście, w tym półobrocie wykonanym przez klamkę, a raczej przez moją ostrożną, niezdecydowaną dłoń. Jeszcze się mogłam wycofać, odejść, uciec stamtąd. Ale wiedziałam też, że nigdzie stąd nie ucieknę, choćbym wyjechała na kraniec świata. Choćbym weszła na najwyższy szczyt Fuerteventury. Ta stara kobieta zawsze będzie na mnie czekać. I dopadnie mnie w każdym punkcie Ziemi. Teraz, i za Bóg wie ile lat. Bo czekanie na powrót nigdy się nie kończy, i sam powrót też niczego nie kończy, dlatego nie ma żadnego znaczenia. Jak znaczenia nie ma to, wejść tam do niej czy nie. W pokoju paliło się małe światło. Pielęgniarka podniosła się dyskretnie na mój widok, odkładając czytaną książkę.

– Jestem córką – wyjaśniłam. – Czy mogłabym zostać z nią sama ?

– Oczywiście – pielęgniarka skłoniła lekko głowę i wyszła bezszelestnie z pokoju.

– Mamo ? – zapytałam cicho.

Mama otworzyła oczy, jakby wcale nie drzemała przed chwilą. Usiadłam przy niej na łóżku, dotknęłam lekko jej dłoni. Jej palce odnalazły moje i uściśniły się.

– Cieszę się, że przyjechałaś, Weronko – powiedziała to, czy mi się przesłyszało ?

W jej szeroko otwartych oczach błyskały iskierki radości. Uniósłam poduszki i podparłam jej plecy. Siwe gładko zaczesane włosy rozsunęły się i opadły jej na ramiona. Zrobiła się dziwnie mała. Ze swoją wąską twarzą dziecka, okoloną obłokiem niezidentyfikowanego zapachu. Blade, delikatne wargi rozciągnął zabłąkany uśmiech. Nie umierała przecież. Pozwoliła się tylko żywcem zamknąć w dusznym pokoju. Czeka-

jąc na koniec, który nie zamierzał nadejść. Podeszłam do okna, odsunęłam ciężkie zasłony, uchyliłam luft i do pokoju wpadło jaskrawe, pomarańczowe światło zachodzącego słońca. Ciepły, żywiczny kurz drgał w jasnych smugach, które pobiegły wzdłuż pokoju. Żółte plamy jak plastry miodu przysiadły na kołdrze. Zrobiło się wesoło i nostalgicznie jednocześnie. Zza szyb dobiegały jakieś wołania, soczyste dźwięki przypominające odległy gwar, świat zewnętrzny wdarł się bezpardonowo do środka i rozpanoszył na środku pokoju. Czyste powietrze rezonowało. Każdy dźwięk był wyraźnie oddzielony od innych. Niezaburzony nie zaburzał naszego milczenia. Nie protestowała. Na jej wargach wciąż błąkał się ten sam uśmiech. Nie oznaczający niczego. Jakby mimowolny, fizjologiczny. Tylko palące się wciąż iskry w jej oczach świadczyły o niemym przyzwoleniu na moją w jej oczach samowolę.

– Nic się tu nie zmieniło – zauważyłam. Z radością, czy przykrością? Sama nie wiem, nie mogłam się zdecydować.

Znów podeszłam do niej, i znowu podała mi rękę. Dłoń miała zimną i wilgotną. Na skórze majaczyły już brązowe starcze plamy. To naprawdę moja matka? Naprawdę minęło tylko pięć lat ? A może aż pięć? Może dla jednych czas płynie inaczej niż dla innych. Może dla matek każdy rok bez dziecka to wieczność? Nie wiem. Nie mam dziecka. Nigdy nie miałam.

– Za to ty się zmieniłaś – znów oddała mi lekki uścisk palcami. – Masz takie... suche oczy.

– To cię dziwi ? – wstałam nerwowo. – Nie powinienam tu przyjeżdżać. To bez sensu.

– Nie wierzę ci – doleciało do mnie znajomym szeptem. Nie musiała szeptać. Miała dość sił, aby mówić normalnie. Nie była chora.

Podparłam ją. Usiadła i spuściła wolno z łóżka boscie nogi. Narzuciła na plecy szlafrok, wsunęła stopy w stojące obok pantofle i oparta na moich ramionach ruszyła w kierunku okna. Stała przy nim nieruchomo, jakby zapatrzona. Otworzyłam szerzej okiennice. Popołudniowo-sierpniowe słoneczne złoto rozlało się już połyskliwie na wszystkie strony. Niebo zdawało się płynąć wzdłuż stawu. Górą lekko zamglone, jakby ziemia oddawała w pokorze ciepło całego dnia. Oduurzająco mi znany widok. Był zachwycający w swojej prostocie i codziennym powielaniu samego siebie w nieskończoność. Przez dłuższą chwilę nie wypowiedziała ani słowa, jakby porażona jego pięknem. Pejzaż trwał w swoim corocznie powtarzanym uporze dorównania sobie samemu sprzed roku. Był czysty jak skończony obraz. Idealne co do każdego szczegółu dzieło sztuki. Landszaft najwyższego formatu. Nieruchome, zastygłe w swoim kształcie piękno. Czulałam, jak ogarnia mnie przeraźliwa tęsknota za tym co bezpowrotnie minęło. Usłyszałam lekkie westchnienie. Jej pierś pod flanelową koszulą poruszyła się nieco. Ją też ogarnęło wzruszenie. Drżała mocniej ode mnie. Obejmowałam jej szczupłe ramiona i miałam ochotę jak kiedyś, kiedy byłam dzieckiem, popłakać sobie, tak po prostu, tuląc zażawioną twarz do jej rękawa.

– Tak dawno cię nie było – powiedziała wreszcie głośno, naprawdę to usłyszałam.

Tak, nie było mnie tu pięć lat i nawet nie zauważyłam, że to długo. Pięć lat... Chciała, żebym mia-

ła wyrzuty sumienia? Wykonałam jakiś niezręczny, odpychający gest, wtedy pochwyliła mnie za ramię nagle silnymi palcami i ze zdumieniem stwierdziła, że ich ucisk jest bardzo bolesny. Byłam w potrzasku. Jednocześnie czułam, że gdzieś w głębi serca ona ma rację. Moja ucieczka nic nie dała i nie da. Bo wszystko musi zostać policzone i rozliczone teraz czy kiedykolwiek. Czas nie ma tu nic do rzeczy. Może jestem wreszcie na to gotowa, skoro tu przyjechałam. I nie boli. W każdym razie już nie tak. Może muszę sama przed sobą jeszcze opowiedzieć tę historię, aby spróbować wydobyc z mroków pamięci wszystkie szczegóły. Żeby zastanowić się, co przeoczyłam. Pochyliła się dziwnie szybko. Wzięła telefon, leżący na stojącym obok okna stoliku. Wykręciła numer. Podała mi słuchawkę.

– Czego chcesz ode mnie? – prawie krzyknęłam. Chciałam odepchnąć słuchawkę, ale wzrok mojej matki prawie przykuł mnie do niej.

Słuchawka przy moim uchu. Głos w telefonie był głosem mojej siostry. Głosem, którego od lat nie chciałam słyszeć. I nie chciałam już nigdy więcej usłyszeć. Poruszył we mnie jakąś strunę. Zawibrowała i odezwało się we mnie coś niejasnego z przeszłości, coś czego zupełnie nie mogłam zrozumieć. Jakieś obrazy zaczęły się wyłaniać, dawno pogrzebane i zapomniane, a teraz ożywione siłą jej głosu. Byłam tak poruszona, jakbym oglądała niemy film ze sobą w roli głównej. Nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. I we mnie też zapanowała dziwna cisza. Jakby chaos, który przed chwilą mnie opanował, który mną tak niespodziewanie zawładnął, nagle spłonął w ogniu tej jednej chwili. Bez słowa odłożyłam słuchawkę na widełki. Wzięłam telefon z jej rąk i prawie rzuciłam na stolik. Mama pokręciła gwałtownie głową na tej swojej cienkiej szyi.

– Tak nie można – znów wyszeptwała. – Tak się nie godzi.

– Ty chyba nie wiesz co mówisz! – zaoponowałam bez sił.

Ręce jej drżały, nie potrafiła opanować tego drżenia, ale wyjęła z kieszeni szlafroka nie zabezpieczoną kopertę i podała mi. Jak to się stało, że nie rozumiałam, co się dzieje, nie wyprzedziłam jej myśli o krok... Zaskoczyła mnie. Złoty Staw, siostra, koperta, tysiące wirujących oka mgnień...

– Co to jest? Nie chcę żadnych pieniędzy. Nie przekupisz mnie.

– Nie zamierzam – potwierdziła. – Zajrzyj do środka.

W kopercie była faktura wykupionego pobytu na Fuerteventurze. Zagryzłam wargi. Spojrzałam w okno, aby uciec od jej wzroku zawieszzonego na mojej twarzy.

– Pojedziesz? – zapytała nagle. – Obiecuj, że tam pojedziesz.

Na jej twarzy pojawiły się grube krople potu.

– Mówiłam, że to bez sensu – chciałam oddać jej kopertę, ale powstrzymała mnie.

Stałam wciąż przy oknie. Po szybie chodziła duża mucha. W górę i w dół. W górę i w dół. Bzycząc rozjuszona. A może oszalała. Było w tym jakieś szaleństwo. Choć nie do końca zdawałam sobie sprawę, na

czym polega. Jeszcze chwila, a ja też oszaleję. Czuję mdłości. Oparłam czoło o framugę. Mucha nie odleciała. Patrzyłam przed siebie, bolało mnie wszystko to, co widziałam. Ten pokój, widok za oknem, matka jakaś skurczona obok. Słońce właśnie nurzało się w czerwieni. Było w tym uniesienie i groza zarazem. Dlaczego, dlaczego tam mnie wysyłasz? Dlaczego znowu mam tam jechać? Gałęzie jarzębiny poruszone niespodziewanym powiewem wiatru wpadły na chwilę do pokoju, zajrzały i wycofały się pospiesznie. Patrzyłam wciąż przed siebie, zapatrzona w pulsujące ogniem kolory zachodu, usiłując zrozumieć intencje losu, który dziwnym zrządzeniem wysyłał mnie znów do tego piekła, a może raju. Raju utraconego na zawsze. Po co? Dlaczego? I nagle dotarło do mnie w przebiegu olśnienia, że jeśli tam nie pojedę, jeśli nie zmierzę się wreszcie sama ze sobą, zostanę w swoim piekle. Na zawsze.

W ten sposób wysłała mnie tu, po rachunek sumienia. Może po bilans strat i zysków, listę błędów czy coś w tym rodzaju. Nieważne. Siedzę teraz na szczycie wulkanicznej góry i widzę, jak nadciąga mgła od oceanu. Czarne, czy raczej sine opary o posturze tajfunu. Szły tak szybko, że za moment straciłam z oczu kruki. Pociemniało, mokra płachta oblepiła mnie zimnymi mackami. Wzdrygnęłam się. Przygotowana na burzę wytrzymałam wzrok, starając się nie zgubić kierunku powrotu. Siedzę zwrócona twarzą w stronę, z której przyszłam, notując w pamięci liczbę kroków potrzebnych do odnalezienia ścieżki. Nie czuję się jednak zagubiona. Odczuwam nawet coś jakby łaskę losu. Tyle w tym zapatrzeniu uniesienia i niespokojnej radości, jakiegoś oczekiwania. Równie irracjonalnego, bo co niby mogło spełnić się tu, na tym pustkowiu, jak i rzeczywistego, bo dogłębnie odczuwanego każdą komórką mojego ciała. Jeszcze nigdy moje istnienie nie stanowiło tak bardzo części czegoś nieporównywalnie większego, tak wielkiego, że graniczyło z olśnieniem czy ekstazą. Ogarnął mnie niezwykły, a jednak tak prosto zwyczajny spokój. Osiągnęłam już szczyt. Teraz czekała mnie droga w dół. Ku temu, co stanowi sedno mnie samej, i co sprawia, że ucieczka nie ma żadnego sensu, bo jak można uciec od siebie? I to nie jest metafora. Czy o to ci chodziło, mamo?

Chmury równie szybko znikły, jak się pojawiły. Dosłownie wyparowały od upału, resztki rozgonił wiatr. Kruki znów pojawiły się na tle turkusowego nieba, miałam wrażenie, że ani na chwilę nie straciły mnie z oczu. Twoja samotna wyprawa tutaj musiała być równie owocna. Też patrzyłeś w oczy krukom, Christianie, i roztrząsałeś wszystkie za i przeciw. Ale kiedy wszedłeś na ten szczyt, wiedziałeś znacznie więcej niż ja. Byłeś bogatszy o wiedzę, z którą się ze mną nie podzieliłeś. Pozostawiłeś mnie na dole, na plaży, w nieświadomości tego, co się wcześniej wydarzyło. I to nas rozdzieliło. Choć w sferze realnej musiałeś widzieć wtedy to, co ja teraz. Czyli majaczącą w oddali latarnię morską, nasz punkt orientacyjny, której co-wieczorne światło okrążające ją dookoła przywołuje i przyciąga jak magnes z oddali wszystkie spojrzenia ku sobie. Oprócz ptaków. Bo na całej wyspie ani na plaży, nigdzie nie spotkałam żadnych ptaków oprócz tej czarnej jak smoła pary wielkich kruków tutaj. No,

może z wyjątkiem tych małych rozwrzeszczanych, zielonopiórych papug w naszej rajskiej oazie. I nic poza tym, żadnych mew. Co było dziwne i niepokojące. Przytrzymując rękę nad czołem obserwuję z góry naszą plażę. Tę z drugiej strony urwiska. Wygląda teraz jak złota kolia. Ożywiona szmaragdami daktylowych palm, wyżej wysadzana purpurą i bielą hoteli i posadowionymi między nimi bungalowami tonącymi w powodzi ognia bugenwilli. Pierwszy raz od tamtej pory mogę spoglądać na ten nieziemski obrazek spokojnie. Nie powoduje już nagłego przypiływu krwi, szarpiącego tętna prawie rozrywającego naczynia krwionośne. Może dlatego, że z takiej góry, z takiego oddalenia. Odległość zawsze narzuca dystans. Podaje możliwość chłodnej oceny. A wszechpanujące tu złociste światło ciągłego lata ujmuje przeszłości zbyt niegocznego znaczenia, przydając werniksowi teraźniejszości. Za chwilę będę musiała stąd odejść. Wrócić ścieżką do mającego w oddali bungalowu, tak jak ty stąd wróciłeś, zamyślony i niespokojny, obcy. Odchodzimy i wracamy, bo odejścia i powroty są wpisane w konstrukcję świata. A z logiką zdarzeń nie ma co walczyć, i tak zdarzy się to, co ma się wydarzyć. I nie ma w tym nic z determinizmu. Co najwyżej z uznaniem wyższej konieczności za fakt niezaprzeczalny. Wolność jest zrozumieniem konieczności, jak już ktoś zauważył.

Nie usiłuję uciec od chaosu myśli. Pozwalam im przypiływać i odpływać swobodnie. Nie narzucam pamięci chronologii ani wierności faktom. Chcę przekonać się, co zostało z mojego życia we mnie, co przetrwało w stanie nienaruszonym, a co przekształciło się dawno w kształt amorficzny, daleki od możliwości bezbłędnego rozpoznania. Schodząc w dół wolno, krok po kroku, po śliskich kamieniach nie patrzę pod nogi. Staram się jednak utrzymać harmonię między stopami a równowagą. Kruki pozostały daleko, poza skałą szczytu. Wydaje się, że teraz w zasięgu moich rąk i mojego wzroku nie dzieje się absolutnie nic. Wszystko zastępnym w nieruchome falujące lekko kształty. Wulkaniczna rozpalona góra drga w rozgrzanym do białości powietrzu. Tylko niżej gdzieś pojawiły się suche, krzaczaste osty i brunatne porosty na kamieniach. Jedyne ślady życia, oprócz metafizycznej wciąż obecności pary kruków. Wypicie butelki wody stało się warunkiem przeżycia dnia do końca. Spadające z czoła krople potu odmierzają czas jak klepsydry. Kwadrans, dwa kwadransy. Kiedy zadzwoniły dzwoneczki, w kryształowo czystym powietrzu uderzyły we mnie rykoszetem, jak granat odbity od skał. Przystaję więc, ogłuszona na moment. To stadko brunatno-białych, łaciątych kóz skacze po stromiznach w poszukiwaniu białego ostu. Małe kozłeta wyglądają figlarnie, prawie zalotnie.

– Hej, hej! – wołam do nich. Echo niesie i odbija od skał moje wołanie.

Wąskie mordki kozłat uśmiechają się do mnie z daleka. Pewne, że nic im nie grozi z mojej strony, kózki wspinają się ponad otchłanią stromizny lekko, bez poczucia grozy czającej się pod nimi przepaści. Nikt ich nie prowadzi, nie pilnuje. Wydają się pozostawione same sobie, na łaskę losu. Nie widzę żadnego pasterza, pasterskiego psa, żadnego domostwa czy zagrody na horyzoncie. Jakby ich obecność była

umowna. Są tutaj tak samo bezsensownie samotne jak kruki i ja. Jak osty i daleka, świecąca tylko dla siebie latarnia morska. Dzwoneczki zawieszane na cienkich szyjach kóz wydzwaniają śpiewne oratorium, dźwięki odbijają się od skał i nie było żadnych uszu oprócz moich, które by uchwyciły i doceniły ich muzyczny kunszt. Przystanęłam, bo linia melodyczna złała się nagle w jedno z melodią pozytywki zapamiętaną z dzieciństwa, wygrywaną przy okazji świąt i złociście zapakowanych prezentów, a która odgrzebana nagle przez niespodziewane skojarzenie wygrywała teraz we mnie przy akompaniamencie kozich dzwoneczków dalekie wspomnienia. Tak, miałam absolutną pewność, że ten chaos domagał się uporządkowania. I jednocześnie zdałam sobie sprawę nie tyle z nieuchronności, ile z beznadziei tego postanowienia. Miałam jeszcze w kieszeni jabłko. Rozgryzione na kęsy rzuciłam koziołkom. Obraz ich wdzięcznych mordek zabrałam ze sobą schodząc coraz szybciej w dół. Po chwili już ich nie widziałam. I nie byłam pewna, czy były tam naprawdę. Możliwe, że pamięć miesza się z wyobraźnią, i to co wspominaliśmy jest prostą wykładnią tego kompromisu. Jakby Marcel Proust z ustami pełnymi magdalenek kłaniał mi się z daleka i za moment zniknął w błękitnej mgłę.

Podróż na Lanzarote trzeba rozpocząć nad ręką. Wstać w ciemności, gdy inni śpią snem sprawiedliwych. Asfaltowa szosa niczym Droga Mleczna łśni pośród nocy bladą poświatą nielicznych lamp. Ta ciemność jeszcze łączy wszystkie bliższe i dalsze krajobrazy w jedno. Wzrok nie rozgranicza poszczególnych części tej jedności. Uśpione wzgórza, białe niskie domy, okazałe hotele i kompletne kilometrami ciągnące się pustkowia zlewają się w obce, nieznanne zarysy nie wiadomo czego. Jedzie się prosto, w nieskończoność. Rzadkie odnogi z szosy w bok wydają się wieść na manowce. Unikać ich, unikać. Może za cenę życia. Czarna, rozpalona upałem noc, gęste od wilgoci powietrze i biała podwójna linia pośrodku szosy w świetle reflektorów auta. Świetliste miraży na wschodzie, jakby zapowiedź przyszłego dnia. Jestem sama ze sobą, pełna oczekiwań, jakby to bardziej wyobrażone niż faktyczne światło miało moc sprawczą wszystkiego, czego tylko mogę zapragnąć. Przestrzeń stała się ogromną kopułą i jadę jak w transie, w tym bezkresnym amfiteatrze, na z góry wyreżyserowany spektakl. Nie mija mnie żaden pojazd, nawet zmyślny. Brak drzew na poboczach, brak kolorowych reklam i tego wszystkiego, co kojarzy się ze znajomą cywilizacją. Jestem zupełnie gdzie indziej, niż mi się wydaje. Sierp Księżyca odwrócony ostrzami do góry przypomina o tym najdobitniej. Pomruki oceanu zlewają się z sykiem wiatru w monotony trel. Jestem zawieszona pomiędzy byłą a jestem. Jeszcze nie zdecydowałam, jak się to ma do będą.

ELŻBIETA WOJNAROWSKA

Fragment powieści *Diabły*, na napisanie której autorka otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2013 roku.

PRZEMYSŁAW TRZECIAK

KTO TO NAMALOWAŁ?

Iwone

W Muzeum Narodowym w Gdańsku znajduje się olśniewającej urody obraz, przedstawiający sąd ostateczny, wybitny przykład malarstwa niderlandzkiego XV wieku. Choć panuje powszechne przekonanie, że autorem jest Hans Memling, to sprawa nie jest tak pewna, i co więcej, nie jestem w swych wątpliwościach odosobniony.

Gdy w 1956 roku tryptyk stanął na lewym podestu I piętra Muzeum Narodowego w Warszawie, zwrócony nam przez ZSRR (uboczny, choć ważny, efekt polskiego Października), prof. Michał Walicki zaproponował mi napisanie na ten temat pracy magisterskiej. Byłem wówczas już po studiach prawniczych i coś z nawyków prawnika pozostało. Zacząłem uważnie przesłuchiwać wszystkich świadków, tygodniami siedziałem w bibliotekach Gdańska, Wrocławia i Poznania nad świadectwami wszystkich, kto tylko miał coś do powiedzenia o *Sądzie*. Starannie wyważałem wszystkie sądy i oceny. W historii sztuki poruszamy się zwykle w niepewności, pośród hipotez lepszych lub gorszych. Każde dzieło sztuki zasługujące na tę nazwę zawiera tajemnice i stara się nas nie dopuścić do ich rozwikłania. Im dalej posuwał się mój proces zbierania i konfrontacji świadectw, im dokładniej przyglądałem się innym bezspornym dziełom Memlinga, tym bardziej rosły moje wątpliwości. Włączenie tryptyku do dorobku Memlinga nastąpiło arbitralnie, bez trwalszych podstaw. Byłoby uczciwiej pisać „przypisywany Memlingowi” i szukać dalej. Nie umieściłem więc żadnego nazwiska w tytule mojej pracy *Tryptyk Sądu Ostatecznego w Gdańsku*, a choć w treści uległem zbyt wielu obiegowym opiniom, sprawę autorstwa pozostawiłem otwartą. Skupiłem uwagę na rozwikłaniu zagadek ikonografii i ten fragment opublikowałem potem *Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie*.

Prawdopodobnie w całej historii malarstwa nie było drugiego dzieła, które byłoby przypisywane tyłu twórcom. Piszący o *Sądzie* od początku XIX wieku wymienili chyba wszystkich malarzy niderlandzkich XV wieku, na czele oczywiście z Janem van Eyck. Memling jako autor pojawił się po raz pierwszy w 1834 roku w dwutomowej *Geschichte der deutschen und niederländischen Malerei* G.H.Hotho. Autor należał do pierwszego pokolenia uniwersyteckich historyków sztuki, dyscyplina za ledwie raczkowała. Dziś jego *Geschichte* jest całkiem zapomniana, z jednym wyjątkiem – *Sąd Ostateczny*

w Gdańsku jest dziełem Hansa Memlinga. I tak zostało do dziś, mimo że wątpliwości wciąż się pojawiały.

Jedyne co wiemy o nim na pewno, to to, że 27 kwietnia 1473 roku został zagarnięty właściwie bezprawnie przez gdańszczan u wybrzeży Anglii, wraz z całym majątkiem, płynącym pod burgundzką banderą San Matteo. Krwawa potyczka morska była epizodem wojny pomiędzy związkiem miast hanzeatyckich i Anglią. Historia obrazu jest niezwykle barwna i dramatyczna, aż dziwne, że nie zainteresował się nią żaden filmowiec ani autor sensacyjnych powieści. Pozostawmy jednak im tę historię i spróbujmy zrekonstruować dzieje powstania obrazu, tchnąć życie w kilka postaci, które przypuszczalnie mogły odegrać tu istotną rolę. Ponieważ poruszać się będziemy wśród niepewnych faktów i wątpliwych sytuacji, możemy, a nawet musimy odwołać się do intuicji i wyobraźni, choć oczywiście nie powinny one wybiegać poza horyzont możliwego.

Obraz mówi nam, że ufundował go człowiek, który w brunatnej szacie malowniczo rozłożonej na posadzce klęczy pod figurą Madonny z Dzieciątkiem, na lewym, zewnętrznym skrzydle tryptyku. Na prawym klęczy pod figurą Michała Archanioła jego żona w czerwonej szacie z białą lamówką. Do 1901-1902 roku nie wiedzieliśmy kto zacy. Dopiero poszukiwania nieocenionego Aby Warburga pozwoliły ożywić postacie – to Angelo Tani i jego żona Katarzyna Tanagli. Ich ślub odbył się we Florencji w 1466 roku. Skoro tak, to możemy wstępnie przyjąć, że obraz powstał pomiędzy 1466 a 1473 rokiem. A ponieważ wiemy także, że Tani urzędował w Brugii, gdzie w 1465 roku malarz Hans Memling został wpisany w poczet obywateli miasta, nasuwa się prosty wniosek, że autorem jest Memling. Ale w sprawach sztuki nie zawsze proste rozumowanie jest poprawne. Historia sztuki, jeśli nie opiera się na dokumentach pisanych, na wyraźnych datach i podpisach twórców, które i tak zawsze wymagają troskliwej weryfikacji, porusza się zwykle pośród hipotez i problematycznych opinii. Ileż fałszywych dat, sądów i atrybucji znajduje się w podręcznikach, katalogach i salach muzeów. Co jakiś czas czytamy, że gdzieś powołano komisję ekspertów, by zbadała dorobek jakiegoś mistrza. A potem ten dorobek znacząco topnieje. Czy słusznie? Ba, któż to może wiedzieć? Tym bardziej dziś, gdy we wszystkim miesza niewidzialna ręka rynku, a dzieła dawnych mistrzów osiągają absurdalnie wysokie ceny.

W XV wieku sytuacja była klarowniejsza. Włosi stworzyli ogromny popyt na malarstwo niderlandzkie. Uwiodło ich blaskiem nasyconych barw, lśniącą, świetlistą powierzchnią, jakże piękniejszą od zmatowiałych, głuchych barw obrazów miejscowych malarzy posługujących się technologią temperey. Na włoskich dworach świeckich i kościelnych do dobrego tonu należało chwalić się jakimś dziełem z Północy.

Na przykład kardynał Grimani w Wenecji posiadał podobno w 1521 roku, obok tuzina prac innych mistrzów flamandzkich, cztery portrety i kilka obrazów ołtarzowych Memlinga. Kolekcjonerstwo było tym łatwiejsze, że pomiędzy Włochami i Niderlandami rozwinęły się liczne kontakty. Oba kraje zaczęły intensywnie budować gospodarkę kapitalistyczną. Włoskie banki i domy handlowe musiały zakładać na Północy swe przedstawicielstwa, jeśli chciały uczestniczyć w wymianie i zyskach, tu bowiem znajdowało się centrum handlu i finansów ówczesnego świata. Mieszczañstwo oderwane od gospodarki naturalnej średniowiecza kształtowało w kantorach bankierskich i na rynkach Brugii, Brukseli, Antwerpii, Wenecji i Genui nowe ramy i nowe wzory życia Europy wymagające od jednostki znacznej inicjatywy, przebojowości i ruchliwości.

Zastanówmy się teraz, u kogo Angelo Tani, majątny bankier, szef północnej filii największego wówczas w Europie banku Medyceuszy udzielającego pożyczek koronowanym głowom, mógł zamawiać obraz do rodowej kaplicy florenckiego kościoła. Czy u młodego malarza, który ledwie co otworzył pracownię w Brugii – Hansa Memlinga, czy raczej u sławnego mistrza Rogiera, o którego talencie słyszał przecież także na dworze Medyceuszków i mógł oglądać namalowane tam obrazy (tzw. *Madonna Medici*, dziś w zbiorach Instytutu Sztuki Staedla we Frankfurcie nad Menem i *Złożenie do grobu* obecnie w Uffizi). Chyba jednak u Rogiera, a nie Hansa.

Kiedy mogło nastąpić złożenie zamówienia? Prawdopodobnie wtedy, gdy pozycja Angelo Taniego w banku Medyceuszy była niezagrożona, gdy jego majątek rósł i plany małżeńskie zaczęły się krystalizować. Wprawdzie w 1460 roku Florencja przysłała do Brugii młodego, ambitnego Tomasza Portinari, z którym współpraca się Taniemu nie układała, ale wciąż cieszył się zaufaniem Piera Medici. Kontrakt z malarzem został zawarty około 1460 roku lub wkrótce potem.

Dlaczego Tani zamawia *Sąd Ostateczny*? Taki był nastrój chwili. Ludzie ówczesnej Europy pełni lęku oczekiwali na ostateczny kres wszystkiego. Dręczeni dotkliwą świadomością własnej śmiertelności wypatrywali na niebie oznak nadejścia dnia sądu. Ledwie skończyła się wojna stuletnia, która straszliwie spustoszyła zachód Europy, z południowego wschodu zagraża potęża Turcja (w 1463 roku Pius II wzywa do krucjaty przeciw Turcji), po gościńcach grasują uzbrojone bandy, na morzach napadają piraci. Wędrowni kaznodzieje, którzy jak Wincenty Ferreriusz przemierzali Europę, wieszczili, że koniec tego świata nastąpi w 1492 roku. Kościół, w wyniku wielkiej schizmy, utracił swój autorytet. Mnożą się krwawe bunty w miastach i na wsi. Zewsząd czyha zło. W 1461 roku w Arras masowo palono czarownice. W kościołach, na murach cmentarzy, w setkach drzeworytniczych

odbitek, w utworach poetów (Francois Villon, *Wielki Testament*, 1461) pojawiał się temat tańców śmierci. W 1450 roku w Niderlandach ukazała się *Ars moriendi*, rodzaj poradnika na ostatnie godziny, drukowana jeszcze z klocków z licznymi ilustracjami. Gdy w 1445 roku Jan Gutenberg wykonuje w Moguncji pierwszy druk ruchomymi czcionkami ołowianymi, jest to poemat o sędzie ostatecznym. We Florencji w 1447 roku *Sąd Ostateczny* maluje Fra Angelico, na północy w tym samym czasie wszechwładny kanclerz Nicolas Rolin zamawia u Rogiera poliptyk *Sądu Ostatecznego* dla ufundowanego przez siebie szpitala w Beaune, w Burgundii. Rogier kończy zamówienie około 1452 roku, już po powrocie z piegrzymki do Włoch. Angelo Tani mógł być to dzieło oglądać w brukselskiej pracowni mistrza, być może lęgnie się wtedy pomysł, by zamówić coś podobnego. Ale jako Włoch przyzwyczajony do bujności malarstwa południa wolałby, aby sfera ziemską była rozbudowana, bogatsza w wydarzenia. Nie podobają mu się te ascetyczne, skulone, pojedyncze postacie zmartwychwstałych, rozbiegające się w dwie strony. Jest bankierem, człowiekiem znającym potęgę wartości materialnych, nie poddaje się żywemu wówczas w Niderlandach prądowi *devotio moderna*. Obce jest mu szukanie indywidualnego, mistycznego przeżycia Boga. Malarstwo niderlandzkie przepaja szczególny nastrój, wynikły z rozpoznania świętości wokół siebie, w zwykłym codziennym życiu. Duchowość malarstwa włoskiego jest bardziej zewnętrzna, dekoracyjna, obliczona na pokaz.

Taniemu nie podoba się również, że szala wagi trzymanej przez Archanioła opada z grzesznikiem, a podnosi się ze sprawiedliwym. Rogier tłumaczy, że wokół jest przecież tyle zła, świat jest grzeszny, grzechy przeważają, ale Tani, zgodnie z doktryną odkupienia, chciałby, aby na jego obrazie przeważało dobro. Być może ta dyskusja o psychostasji (ważeniu dusz) spowodowała, że Rogier domalował potem przy głowach ważonych napisy: *virtutes* na lewo i *peccata* na prawo, by już nie było wątpliwości.

Tani proponuje, aby malarz zamiast abstrakcyjnych zmartwychwstałych, przedstawił konkretnych ludzi, jego ziomeków, Włochów zatrudnionych w banku i przedsiębiorstwach handlowych. Mistrz powinien naskikować kilka wskazanych podobizn. Uśmiecha się na myśl, kogo chciałby widzieć wśród zbawionych, a kogo wleczonego przez demony do piekła. Tę pracę Rogier powierzy młodemu czeladnikowi, który uważnie przysłuchuje się ich rozmowie. Niektóre z tych szkiców staną się później portretami, zamówionymi przez zainteresowanych u Memlinga.

Do sfery niebios Tani nie ma uwag, sądzi, że może być zrobiona podobnie, tylko bardziej zwarta, obraz bowiem stanie w innej przestrzeni, nie tak rozległej jak wielka sala Hotel Dieu w Beaune.

W 1449 roku Rogier van der Weyden, człowiek głęboko religijny udał się w pielgrzymkę do Rzymu, papież bowiem ogłosił rok 1450 rokiem świętym, by podreperować zarówno wizerunek jak i finanse Kościoła. Szlak wiódł najpierw na wschód do Kolonii, a stąd na południe wzdłuż Renu. W Kolonii odwiedził sławnego wówczas mistrza Stefana Lochnera. W jego pracowni zastał młodego ucznia Hansa, którego Lochner chwalił za biegłość w rysowaniu. Pobyt Rogiera na południu

przedłużał się. Każdy z dworów chciał wykorzystać jego obecność. Maluje nie tylko dla Medyceuszów, także dla d'Elstów w Ferrarze, być może także w Mediolanie, skoro w 1463 roku Franciszek Sforza wysłał do jego pracowni w Brukseli na naukę młodego Włocha Zanetto Bugatto.

Gdy w 1451 roku Rogier wracał z Włoch, znów wstąpił do Kolonii. Tu dowiedział się o śmierci Lochnera. Zaproponował wówczas Hansowi, by ruszył z nim do Brukseli. Memling szybko opanowuje warsztat i charakterystyczne cechy malarstwa niderlandzkiego. Po kilku latach zostaje czeladnikiem, Rogier powierza mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. W inwentarzu zbiorów namiestniczki Burgundii Małgorzaty z 1516 roku jeden z obrazów opisany jest jako mały ołtarz, którego środkową kwaterę malował Rogier, a skrzydła „mistrz Hans”.

W dorobku Memlinga związki z Rogierem są wyjątkowo wyraźne i obfite. Rogier ma dziwną tendencję do wykonywania niektórych dzieł w kilku wersjach, niewiele różniących się od siebie. Która jest oryginałem, a która repliką, czy wszystkie malował mistrz, czy może kopiowali współpracownicy, tego dziś nikt nie rozstrzygnie. Być może są to dzieła naśladowców? Jeśli jednak powstawały one w pracowni, obszar współpracy mistrz-czeladnik powiększa się niewyobrażalnie. Rogier nie podpisywał i nie datował swych prac. Nie znano wówczas pojęcia kopii czy plagiatu w dzisiejszym znaczeniu.

Rogier umiera w Brukseli 10 czerwca 1464 roku. Tryptyk *Sądu* zamówiony przez Taniego jest rozpoczęty. Mistrz narysował na podłożu całą kompozycję i zaczął nakładać kolory, od góry – Chrystusa Sędziego na tęczy i siedzących na chmurach apostołów jako przysięgłych, Marię i Jana Chrzciciela – obrońców. Tani jest akurat w Brugii, gdy dociera do niego wiadomość o śmierci mistrza. Wykupuje od spadkobierców nieukończony obraz i powierza Memlingowi dokończenie. Memling wraz z deskami *Sądu* przenosi się do Brugii, gdzie od lat znajduje się siedziba Taniego.

Skąd to przypuszczenie?

Gdy tryptyk wrócił do Polski ze Związku Radzieckiego, został w Muzeum Narodowym w Warszawie poddany pierwszym badaniom. Fotografia w podczerwieni wykazała, jak pisał prof. Jan Białostocki, „ogromną ilość zmian i poprawek”. Malarz „powiększał formy ciał i brył kosztem otaczającej je przestrzeni (...). Ekspresja jest silniejsza w rysunku niż w obrazie. Pierwotny projekt ujawnia bardziej dramatyczną ekspresję, ujmując akcję w sposób bardziej namiętny. W postaciach załamania członków są pierwotnie ostrzejsze, w wersji malowanej kąty załamania są złagodzone, ekspresja zmiętygowana”. Narzuca się oczywiste pytanie, czemu przypisać tę ogromną liczbę zmian i poprawek, dlaczego malarz pracując nad obrazem, nakładając kolory zmieniał równocześnie styl, łagodził ekspresję. Uwagi Jana Białostockiego są właściwie syntetycznym ujęciem cech języka malarskiego Rogiera van der Weydena. Moje liczne wątpliwości co do autorstwa Memlinga wyłożone w pracy z 1960 roku nie spotkały się ze zrozumieniem. Memling pozostał, nawet usunięto ostrożne, a także uzasadnione wobec braku dowodów pisanych określenie „przypisywany Memlingowi”.

Gdy pod koniec lat pięćdziesiątych prowadziłem swoje dochodzenie, nie wiedziałem, że równoległe podobne wątpliwości formułuje w Oksfordzie brytyjski historyk sztuki K.B.McFarlane. Dowiedziałem się o tym dopiero z książki wydanej w 1971 roku, w której zebrano dorobek zmarłego w 1962 roku badacza. Jego wątpliwości co do autorstwa Memlinga są zbieżne z moimi. Jakimś cudem dowiedział się o mojej pracy i odnotował ją w przypisie. McFarlane również wiąże obraz z Rogierem jako twórcą koncepcji całości. Tu warto zaznaczyć, że obaj nie jesteśmy w tym oryginalni.

W 1864 roku Ernst Födrster, który uważnie przestudiował zarówno obraz gdański, jak i *Sąd* Rogiera w Beaune uważa, że w Gdańsku wisi dzieło Rogiera ukończone po śmierci mistrza przez Memlinga. Również później, szczególnie angielscy historycy sztuki (Weale, Brockwell) wątpliwość w autorstwo Memlinga.

Wystarczy zestawić obok siebie wczesne prace Memlinga, aby zrozumieć jak wyjątkowe miejsce zajmuje wśród nich gdański *Sąd*. Wszystkie samodzielne dzieła Memlinga przy porównaniu z *Sądem* zdecydowanie tracą, nie mają z nim nic wspólnego, ani w rozmachu kompozycji, ani w stylu postaci, ani w szczegółach. To są różne jakości artystyczne.

Podobnie widzi to Jan Białostocki w katalogu wystawy *Malarstwo niderlandzkie w zbiorach polskich 1450-1550* w 1960 roku, na której *Sąd* przyćmił swym blaskiem wszystkie inne obrazy: „Jest to chyba najdoskonalsze i najbardziej monumentalne i bogate dzieło, jakie Memling wykonał, choć może nie najbardziej typowe dla jego słodkiego, lirycznego stylu, jaki stał się charakterystyczny dla niego w okresie dojrzałej i późnej twórczości”.

Wszyscy więc widzieli, że coś tu nie pasuje, ale nie zrobiono następnego kroku, zatrzymując się przed murem tradycji i przyzwyczajęń. Mój głos był wówczas za słaby. Skorzystano z moich rozkodowań ikonografii, ale Memling pozostał bez znaku zapytania.

Hans Memling nie należy do pierwszej ligi malarstwa niderlandzkiego (Jan van Eyck, Rogier van der Weyden, Hugo van der Goes), nie był odkrywcą, wynalazcą, nie przecierał nowych szlaków. Był świetnym portrecistą, zdolnym miniaturzystą (*Pasja turyńska*, *Siedem radości Marii*, relikwiarz św. Urszuli), ale w wielofigurowych kompozycjach powtarza zdobycze innych, przede wszystkim Rogiera.

Dziś jeszcze silniej niż w 1960 roku jestem przekonany, że wizytówka obrazu powinna brzmieć: *Prawdopodobnie dzieło Rogiera van der Weydena, dokończony przez Hansa Memlinga, ok. 1460-1470*.

W ostatnich miesiącach nastąpiło ożywienie zainteresowania gdańskim zabytkiem. Media prześcigają się w poszukiwaniu sensacji. Nie wiem, czy mój tekst dostarczy im strawy, ale posiadanie przez Polskę dzieła wielkiego Rogiera van der Weydena, można by do nich zaliczyć.

PRZEMYSŁAW TRZECIAK

PS.: W następnym numerze „Zdania” dalszy ciąg rozważań autora pt. *Kod Hansa Memlinga*.

ADAM ZIEMIANIN

WIERSZE

Do ślubu się sposobili

Judyta już przed wojną
Miała pozłacany zegarek
Szymon jej go kupił
Bo czasy były łaskawe

Młodość ma swoje prawa
Więc do ślubu się sposobili
Ale zegarek choć pozłacany
Wskazywać zaczął czarne godziny

Na motorach do miasteczka
Czarne anioły wpadły jak sępy
Zamiast skrzydeł miały
Agresją opancerzone gęby

I zagrali marsz weselny
Na dwa albo trzy cekaemy
Strzałami w tył głowy
Kładli wszystkich do ziemi

A oni trzymali się za ręce
Do ostatniej chwili
Ale ślubnych obrączek
Kupić już nie zdążyli

Kirkut na Malniku

Furka na dwa konie
Do nieba się wspina
Wiozą w ostatnią drogę
Starego Beniamina

Tego który w Rynku
Skromnie sobie mieszkał

A synagogę odwiedzał
Raczej tylko od święta

I to on od mądrej rady
Każdy dzień zaczynał
Nie ma co się martwić
Wystarczy dobra nowina

Gdy pokrzywa cię sparzy
Bo po to jest pokrzywa
A gdy nie masz głowy
Do geszeftu czyli do interesu

Uciekaj gdzie
Pieprz rośnie
Gdzie indziej
Szukaj sukcesu

Furmanka na dwa konie
Do nieba się wspina
Wiozą w ostatnią drogę
Starego Beniamina

Muszyna ma swój kirkut
Na zboczu Malnika
Choć tamten świat odpłynął
To gra jeszcze tamta muzyka

List z poddasza

Przyszły i na mnie dojrzałe lata
Dziś patrzę na siebie z lotu ptaka
Myślałem że nigdy nie spowaźnieję
Nawet me wiersze traciły nadzieję

Śmiechu były warte bo podszyte wiatrem
Dziś wiem że ze śmiechem trzeba być bratem
Ale siostrę mieć w powadze mądrej
Bo przyjaciółką jest na złe i dobre

Teraz gdy bliżej mi jak dalej
W te gęste od domysłów gaje
Wiem że nawet przy kawie z rumem
Jestem tu tylko chwilowym pielgrzymem

Wiem też gdzie rośnie zakazany las
I jak czytać pismo obrazkowe gwiazd
Wiem jak smakuje sól z niejednej beczki
I dlaczego taki smutny jest jesienny błękit

Ale łapię się często na tym
Iż wiem że nic nie wiem
Lecz na własnej skórze
Warto to przeżyć

Na wylot

Kiedy ci się uda
Zaskoczyć lustro
Na tyle
Że nie zdąży jeszcze
Odbić twej twarzy

Gdy zobaczysz stół
Jak odpoczywa
Z założonymi
Po turecku nogami

Albo miniesz się
W ulewie
Z wszystkimi kroplami
I jeszcze zdążysz
Pozdrowić każdą
Zanim dotknie ziemi

Dopiero wtedy
Możesz sobie
I innym powiedzieć:

Życie to ja znam
Całkiem na wylot

Oniryk w zakątku mizernej fontanny

Na plecach Uniwersytetu
Santiago de Compostella
Fontanna że pozał się boże
Ciurka niemrawo z kurka
Na tyle ile tylko może

Sam Jalu Kurek albo ktoś
Podobny na ławce siedzi
A wokół niego już i tak
Miejsca brakuje i gęsto
Od studenckiej młodzieży

Myślisz sobie że może
Krakowska Awangarda
Kurkowi dała się we znaki
Uwierzyła go jak zbyt ciasny
Kołnierzyk u koszuli
Więc aż tutaj się ukrył
Tu dyskretnie się wtulił

Człowiek obok Kurka
Też chyba z innej planety
Z drewnianą aparaturą
I zdjęciami na sznurkach
Żeby choć ktoś podszedł
I o coś go zapytał
Ale na to się nie zanosz

Film z nim trwa już chwilę
Że aż mi go trochę żal
Bo widać że gość tym żyje
Sam podszedłbym do niego
Ale nie znam hiszpańskiego

Nie ma co się dziwić że on
Ma piwo zapuszkowane
I spod ławki je popija
A na kolanach leży Biblia

To tylko drzazgi w oku
Jakimś dziwnym magnesem
Szuka u najbliższego sąsiada

Natomiast drewniana belka
Która tkwi w jego źrenicy
Nawet przepołowić się nie da
I wcale o tym nie myśli

ADAM KULAWIK

KRYTYCZNE UWAGI O KRYTYCZNEJ RECEPCJI KONSTANTEGO ILDEFONSA GAŁCZYŃSKIEGO

Motto:

Paganini zdanie drwiące
zanotował jadąc w łodzi:
że sztuka jest jak słońce,
recenzentom nic nie szkodzi.

W taki to sposób Gałczyński skwitował recepcję krytyczną swojej twórczości, recepcję pełną niezrozumienia, nieporozumienia, niedoczytania, nawet tendencyjnego przeinaczania i krytycznej niekompetencji. *Bajka o sześciu tłumaczkach* z roku 1951 jest inaczej wyrażoną kpina z krytyków:

Sześć tłumaczek w ramach nieuzgodnienia
tłumaczyło tę samą powieść w oparach natchnienia:
pierwszej wyszedł poemat oktawą,
drugiej coś ze sportu: „Kiszka, brawo!”,
trzecia przyniosła powieść historyczną pt. „Zamierz-
chle czasy”,

czwarta rewelację w trzech tomach (nieomal klasyk!),
piąta reportaż „Tam, gdzie był dół”,
szósta – „O hodowli pszczół”.

Pytanie:

Skąd ta historia dzika?

Odpowiedź:

Żadna nie znała języka.

Pamiętajmy, że każde tłumaczenie jest interpretacją, a każda interpretacja tłumaczeniem.

Źródła tych grzechów są rozmaite, a te najobfitsze to czytanie i interpretowanie tekstów pod założoną tezę, także polityczne przekonania krytyków. Byli i są krytycy rzetelni, ale i oni popełniali i popełniają interpretacyjne nieporozumienia, i dla których specyficzne poetyckie kodowanie treści utworów przez autora *Niobe* i *Balu u Salomona* jest za trudne. Twórczość ta w miarę upływu lat jest coraz mniej czytana, ale obrasta wciąż nowymi opracowaniami: Sześćdziesiątą rocznicę śmierci poety Anna Arno uczciła monografią *Konstanty Gałczyński. Niebezpieczny poeta* (Znak 2013), a niebawem ukaże się kolejna książka Jerzego S. Ossowskiego o Gałczyńskim.

Żeby nie traktowano tych krytycznych moich uwag jako gołostownych lub przesadzonych, spróbuję ich zasadności tutaj dowieść.

* * *

Bal u Salomona, poemat napisany w Berlinie w roku 1931, stanowi trudność nie do pokonania dla krytyków, a ponieważ nie sposób go w obszerniejszych opracowaniach pominąć, powtarza się opinię wcześniejszych bezradnych badaczy: że poemat nie został ukończony, że to brulion, że pisany w konwencji onirycznej, a nawet surrealistycznej. Ten niewątpliwie najwybitniejszy poemat liryczny Dwudziestolecia został zbyty okrągłymi zdaniem zarówno w dawniejszej monografii poematu międzywojennego Marii Tarnogórskiej, jak i – niestety – w monograficznym ujęciu twórczości Gałczyńskiego wspomnianej wyżej A. Arno, a wcześniej przez Martę Wykę i praktycznie przez wszystkich, którzy o nim pisali.

Trudności interpretacyjne poematów Gałczyńskiego wynikają stąd, że składają się na nie liczne fragmenty o różnej tematyce, tonacji, wersyfikacji, niekiedy pisane prozą, dla których trzeba znaleźć wspólną wykładnię. Nie da się tego osiągnąć i określić problematyki utworu bez wnikliwej, wielokrotnej lektury i badawczej pokory wobec tekstu.

Bal u Salomona jest utworem skończonym, a nie szkicem. Posądzanie Gałczyńskiego, że wdał się w nadrealizm jest nieodpowiedzialne i krzywdzące kogoś, kto do wszelkich awangard odnosił się lekceważąco, czemu dał wyraz na przykład w *Piekle polskim* z roku 1926:

Od wschodniej strony, na dachu tramwaju,
waty, androny, sternity, baliwerny,
hocki i klocki, gacki, baju-baju

padały w duszny Tartar niepomierny,
wrzeszcząc: – O mamo, serce me dynamo,
o Sternie, steruj, któryś jest bezsterny.

Poświęciłem *Balowi u Salomona* dużo czasu i cierpliwości, za co zostałem sownie wynagrodzony i usatysfakcjonowany, odkrywając, że poemat ten można uznać za rozbudowaną replikę młodopolskiego wiersza Kazimierza Przerwy Tetmajera *Człowiek z końca wieku XIX*. Ten sam problem – jak żyć, jaką wobec świata przyjąć postawę – został przez Gałczyńskiego wyartykułowany nie w precyzyjnej retoryce Tetmajera, lecz w ekspresywnych, symbolicznych obrazach. Tych

rozpatrywanych postaw jest u Gałczyńskiego dużo więcej niż wymienionych i odrzuconych przez Tetmajera, ale wszystkie są tak samo nieprzydatne i nieskuteczne w realiach świata „starego drania, któremu ufać nie można”. Nie ma „tarczy przeciw włócznie złęgo”. A Salomon, na którego zebrani na balu czekają, ten najmądrzejszy z mądrych nie przychodzi, nie przyszedł i nie podzielił się z nimi swoją mądrością. Wiara, „że człowiek / choć raz może zakręcić się jak niebo / i dłużej niż na sekundę”, „że świat jest pełen pięknej, ukrytej racji / nawet wtedy, gdy ma charme trupa”, nie ma żadnych podstaw. Ani miłość, ani pogarda, ani emigracja czy eskapizm, ani polityka, ani walka, nawet twórczość nie są bronią człowieka osaczonego przez świat i los. Twórczość to tylko sposób na wyartykułowanie egzystencjalnego dyskomfortu.

Tetmajer był dekadentem i w przywołanym wierszu wyraził „obowiązującą” dekadentów filozofię życiową, ale Gałczyński nie uległ jakiejś modnej filozofii: urodzony w roku burzliwych wydarzeń (1905) miał lat dziewięć, gdy wybuchła wojna światowa; dwanaście, gdy Rosją wstrząsnęła rewolucja, a tej doświadcza bezpośrednio jako mieszkaniec Moskwy; ledwie wrócił do Warszawy, wybuchła wojna z Sowietami, a kiedy wszedł w wiek męski, zaczął się światowy kryzys ekonomiczny. Jeśli badaczom twórczości Gałczyńskiego te fakty nic nie mówią i nie biorą ich pod uwagę jako czynników formujących jego poglądy i nastawienie do świata, to dziwi, ale dziwi jeszcze bardziej, że nie zauważyli przynależności Poety do pokolenia Baryki.

Niewiele z *Balu u Salomona* zrozumiał – „milcz, gębo nieposłuszna!” – Czesław Miłosz, który w *Zniewolonym umyśle* napisał: „Najbardziej niezwykłym poematem Dety był *Bal u Salomona*”, po czym następuje cały szereg pytań bez próby odpowiedzi na nie, a kończy tak: „U Dety rozmowy toczące się na balu u Salomona są (jeśli idzie o nonsens – A.K.) dźwignięte o stopień wyżej (niż u T.S. Eliota – A.K.) – w krainę majaczeń i wiekuiętego (zam. absolutnego – A.K.) zwątpienia”. No i powtarzało się tę opinię za Miłoszem w nieskończoność.

Jan Błoński pisał o Gałczyńskim jako o katastroficznie buffo, czego by pewnie nie był taki pewny, gdyby treść i problematykę *Balu...* zrozumiał. No i przez lata powtarzano za Błońskim tę opinię. Jest w twórczości Gałczyńskiego sporo groteski, ale nie służy ona bufonadzie, lecz tragizmowi zgodnie z jej dwudziestowiecznym przeznaczeniem i używaniem. Dokładnie tak, jak mówił Poeta w *Weselu*: „Śni mi się historia wesoła / a ogromnie przez to smutna”.

Nie miał Gałczyński złudzeń co do świata, w którym przyszło mu żyć, toteż i przyszłość widział katastroficznie:

Jeśli znów zaczerwieni się firmament
od tych kilku telefonów szach-mach,
znowu będą grać panowie w Amsterdamie
na Verdun, Tannerberg, Skagerrak (...)
Wojna to jest taki rodzaj organów.
Kto piszczałką jest, ten piszczy „Mamo”.

Jakże słodko być nawozem pod tulipany dla tych panów,

dla tych mądrych panów z Amsterdamu.

Bal u Salomona był nie tylko najwybitniejszym poematem Dwudziestolecia, ale również najważniejszym

utworem Gałczyńskiego, bez rozeznania którego nie jest możliwe formułowanie adekwatnych sądów i opinii o jego przedwojennej twórczości. Poemat czekał na druk sześć lat nie dlatego, że był nieukończony, ale dlatego, że liczy on 755 wersów i jako taki nie nadawał się do druku w prasie. Ukazał się więc w pierwszym tomie poezji, jaki za sprawą „Prosto z Mostu” udało się Gałczyńskiemu wydać w roku 1937.

* * *

Recepcja krytyczna *Skumbrii w tomacie*, utworu z roku 1936, motywowana była miejscem ich publikacji: „Prosto z Mostu” Stanisława Piaseckiego. Julian Tuwim zareagował na nie gwałtownie: „Masz pan scyzoryk, rznij pan, kolego, / hajże do czynu narodowego” (*Ozór na szaro*). Ale tekst, jak postaram się wykazać, nie dawał podstaw do takiej reakcji.

Wiersz składa się z dziesięciu zwrotek czterowersowych i liczy czterdzieści wersów, z których połowa to powtórzenia tytułu. Jego treść nie jest skomplikowana, to dopiero interpretacje ją komplikują. Do redakcji „Słowa Niebieskiego” przyszedł Władysław Łokietek, informując redaktora, że zamierza w Polsce „zrobić porządek”. Na co redaktor: „Był tu już taki dziesięć lat temu. Także szlachetny. Strzelał. Nie wyszło. Krew się poląła, a potem wyszło”. Na to Łokietek „łzami w redakcji zalał serwetę” i wrócił do swojej groty.

Taki jest plan wyrażania tego wiersza, natomiast w planie treści – przypomnę, że rozróżnienie między tymi dwoma planami jest warunkiem rozumienia tekstu literackiego – pojawia się znaczenie, jeśli się je wydobędzie zabiegami interpretacyjnymi. Trzeba nam więc odpowiedzieć na pytanie: co to za skumbrie?, a następnie: dlaczego Łokietek, a nie na przykład Jagiełło czy Korybut Wiśniowiecki?

Oczywiście, były takie próby. Można wybaczyć Romanowi Jakobsonowi, który napisał, że skumbrie z tego wiersza są obrazem społeczeństwa polskiego żyjącego w ciasnych ustrojowych ramach, bo ten papież strukturalistów język polski znał słabo, a polskie realia przedwojenne jeszcze słabiej. Trudniej wybaczyć Andrzejowi Stawarowi, który stwierdził, że oenowcy na partyjnych spotkaniach krzepili się skumbriami, czyli makrelą w pomidorach, natomiast Łokietek to ikona starej endecji.

Dopiero niejaki Adam Kulawik ujawnił, że te skumbrie to substytut ordynarnego przekleństwa, ekspresją językowa w stylu „z kuriera wycięty”, „kurka wodna”, „skubany”, ekspresją współcześnie zanikająca, jako że rugują ją ordynarne wulgaryzmy, użyciem których nikt się już dzisiaj nie krępuje i nie gorszy, i które wkroczyły nawet do tak zwanej poezji.

Znamienne, że tego ekspresywnego wyrażenia nadużywa wyłącznie podmiot liryczny wiersza, a nie postacie – Łokietek i redaktor, jemu więc należy przypisać irytację wyrażaną owym substytutem przekleństwa. A jaki jest powód tej irytacji? – „Błędy systemu”. A jakie to błędy i skąd się biorą?

Na te pytania, jak sądzę, odpowiada postać Łokietka, króla, który jednocząc ziemie polskie stworzył państwo, co sto lat później było już potęgą, a ludność tych zjednoczonych ziem ukształtowała się w naród. Łokietek pojawia się więc w *Skumbriach...* jako specjalista od jednoczenia tego, co się zdeintegrowało, skłóciło,

zatraciło instynkt państwowy. A ów „szlachetny”, który dziesięć lat temu (1926) strzelał – Piłsudski – też mógł być uważany za twórcę państwa polskiego, a że w tym państwie uformował się ustrój (system), który on nazywał sejmokracją, postanowił go obalić. Zamach się udał, naprawa państwa nie – „nie wyszło”.

Wymowa *Skumbrii...* jest ironiczna: skoro nie powiodło się Piłsudskiemu, to i Łokietek jest bez szans. Albo i taka: dezintegracja społeczeństwa polskiego zaszła tak daleko, że nie podola jej nawet specjalista od jednoczenia – Łokietek. Więc podmiot liryczny krańcowo poirytowany charakterem Polaków – klnie.

Myślę, że przedstawiona tu pobieżna interpretacja *Skumbrii...* spełnia wymogi poprawności, bo starałem się trzymać litery tekstu. Ale jeśli założy się do czytania polityczno-ideowe okulary, wynik interpretacji tego prostego tekstu może być inny – taki, do jakiego prowadzi z góry założona teza wyprowadzona z arbitralnie dobranych faktów biograficznych poety (współpraca z Piaseckim) i tak samo dobieranych kontekstów politycznych. Taką właśnie interpretację zaproponował na dziesiątą rocznicę śmierci Poety wybitny skądinąd krytyk Artur Sandauer.

Sandauera nie obchodzą ani skumbrie, ani Łokietek, lecz wyłącznie to, że „Prosto z Mostu” Piaseckiego było tygodnikiem faszystującym, a skoro tak, to drukujący w nim Gałczyński musiał mieć równie niegodziwe poglądy jak Piasecki. Otóż wyjaśniam: w roku 1936, kiedy ukazały się *Skumbrie...* tygodnik nie miał jeszcze tak radykalnego charakteru. Do roku 1938 piszą w nim J. Andrzejewski, K. Iłakowiczówna, K. Irzykowski, T. Parnicki, J. Wiktor, a nawet stary pozytywista Aleksander Świętochowski, przeto taka generalna opinia o tym tygodniku nie jest prawdziwa. W roku 1938 kilku pisarzy Piaseckiego opuściło, nie zgadzając się na ukształtowaną linię pisma, a to, że Gałczyński dalej do tygodnika pisał, nie powinno rzutować na interpretację wcześniej napisanych *Skumbrii...*

W tym miejscu muszę wyjaśnić moje stanowisko: Nie jest moim zamierzeniem bronić ani atakować Gałczyńskiego za jego poglądy, bo ich ustalenie przekracza nasze – Sandauera i moje – możliwości. Były one zmienne, podobnie jak nasze – wszak żyjemy w dynamicznie zmieniającym się świecie. Chodzi mi o zachowanie elementarnej higieny i uczciwości w postępowaniu z interpretowanym tekstem, a właśnie tego Sandauerowi zabrakło.

Sandauer imputuje Gałczyńskiemu, że jakkolwiek napisał on „dziesięć lat temu”, to tak naprawdę miał na myśli nie dziesięć, a czternaście lat i ten, który strzelał to nie Piłsudski, lecz Eligiusz Niewiadomski, zabójca prezydenta Gabriela Narutowicza w roku 1922 i do niego ma się odnosić przymiotnik „szlachetny”. Sandauer napisał: „Nie do pomyślenia jest, aby w tym gwałtownie antysanacyjnym tygodniku gloryfikowano Piłsudskiego, nazywając go »szlachetnym«”. I tak w jednym zdaniu jego autor popełnił dwa błędy. Pierwszy – w roku 1936 tygodnik nie był „gwałtownie antysanacyjny”; drugi – nie ma w tekście gloryfikacji Piłsudskiego, lecz ironia, a poza tym owo rzekome gloryfikowanie to sprawa redaktora, a nie podmiotu lirycznego, który wobec wypowiedzi Łokietka i redaktora zachowuje pozycję

nadrzędną. Podmiot ten, nawet jeśli utożsamiać go z Gałczyńskim, ogranicza się do referowania przebiegu wizyty króla u redaktora „Słowa Niebieskiego” i ogranicza się do natrętnego, bardzo ekspresywnego przekleństwa. Przeklina sytuację w kraju widzianą i ocenianą przez rozmówców. Ze sposobu, w jaki Sandauer czytał i wykladał sens *Skumbrii...* odnosi się wrażenie, że po to zniekształcał tekst utworu, żeby za wszelką cenę zrobić z Gałczyńskiego oenerowca.

Zamiast odnosić tekst, o którym mowa, do kontekstu politycznego, wolę poszukać dla niego kontekstu literackiego. Jeśli przyjąć tezę, że chaos panujący w państwie, owa sejmokracja, jest bezpośrednią pochodną dezintegracji społecznej obywateli lub pochodną ich niezdolności do tworzenia społeczeństwa, to *Skumbrie...* wpisują się ten nurt naszej literatury, który rozprawiał się z narodowym charakterem Polaków, a utwory do tego nurtu należące to najwybitniejsze dzieła. Śmiem twierdzić, że nie ma racji Miłosz, kiedy twierdzi, że *Pan Tadeusz* to utwór o metafizycznej problematyce (*Traktat teologiczny*). Narodowa epopeja zaczyna się od klótni o psi ogon, w środku mamy szlachecką burdę, a pod koniec bandycki najazd na sąsiada. I niech nikogo nie zwodzi zgodnie przez wszystkich tańczony polonez w księdze dwunastej. *Lalka* B. Prusa jest obrazem Polaków, którzy mówiąc tym samym językiem nie potrafią w żaden sposób się porozumieć i nie są społeczeństwem. *Wesele* – „wyście sobie, a my sobie” powiada Radczyni do Kliminy. Taki jest mój literacki kontekst czytania *Skumbrii...*

Trudno wyobrazić sobie Gałczyńskiego obojętnego na tę narodową przywarę. W roku 1930 zamieścił on w „Cyruliku Warszawskim” wiersz zatytułowany *La danse des Polonais*. Cytuję centralne fragmenty utworu:

Ach, to jest taniec wszak prapolski,
tak stary jak Skład Apostolski,
starszy niż T o t e n t a n z,

bowiem od lat Pierwszego Mieszka
po Serafinowicza Leszka
powtarza się ja trans

magicznie usypianych figur (...)

Więc najprzód dzielą się na grupki:
tutaj tuwimy, tam kadłubki,
tu nacje te, tu te (...)

i każdy „swoje” chce do tańca;
tamci Rodału, ci Różańca,
inni śmiertelnych nosz.

Bo Szopenowe śniąc akordy,
najchętniej biorą się za mordy (...)

Zwracam uwagę, że „trans magicznie usypianych figur” to aluzja do *Wesela* i chocholego tańca. W kontekście tego i wcześniej przywołanych utworów czytam *Skumbrie...*

* * *

Jeszcze – jak to się mówi – za głębokiego PRL-u Zbigniew Herbert umieścił w tomiku poetyckim *Hermes, pies i gwiazda* wiersz zatytułowany *Ornamentatorzy* we właściwej temu poecie kategorii ironii. Krytyka literacka

z niemałą satysfakcją wskazywała na Gałczyńskiego jako domyślnego ornamentatora totalitarnej rzeczywistości. Wiersz kończy się tak:

na ulicy radosnych pochodów
szary mur więzienny w oczy kłuje
brzydka plama w krajobrazie idealnym

sztukatorów co najlepszych wezwali
całą noc sztukatorzy malowali
nawet tych co siedzą z tamtej strony na różowo

Tak, w socrealistycznej poetyce obowiązywała reguła: świata nie przedstawia się takim, jaki jest, lecz jaki powinien być, i Gałczyński w takiej poetyce wiersze pisywał, ale wcale nierzadko dla tych pochwał świata realnego socjalizmu używał tej samej kategorii estetycznej co Herbert – ironii. W końcowym fragmencie *Śmierci Andersena* (1949; Andersen jest w tym poemacie ikoną sztuki w socjalizmie odrzuconej) dziewczynka ze Szczecina na wycieczce w Warszawie szepce: „Ach, cudowna Warszawa! Ach winogrona w torebce”. Moje pokolenie – w 1949 roku byłem rówieśnikiem tej szcecinianki – pamięta, że nawet nie marzyło o wycieczce do Warszawy, która wtedy była jeszcze w gruzach, a winogron nie widziało na oczy. Czy to pisze socjalistyczny sztukator?

W tym samym 1949 roku w „Przekroju” Gałczyński umieszcza wiersz *Rozmowa z przechodniem*, który tu trzeba przywołać w całości:

Przepraszam, czyje to mieszkanie?
Z tym kandelabrem?
Tak.
Moje.
Śliczne mieszkanie. Chyba ze trzy pokoje.
A ten walc?
To córeczka przy fortepianie.
A ten fotel?
To babcia w nim czyta gazety.
A ten kotek?
Wie pan, tak miło z kotkiem w domu.
Kot mruczy. A ja czytam wiersze poety.
Kochanowski. Zaznaczam, że nie pożyczam nikomu.
Bo bardzo lubię, proszę pana, w komplecie:
rodzinę, książki, codzienny trud –
i na wczasy wyjechać w lecie,
a w domu trochę jabłek, trochę nut.
I w ogóle lubię patrzeć, gdy na wiosnę w kwiatach
ziemia,
a jesienią słońce na klonach.

A tego wszystkiego byś nie miał,
gdyby nie Armia Czerwona.

Jeśli komuś jakimś cudem udało się wyjść z wojny z trzypokojowym mieszkaniem, to urząd kwaterunkowy domeldowywał mu natychmiast dwie rodziny i w tym „jego” mieszkaniu nie było już miejsca nie tylko na fortepian, ale i dla kotka. „Moje” w tamtych czasach można było mówić tylko o rzeczach osobistych, jak spodnie czy buty. Kandelabr i fortepian to przedmioty nie z tamtego powojennego świata. Może młodsze pokolenie krytyków literackich o tym nie wiedzieć i traktować ten tekst jako ornamentowanie rzeczywistości, ale przechodzić do porządku nad stwierdzeniem, że Armia Czerwona Polakowi „wiosnę w kwiatach”, a „jesienią słońce na klonach” zafundowała i gwarantuje – nie można.

Trzeba być naprawdę naiwnym, żeby powtarzać w nieskończoność i w dobrej wierze powody, dla których Adam Ważyk napadł na Gałczyńskiego, mianowicie za rozkładanie przed oczyma czytelnika „zdemolowanego kramiku mieszczańskiego inteligenta”, za to, że nie ukłęcił on łba kanarkowi w swoich wierszach. Ważyk nie był głupcem i potrafił wyczytać u Gałczyńskiego ironię, kpinę i drwinę z socjalistycznych porządków i propagandy, i nie na tyle głupi, żeby publicznie karcić go za krytyczny stosunek do władzy ludowej z poręki Czerwonej Armii i towarzyszy radzieckich. Oznaczałoby to przyznanie, że taka krytyka istnieje! Wybrał więc Ważyk powód literacko-ideologiczny, tyle że gwałtowność tej napaści właściwa byłaby dla powodów politycznych, nie literackich.

Gałczyński mimo to z surowej oceny socjalistycznej rzeczywistości nie zrezygnował, ale musiał być w tej krytyce bardziej ostrożny. Cytuję z pamięci:

A miało być słońce w dzień
i lekkie chmurki z rana.
Oto są przepowiednie
świętego Korbiniana.

Jeśli ktoś chce, niech sobie myśli, że Gałczyński mówi tu o chybionej prognozie pogody – reguła poprawnego czytania nie ma, wszelako nie każde odczytanie utworu literackiego jest dobre.

* * *

W roku 1951 napisał Poeta poemat *Wit Stwosz*, który ówczesna krytyka przyjęła dobrze, usatysfakcjonowana haraczem, jaki poeta złożył, żeby utwór mógł być opublikowany. Ten haracz to część IX Finał, w którym czytamy o trudzie, Manifeście Komunistycznym, Marksie, miłości w miastach socjalistycznych, samolotach latających między stolicami demoludów (choć nie istniała turystyka zagraniczna!) – a wszystko w rytmie heksametru w służbie patosu. Nastąpiła era stalinizmu i deklaracja ideowa musiała ten piękny poemat trochę spaskudzić. Ironię i drwinę obecne we wcześniejszych wierszach zastępuje w *Wicie Stwoszu* tragizm i strach, przypisane formalnie Stwoszowi, ale przeżywane przez Gałczyńskiego. Poemat okazał się za trudny dla tamtoczesnej i późniejszej krytyki, a także dla współczesnych historyków literatury.

Oto dwa fragmenty *Nocnej pory*, pierwszej części poematu:

Po ulicy wiatr szybuje,
ledwo wykusza nie urwie.

Od Wawelu wieje śniegiem.
Trwoga potrząsa człowiekiem.

Księżyc jak wisielec wisi.
Wnet w dzwony uderzą mnisi,

sznur utapiają paluszyska:
chwalże Pana ziemia wszystka,

dzwonem, wszelkim instrumentem
Deum Omnipotentem (...)

Śnieg po Krakowie hula,
leci, leci a leci.
Ciemno u biskupa i króla.
Ciemno na całym świecie.

Śnieżycą jest tutaj częstym u Gałczyńskiego symbolicznym obrazem zagrożenia; Wawel to metonimia władzy państwowej, chodzi więc o zagrożenie natury policyjnej. Bo dlaczego człowieka siedzącego w ciepłej izbie ma ogarniać trwoga z powodu śnieżycy za oknem, więcej od Wawelu właśnie? Dekodując ten ezopowy plan wyrażania fragmentu, mamy prawo stwierdzić, że owi mnisi wymuszają pochwałę kogoś wszechmocnego, ale nie Deum.

Ciemność w pałacu biskupim i królewskim, kiedy uznamy ją za metonimię, oznacza tyle, że te dwie instancje – pierwsza od prawa moralnego, druga od prawa stanowionego – przestały organizować życie ludziom zarówno w aspekcie moralnym, jak i prawnym. – „Ciemności kryją ziemię”.

Nie sądzę, abym formułując taką wykładnię cytowanego fragmentu popełnił grzech nadinterpretacji, twierdząc natomiast, że wiele wierszy i wszystkie poematy Gałczyńskiego upokarzają krytykę. Nie szkodzą recenzentom.

Jeśli przyjąć, tak jak to w głębokim przekonaniu zrobiłem, że Gałczyński mówi tu o politycznym koszmarze, jakiego doświadcza, to nazywanie go zaprzędanym mecenasowi-państwu trubadurem o zniewolonym umyśle muszą uznać za bezzasadne i stwierdzić, że Miłosz o Delcie-Gałczyńskim pisał pod założoną tezę.

* * *

Szedł Gałczyński na kompromisy z władzą ludową i z władcami rozmaitych redakcji. Zamawiali propagandowe i programowe wierszydła, to je pisał, ale nie za darmo, bo dzięki temu mógł drukować lirykę osobistą, utwory o sztuce i poezji.

O poemacie *Niobe* napisano dużo, najczęściej ślizgając się po jego problematyce. Gdy poemat ukazał się drukiem, krytyka pytała: Dlaczego ten poemat jest taki trudny? Niby chwaliła, niby kręciła nosem, ale skoro krytycy go nie zrozumieli, trudno im było formułować zarzuty. Śmiem twierdzić, że o ile *Bal u Salomona* był najwybitniejszym poematem lirycznym Dwudziestolecia, to *Niobe* jest najwybitniejszym poematem XX wieku.

Gałczyński stworzył to arcydzieło niespełna rok po wprowadzeniu i zadekretowaniu w Polsce realizmu socjalistycznego i należy uznać poemat za reakcję na tę zaprogramowaną zapaść sztuki, odpowiedzią nie tylko artystycznie wyrafinowaną, ale politycznie celną.

Mówiąc wprost: Gałczyński wypowiedział w poemacie swój protest, swoje NIE dla socrealizmu, czego dotąd nasza krytyka nie pojęła. A tyle już o *Niobe* napisano!

Cz. Miłosz o socrealistycznym rozumieniu poezji pisał w *Zniewolonym umyśle* tak: „Oprócz poezji o znaczeniu politycznym dozwolona jest poezja liryczna, pod warunkiem, że jest ona 1) pogodna, 2) nie zawierająca żadnych elementów myślowych, które by wykraczały poza zasady powszechnie przyjęte (w praktyce oznacza to opisy przyrody i uczuć do osób najbliższych, 3) zrozumiała. Ponieważ poeta, któremu nie wolno m y ś l e ć w wierszu, ma automatyczną skłonność do cyzelowania formy, oskarża się go o formalizm”.

Nie umiem powiedzieć, kto jest autorem utworu, którego fragment moja pamięć zachowała, więc cytuję go z pamięci:

Jadą ze wsi do miasta wozy aprowizacyjne.

Jadą z miasta na wieś wozy asenizacyjne.

Takiej twórczości przez duże TFU Wazyk nie mógł krytykować, ale – pytam – co oznacza w kontekście takiej aktualizacji programu poezji socrealistycznej oświadczenie Gałczyńskiego w *Dedykacji* otwierającej poemat *Niobe*, że jest „czeladnikiem u Kochanowskiego”, kiedy oczekuje się od niego, żeby powiedział: czeladnik Maksyma Gorkiego lub Włodzimierza Majakowskiego, albo że jest uczniem Andrieja Żdanowa?

Co oznacza ów fragment *Bizancjum*: „A kiedy wypełniły się dni i Mahomet II wkroczył ze swoim wojskiem do miasta, figura Niobe obaliła się i głowa odłupała się. Wtedy poeta Taliarch, syn bednarza, wyskoczył z lochu, porwał głowę i uciekł z nią do Florencji”. Czy popełniam błąd twierdząc, że wojska Mahometa II i on sam to prefiguracja wkroczenia do Polski niepodległej Krasnej Armiji? Gałczyński postuguje się znakami kultury pisząc poemat, więc zachowanie się poety Taliarcha (znamy tę postać z Horacego) jest wskazówką-wzorem-dyrektywą postępowania, kiedy kulturę niszczy tak zwane prawa historii.

Albo co oznacza owa łacińska antyfony

ALME

CAESAR

VATIS

TUI

MISERERE

DOMINE

rozpisana na dzwony Bizancjum: Eutyfrona, Archangelusa, Mikołaja, Geriona i Acroceraunię?

Eutyfron to jeden z dialogów Platona, w którym rozważany jest problem pobożności. Nie dość, że idealista Platon, to jeszcze pobożność! Archangelus to był chrześcijańsko-niebiański. Mikołaj – patron Kościoła wschodniego. Gerion – potwór zabity przez Heraklesa, a Acroceraunia to półwysep w greckim Epirze, co dosłownie w marnym tłumaczeniu znaczy „ostrogrzmiący”. Czy nie chodzi tu o wielogłosowość kultury śródziemnomorskiej, o jej różne nurty?

A jakby tego było mało, dystychy ostatniej części poematu *O, radości, iskro bogów*, porozdzielał ten zniewolony umysł refrenem „Niobe, córo Tantalusa, / Niobe, żono Amfiona” – co nadaje tej części charakter dziwnie litaniijny.

Czy ci bogowie i litania mają coś wspólnego z socrealizmem – pytam. Czyż nie jest prowokacją wobec nakazu wyrzeczenia się formalizmu ten fragment z *Ostinato*:

Tańczący wierszy

czy tren

dla chwały twojej,

trochej czy jamb –

powiedz, Niobe, co ci przystoi?

Jak nad kartą pióro pochylę?

W strofie safickiej? Alcejskiej?

Niobe,

rodzajów pieśniarskich tyle,

co wysp na Morzu Egejskim.

Nie mam i nie będę miał na to żadnych dowodów, ale twierdzę, że po francusku napisany dystych:

L'art, l'art tu est Niobé, l'art qui rit et pleure,

plus vaste que vos canons, plus doux que le bon-

heur

(sztuką, sztuką jesteś Niobe, sztuką, która śmieje się i płacze, pojemniejszą od waszych reguł, słodsza niż szczęście)

skierował Poeta bezpośrednio do krytykującego go Ważyka, tłumacza poetów francuskich: A. Rimbauda, G. Apollinaire'a, P. Eluarda i prozaika A. Malraux.

I kiedy czytam:

Śpiewaj, Niobe, struny swymi,
mą piszczałkę także weź ją.
Kto ci może co uczynić,
kiedy jesteś wieku pieśnią!
(...)
pieśń się śmieje z bomb i kul.

To słyszę: Pieśń ujdzie cało, towarzyszu Ważyk!
Gałczyński kończy swój arcy poemat tak:
Tyś jest wiatr i symetria, złoty deszcz i harmonia.
Europę jak skrzypce trzymasz w swych niezmordowanych dłoniach.

Niobe, córo Tantalą,
Niobe, żono Amfiona.

Główna teza poematu Gałczyńskiego jest taka: sztuka rodzi się z ludzkiego cierpienia, a przecież miała być przekładem też uchwalanych na posiedzeniach Komitetu Centralnego partii na literaturę.

Adam Ważyk, przeczytawszy *Niobe*, miał do wyboru: albo oświadczyć, że w imię socrealizmu odrzuca

całą kulturę śródziemnomorską, albo milczeć. Dla mistrzostwa, z jakim Gałczyński rozegrał tę batalię przeciwko administratorom i policjantom socrealizmu, mam tylko podziw, a że krytyka dotąd nic z tego nie zrozumiała? Cóż! *Habent sua fata libelli pro captu lectoris.*

* * *

Wygrawszy swoją batalię Gałczyński mógł powiedzieć:

Przyzywam ciebie, Euterpe!
Przyzywam ciebie, muzo miła,
ciebie, coś w gąszczu moich cierpień
do wiatru mnie nie wystawiła.

No tak! Muza nie, ale krytyka literacka i historycy literatury tak. Gałczyński opublikowaniem *Niobe* nie sprawił, że dekretem unieważniono socrealizm, tak jak dekretem go wprowadzono, ale w jakiś sposób poszerzył przestrzeń poetyckiej swobody, a wschodzące nowe pokolenie poetów musiało się do jego twórczości odnieść, przymierzyć, szukając własnych form ekspresji.

* * *

Nie chcę być i nie jestem adwokatem Gałczyńskiego, owszem – jestem adwokatem jego twórczości, na której uczyłem się wrażliwości na język, języka poetyckiego i na tyle, na ile mnie stać, bronić kultury.

ADAM KULAWIK



MARCIN KULA

SKARBONKA PAMIĘCI?¹

Modna jest obecnie problematyka pamięci historycznej i modna jest tematyka rodziny. Spróbujmy zatem je połączyć. Nieraz sądzi się, że rodzina jest nośnikiem pamięci – zwłaszcza w trudnych czasach, kiedy o różnych sprawach nie można mówić głośno. Jako przykład podnosi się w tym kontekście okres PRL, z latami stalinowskimi na pierwszym miejscu.

Nie wątpię, że choćby w PRL niejedna rodzina na swój sposób kultywowała pamięć o historii, a przynajmniej zaszczebiała w dzieciach nieufność do jej wersji oficjalnie głoszonej. Domniemanie, że ta oficjalna jest kłamliwa, było szeroko rozpowszechnione, w wielu sprawach zresztą zasadnie. Jako historyk nieraz spotykałem się z cichym pytaniem znajomych czy taka lub inna z ukazujących się książek jest prawdziwa. Nieufność wielu ludzi do oficjalnej historii współgrała z postawą Kościoła. Tablice pamiątkowe wmurowywane w świątyniach najczęściej zaświadczały pamięć innych ludzi i wydarzeń niż kultywowana oficjalnie. Biskupi polscy wraz z listem postali biskupom niemieckim podręcznik historii Polski pióra prof. Oskara Haleckiego, a nie krajowych historyków (1965).

Jednocześnie rola rodziny w kultywowaniu pamięci historycznej nie jest tak oczywista i zasługuje na szerszą analizę, która – o ile mi wiadomo – do tychczas nie została podjęta. Można, po pierwsze, zastanawiać się jaki zestaw treści historycznych przekazuje rodzina. Najpewniej różne rodziny przekazują różny – co nie jest zresztą ewenementem,

gdyż każda pamięć historyczna, także pamięć szerszych grup społecznych jest wybiórcza i selektywna. Inaczej być nie może, gdyż nie ma silnych, ażeby pamiętać wszystko. Okoliczność, że komputery pamiętają „wszystko” jest złudzeniem, a nadto człowiek jeszcze musi ogarnąć to, co technicznie da się zgromadzić w pamięci komputera.

Dalsze pytania dotyczą mechanizmów pamięci funkcjonujących specyficznie w rodzinie. Zróżnicowana kulturowo jest rodzinna pamięć o minionych pokoleniach, a więc i sprawach, w których uczestniczyli ludzie zaliczający się do nich. Są kraje i grupy społeczne, w których pamięć sięga dalej i takie, gdzie jest krótsza. Również specyficzne okoliczności mają wpływ na chronologiczną głębię pamięci. W Polsce zanik grup społecznych, które na ogół kultywowały wspomnienia (ziemiaństwo i dwory, także znane rody i ustabilizowane rodziny mieszczańskie) spowodował skrócenie pamięci bardzo wielu rodzin. Głęboka przerwa w ciągłości różnych elementów funkcjonowania wielu instytucji, takich jak wojsko czy uczelnie, zadziałała podobnie. Również migracje, świeża urbanizacja itd., miały identyczny skutek. Nasza pamięć rodzinna rzadko sięga dalej niż do pokolenia dziadków, czasem pradziadków... a potem w dobrym wypadku pozostaje cień pamięci, skąd się rodzina wywodzi.

Nie jest też prawdą, że rodzina zawsze kultywuje pamięć i w rozmowach oraz w pamiątkach rodzinnych przekazuje ją następnym pokoleniom. Czasem lepiej pamiątki zniszczyć, a o różnych rzeczach właśnie nie mówić. Ryszard Kapuściński błyskotliwie zaobserwował, że w ogóle w krajach terrorystycznych znaczna część komunikacji zanika nawet na poziomie

¹ Rozszerzona wersja wystąpienia podczas IV Konferencji „Historia rodziny – historia w rodzinie” (Collegium Artes Liberales, Uniwersytet Warszawski, luty 2013 r.).

rodziny. W *Szachinszachu* pomieścił scenę rozmowy z pewnymi Irańczykami wkrótce po rewolucji islamskiej. Zanotował ją w czasie teraźniejszym, oddając moment spotkania: „Od kilkunastu lat jesteśmy małżeństwem – mówi gospodarz, którego włosy zaczyna już bielić siwizna – ale dopiero teraz po raz pierwszy rozmawiamy z żoną o polityce. Nigdy nie mówiliśmy z sobą na te tematy. Podobnie było we wszystkich znanych mi domach”². Z kolei sam, gdy parę lat temu byłem na Węgrzech, zapytałem tamtejszego kolegę, czy w jego młodości rodzice mówili mu coś o powstaniu w Budapeszcie w 1956 r. Mój rozmówca zanegował bez chwili wahania. Lepiej było nie mówić o tym przy stole – jeszcze dziecko coś opowie w szkole... a w ogóle trudniej będzie mu z tym żyć...

Ta ostatnia sprawa była nie najmniej ważnym aspektem całego problemu. Dobrze ją było widać na przykładzie wielu rodzin żydowskich, które przeżyły Holokaust. Przez całe z grubsza biorąc pokolenie nie mówiono o tym dzieciom. Nie jest łatwo opowiadać o takich przeżyciach – i obciążać tym wspomnieniem dziecko. Poza tym u choć trochę myślącego dziecka musiałyby się pojawić domniemanie, że samo jest Żydem – a tego właśnie tacy rodzice na ogół chcieli mu oszczędzić. Z odmiennego kręgu rzeczywistości można z kolei też powątpiewać, czy aktywni uczestnicy reżimów powszechnie *ex post* negatywnie ocenianych opowiadali dzieciom o swych działaniach. Jeśli, to pewno dobrze łagodząc kanty i tłumacząc swój udział na różne sposoby.

Mechanizmy kultywowania pamięci historycznej w rodzinie uwikłane są w całokształt stosunków pomiędzy rodzicami a dziećmi i odwrotnie. Podtrzymanie pamięci może być ucieczką w swój świat przez rodziców, zwłaszcza gdy kontakt z dziećmi ewentualnie słabnie. Opowiadania kombatantów o 5 minutach, jakie mieli w historii, o losach ojczyzny jako tłumaczących trudne losy rodziców może jednak stawać się też swoistym zwieraczem rodzinnym. Taką, różnorodną rolę mogą odgrywać np. wspomnienia emigrantów o ojczystym kraju lub – co też się zdarza – rozzymających sukcesy, jakie odnieśli w kraju przyjmującym. Niekiedy zdarzają się też działania w podobnym kierunku ze strony dzieci. Marta Herling-Grudzińska, dla której włoski był od początku językiem codziennym, nauczyła się polskiego, by przeniknąć do zamkniętego już w historii świata ojca i jego polskiej twórczości. Sam w swoich działaniach zawodowych natrafiłem na przedwojennego emigranta z Polski do ówczesnej Palestyny, który – choć pozornie nie był przesadnie sentymentalny – gromadził listy otrzymywane od rodziny z Warszawy. Ta przeszłość, zakłeta w stosie kartek, widać była dlań cenna – i to cenna na tyle, że z czasem przekazał cały zbiór do archiwum³.

Dzieci nieraz działają w kierunku przypomnienia historii dla oddania sprawiedliwości rodzicom. Zdarza się, że los rodziców wręcz motywuje je do wejścia samemu w politykę, by wyciągnąć na światło dzienne i przekreślić dawne niesprawiedliwe działa-

nia jednostkowe lub/i zbiorowe. Zdarzają się też działania o podobnym celu, przyjmujące formę bardziej klasycznej wypowiedzi historycznej. Uczestniczyłem np. w uroczystości wręczenia nagrody historycznej im. Kazimierza Moczarskiego, gdzie jego córka odczytała fragmenty więziennej korespondencji rodziców. W przeciwnym kręgu ideologiczno-politycznym dostrzegam wypowiedzi późniejszych pokoleń rodziny Konstantego Rokossowskiego, zmierzające paradoksalnie w podobnym (z rozważanego punktu widzenia!) celu: naprawy pamięci marszałka w odniesieniu do jego polskiego okresu.

Dzieci mogą też buntować się przeciw rodzicom, przypominając przeszłość. Nie miejsce tu na rozważanie przyczyn „studenckiej wiosny” 1968 r. Wśród różnych cech miała ona też cechę buntu pokoleniowego. Otóż w Niemczech dorastające pokolenie zapytało rodziców, co właściwie robili podczas wojny. W tym wypadku rodzina też zadziałała – choć specyficznie – jako instrument umacniania pamięci historycznej. Innym takim instrumentem może być zdarzające się wśród dzieci dygnitarzy hitlerowskich działania na rzecz dobra ofiar wojny i prześladowań, pielgrzymowanie do miejsc pamięci, pisanie o wojnie, w tym nawet o własnych rodzicach⁴.

Niekiedy chęć zrozumienia rodziców lub/i dziadków katalizuje zainteresowanie historią w ramach rodziny. Znakomitym przykładem może tu służyć praca badawcza Wojciecha Szatkowskiego o Goralenvolku⁵. Takim przykładem może też być odnoszący się do przeciwnego nurtu politycznego, swego rodzaju pamiętnik (wywiad-rzeka) Stefana Mellera⁶.

Czasem te historie rodzinne są trudne dla zainteresowanych, a ciekawe dla badacza – zwłaszcza że rodziny były nieraz rozdarte. Braćmi byli generał Stanisław Maria Szeptycki, szef Sztabu Generalnego w 1919 r., później minister Spraw Wojskowych (1923) i Roman Maria Szeptycki, prawosławny arcybiskup Lwowa. Jakub Berman był dygnitarzem w komunistycznej Polsce, zaś jego brat, Adolf Berman, politykiem izraelskim – wprowadzie wciąż w partii komunistycznej, ale przecieży emigrantom (według niego zapewne imigrantom) do Izraela. Miguel de Unamuno był zwolennikiem gen. Franco, podczas gdy jego synowie stanęli po stronie republiki (jeden zginął). Może kiedyś potomkowie braci Kurskich napiszą coś na temat zróżnicowanych dróg Jacka, wiceprezesa Solidarnej Polski, oraz Jarostawa - czołowej postaci „Gazety Wyborczej”. Będzie to interesujący punkt wyjścia dla historii współczesnego rozdarcia społeczeństwa polskiego. Lepiej by wprowadzie było, gdyby dało się uniknąć tego rozdarcia, ale nie da się ukryć, że historyk nieraz pasożytuje na trudnych sprawach, bo są ciekawe.

MARCIN KULA

² Ryszard Kapuściński, *Szachinszach*, w: tenże, *Cesarz. Szachinszach*, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 203.

³ Marcin Kula, *Autoportret rodziny X. Fragment żydowskiej Warszawy lat międzywojennych*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007.

⁴ Np. Martin Pollack, *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu*, Czarne, Wołowiec 2006.

⁵ Wojciech Szatkowski, *Goralenvolk. Historia zdrady*, Firma Księgarsko-Wydawnicza Kanon, Zakopane, 2012.

⁶ *Świat według Mellera. Życie i historia: ku wolności*. Ze Stefanem Mellerelem rozmawia Michał Komar, Rosner & Wspólnicy, 2008.

BOHDAN CHWEDEŃCZUK

ADAM SCHAFF – SPOJRZENIE Z ODDALI*

Stulecie od urodzin Adama Schaffa to millenium, gdy wziąć czas kultury, polityki czy dziejów powszechnych. Przenieście się na chwilę do ówczesnego Lwowa, jednego z flagowych miast Austrowęgier Franza Josepha, do bogatego mieszczańskiego żydowskiego domu Schaffów.

A skoro Adam Schaff urodził się *tysiąc* lat temu, warto powiedzieć o nim coś z *dystansem*. Pomyślałem więc, że czas spojrzeć na Schaffa *sub specie aeternitatis*. Spojrzeć na niego od strony rzeczy występujących zawsze tam i wszędzie tam, gdzie żyje człowiek, konstytutywnych dla człowieka.

Każdy, wyjąwszy ciężko upośledzonych, ma umysł, na który składają się treści, procedury oraz dążenia. Każdy natomiast żyje przez innych i wśród innych; nie czynią wyjątku nawet ci, których wychowywały wilki. Trzeba więc przyjrzeć się umysłowości Adama Schaffa oraz jego uspołecznieniu, czyli sposobowi życia w społeczeństwie. Warto rzecz jasna wziąć jakieś znamiona naczelnego jednego i drugiego, coś, co wyznacza styl umysłowości i sposób bycia w społeczeństwie.

(...)

Adam Schaff, mój szef w Katedrze Filozofii Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1961-1968, pociągał mnie i odpychał, irytował i fascynował, budził niechęć i sympatię, jego poglądy filozoficzne odrzucałem, refleksyjnie i słusznie materializm dialektyczny, a materializm historyczny bezrefleksyjnie i niesłusznie, zaś sposób bycia Schaffa w dyskursie filozoficznym, na seminariach i wykładach, zapalczywe tyrady, gromkie deklaracje ideowe uważałem za zaprzeczenie tego, jak godzi się uprawiać filozofię; jego zaś polityka, hasła i czyny, nie obchodziła mnie, był dla mnie standardowym członkiem klasy władzy.

Nie mogłem go jednak oswoić, nie mogłem go skategoryzować, aparat pojęciowy, który z powodzeniem pracował w odniesieniu do podobnych do niego, tu zawodził. Niewygoda ta nasuwała mi szczęśliwie przypuszczenie, że coś jest nie w porządku z tym aparatem pojęciowym, nie zaś z tym, kto ma być złowiony w sieć.

Kluczowe było pytanie: *Co go napędza?* Bo nie władza, władzę trzeba sprawować, by dostać w granicy upragnione społeczeństwo bez władzy, ale nie jest to dobro autoteliczne – tę postawę przypisywałem mu i przypisuję. Bo nie apanaże i frukta, które nosła władza, skromne zresztą, jeśli patrzeć ahistorycznie z dzisiejsza. Owszem, syn lwowskiego mieszczaństwa, nic że komunistyczny konspirator w międzywojniu, był wyraźnie u siebie w okazałym mieszczańskim wnętrzu (w Warszawie na Litewskiej, potem przy placu Unii), ale wedle mojej wiedzy w podobnych wnętrzach żyli, jak powiedziałby Schaff, burżuazyjni profesorowie (*exemplum*: Władysław Tatarkiewicz). I nie wiedza, którą daje władza, w tajemniczenia niedostępne profanom, szczególnie w tamtych czasach – to też go nie motywowało; wiedzę, którą chciał mieć, mógł dostać na własną rękę.

Dziś myślę, że mam choćby przybliżenie do odpowiedzi na tamto młodzieńcze pytanie *Co go napędza?* Wyłożę je za pomocą dwóch obrazów, naprowadzających na siły tkwiące w naturze ludzkiej, na siły Adama Schaffa, które wyznaczały jego tor i jego pęd. Wiązałem między tamtymi siłami a owocem, czyli towarzyszem profesorem Adamem Schaffem nie będę pokazywał, tkanki łączącej moje obrazy z moimi tezami nie będę odstaniał.

* * *

Żył ongi (w latach 1877-1939) Oskar Miłosz, polsko-litewski arystokrata, francuski poeta, dramaturg, powieściopisarz, mistyk, konserwatysta w dawnym profetycznym stylu (przypominającym Mariana Zdziechowskiego). Otóż Oskar Miłosz napisał w liście datowanym 11 listopada 1931 roku: „tego lata... poznałem mego siostrzeńca na staroświecki ład, w prostej linii potomka brata mojego pradziadka. ...stanął przede mną dziewiętnastoletni młodzieniec o miłym wyglądem, poeta zarazem niezwykle entuzjastyczny i bardzo trzeźwy, żywiący wobec mnie uczucia szacunku należne mojemu dziełu, bardzo przywiązany do inteligentnych i czcigodnych stron monarchicznej, katolickiej i szlacheckiej tradycji, *trochę komunistę – akurat to, co jest potrzebne, żeby wykonać pożyteczną pracę w naszej nieprawdopodobnej epoce*”.

Siostrzeńcem „na staroświecki ład” Oskara Miłosza był Czesław Miłosz, który przytacza list wuja w swojej *Ziemi Ulro* (na stronie 105 w wydaniu Państwowego Instytutu Wydawniczego z 1982 roku). Osią konstrukcyjną tego obrazu jest dla moich potrzeb owo *trochę komunistę*, zdolny do wykonania pożytecznej pracy *w naszej nieprawdopodobnej epoce*.

Odnotujmy zalety tego obrazu. Najpierw, że przynosi informację, iż w tym miejscu społecznym występuje zaskakujący pogląd, że od komunisty można oczekiwać pożytecznej pracy. Dołączywszy choćby skromną wiedzę o tamtych czasach dostajemy wynik, że ów pogląd występował w różnych miejscach ówczesnego społeczeństwa, a jego rozrzut pokrywał się z rozrzutem innych wskaźników, występował więc wszędzie. Dowiadujemy się z kolei, że *trochę komunistę* jest młody inteligent o szlacheckim rodowodzie, mamy więc dwóch młodych inteligentów, przy czym jednemu z nich nie można zarzucić alienacji narodowościowej. Adam Schaff zarzutowi temu podlegał i do dziś podlega.

Spostrzeżeń tych nie warto by zgłaszać, bo nieodkrywcze, gdyby nie okoliczność, że na znacznym obszarze mowy publicznej w Polsce straszy dziś obraz komunizmu jako epizodycznej aberracji, a komunistów jako dewiantów.

I jeszcze jedno miejsce w owym liście zwraca moją uwagę – że zdaniem Oskara Czesław jest *trochę komunistę*. Można to chyba rozumieć, że jest niepełnym komunistą, a taki niepełny komunist jest ponadto nie tylko komunistą, bo poetą, studentem itd. A co by to znaczyło w odniesieniu do Adama Schaffa? On sam, skądinąd rów-

nolatek Czesława Miłosza, postrzegał wówczas siebie jako pełnego komunistę, a siłą rzeczy, młody dynamiczny mężczyzna, był nie tylko komunistą. Inaczej, żaden z nich nie był komunistycznym aktywistą i nikim więcej.

Ale o czym mowa, gdy mowa o *trochę komuniście*? Otóż nazwy wyznań (komunista, keynesista, chrześcijanin, libertarianin) – nie one jedne, lecz one notorycznie – mają stałą i zmienną część znaczenia. Zmienna zależy od doraźnych ustanowień, a stała leży pod ciężarem historii użycia, która ją, tę część stałą, petryfikuje. I nikt z osobna ani żadna lokalna grupa użytkowników nie ma siły na zmianę, a jeśli, to pod sankcją utraty porozumienia z resztą społeczności języka. Przykład: bezowocna komunistyczna próba zmiany znaczenia terminu „demokracja” przez dołączenie kwalifikatora „socjalistyczna”.

Wykorzystajmy więc obraz z Miłoszami, Oskarem i Czesławem, do namysłu nad częścią stałą znaczenia słowa „komunista”, i tym samym zjawiska komunizmu, jeśli ma zasługiwać na to miano. Powiem skrótem, bo czas płynie. Komunizm to wiara w akt założycielski nowego ładu, stary ma zniknąć bez reszty, rewolucyjne uderzenie ma sięgać podstaw starego ładu i tym samym ma ustanawiać podstawy nowego, a ład nowy ma obejmować całość – wszystko dotychczasowe jest do niczego, wszystko ma być nowe. Komunizm to rewolucja plus totalizm – wszystko ma być rewolucyjnie unicestwione, a ustanowione ma być wszystko. Niepełny komunista odstępuje od niego po stronie rewolucji i po stronie totalizmu.

Komunizm to fundamentalny, bo sięgający podstaw, i całościowy, bo z niczego nie spuszcza oka, projekt ładu świata – nie tylko projekt społeczeństwa, gospodarki, kultury, lecz świata. Komunista to fundamentalny typ człowieka, jak flegmatyk czy choleryk, ekstrawertyk czy introwertyk. Komunizm jest z łaski natury, rzecz można parafrazując słowa filozofa, że wiedza jest z łaski natury. Jest zatem niezniszczalny, nie opuszcza nas jako wedle upodobań stała groza lub stała nadzieja.

Czas na drugi obraz. Witold Gombrowicz opowiada w *Dzienniku (1957-1961)*, że zapragnął w jakiś sobotni wieczór: „Gdybym mógł przez sekundę bodaj sprostać całości”. Otóż pragnienie to wyznacza inny wielki w każdym razie co do rangi w losach ludzkości podgatunek człowieka. Adam Schaff do niego bezspornie należał. Podgatunek tego podgatunku idzie do filozofii. Schaff do niej poszedł i był w niej z wielkim nakładem sił i masą emocji. Pamiętamy, zebrani tu świadkowie epoki, z jaką pasją grzmiał, gdy natrafiał na filozoficzny czy ideologiczny opór (na przykład na historycznym spotkaniu w Klubie Krzywego Koła).

I mamy od teraz całego Schaffa, jego los, jego dzieło, jego miejsce wśród ludzi. Dialektyka napięć, antagonizmów, ale też wzajemnych wzmocnień, synergii i kooperacji między dwoma żywiołami jego umysłu, między komunizmem i filozofią, oboma nastawionymi na całość – dialektyka ta zarządza Schaffem, jak zarządza każdym w takim lub podobnym położeniu.

Spójrzmy nieco bliżej. Filozofia, marksizm, bo to była jego filozofia, ta teologia komunizmu wzmacnia jego komunizm, bo daje mu racjonalizację, a Schaff ma silnie wyrażoną racjonalistyczno-pozytywistyczną sekcję mózgu. Komunizm wzmacnia jego marksizm, dwojako – obiecuje potwierdzenie marksizmu, jego empiryczną weryfikację, a Schaff filozof i jako filozof zostaje obsadzony

w międzynarodowej roli apologety komunizmu, to zaś go energetyzuje.

Mamy tu też jednak sprzężenia ujemne. Komunistyczne, więc polityczne i ideologiczne dyspozycje i zwyczaje z obszaru myśli, słowa i działania, infekują Schaffa filozofa. Tam gdzie przydałaby się analiza, wchodzi galopująca synteza, argumentację wypiera perswazja i emfaza, a równorzędny rozmówca oponent przeobrażony zostaje w pełnego złych intencji przeciwnika, na modłę politycznego wroga. I na odwrót, dystans i sceptycyzm, zespolone z filozofią, nawet z dogmatyczną, osłabiają impet nieodzowny komuniście. Nie da się więc mieszkać bez bólu w republice bezinteresownej myśli i zarazem w oddziale idącym bojem do nowego wspianego świata. Bolesny był żywot towarzysza profesora Adama Schaffa, który postronnemu obserwatorowi, w tym mówiącemu te słowa, zdawał się wówczas pełen blasku i pogodnego wigoru.

* * *

Przyjrzyjmy się na koniec konsekwencjom wyżej powiedzianego, tego spojrzenia z oddali na Adama Schaffa, które go bierze w dwa ognie. Wartość teorii mierzy się jej mocą prognostyczną i wyjaśniającą. Moja teoria pozwala prognozować, że Schaff był na cenzurowanym w obu środowiskach, w środowisku komunizmu i w środowisku filozofii, szerzej, humanistyki. Prognozę tę potwierdza empiria, którą rozporządzam, a powiedziane wyżej wyjaśnia owo prognozowane skutecznie zjawisko.

Sięgnijmy na chwilę po anegdotę, po fakty. Oto łagodne, lecz wymowne świadectwo jego położenia wśród komunistów. Władysław Gomułka, który – jak ustyszałem – lubił go i często z nim rozmawiał, kwituje jego wypowiedzi zwrotem: „Ot, naiwny inteligent!” Historyk, przypuszczam, zna w tej materii wiele substancjalnych faktów. A z drugiej, akademickiej strony znam z obserwacji i autopsji postawy krytyczne wobec Schaffa jako filozofa i polityka, niechętnie mu, szydercze, a nawet nienawistne. Naturalną skądinąd rzeczy koleją wypowiedzi jego byłych towarzyszy, rozczarowanych komunistów były bez porównania ostrzejsze niż postawy i wypowiedzi dawnej profesury i ludzi nauki niekomunistów. We wzmiankach o Schaffie w korespondencji miłosnej Marii i Stanisława Ossowskich nie ma agresji, jest co najwyżej ironia, ale też szacunek.

A oto kolejny owoc mojego spojrzenia na Schaffa. Naprowadziło mnie mianowicie na analogię między nim a innym wybitnym człowiekiem moich czasów – Jarosławem Iwaszkiewiczem. Taka sama rola pośrednika między światem władzy a światem ducha, takie same baty spadające z obu stron, taka sama samotność, taki sam tragizm.

A na koniec premia hermeneutyczna. Schaff w tej perspektywie jawi mi się jako *powszechnik*, nie tylko epizodyczne indywiduum, które swoją rolę przez parę godzin wygrawszy na scenie w nicie zapada. Powszechne bowiem i wiecznotrwale jest plemię tych, którzy chcą zrozumieć świat i go naprawić, i tym samym go naprawić.

BOHDAN CHWEDEŃCZUK

*Jest to tekst wypowiedzi, którą wygłosiłem podczas spotkania w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w listopadzie 2013 roku, upamiętniającego setną rocznicę urodzin Adama Schaffa.

RAFAŁ SKĄPSKI

PROFESOR SUCHODOLSKI W NARODOWEJ RADZIE KULTURY

Moja znajomość, a więc i wspomnienia związane z profesorem Bogdanem Suchodolskim dotyczą naszej współpracy podczas pełnienia przez Profesora funkcji przewodniczącego Narodowej Rady Kultury. Nie pretenduję więc do ocen Profesora jako naukowca, pedagoga, organizatora życia naukowego, choć przecież w jakimś sensie te umiejętności i pasje Profesor wykorzystywał także w kierowaniu Radą. We wszystkich działaniach, jakie podejmowała Rada, we wszystkich raportach, stanowiskach, ocenach i wskazaniach dla władz Profesor korzystał z dorobku swego całego życia, ze swej wiedzy i przemyśleń gromadzonych przez lata. Sądzę, że właśnie kształt i główne kierunki *Raportu o stanie kultury* powstałego w połowie lat 80., który nie tylko obiektywnie i krytycznie oceniał sytuację zastaną, ale wskazywał, co i jak czynić, był w jakimś sensie nawiązaniem do konspiracyjnej publikacji Profesora, zawierającej Jego myśli o teraźniejszości i przyszłości Polski i Polaków. Wszystkie swoje uniwersalne pytania, ale i odpowiedzi „kim jest człowiek?“, „skąd i dokąd idziemy?“, „jak żyć?“ przekładał Profesor na język problematyki kultury, upowszechniania jej, edukacji kulturalnej społeczeństwa. Bo przecież edukowaliśmy jednakowo władzę i media, wreszcie społeczeństwo.

Mieczysław F. Rakowski w jednej z rozmów, jaką prowadziliśmy po latach powiedział: „Nie sądziliśmy, że Suchodolski potraktuje tak poważnie swoją funkcję“. A jak ją miał traktować, jeśli serio i odpowiedzialnie traktował wszystko, co w życiu czynił?

Charakterystyczna wydaje się postawa Profesora w trudnych, momentach przełomowych dla Jego

życia, ale i dla życia kraju, ojczyzny, dla bliskich Mu osób.

W 1940 roku, kiedy Lwów, miasto Jego pierwszej profesorskiej katedry, stał się miastem radzieckim, Profesor na drzwiach sali, w której zwykle prowadził wykład, znalazł pewnego dnia zawieszoną kartkę z informacją, że Jego wykłady zostają zawieszane, bo „profesor Suchodolski nie gwarantuje realizacji programu zgodnego ze współczesną radziecką myślą naukową“. Uznał wówczas, że jest to wyraźny sygnał i zapowiedź, co jeszcze znacznie gorszego może go w przyszłości spotkać. Nie czekając więc na to, podejmuje decyzję o przedostaniu się do Warszawy. Wiedział co prawda już wówczas, że i tam jest przez okupanta poszukiwany, ale sądził słusznie, że wśród bardziej znanego sobie otoczenia, wśród rodziny i przyjaciół przyjdzie Mu łatwiej znieść niedogodności okupacji. Tuż przed opuszczeniem Lwowa wpadł na niezwykle przewrotny pomysł. Kupił dużą ilość kartek pocztowych, zaadresował je do swoich rodziców w Warszawie, wpisał na każdej jakieś zdawkowe pozdrowienia i informacje, a następnie zostawił te wszystkie kartki u kogoś znajomego z prośbą, by co kilka tygodni wysyłać pocztą kolejną pocztówkę. Kiedy był już w okupowanej stolicy i prowadził zajęcia na tajnym uniwersytecie, rodzice okazywali poszukującym go gestapowcom coraz to nowszą kartkę jako dowód, że syn wciąż jest we Lwowie.

Po latach dowiedziałem się kim między innymi byli ówcześni Jego studenci; sam nie opowiadał, nie chwalił się tymi nazwiskami... Baczyński, Gajcy, Zalewski... Nie tak dawno Krzysztof Karasek, gdy

w jednej z rozmów padło nazwisko Profesora, mimo pewnej wstrzeźliwości wobec jego osoby, zaraz jednak dodał: „Witek Zalewski zawsze mówił o Suchodolskim w największych superlatywach jako o wielkiej postaci, o kimś w rodzaju przewodnika, guru, dla niego i jego kolegów z konspiracji i tajnych kompletów na UW”.

W opublikowanych w krakowskim kwartalniku „Nowa dekada krakowska” (nr 3/4 z 2012) listach Jerzego Andrzejewskiego do Kazimierza Wyki znalazłem ciekawą informację wskazującą na rolę i pozycję profesora Suchodolskiego w czasie okupacji. Stefan Kamiński, który był krakowskim legalnym wydawcą książek dziecięcych, w ramach szeroko zakrojonej działalności konspiracyjnej wspierał finansowo pisarzy zawierając z nimi umowy i wypłacając spore zaliczki. Książki miały być wydawane dopiero po zakończeniu wojny. Wielu pisarzy podejmowało jednak pracę od razu, należał do nich Karol Irzykowski, który od razu zaczął pisać historię literatury polskiej. Wyka zapewne dopytywał się o ten tekst, bo Andrzejewski w liście z 13 lutego 1943 roku informuje go, iż rękopis (zwany z powodów konspiracyjnych „dywanem”) jest właśnie u Suchodolskiego, a wobec tego iż tenże „obecnie nie mieszka w Warszawie” dostęp do pracy Irzykowskiego jest utrudniony. Z rozmów z Profesorem wiem, iż końcową część okupacji spędził w ukryciu w domu przyszłych teściów pod Warszawą, tam zastało go wyzwolenie. Rok 1943 to, warto pamiętać, rok wydania pod pseudonimem R. Jadźwing książki *Skąd i dokąd idziemy?*, (względy konspiracyjne spowodowały, iż na książce podano jako miejsce i rok wydania Wilno 1939). Z listu tego wywnioskować można jasno, iż Bogdan Suchodolski, wykładowca tajnych kursów Uniwersytetu Warszawskiego był postacią znacząca w środowisku intelektualnym okupowanej Polski. Przekazanie mu pracy Irzykowskiego – wynika z listu – nie miało już charakteru zasięgania opinii, a raczej ukrycia w dobrym miejscu i w dobrych rękach.

Latem 1968 roku, będąc poza granicami Polski z wykładami czy na jakiejś sesji naukowej, Profesor dowiedział się, że nie jest już pracownikiem uniwersytetu. Miało to związek z Jego postawą w Marcu '68, kiedy stanął obok swoich studentów chroniąc ich przed represjami. A wcześniej dążył, by jeden z Jego zdolniejszych uczniów mógł dokończyć przewód doktorski. Opowiadał z goryczą, ile starania te kosztowały Go wysiłku i czasu, by uzyskać niezbędne zgody na kontakt z przebywającym w więzieniu Jackiem Kuroniem. W Ośrodku KARTA są przechowywane dwa listy sprawy tej dotyczącej. Pierwszy z 9 listopada 1966 r. skierowany do Ministerstwa Sprawiedliwości, a podpisany przez Elżbietę Borucką Kuroń, żonę Jacka. Drugi, z 16 grudnia 1966 r., jako konsekwencja pierwszego. Skierowany jest do Jacka Kuronia, a podpisany przez Profesora. Zawiera propozycję ustalenia zasad pracy nad doktoratem i sposobu dalszego kontaktowania się.

Inny ówczesny opozycjonista, doktorant Aleksandra Gieysztor, Karol Modzelewski – jak wynika z opublikowanych niedawno jego wspomnień – miał pracować nad doktoratem w sposób podobny. Píše o identycznych działaniach Bogdana Suchodolskiego. Stwierdza jednak Modzelewski, że w więzieniu nie było

warunków do pisania czy otrzymywania i przechowywania potrzebnych książek. Uważa, iż Gieysztorowi (w domyśle i Suchodolskiemu) bardziej chodziło o rodzaj mobilizacji intelektualnej uwięzionych doktorantów niż o rzeczywiste pisanie prac. Inaczej zapamiętał to Jacek Kuroń. W książce *Wiera i wina* pisze, iż profesor Suchodolski prosił Kuronia, aby ten zaniechał pisania pracy. Treść listu Profesora z 16 grudnia 1966 r. całkowicie przeczy temu.

Co ciekawe oba listy: i Elżbiety Grażyny Kuronowej, i profesora Suchodolskiego noszą podobne cechy czcionek. Zapewne użył Profesor żonie doktoranta swej maszyny. A może on sam oba listy napisał?

Dwukrotnie był Profesor namawiany do aktywnego, formalnego włączenia się w życie polityczne kraju i dwukrotnie tego odmawiał. Pierwszy raz Zenonowi Kliszce, wysłannikowi Władysława Gomułki, później działającemu w imieniu Edwarda Gierka Franciszkowi Szlachcicowi, którzy próbowali Go pozyskać w imieniu swych przełożonych dla ich doraźnych celów.

Poza jedną kadencją, kiedy był zastępcą sekretarza naukowego PAN, Profesor nie pełnił przecież żadnych funkcji publicznych czy oficjalnych, nie uczestniczył w żadnych formalnych strukturach władzy. Tym bardziej zasadne wydawało się niektórym z jego znajomych pytanie „dlaczego?” w kontekście przyjęcia przez Bogdana Suchodolskiego funkcji przewodniczącego NRK. Czy po raz pierwszy w swym życiu wierzył w osobę przywódcy, w Wojciecha Jaruzelskiego? Chyba tak. Jest wiele dowodów na wzajemne uznanie i szacunek. Ale bardziej przemawia to, że Profesor uznał, iż jest obowiązkiem humanisty, jednego z ostatnich ludzi renesansu, by nie słowami, a aktywną postawą udzielić odpowiedzi na często pojawiające się pytanie „co z kulturą w czasie trudnym”? A że był to czas dla kultury niełatwy, nie trzeba nikogo przekonywać. Uznał więc Profesor, że zagrożenie kultury rygorami stanu wojennego, w obliczu braku stabilizacji ekonomicznej kraju, wobec podziałów społeczeństwa i środowisk twórczych w szczególności wymaga od niego zaangażowania się mimo podeszłego wieku, mimo wcześniej uznawanego dystansu wobec polityki. A może właśnie dlatego, może właśnie uznał, że i wiek, i dorobek naukowy, i owo dotychczasowe stronięcie od polityki będą wsparciem Jego starań, wzmocnieniem Jego pozycji, siłą Jego argumentacji.

Osiem lat, to czas wielu posiedzeń, dyskusji, wielu spotkań, wielu prac nad dokumentami, tworzenie dezyderatów, stanowisk i wysuwanie wręcz żądań pod adresem władz, ale i wobec społeczeństwa. Często władze niechętnie i z nierzadko nieukrywanym zniecierpliwieniem patrzyły na kolejne gorzkie słowa wypowiedziane wobec poziomu finansowania kultury, wobec braków w edukacji kulturalnej, niedociągnięć w upowszechnianiu, w spełnianiu oczekiwań odbiorców kultury. „Nie sądziliśmy, że Suchodolski tak poważnie potraktuje swoją funkcję” – jakże często te słowa, choć niewypowiedzane, dawane były nam do zrozumienia.

Ze szczególną troską chronił Profesor wszelkie inicjatywy lokalne, przejawy życia kulturalnego i każdej aktywności intelektualnej w małych miejscowościach, w „małych ojczyznach”, choć pojęcie to nie robiło jeszcze medialnej kariery. Wielokrotnie towarzy-

szyłem Mu, gdy odwiedzał regionalne towarzystwa grupujące lokalną społeczność, stowarzyszenia miłośnicze kultywujące tradycję, dokumentujące historię regionu, miasteczka, gminy. Tym sprawom, tym ludziom i tej problematyce poświęcił Profesor sporą część swego przemówienia podczas inauguracji prac Rady na Zamku Królewskim w Warszawie w grudniu 1982 roku.

W lutym 1990 roku stało się już oczywiste, że władze, nowej, III Rzeczypospolitej nie akceptują postawy Profesora, nie uznają sensu funkcjonowania Narodowej Rady Kultury, ignorują nasze istnienie. Profesor z pewną rezerwą, a nawet niepokojem obserwował kierunki i tempo zmian w kraju po 4 czerwca 1989 roku. Ufał jednak tym, których dobrze znał sprzed lat, z którymi spotykał się u przyjaciół, na przykład u Jerzego Zawieyskiego. Ufał pomimo tego, iż oni co rusz dawali do zrozumienia, że w ich kontaktach już coś się zmieniło lub zmienić powinno. Tadeusz Mazowiecki nie odpowiedział na żaden list Profesora, nowa minister kultury, choć wciąż członkini Narodowej Rady Kultury, niechętnie przystała na propozycję spotkania z Profesorem, ale wyraźnie zaznaczyła mi, że nie może się pojawić żadna notatka prasowa o tej wizycie. Podjąłem więc ryzykowną, bo z góry z ówczesnego punktu widzenia skazaną na niepowodzenie decyzję odbycia spotkania z szefem biura kultury Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Panująca atmosfera skłaniała jednak do podjęcia takiej decyzji, do szukania próby porozumienia z nową, wpływową, opiniotwórczą, *de facto* rządzącą siłą społeczną. Zostałem zaproszony do Gdańska, gdzie spędziłem cztery godziny, sam wobec dziesięciorga gospodarzy i uczestników spotkania. To była nie tylko długa, ale przede wszystkim trudna, o wielu wątkach rozmowa. Wielokrotnie byłem atakowany i musiałem odpowiadać nie tylko „za NRK”, ale i za partię, za rząd, za stan wojenny i niemal całe zło, które wydarzyło się po II wojnie w Polsce. Finał jednak przeszedł moje oczekiwania. Szef komisji, Szymon Pawlicki uznał, nie bez oporów części zebranych, że dorobek Rady powinien zostać uznany, a sens jej istnienia potwierdzony. Profesor był wówczas także szefem Komitetu do Spraw Dekady Kultury UNESCO i to działanie oraz przedstawione przeze mnie programy zostały także zaakceptowane. Pawlicki wyraził opinię, że Profesor powinien utrzymać funkcję w UNESCO, a otrzymać tytuł honorowego przewodniczącego NRK. Nie wszyscy obecni na spotkaniu zgodzili się z Pawlickim, ale zakończył zdecydowanie dyskusję, a ze mną wymieniał się telefonami mówiąc, iż czeka nas czas intensywnej współpracy.

Nie upłynął tydzień od mojego powrotu „z tarczą”, a do Profesora do domu dotarł postanieniec od premiera Mazowieckiego z kopertą, wręczając Mu ją przez próg. Było to odwołanie z funkcji i zapowiedź likwidacji całej Rady. Bez słowa wytłumaczenia, bez słowa podziękowania. Po latach, gdy spotkałem ówczesnego szefa gabinetu premiera, zapytałem, czy pamięta tamtą sprawę. Pamiętał. Powiedział, że nadszedł faks z Gdańska z poleceniem czy prośbą, by zachować Radę i zapewnić Profesorowi możliwość publicznego działania. Był to jednak już początek wojny na górze, zatem po

krótkiej naradzie polecenie z „centrali” potraktowane zostało całkowicie odwrotnie.

Chcę teraz spróbować odpowiedzieć na pytanie, jaki był Profesor w codziennych kontaktach z nami, ze współpracownikami. A warto pamiętać, że Profesor w Narodowej Radzie Kultury został otoczony całkowicie nieznanym sobie gronem młodych współpracowników. Pozornie oschły, ze sporym dystansem do otoczenia, mało wylewny, ale jakże ciepły i serdeczny, a nawet opiekuńczy, gdy znajomość stawała się dłuższa. Pamiętam, jak otrzymałem propozycję objęcia funkcji dyrektora departamentu w ministerstwie, awans oczywisty, a jednak wolałem pozostać w Radzie, przy Profesorze, więc odmówiłem ministrowi Żygulskiemu. Władza była jednak uparta i Profesor został w tej sprawie poproszony o rozmowę przez sekretarza KC Waldemara Świrgonia. Tuż przed spotkaniem Profesor poprosił mnie na chwilę do siebie. – Idę – powiedział – w pańskiej sprawie, mam pana bronić czy obronić? Obronił.

Często wydawał się nieobecny, zamknięty w sobie, pochłonięty swymi myślami, wręcz nieuczestniczący w spotkaniu, by nagle włączyć się w bieżący tok rozmowy i spuentować całą dyskusję kilkoma celnymi, ogarniającymi wszystko słowami. Był właściwie mistrzem tego typu podsumowań, wtrąceń, dowcipnych *zwischenrufów*. Nie zapomnę zdarzenia podczas pobytu delegacji Rady w Moskwie. Był to czas „suchego zakonu” – zakazu podawania alkoholu podczas wizyt oficjalnych. Byliśmy po obiedzie pożegnalnym, podczas którego z woli gospodarzy spełnialiśmy toasty sokiem owocowym podawanym w kieliszkach do wina. Radca naszej ambasady Mieczysław Wojtczak, zaproponował, mając na uwadze kilka godzin dzielące nas jeszcze do odlotu, że kawę i koniak wypijemy u niego w domu. – Ale – powiedział – mieszkam niedaleko cmentarza Wagańkowskiego, a tam są pochowani Siergiej Jesienin i Włodzimierz Wysocki. Warto pojechać i zobaczyć przede wszystkim grób Wysockiego, tam zawsze są tłumy wielbicieli, śpiewają jego piosenki, nie ma chyba nigdzie tego typu zjawiska. Jak Pan woli, Profesorze, najpierw koniak, i w drodze na lotnisko zajedziemy na cmentarz, czy najpierw na cmentarz i potem do mnie na koniak? – zapytał radca Wojtczak. – Dopóki mogę wybierać, to wolę z cmentarza do domu a nie odwrotnie – odparł Profesor.

Ufał nam młodszym nawet więcej niż o pół wieku od siebie, współpracownikom, wskazywał zadania, formułował krótkie sygnały, opinie, uwagi, które służyły nam potem do dalszych samodzielnych już działań, i jak siewca szedł dalej wierząc, że ziarno już kiełkuje.

Podziwialiśmy Profesora za niezwykle zdolność analizy i wyciągania wniosków. Wielokrotnie prowadził Profesor spotkania z pisarzami z zaprzyjaźnionych krajów, których twórczość była nie tylko Jemu mniej znana. Na dzień przed spotkaniem, z reguły nie chciał wcześniej, dostarczaliśmy Profesorowi kilka książek danego autora, a następnego dnia bez pomocy jakichkolwiek notatek wygłaszał długie i głębokie eseje na temat twórczości gościa, na temat rozważań i myśli zawartych w jego publikacjach, czasem tylko posługiwał się jakąś malutką karteczką, na której zanotował sobie cytaty do przytoczenia.

Tu przypomina mi najważniejsze chyba i najtrudniejsze organizacyjnie Spotkanie Zamkowe, czyli spotkanie z Michałem Gorbaczowem. Jego wizyta w Polsce zaplanowana była w dniach 11-14 lipca 1988 roku. Spotkanie Zamkowe planowane było na koniec wizyty – 14 lipca. Przygotowania trwały wiele tygodni. Mielśmy wiele problemów i niewiadomych. Pierwszy z nich to zagrożenie terminu oddania do użytku Sali Balowej, gdzie miało się odbyć to spotkanie. Zamkowe wnętrza były co prawda udostępnione do zwiedzania już w 1984 roku, jednak Sala Balowa wciąż jeszcze była poddawana pracom rekonstrukcyjnym. Spotkanie z Gorbaczowem miało być więc pierwszym, jakie miało się w tej sali odbyć. Nikt nie wiedział, jaka będzie akustyka sali i do ostatnich godzin trwały poprawki, woskowanie podłogi i ustawianie foteli, nie można było przewidzieć, ile ostatecznie ich się tam zmieści. Tych przygotowań na ostatnią chwilę nie mogli w ogóle zrozumieć przyjeżdżający co kilkanaście dni na kolejne uzgodnienia przedstawiciele radzieckich służb ochrony. Kolejne problemy, jakie na mnie spadły, to kwestia listy zaproszonych i rozmowy z osobami, które miałem zapraszać, a którzy wcale nie chcieli być gośćmi spotkania. Choć więcej kłopotów sprawiali ci, którzy na siłę i za wszelką cenę nimi chcieli być.

Ale najtrudniejszą sprawą dla mnie jako głównego organizatora było zastosowanie w miarę zręcznego wybiegu wobec oczekiwania politycznych zwierzchników, bym dostarczył ze sporym wyprzedzeniem tekst wystąpienia Profesora, którym otworzyć miał to spotkanie. Nie mogli przyjąć do wiadomości, że Profesor nie pisze sobie przemówień. „To teraz wy mu napiszecie”. Że nawet nie czyni żadnych notatek; „tym razem je musi zrobić”. W końcu po długiej wymianie argumentów ulegli. Profesor rzeczywiście całe przemówienie powitalne pełne głębokich myśli i refleksji wygłosił bez pomocy notatek. Z dzisiejszego punktu widzenia może wydać się to błahe, ale wówczas, w 1988 roku wielkim wydarzeniem było to, że Profesor wobec sekretarza generalnego KPZR, i w obecności I sekretarza PZPR zadał głośno, publicznie, pytanie: „czy socjalizm musi tyle kosztować?”

Wiem, że Gorbaczow miał po spotkaniu pretensje do swoich doradców, że nie przygotowali go ani na spotkanie z Suchodolskim ani nie uprzedzili, że po przemówieniu Profesora może nastąpić żywa, autentyczna, niczym nie skrępowana dyskusja. Jeden z uczestników zapytał go przecież o zakres suwerenności Polski i o to, czy doktryna Breżniewa jest nadal stosowana względem Polski i krajów sąsiadujących. Gorbaczow nie odpowiedział na żadne pytania wprost i bezpośrednio, przemówił dość ogólnie, a na pytania udzielił odpowiedzi na piśmie kilka tygodni później. Przemówienie Profesora, dyskusję i tę pisemną odpowiedź Gorbaczowa opublikowało wydawnictwo Książka i Wiedza. Spotkanie przeciągnęło się prawie o dwie godziny dłużej niż przewidywał to oficjalny protokół wizyty. Szef protokołu dyplomatycznego MSZ Roman Czyżycki kilkakrotnie podchodził do generała Jaruzelskiego zapewne wskazując, iż opóźniają się kolejne punkty wizyty. Generał zdawał się ignorować uwagi szefa protokołu, wyraźnie chciał, by wszystkim chętnym dać możliwość swobodnej wypowiedzi.

Oczekiwaliśmy wówczas z Profesorem, że podczas tego spotkania Gorbaczow powie prawdę o Katyniu. Na marginesie, kilka razy Profesor w naszych rozmowach wspominał sprawę Katynia w kontekście redagowanej przez siebie w końcu lat 50. *Małej Encyklopedii PWN*. Hasła Katyń tam nie było. Wiem, że w związku z tym spotykał się Profesor z krytycznymi uwagami. Ale tłumaczył mi: „miałem wówczas tylko dwie możliwości: albo napisać, zgodnie z obowiązującą wykładnią, że Katyń to sprawa Niemców, albo pominąć to hasło. Wybrałem drugie rozwiązanie, lepiej było to przemilczeć niż kłamać”.

Później miał Profesor wiele dowodów na uznanie i sympatię ze strony Gorbaczowa i jego małżonki. Podobny zresztą, życzliwy i pełen uznania stosunek do Profesora odczułem, kiedy miałem zaszczyt towarzyszyć Profesorowi w audiencji prywatnej u Jana Pawła II. Nastąpiło to 13 grudnia 1989 roku. Nasz ambasador w Watykanie Jerzy Kuberski ponad rok wcześniej, podczas rozmowy z Papieżem, w której Jan Paweł II wyraził zainteresowanie wydaną w Polsce książką – albumem autorstwa małżonków Suchodolskich *Polska – naród a sztuka* zaproponował, by Papież spotkał się z autorami. Kiedy wiadoma już była data audiencji, wspólnie z Profesorem podjęliśmy decyzję iż skoro pretekstem wizyty jest album, który specjalnie opraciony, ma być darem dla Papieża, to przy okazji zawieziemy w imieniu polskich wydawców spory dar dla watykańskiej biblioteki. Rozmowa toczyła się więc początkowo przy ustawionym pojedynczo na postumencie albumie Suchodolskich, następnie przeszliśmy do ekspozycji blisko 200 książek od wydawców. Niewiele zapamiętałem ze słów Profesora i Papieża. Emocja nie pozwalała na uważne wsłuchiwanie się. Profesor wyrażał niepokój z powodu przemian, obawiał się, czy idą w dobrym kierunku, czy nie odbiją się negatywnie na społeczeństwie. Papież uspokajał mówiąc, iż ufa że polskie społeczeństwo poradzi sobie z przeciwnościami, z kłopotami transformacji. Przyznam, iż byłem trochę zdziwiony słowami Profesora tak śmiało podważającymi reformy, ale i Papieża, zdało mi się, tak mało przejętego społecznymi kosztami tych reform. Kiedy toczyła się ta rozmowa, upadł już mur berliński, Węgry miały otwartą granicę z Austrią, w Czechosłowacji trzy dni wcześniej ustąpił Husak.

Profesor, który rozumiał kulturę najszerzej jak można, a jej źródła odnajdywał w dziedzictwie przeżyć i doświadczeń całej Europy, widział jednak jak zawsze – dalej i głębiej. Dwa lata później w ostatnim swym eseju *Europa – niebezpieczeństwa integracji* napisał: „Z dzisiejszego, aktualnego punktu widzenia powinniśmy spojrzeć na polityczną rzeczywistość Europy, czyli »tego małego półwyspu, który wykańcza wielką Azję«. Przekonamy się wówczas, jak bardzo krucha i spękana jest ta rzeczywistość będąca tylko pozornie naszym zacisznym portem świata dającym ludzi spokój. Potężne siły wewnętrzne rozwoju odstaniają wciąż nowe niebezpieczeństwa i rozczarowania, nowe płaszczyzny konfliktów. Skupimy naszą uwagę na roli tzw. mniejszości, które traktowane były jako składniki współczesnych społeczeństw, składniki wymagające opieki, zgodnie z dyrektywami praw człowieka. Siły te dziś ujawniają

się z coraz większą intensywnością, zdają się zdolne do przekształcenia mapy Europy, przebudowy ustrojów i granic państwowych. Spojrzenie na mapę Europy odśladania ostrzegawcze losy byłego Związku Radzieckiego. Nikt nie zaprzeczy, iż powstaje tam nowa rzeczywistość historyczno-polityczna. Być może także nadzieje, kiedy zostaniemy poinformowani, iż obok Czech i Pragi powstała niezależna Słowacja i Bratysława. [...] Na tle przywołanych przykładów idea integracji Europy brzmi w sposób daleki od spokojnego optymizmu. Szczególnej aktualności nabiera stwierdzenie, że Europa została zdradzona, uwikłana we własnych słabościach, bezsilna. [...] Tytuł mojego wystąpienia zawiera ostrzeżenie o niebezpieczeństwach, jakie przynosi rozwijająca się integracja Europy. Ostrzeżenie to wyda się zapewne wielu osobom nieoczekiwane, a może nawet fałszywe i zbędne. Przywykliśmy bowiem traktować integrację jako zjawisko jednoznacznie pozytywne i zespalające się dobrze z wartościami edukacyjnymi”.

Rozmawiając z Papieżem zdawał więc już sobie sprawę z zagrożenia, jakie przyniesie przyszłość?

Z sali, w której toczyła się rozmowa, po pożegnaniu się z nami, pierwszy wychodził Papież. W drzwiach odwrócił się do nas, uśmiechnął się, uniósł dłoń i głośno powiedział: „A nie zapomnijcie pozdrowić Pana Generała”.

Bez wątpliwości to spotkanie należało do ważnych przyczynków w rozważaniach nad przemianami w kraju i na kontynencie. Było spotkaniem dwóch myślicieli, dwóch Polaków troszczących się o los swej Ojczyzny. A w kraju Profesor był przez nową władzę coraz bardziej konsekwentnie skazywany na zapomnienie. O wizycie u Papieża dwuzdaniową informację przyniósł tylko paxowski dziennik „Słowo Powszechne”.

Obchodzona właśnie rocznica obrad Okrągłego Stołu przypominała mi rozmowę z Profesorem sprzed 25 lat. Zapytałem wówczas, czy nie powinniśmy spowodować, by temat obrad odrębnego podzespołu były sprawy kultury. Profesor bez chwili wahania zaprzeczył: „kultura nie powinna w żadnym przypadku być polem politycznych negocjacji. To sukces, że żadna ze stron tej tematyki nie chce podjąć. Nie wiktajmy kultury w bieżące polityczne rozgrywki”. Nieco później przyznałem Profesorowi rację. Dziś jestem pewien, że to polityka ówczesnego ministra kultury Aleksandra Krawczuka, spowodowała iż w końcu lat 80. rzeczywistość nie było już potrzeby by o kulturze rozmawiać przy Okrągłym Stole.

Miałem szczęście być traktowany przez Profesora i Jego Małżonkę, troszkę jak członek rodziny, zresztą podobny stosunek cechował także państwa Suchodolskich wobec pozostałych pracowników biura Rady. Ale ja miałem dodatkowy pretekst, żeby o sprawach rodzinnych z Profesorem rozmawiać. Obie nasze rodziny – rodzice Profesora i rodzice mej mamy – osiadły na początku XX wieku w Zagłębiu: dziadek i ojciec Profesora i byli lekarzami, dziadek mojej mamy także. Liceum imienia Staszica, które Profesor kończył, kończyli także moi wujowie. *Notabene*, Jego kolegą szkolnym (chodzili do tej samej klasy) był Jan Kiepusa. Obaj po kryjomu przed rodzicami i nauczycielami starali się dostać jako ochotnicy do

powstania, po kilku dniach, bez efektu, powrócili do Sosnowca. Ich przyjaźń zadzierzgnęła się, gdy razem występowali na szkolnych akademiach, Kiepusa śpiewał, Profesor recytował i wygłaszał referaty. Pierwszego koledzy przezywali – Caruso, drugiego – filozof.

Postawa społeczna Profesora ma bez wątpienia swój początek w charakterach i pojmowaniu służby i misji lekarza przez Jego dziada i ojca. Ojciec – Kazimierz – był lekarzem kopalnianym, dyrektorem jednego z sosnowieckich szpitali wyczulonym na biedę górniczych rodzin. To z jego inicjatywy w Sosnowcu powstał w 1905 roku Komitet sanitarno-lekarski, a w roku 1916 fundacja *Kropła mleka* służąca dożywianiu, ale i oświacie zdrowotnej najbardziej potrzebujących mieszkańców Sosnowca; dr Kazimierz Suchodolski był jej prezesem przez wiele lat. Z ideą fundacji *Kropła mleka* wiązało się wielu postępowych lekarzy tworząc jej filie w wielu miastach (w Krakowie dr Tadeusz Żeleński, w Warszawie dr Zofia Garlicka). Dziadek Profesora, Walenty Suchodolski był lekarzem w Grodnie. Zakaził się w szpitalu, od pacjenta tyfusem plamistym. Mimo świadomości swej choroby, będąc jednak już bliski wyzdrowienia, nie odmówił pomocy zaprzyjaźnionemu obywatelowi ziemskiemu, który prosił go o nagłą interwencję lekarską. Kilkumilowa podróż w śnieżnej zamieci pogorszyła jego stan zdrowia i doktor Suchodolski zmarł po tygodniu, 14 marca 1875 roku, w wieku 48 lat. We wspomnieniu pośmiertnym tak o nim pisała Eliza Orzeszkowa: „Trud niezamordowany, żelazny, nie czujący przeszkód ani spoczynku, był główną i zaprawdę zaszczytną cechą życia tego, jak też bezpośrednią przyczyną zbyt wczesnego jego końca. Fakt zgonu, nie potrzebujący komentarzy, budzić musi wysoki szacunek dla pamięci zmarłego, jak też służy jednym dowodem więcej, o ile nauka i płynące z niej surowe pojęcie obowiązku przyczynia się do zwiększenia liczby tych mężnych i dobroczynnych czynów, które nieznanie często i należycie nie ocenione stanowią przecież chlubę i najsilniejszą podporę ludzkości”.

Czy tych słów nie można wprost skierować ku profesorowi Bogdanowi Suchodolskiemu, czyż nie był i On swego rodzaju lekarzem, czyż nie udzielał nam porad, wskazówek, czyż nie wypisywał recept dla nas, dla ludzkości?

W roku 1992 rozpocząłem ze Stanisławem Zawilińskim rozmowy z Profesorem; ich celem było przeprowadzenie obszernego wywiadu, który zamierzaliśmy opublikować w formie książki. Niestety, śmierć Profesora przerwała ledwo rozpoczętą pracę. Materiału wystarczyło na krótką publikację prasową.

RAFAŁ SKĄPSKI

Tekst ten stanowi poprawioną i znacznie poszerzoną wersję artykułu o tym samym tytule, zamieszczonego w pracy zbiorowej *Bogdan Suchodolski w stulecie urodzin – trwałość inspiracji*, Warszawa 2004.

JEGO DZIEŁO – JAK GÓRA

Pamięci prof. HENRYKA MARKIEWICZA

Dorobek tego uczonego jest trudny do ogarnięcia. W trakcie niedawnego spotkania w krakowskim Centrum Kultury Żydowskiej, poświęconego pamięci profesora Henryka Markiewicza, padło porównanie ogromu tej Jego pracy do góry, która już imponująco wygląda z pewnego oddalenia, a w bezpośrednim kontakcie wydaje się wprost nie do zbadania...

Był Henryk Markiewicz prawdziwą instytucją naukową, badaczem, mistrzem, nauczycielem, a w końcu także dla wielu bliskim człowiekiem i przyjacielem. Jak wspomina prof. Leonard Neuger (dziś z Uniwersytetu w Uppsali), gdy znalazł się na emigracji, to właśnie prof. Markiewicz zaopatrywał go w polonistyczne nowości zdobywane w księgarniach, przepytując listownie nad czym pracuje i dbał o naukowy rozwój swego ucznia.

* * *

Zbudował Markiewicz ogromny gmach wiedzy, którego zręby wyznaczają książki *Główne problemy wiedzy o literaturze* i *Wymiary dzieła literackiego* oraz inne pozycje, liczne przybudówki do tego gmachu. W obrębie zainteresowań Profesora znajdowała się problematyka teoretyczna związana z dziełem literackim, jego budową i oddziaływaniem czy interpretacją. Był bez wątplenia najwybitniejszym znawcą i interpretatorem literatury pozytywizmu. Zajmował się też innymi działami myśli literaturoznawczej, światowej jak i polskiej, a wycinek tych zainteresowań to z niczym nieporównywalna książka *Teoria powieści za granicą*.

Do tego dochodzą antologie, jedna głównie poświęcona współczesnym ideom badań literackich, ogarniająca cały horyzont współczesnej wiedzy o literaturze, i komplementarna, *Sztuka interpretacji* pokazująca dzieło literackie od strony, która zawsze Profesorowi była szczególnie bliska.

Ne było zagadnień z zakresu wiedzy o literaturze charakterystycznych dla XX wieku, w których prof. Markiewicz nie zabratby głosu, albo nie przepracował ich na swój sposób, nie udoskonalił, czy – jak nazwała to prof. Teresa Walas, – „uprzejrzystnił”. Ta umiejętność syntezy była, obok fenomenalnej pamięci, drugą z najważniejszych cech tego niezwykłego człowieka.

– Kiedy profesor Markiewicz przynosił swoje teksty do redakcji – wspominał szef wydawnictwa Universitas dr Andrzej Nowak – to na redaktorów padał błąd strach. Czekano ich bowiem zderzenie z kimś, kto wie wszystko. A może jeszcze więcej?

* * *

Śmierć zabrała Profesora w ostatnim dniu października 2013 roku. Urodzony w 1922 r. żył długo, a Jego dzieło, nawet gdy wziąć pod uwagę te wszystkie lata i epoki, rzeczywiście wydaje się nieogarnione.

Debiutował wiosną 1935 r. w „Nowym Dzienniku”, wydawanej w Krakowie żydowskiej, ale także polskiej, gazecie codziennej, a ostatni Jego tekst ukazał się jesienią 2013 r. Drukował w „Wiadomościach Literackich”, „Kurierze Literacko-Naukowym” dodatku do „IKC”, w wielu innych czasopismach, w naszym „Zdaniu” i wreszcie w „Gazecie Wyborczej”. Swoją ogromną wiedzą i talentami służył nam wszystkim ponad 78 lat.

Współpracował z wieloma wydawnictwami, choć na pewno pierwsze miejsce należy oddać Wydawnictwu Literackiemu, bo tam drukował większość swoich znaczących prac, ale koniecznie trzeba wymienić także wydawnictwo Universitas gdzie ukazały się, *Dzieła wybrane* Profesora, otwierające serię Klasycy Polskiej Myśli Humanistycznej. Zrzędzeniem losu Universitas stało się też wydawcą ostatniego dzieła Profesora, jakim było opracowanie *Dziennika zesańca i żołnierza*

Zygmunta Blumenfelda. To rzecz szczególna, stanowiąca swego rodzaju klamrę życia i osiągnięć prof. Henryka Markiewicza, bo Blumenfeld był kuzynem Profesora, ale przede wszystkim jego starszym o 9 lat mentorem, który wprowadził go w życie literackie Krakowa.

Obaj przeszli doświadczenie wojny, holokaustu, wygnania, Syberii oraz wyborów własnych i cudzych, które stały się źródłem różnic między losami Henryka i Zygmunta. Jeden, niedopuszczony do armii Andersa, zostaje w ZSRR, a drugi wychodzi z armią na Bliski Wschód, walczy pod Monte Cassino i osiada ostatecznie w Anglii.

Oto jak wspomina czasy zesłania Szmulik Wincer-Atzmon z Tel Awiwu, wybitny aktor i reżyser, b. dyrektor Narodowego Teatru Jidis: »Moim wychowawcą w domu dziecka w Abidżanie był właśnie Henryk Markiewicz i dzięki niemu dobrze poznałem język polski. Jemu zawdzięczam strofy Mickiewicza: „Litwo, ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie...” .

Ale nie o tym mam opowiadać. Czasy były trudne i głodne. Było nas w domu dziecka wielu, żywość wydzielano skąpo, więc – jak to chłopcy – wyprawialiśmy się na pola okolicznych kołchozów. W szajce był nawet Ludwik Flaszen!

Ja, z aktorskimi zdolnościami i pewną znajomością uzbeckiego, zagadywałem wartownika, a koledzy kradli co się dało – arbuzy, ogórki, pomidory... W końcu zmienił się wartownik i trafiliśmy do kryminału. Wyciągnął nas wychowawca – Markiewicz. Od tego czasu nie ukradłem nawet zapałki! No, chyba że oklaski koledze na scenie...

W 1946 roku wróciłem do Polski. Moi rodzice nie zdecydowali się jednak zostać w ojczyźnie i wyjechali do Izraela, ale przez lata miałem dobre kontakty z polskim teatrem – z Flaszenem, Swinarskim, Maciejem Wojtyszko, który wystawił po raz pierwszy w Izraelu *Kartotekę* Różewicza...«. To także należy zapisać do księgi zasług Henryka Markiewicza.

* * *

Drogi historii spowodowały, że Markiewicz, wracając w 1945 roku do Krakowa włączył się w oficjalne życie. Nikt zresztą wówczas nie mógł przewidzieć, jak potoczy się walec historii. Wybór dotyczył zaangażowania w szeroko rozumianą odbudowę Polski po wojennej tragedii, albo mniej lub bardziej bierne oczekiwanie na wybuch kolejnej wojny światowej.

Mamy więc Markiewicza zaangażowanego w budowę nowego ustroju i Markiewicza, który niesie w sobie bagaż inteligenta XX-lecia międzywojennego. Dla wielu, nawet dla admiratorów Profesora, w tym np. prof. Andrzeja Romanowskiego (Jego współpracownika i następcy na funkcji szefa *Polskiego Słownika Biograficznego*), to dwa, zupełnie do siebie nieprzystające światy. A przecież dla polskiego, lewicującego inteligenta, nie było innego wyboru.

Widzimy zatem Henryka Markiewicza wchodzącego w świat polonistyki, i jego promotorów, w tym np. prof. Stanisława Pignonia, o którym Markiewicz przez całe życie mówił z wielką atencją, a który, choć odległy o lata świetlne od politycznych poglądów Henryka, przyjął go życzliwie do rodziny polonistycznej.

A przecież, to jeszcze inne spostrzeżenie prof. Romanowskiego, właśnie sprzężenie tych różnych wektorów: międzywojnia, Syberii, przedwojennego marksizmu i uniwersyteckiej profesury spowodowało, że Henryk Markiewicz stał się stróżem inteligentkiej tradycji – etosu inteligencji polskiej z jej zwycięstwami i klęskami, inteligencji liberalnej, etycznej, samokrytycznej, która potrafiła budować mosty zarówno gdy chodzi o wielonarodowościowe społeczeństwo II Rzeczypospolitej jak i mosty między Polską a Europą i światem.

Doświadczenia epoki międzywojnia, skojarzone z umysłem ogarniającym ogromne obszary wiedzy i zdolnym do niezwykle precyzyjnej syntezy, spowodowały, że Henryk Markiewicz (używający we wczesnej młodości jeszcze imienia Herman) stał się zdeklarowanym marksistą i od tego marksistowskiego widzenia świata nie odstąpił, mimo dziejowych wichrów i wszelkich przemian. W swoich principiach zawsze uciekał od wszelkich dogmatyzmów, stał się też jednym z założycieli lewicowej, inteligentkiej „Kuźnicy”. Upadek PRL i całego „obozu socjalistycznego” Profesor przyjął z pewnego rodzaju ulgą. Jego marksizm był jak najdalszy od codziennej praktyki „realnego socjalizmu”, a przez przekształcenia ustrojowe zyskał niejako nowe, solidne, uzasadnienie.

* * *

Umiął Markiewicz pełnić rolę strażnika etosu w czasach przełomu, o czym szczególnie świadczą dwa jego dokonania. Pierwsze, to redagowanie cyklicznego wydawnictwa *Obraz literatury Polskiej XIX i XX wieku* – dzieło niedoceniane, a gęste od materiału i pełne bajecznych syntez historyczno-literackich zawartych w kolejnych seriach wydawnictwa. Ten „obraz” powstawał od roku 1965, gdy istniała cenzura, „opresja komunistyczna” itd. A tymczasem tam nie ma jej śladu! To uczciwe dzieło pokazujące obraz literatury polskiej od sentymentalizmu do dwudziestolecia międzywojennego. Przedsięwzięciem kierowała Redakcja naczelna, w której poszczególne osoby się zmieniały, także z racji wieku, ale jedna trwała niezmiennie do 1994 r., kiedy przedsięwzięcia poniechano, bo w „nowych czasach” wydawało się „niepotrzebne”. Tą jedyną stałą postacią był Henryk Markiewicz.

Kolejne dzieło, to oczywiście *Polski Słownik Biograficzny*, do którego redakcji wszedł w 1960 r., a którego kierownictwo przejął w 1989 r. po śmierci prof. Emmanuela Rostworowskiego. To w *Polskim Słowniku Biograficznym*, w czasach gdy przecież istniała cenzura, ukazywały się teksty zupełnie zdumiewające, które nie miałyby racji bytu w żadnym z innych krajów „obozu socjalistycznego”, a sam Markiewicz był m.in. autorem wyzbytego arbitralnych ocen biogramu Zygmunta Nowakowskiego, pisarza nie tylko emigracyjnego, ale zdecydowanie antykomunistycznego.

– Gdyby dziś przyszło mi zredagować życiorys Henryka Markiewicza – zauważa Romanowski – nie wiem, co bym zrobił. Jak pokazać tę wielowarstwowość, wielostronność, zmienność i stałość, jaką prezentował swym pisarstwem Henryk Markiewicz?

FILIP RATKOWSKI

MICHAŁ ŚLIWA

KRZYSZTOF DUNIN-WĄSOWICZ

(1923 – 2013)

Niewielu może dorównać Profesorowi Krzysztofowi Dunin-Wąsowiczowi, uczonemu i społecznikowi o wyjątkowym życiorysie. Był bowiem z „pokolenia Kolumbów”. Człowiekiem Żoliborza. To już dużo wyjaśnia. Gdy jeszcze dodać, że należał do niestety dziś już zapomnianej formacji ideowej i intelektualnej – Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, pełniąc na początku drugiego okresu powojennego funkcję wiceprezesa, to będziemy mieli jeszcze pełniejszy i wszechstronniejszy obraz Jego osobowości promieniującej najlepszymi wartościami humanistycznymi i etycznymi.

Droga życiowa Profesora Krzysztofa Dunin-Wąsowicza była charakterystyczna dla generacji ukształtowanej w warunkach Drugiej Rzeczypospolitej. Urodził się 22 stycznia 1923 roku. Uzyskał staranne wychowanie – w rodzinie inteligenckiej, wywodzącej się ze starego rodu szlacheckiego, silnie jednak pielęgnującej tradycje patriotyczne i demokratyczne. Od małego dziecka obcował z wielką historią. Jego matka Janina przyjaźniła się z Aleksandrą Piłsudską, która była matką chrzestną młodszego brata Marka. Toteż często gościł w Belwedrze. Podczas uroczystości państwowych opiekował się weteranami 1863 roku, okrywając ich pledami i dostarczając napoje. W wyniku wybuchu drugiej wielkiej wojny musiał przerwać naukę w Gimnazjum i Liceum im. Księcia Józefa Poniatowskiego. Egzamin dojrzałości złożył już jako uczestnik tajnego nauczania w maju 1940 roku. Następnie odbywał potajemnie studia w sekcji historycznej Uniwersytetu Warszawskiego; wśród kolegów, studentów-konspiratorów spotkał liczne grono w przyszłości wybitnych historyków, między innymi Andrzeja Wyczańskiego, Andrzeja Zachorskiego, Stanisława Kalabińskiego, Jerzego Michalskiego i Zbigniewa Wójcika. Nieoczekiwanie przerwane studia w kwietniu 1944 roku dokończył dopiero dwa lata później na wolnym już Uniwersytecie Warszawskim w seminarium profesora Stefana Kieniewicza, po kilkumiesięcznym zresztą epizodzie studiów historycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie znalazł się wiosną 1945 roku po ucieczce ze Stutthofu, i gdzie również dzielił trudy powojennego życia studenckiego z licznym gronem kolegów – w przyszłości wybitnych historyków z Emanuelem Rostworowskim, Józefem Buszką, Andrzejem Kozaneckim, Marianem Zgórniakiem i Antonim Podrazą na czele.

Podczas okupacji działał w harcercskiej konspiracji, tworzącej w późniejszym czasie batalion „Baszta” Armii Krajowej. Współorganizował grupę młodzieży socjalistycznej „Płomienie”, nazwaną od tytułu wydawanego czasopisma od stycznia 1942 roku. W jego pierwszym numerze, redagowanym wspólnie między innymi z Ja-

nem Strzeleckim, Karolem Lipińskim, Tadeuszem Sołtanem, Tadeuszem Wuttke i Jackiem Nowickim, wyrażano dążenia ideowe: „Jesteśmy socjalistami. Chcemy wysiłkiem swoich uczuć i myśli przenieść przez czas dzisiejszy, czas wojny, czas śmierci i pogardy, wiarę w treść dążeń ruchu socjalistycznego. Chcemy wiarę tę i pewność szerzyć wśród pokolenia spomiędzy dwóch wojen, pokolenia wychowanego w niechęci do złudzeń, w nieufności słów, w poczuciu twardej rzeczywistości życia”.

Aresztowany 13 kwietnia 1944 r. po kilkunastotygodniowym więzieniu na Pawiaku został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Stutthofie pod Gdańskiem. Również tam uczestniczył w konspiracji, tym razem obozowej. W czasie okupacji niemieckiej wydatnie pomagał ludności żydowskiej, współpracując z Radą Pomocy Żydów „Żegota”, za co został odznaczony wraz z matką Janiną medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata (1982) oraz Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2007).

Zaraz po zakończeniu wojny, z początkiem 1946 roku i przed ukończeniem studiów historycznych, rozpoczął pracę naukową w Instytucie Pamięci Narodowej przy Prezydium Rady Ministrów, przekształconym w dwa lata później w Instytut Historii Najnowszej. Po jego rozwiązaniu kontynuował ją w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Stopień doktora uzyskał w trzy lata po ukończeniu studiów. W 1955 roku podjął pracę w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, gdzie dwa lata później otrzymał stanowisko docenta, profesorem nadzwyczajnym mianowano go w 1964 r., a zwyczajnym w 1980 r. Przepracował tu do 1994 roku.

Pozycję naukową mierzy się najczęściej liczbą publikacji. Profesor Krzysztof Dunin-Wąsowicz miał ich czterysta dwadzieścia, w tym dwadzieścia sześć monografii. Lecz ten wskaźnik ilościowy można i trzeba uzupełnić określeniem wkładu w historiografię najnowszych dziejów. Krzysztof Dunin-Wąsowicz zapisał się na trwałe w historiografii polskiej i europejskiej w badaniach nad obozami koncentracyjnymi. Uzyskał liczące się wyniki w dziedzinie historii Warszawy i przyczynił się do rozbudzenia zainteresowań badawczych ruchem ludowym.

Swymi zainteresowania badawczymi objął On również dzieje powstania styczniowego. Koncentrował się głównie na biografistyce i pamiętnikarstwie. Opracował między innymi życiorys Marcina Lelewela-Borelowskiego, wydał pamiętniki z okresu powstania styczniowego, a nawet zajmował się analizą sytuacji demograficznej na ziemiach polskich w dobie popowstaniowej, którą przedstawił w tomie trzecim *Historii Polski*. Badając zaś

dzieje ruchu ludowego skupił się głównie na Galicji. Poświęcił mu rozprawę doktorską na temat Jana Stapińskiego. Stała się ona podstawą popularnej biografii tego działacza, wywołując spore kontrowersje w środowisku historycznym. W późniejszych pracach przedstawiał natomiast czasopiśmiennictwo ludowe w Galicji oraz edycje pamiętnika Jana Stapińskiego, dziennika Jakuba Bojki (1923 r.) oraz listy księdza Stanisława Stojałowskiego.

Tak się złożyło – bez szczególnej intencji – że Warszawa interesowała Go w czasie obu wojen światowych. Pierwszą dotyczyła monografia oraz edycja źródłowa pamiętników o losach miasta. Efektem zaś badań nad losami stolicy kraju podczas II wojny światowej pozostał tom V *Historii Warszawy – Warszawa w latach 1939–1945* oraz monografia poświęcona dzielnicy miasta, z którą był uczuciowo związany, czyli Żoliborzowi.

Zapewne droga życiowa przesądziła o tym, że od wielu lat Krzysztof Dunin-Wąsowicz koncentrował badania na problematyce hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Fundamentalnym dziełem z tego zakresu stała się monografia zatytułowana *Ruch oporu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 1933–1945*, opublikowana również w wersji angielskiej. Tego typu komparatystyczne ujęcie jest unikalne w literaturze światowej. Dzieło to utrwaliło pozycję autora na międzynarodowym forum historyków. Otrzymał za nią nagrodę tygodnika „Polityka”. Nie mniej uwagi poświęcił również obozowi w Stutthofie, publikując już w 1946 roku monografię *Stutthof. Ze wspomnień więźnia obozu koncentracyjnego*, z przedmową dyrektora IPN profesora Stanisława Płoskiego.

Nie sposób nie wspomnieć o prekursorskich badaniach Profesora Krzysztofa Dunin-Wąsowicza nad stosunkami polsko-francuskimi w okresie powstaniowym oraz nad stosunkiem francuskiej opinii publicznej do sprawy polskiej, a także nad dziejami Ukrainy i stosunkami polsko-ukraińskimi, przede wszystkim na płaszczyźnie ruchu ludowego i socjalistycznego. Ulubionym ponadto Jego przedmiotem badań były dzieje polskiego ruchu socjalistycznego, przynoszące wymierne osiągnięcia.

Był On niewątpliwie badaczem-polihistorem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Obce Mu było – jak sam przyznawał – kronikarskie podejście badawcze, ale też wszelkie ujęcia charakterystyczne dla historii alternatywnej bądź spiskowych wyobrażeń przeszłości. Bliskie Mu były założenia metodologiczne neopoztywistycznej szkoły historycznej. Ale też nie stronił od wyrażania własnych ocen, nieprzesłaniających jednak naukowego wymiaru przekazu historycznego. Kwestionując podporządkowanie historii polityce, odrzucał pod każdą postacią politykę historyczną, traktującą instrumentalnie naukę historii.

Profesor Krzysztof Dunin-Wąsowicz był także popularyzatorem wiedzy historycznej i społecznikiem. W latach 1945–1948 należał do ścisłego kierownictwa Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Po jego likwidacji poświęcił się głównie pracy naukowej, gdyż nowe warunki ustrojowe zawęziły Mu pola aktywności publicznej. Ograniczyć musiał publiczność działalności. Działał w Muzeum w Stutthofie, w Komisji Historii I i II wojny światowej przy Komitecie Nauk Historycznych PAN, był współtwórcą i wiceprezesem

Towarzystwa Naukowego im. Adama Próchnika. Zasiadał w Komitecie Redakcyjnym *Polskiego Słownika Biograficznego*. Po 1987 roku działał w Polskiej Partii Socjalistycznej, przewodnicząc jej komisji historycznej. Uczestniczył w międzynarodowych gremiach ostrzegających przed groźbą neofaszystów. Dlatego Jego stosunek do badań II wojny był nie tylko stosunkiem uczonego, ale zaangażowaniem człowieka doświadczanego przez „czas pogardy”.

Uczestnictwo w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, Klubie Krzywego Koła, Polskiej Partii Socjalistycznej były już tylko naturalną konsekwencją wyboru ideowego. Wiele przeżył i wycierpiał. W wolnej Polsce, w czasach, gdy skazano idee socjalistyczne na zapomnienie, wyznaczając im miejsce na »śmietniku historii« bronił tych idei starając się przekonać, iż nikt do tej pory – jak właśnie projekty socjalistyczne – nie nadał ludzkim potrzebom i dążeniom uniwersalnego i humanistycznego wymiaru. Stał się przeto przedmiotem ataku bojówkarzy Ligi Republikańskiej, doznając poważnych obrażeń od rzuconej petardy górniczej w manifestację pierwszomajową w Warszawie, w 1999 roku.

Pomimo niełatwego życia, gdyż można powiedzieć, iż historia dla Niego, jak zresztą dla całego Jego pokolenia, nie była łaskawa, zachował dystans do życia, biegu wydarzeń, zachował wiarę i optymizm w dobro natury ludzkiej. Pomimo doznanych osobiście skutków barbaryzacji i wynaturzeń ludzkiego działania zachował głębokie przekonanie o możliwości odrodzenia się zasady człowieczeństwa na drodze – jak sam wnioskował – »realistycznego programu demokratycznego socjalizmu«, gdyż „wciąż wierzę – deklarował – że socjalizm, ta wielka idea społeczna, powinien być wzorcem, drogowskazem w trudnych czasach”. Jest zapewne ostatnim wielkim, polskim socjalistą, naturalnym spadkobiercą i kontynuatorem całej polskiej tradycji patriotyczno-demokratycznej, o których to ludziach polskiego socjalizmu pisał sam ich nestor – Bolesław Limanowski, iż „podnosząc na nowo sztandar demokratyczny, Wiśniowskich, Worcellów, Goslarów, Ściegiennych, ów sztandar, na którym czytaliśmy, wszechwładztwo wróci do ludu: stan niegdyś panujący rozwiąże się ostatecznie, między lud zstąpi, stanie się ludem, wszyscy będą równi, wszyscy wolni, wszyscy dziećmi jednej matki Ojczyzny”.

Wyraznym znamieniem Jego osobowości pozostały nonkonformizm, niezależność intelektualna, niezgoda na niesprawiedliwość i krzywdę ludzką, szacunek dla drugiego Człowieka. Nie zabiegał nigdy o dobra dla siebie, o godności i zaszczyty, ale dostąpił – jak żaden inny uczony – powszechnego uznania i szacunku za swe dokonania naukowego i obywatelskie, gdyż w „osobie Profesora Krzysztofa Dunin-Wąsowicza – odwołując się do konkluzji wypowiedzianej niegdyś przez profesora Czesława Madajczyka w związku z sześćdziesięcioleciem urodzin i trzydziestopięcioletniem pracy naukowej Jubilata – ściśle ze sobą harmonizowały wybitne uzdolnienia, benedyktyńska pracowitość, rzetelność intelektualna, szeroki zakres zainteresowań naukowo-badawczych i postawa humanisty. Był wymagający zarówno wobec siebie, jak i wobec otoczenia, w tym zakresie może służyć jako wzorzec”.

Pozegnaliśmy Go na zawsze 9 maja 2013 roku.

MICHAŁ ŚLIWA

POŻEGNANIE

ANNY SIATKOWSKIEJ

Stanisław Pigoń opublikował w 1946 roku książkę *Z Komborni w świat – Z przędzy pamięci*. Pisze w niej o swojej ciernistej drodze z ubogiej rodziny chłopskiej do profesury w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Los sprawił, że kiedy Anna Siatkowska kończyła w 1955 roku studia polonistyczne na UJ dyplomem magisterskim, wśród jej mistrzów był Stanisław Pigoń, Juliusz Kleiner, Kazimierz Nitsch, Kazimierz Wyka, Henryk Markiewicz, Wacław Kubacki i wszyscy inni prominenci krakowskiej polonistyki. Tak zaczynała się Jej własna „droga z Komborni”.

Na kształtowanie się postawy obywatelskiej Anny, całokształt formowania się jej osobowości obywatelskiej i światopoglądu oddziaływało środowisko Przemyśla i dzieje miasta w czasie obu wojen światowych. W pierwszej, straszliwe walki wokół Twierdzy Przemyśl, trzy oblężenia, i milion ofiar po obu stronach w czasie kampanii, uważane przez historyków za najkrwawsze pole bitew obok walk pod Verdun. Podczas drugiej wojny był słynny most na Sanie, oddzielający do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej 22 czerwca 1941 roku Generalną Gubernię od ZSRR, holokaust, rzezie wołyńska i małopolska z rąk UPA i zdobycie Przemyśla przez Armię Czerwoną i współdziałających z nią żołnierzy 38 Pułku Piechoty Armii Krajowej¹.

Paradygmat tych wydarzeń oddziaływał na świadomość wszystkich mieszkających tam ludzi; potwierdza to Timothy Snyder, w książce *Skrwawione ziemie*, tj. obszar od środkowej Polski poprzez Ukrainę, Białoruś i kraje bałtyckie po zachód Rosji, gdzie zginęło z rąk Hitlera i Stalina 14 milionów cywilów i jeńców. To tragiczne doświadczenie obecne jest w świadomości

wszystkich ludzi z pokolenia Anny Siatkowskiej, niezależnie od własnych losów indywidualnych.

„Krajobraz po bitwie” był przerażający: miasta Warszawa, Gdańsk, Wrocław, Szczecin, Poznań w ruinie, wiele małych miast obróconych w perzynę, wyludnione całe połacie Polski, połowa mieszkańców kraju zmieniała miejsce pobytu w rozpacz i przerażeniu, wykorzeniona z wielowiekowej tradycji i krajobrazu, z dobytkiem lub całkowicie z niego wyzuta, w transportach PUR (Państwowy Urząd Repatriacji) „wracała” na piastowskie ziemie; pojawiło się pojęcie „szaber”, tj. kradzież mienia poniemieckiego, demoralizacja na masową skalę

O lokalizacji wielkiego projektu budowy kombinatu pod Krakowem przesądziły względy gospodarcze i społeczne. Zaledwie kilku inżynierów miało pojęcie o skali i rozmiarach przedsięwzięcia. Budowa miała pochłonąć gigantyczne pieniądze, zmienić oblicze społeczne przeludnionej wsi małopolskiej, przyciągnąć dziesiątki tysięcy ludzi bez kwalifikacji, wykształcenia, nierzadko analfabetów i nauczyć ich nowych zawodów, wdrożyć do pracy, przystosować do życia w mieście, które mieli zbudować w szczerym polu, wyuczyć ich fachu hutniczego, o czym nie mieli żadnego wyobrażenia. Po zakończeniu planu trzyletniego, kiedy zaleczono choć częściowo rany zadane przez ostatnią wojnę, która obróciła w perzyną 38 proc. majątku narodowego i ustaliła obecne granice Polski między Odrą a Bugiem, a połowa populacji zmieniła niezależnie od swojej woli miejsce pobytu, nadchodził czas industrializacji, czas planu sześcioletniego.

Podjęta w lutym 1949 roku rządowa decyzja o budowie kombinatu metalurgicznego o rocznej produkcji 1,5 miliona ton stali wraz ze stutysięczną dzielnicą

¹ wg Tadeusza Żenczykowskiego w książce *Polska Lubelska*, Paryż 1987, wyd. Editions Spotkania 1987.

mieszkaniową miała znaczenie dla dalszych losów Polski. Minęły zaledwie cztery lata od zakończenia wojny na niebывałą skalę, cztery lata od zrzucenia bomb atomowych na Japonię, cztery lata od wyzwolenia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, cztery lata od genocydu przekraczającego wszelkie granice wyobraźni. Niemal przed chwilą parokrotnie przez Polskę przetoczyły się milionowe armie z całą logistyką wojny, maruderami, prawem wojennym, a raczej bezprawiem i terrorem, rabunkiem, gwałtem – całą infrastrukturą zorganizowanej przemocy. Toczyła się wojna domowa na szeroką skalę i odbywało się to, co później nazwano eufemicznie „czyszczeniami etnicznymi”.

Do dawnej wsi Mogiła, wyrwani, wykorzeni niierzadko z ojcowizny, która legła w gruzach po wojnie, przybyli tu setkami, potem tysiącami i dziesiątkami tysięcy młodzi ludzie głównie z przeludnionych terenów Małopolski; zbędni na swojej ziemi, często zabobonni, wręcz niepiśmienni. Grzebali w gigantycznej dziurze w ziemi w niewyobrażalnych zwalach błota, mieszkając początkowo w namiotach i w najprymitywniejszych barakach. Mieli zbudować gigantyczną fabrykę, miasto, wyuczyć się zawodu, założyć rodziny i stworzyć dla siebie godnie warunki życia, o którym większość nie miała żadnego wyobrażenia.

W 1950 roku liczyła blisko 19 tys. A w 1955 już ponad 82 tys. ludzi².

Tak zaczęła się Nowa Huta i największy w dotychczasowych dziejach polskich eksperyment na żywym organizmie społecznym.

Kiedy Anna Siatkowska kończyła studia na UJ, ukazał się w 1955 roku, w Nowej Kulturze *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka.

W dwa lata potem już kierowała Wydziałem Kultury ówczesnej Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie.

Bez żadnej przesady można powiedzieć, że stworzeniu wszystkich instytucji kultury, bibliotek, księgarni, MPiK-u, szkoły muzycznej, domów kultury i klubów, kin, działalności zespołów regionalnych, licznych zespołów amatorskich, orkiestr, koncertów, niezliczonym inicjatywom społecznym dla kultury, nie tylko patronowała, ale często tworzyła je od podstaw, dosłownie od fundamentów.

Tworzyła sieć placówek bibliotecznych w Nowej Hucie wydzieloną pod względem finansowym i gospodarczym z Wydziału Kultury Miasta Krakowa i przekazaną Wydziałowi Kultury Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie.

Jej oczkiem w głowie była Grupa Nowohucka: Julian Jończyk, Barbara Kwaśniewska, Janusz Tarabuła, Danuta i Witold Urbanowiczowie, Jerzy Wroński a także Stowarzyszenie Twórcze „Grupa Nowa Huta” w składzie: Roman Banaszewski, Irena Dembowska, Anna Güntner, Aleksandra Konior, Waldemar Krygier, Wojciech Krzywobłocki, Lucjan Mianowski, Eugeniusz Mucha, Andrzej Nowak, Piotr Schneider, Janusz Trzebiatowski, Stanisław Urban i Paulin Wojtyna. Środowisko ludzi kultury budowane tak konsekwentnie przez Annę Siatkowską bynajmniej nie ogranicza się do wymienionych nazwisk. Sprzyjała i wspomagała swoją troską i wysiłkiem organizacyjnym wielu innych wybitnych twórców wszystkich dziedzin kultury, a było to

na przestrzeni wielu lat co najmniej kilkadziesiąt osób, nie licząc ich rodzin.

Swoim entuzjazmem i codzienną szarpaniną зараżała dziesiątki, setki ludzi zjednując ich dla aktywności społecznej. Zadbala nie tylko o godziwe warunki pracy dla nich, ale inspirowała organizację wystaw, wykraczających swoim znaczeniem poza opłotki Nowej Huty, w Polskę, w Europę, w świat.

Blisko, na co dzień współpracowała z wybitnymi postaciami Teatru Ludowego, Krystyną Skuszanką, Jerzym Krasowskim, Józefem Szajną, Marianem Garlickim, Ireną Babel, Waldemarem Krygierem, ze Sceną Nurt 71, założoną i kierowaną przez Jana Güntnera. Zabiegała o przyjazne warunki mieszkaniowe dla ludzi teatru, muzyki (Juliusz Łuciuk i Bogusław Schaeffer) i pióra, jak choćby *Grupa Barbarus*, kierowana przez Stanisława Stanucha i Teresę Sochę-Lisowską.

Rzuciła myśl o stworzeniu samorządowych instytucji kultury, w tym Nowohuckiego Centrum Kultury, którego budowę rozpoczęto na początku lat siedemdziesiątych pod kierunkiem Zbigniewa Pawelskiego.

Od fundamentów, w 1971 roku powstał na Osiedlu Tysiąclecia z jej inicjatywy Młodzieżowy Dom Kultury im Andrzeja Bursy, do dziś prowadzący ożywioną działalność kulturalną i społeczną.

Wychowana na etosie pracy organicznej, na ideach Stefana Żeromskiego, uważała, że istnienie własnego profesjonalnego środowiska artystycznego jest bodźcem zainteresowania kulturą w ogóle, a wysoką kulturą w szczególności. Z jej inicjatywy budowano pracownie z mieszkaniami dla malarzy, rzeźbiarzy i grafików, zadbala o mieszkania dla ludzi teatru i muzyki. Potrafiła się z nimi przyjaźnić, przychylić im przysłowiowego nieba, dbać o ich promocję w dzielnicy, mieście i poza granicami kraju.

Jej osobistym sukcesem było skupienie wokół siebie grona współpracowników, dla których była autentycznym autorytetem i umiała torować im drogę w gąszczu priorytetów gospodarczych i inwestycyjnych w sprawach, które decydowały się na różnych szczeblach władzy dzielnicy, miasta, w gabinetach ministrów.

Była Damą wysokich orderów Polski, Zasłużonym Działaczem Kultury, laureatką Nagrody m. Krakowa, wyróżniona też jego Złotą Odznaką, autorką artykułów i opracowań, które kontynuowała do ostatniej chwili życia. Przykuta przez długie lata do łóżka, pozbawiona możliwości ruchu, znosząca długie doby cierpienia i bólu, w opuszczeniu przez kałkowskie, pazerne instytucje, powołane do służebności, a już na pewno nie do nękania, a były takie zakusy, zdana była wyłącznie jedynie na czułą opiekę syna.

Kiedy w 1980 roku w toku przemian politycznych odchodziła na wcześniejszą emeryturę, nie mogła przypuszczać, że jej dorobek życia będzie musiał przeżyć niejeden regres, niekiedy roztrwoniony, popaść w niepamięć.

Zasmuca wymowna obojętność i nieobecność dzisiejszych władz dzielnicy Nowa Huta i władz miasta Krakowa podczas Jej ostatniego pożegnania.

Zegnaj Pani Anno.

Cześć Jej pamięci!

JAN GÜNTNER

² Piszą szczegółowo o tym prof. Irena Paczyńska i Anna Ptaszycka

STANISŁAW GĘBALA

BEZSTRESOWO

W pierwszym tegorocznym numerze „Wysokich Obcasów” (z 4 stycznia), weekendowego dodatku do „Gazety Wyborczej”, znalazła się rozmowa z p. Barbarą Jurgą (*Do cioci Basi nie mówimy po polsku*), psychologiem i nauczycielką wychowania przedszkolnego (warto zwrócić uwagę na to pomieszczenie rodzajów w jednym zdaniu – „psycholog” i „nauczycielka” – z krótkiej notki biograficznej, zamieszczonej w „WO”), mieszkającą od ponad 25 lat w Londynie. Głównym przedmiotem rozmowy jest sensacyjny proces sądowy, który wytoczyła swoim angielskim pracodawcom, ale ja zacytuję tu tylko jedno zdanie, zupełnie niezwiązane z ową bezprecedensową sprawą i w ogóle mogące umknąć uwadze czytelnika. Brzmi ono tak: „Wprowadziłam w klasie ciszę i dyscyplinę”. Trzeba wyjaśnić od razu: chodzi o angielskie przedszkole, pracujące metodą Montessori.

Przecieram oczy i uszy ze zdumienia: padło tu bowiem dawno niewidziane i niesłyszane słowo „dyscyplina”, wyrugowane – ba! wyegzorcyzmowane – z języka pedagogiki parę dziesięcioleci temu, kiedy bezapelacyjne zwycięstwo odniosło wychowanie bezstresowe – największa bzdura i najbardziej społecznie szkodliwa.

Wychowanie bezstresowe miało nas zaprowadzić do krainy łagodności, która w miarę upływu czasu dziwnie zaczęła się zmieniać w krainę brutalności, chamstwa i agresji (zmieńmy kolejność: agresji, brutalności i chamstwa – żeby było alfabetycznie). Dewizą najgorliwszych propagatorów wychowania bezstresowego, którzy usadowili się głównie w administracji szkolnej (gdzieżby indziej!), było: żadnych nakazów i zakazów, nie mówiąc już o karach. Podobne rojenia snuł przed paroma stuleciami Jean Jacques Rousseau w swojej powieści *Emil*, do której oczywiście nigdy w życiu nie sięgnąłem, ale o której nasłuchałem się do znudzenia przed sześćdziesięciu mniej więcej laty, jako uczeń liceum pedagogicznego.

Nie, nie będę się cował tak daleko, ale nie mogę się powstrzymać przed wspomnieniem pewnej konferencji dyrektorów szkół sprzed lat około dwudziestu. Uczestniczyłem w niej jako pracownik Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Bielsku-Białej. Tematem było (a jakże!) eliminowanie stresu z edukacji szkolnej. Słuchałem kolejnych wystąpień z mocnym postanowieniem, że tym razem nie zabiorę głosu – i jak zwykle, w pewnej chwili nie wytrzymałem, próbując przypomnieć zebrany oczywisty fakt, że sytuacje wywołujące stres są nieusuwalne zarówno ze szkoły, jak i z rzeczywistości pozaszkolnej; a jeśli nawet udałoby się je usunąć ze szkoły, to tym gorzej, bo nasi wychowankowie zderzą się z nimi tuż za szkolnym progiem, zupełnie na nie nieprzygotowani. Tych parę truizmów niesłuchanie wzburzyło zebranych, a najbardziej obecnego na konferencji wicekuratora, który dał mi do

zrozumienia, że hołduję anachronicznym poglądom i w ogóle wskazał mi miejsce w szeregu.

Rzecz jasna, nie trzeba było długo czekać na konferencje poświęcone rosnącej w szkole agresji, w tym także tej zwróconej przeciw nauczycielom. Bo jakoś niepostrzeżenie przeszliśmy od modelu szkoły, w której nauczyciel bezkarnie bił uczniów, do szkoły, w której uczniowie zaczęli bezkarnie bić nauczyciela. Równocześnie niebywałą karierę w pedagogice zaczęło robić słowo „partnerstwo” – i to nie tylko w pedagogice szkolnej; „partnerstwo” zaczęło obowiązywać również w rodzinie. Wyglądało ono często naprawdę zabawnie (albo zgoła przerażająco – zależnie od nastawienia obserwatora), kiedy mały „partner” wyjął upiornie kopnąć mamusię lub tatusia, a ci tłumaczyli mu z niezmałym spokojem, żeby tego nie robił, bo się zmęczy.

Opowiadam stare dowcipy? Bynajmniej. Dowcipy pojawiły się później, jako syntetyczny obraz rzeczywistości. Zresztą konkretne zdarzenia bywały śmieszniejsze od dowcipów. Pamiętam np. opowieść mojego brata, który na wczasach był świadkiem prześmiesznej scenki rodzinnej. Ojciec „karcił” tradycyjnie pasem (było to w czasach zamierzchłych, gdzieś w latach 70. XX w.) 9-10-latka, który, oczywiście, dał się wniebogłoso, a mamusia dogadywała z boku: „Nie wolno pluć na tatusia”. Dziecię, zanosząc się płaczem, wykrztusiło wreszcie urywanymi sylabami: „Ja nie chciałem opluć tatusia, ja ciebie chciałem opluć!”. W tej rodzinie bez wątpienia nie zapanowały jeszcze w pełni stosunki partnerskie. Przede wszystkim mamusia postużyła się zakazem „nie wolno” – niedopuszczalnym w modelu rodziny partnerskiej. O reakcji tatusia w ogóle nie warto mówić.

„To dziecko nie zna słów »nie wolno«” – usłyszałem, mniej więcej dekadę później, wyjaśnienie z ust matki trzylatka, któremu widocznie przyglądałem się ze zbyt słabo ukrywanym zdumieniem, kiedy bazgrał długopisem po jakichś dokumentach wyciągniętych z szuflady (na szczęście, nie mojej). Matka była nauczycielką, podobnie jak reszta obserwatorów tej sceny. Wtedy już obowiązywał bezwzględny zakaz stosowania zakazów.

Z biegiem lat coraz bardziej intrygowało mnie pytanie, jak owi mali (a później coraz więksi) ludzie, nie znający słów „nie wolno”, funkcjonują w grupach rówieśniczych – przedszkolnych, szkolnych, studenckich – i w ogóle w społeczeństwie? Ale to już jest całkiem poważny problem, którego nie da się zbyt dowcipami. Przeciwnie: śmiech często zamierał nam na ustach ustępując poczuciu grozy. Ja doświadczyłem go po raz pierwszy w nowej rzeczywistości po przełomie lat 80. i 90. oglądając w telewizji roześmianego nastoletniego zabójcę, który mówił: „Jest demokracja i wszystko mi wolno!”. Ciekawe czy ktoś jeszcze to pamięta, bo

przecież w ciągu mijającego już prawie 25-lecia takie zdarzenia zaczęły się powtarzać zatrważająco często.

Jednak poczucie bezkarności, choćby najgłośniejszemu manifestowane, nie wydało mi się tak groźne, jak wyraźnie widoczna niezdolność młodych ludzi do jakiegokolwiek samokontroli. Słyszałem wielokrotnie, jak starsi ludzie powtarzali: „oni [młodzie] nie mają żadnych hamulców” – ale ponieważ powtarzali to zbyt często, musiało upłynąć sporo czasu, żebym dostrzegł w tym stwierdzeniu niesłychanie trafną obserwację. Musiało również nastąpić jeszcze przynajmniej kilka zdarzeń, w których z najbliższego powodu ktoś ginął, najczęściej pchnięty nożem. W takich wypadkach ze szczególną uwagą słuchałem, co mają do powiedzenia sprawcy. Nawet notowałem sobie te wypowiedzi, ale chyba nie warto ich cytować, bo są do siebie dziwnie podobne i dadzą się tak oto streścić: to nóż kierował ręką, a nie ręka nożem.

Uczestnicy takich zdarzeń z reguły nie czują się ich sprawcami; „tak wyszło, jak wyszło” – powiedział w krótkim reportażu telewizyjnym jeden z kilku zakapturzonych uczestników banalnej awantury na klatce schodowej w bloku (mniejsza o to, w jakim mieście), która potem miała tragiczny ciąg dalszy kilkanaście metrów przed blokiem i zakończyła się, oczywiście, śmiertelnym pchnięciem nożem.

To zdarzyło się całkiem niedawno, gdzieś w okresie ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Zresztą szybko zatarło się w naszej pamięci przestłonięte tragedią z sześcioma ofiarami śmiertelnymi, która nastąpiła w sam Nowy Rok w Kamieniu Pomorskim. Tym razem nie nóż kierował ręką 26-letniego sprawcy, ale samochód BMW; jak wiadomo, samochody, zwłaszcza te szybkie, lubią od czasu do czasu rozjeżdżać grupy ludzi – spacerujących albo czekających na przystankach autobusowych czy tramwajowych. W każdym razie taki wniosek można wyciągnąć z relacji sprawców, którzy zresztą we własnych oczach nie są sprawcami lecz ofiarami. Nie poczuwają się do winy, bo zdarzył im się wypadek. Oni nie powodują wypadków, im wypadki zawsze się tylko zdarzają.

Warto zatrzymać przez chwilę uwagę na samym słowie „wypadek”. Kiedy tylko wytrzeźwiał sprawca masakry w Kamieniu Pomorskim, zaraz uczył się tego słowa jak przysłowiowej ostatniej deski ratunku. „To był wypadek” – powiedział, gdy usłyszał, że jest podejrzewany o celowe rozjechanie grupy ludzi idących chodnikiem w tym samym kierunku, w którym on pędził na podwójnym (a nawet potrójnym, bo podobno był również pod wpływem narkotyków) gazie, a więc pozbawionych najmniejszej szansy ucieczki przed samochodem, który uderzył w nich z tyłu.

Przyglądajmy się uważnie utartym zwrotom i wyrażeniom, którymi posługujemy się na co dzień, a więc dość mechanicznie, nie wgłębiając się w ich odcienie znaczeniowe. Mówimy np. „miał wypadek” bez względu na to czy chodzi o sprawcę, czy o ofiarę. W relacjach medialnych już częściej dokonuje się tego rozróżnienia, pisząc „uległ wypadkowi” lub „spowodował wypadek”. Ale we mnie być może przez zawodowe (polonistyczne) skrzywienie nawet tu słowo „wypadek” budzi wątpliwości. Wolałbym, żeby było ono zarezerwowane wyłącznie dla zdarzeń spowodowanych przez czynniki niezależne od człowieka i może jeszcze dla tych, kie-

dy człowiek w sposób niezawiniony przez siebie utracił kontrolę nad owymi czynnikami. Przykłady: pęknięcie przewodu hamulcowego, zwarcie instalacji elektrycznej w samochodzie itp. Ale już nie utrata panowania nad pojazdem z powodu nadmiernej szybkości, czyli głupiej brawury kierowcy. Zresztą wcześniej podane przykłady też mogą budzić wątpliwości, jeśli np. kierowca był świadom defektu przewodu hamulcowego, a mimo to zdecydował się jechać, albo sam majstrował przy instalacji elektrycznej. Obawiam się jednak, że zaczynam dzielić włos na czworo – wracam więc do tamtego koszmarne noworocznego „wypadku”.

Oglądając wielokrotnie pokazywane w telewizji miejsce zdarzenia ze śladami opon wyraźnie skracającymi w prawo na chodnik, którym szły dwie rodziny z dziećmi, a zwłaszcza po obejrzeniu (pokazanej zaledwie raz czy dwa w TVN24) symulacji komputerowej „wypadku”, powziąłem podejrzenie, że to samochód prowadził kierowcę. Bo przecież nie mogłem dopuścić do siebie innego podejrzenia, że 26-letni mężczyzna w ten sposób – kierując samochód na dużą grupę dorosłych i dzieci – rozładował swój stres spowodowany faktem, że właśnie zerwała z nim siedząca obok 19-latką.

A może jednak?... Zeszłego lata (jeśli nie poprzedniego – te lata płyną mi od jakiegoś czasu zbyt szybko) w Kołobrzegu, w którym teraz mieszkam, 21-latek w identycznej sytuacji – po kłótni ze „swoją dziewczyną” – wjechał w przystanek autobusowy, a raczej w czekające na nim dwie młode kobiety. W ten sposób rozładował swój stres.

Czy obaj byli wychowywani bezstresowo? – nie wiem. Zresztą wychowawców trzeba szukać także poza rodziną i szkołą; wychowawcą o ogromnej sile oddziaływania jest np. reklama telewizyjna, nie mówiąc już o internecie, wychowawcy niewątpliwie najpotężniejszym. Reklama skutecznie demontuje wewnętrzne hamulce młodych ludzi (jeśli jeszcze mają jakiegokolwiek), gdyż przekonuje ich najczęściej, że powinni spełniać każdą swoją zachciankę – i to od razu, natychmiast. Żadnego odraczania pragnień.

Utkwił mi w pamięci spot przedstawiający paru nastolatków, którzy skaczą na bandzi do kabrioletu, bowiem na tylnym siedzeniu samochodu są upragnione „pieguski”. Po chwili widzimy ich siedzących i jedzących ciastka z wyrazem twarzy wskazującym, iż przeżywają najwyższą rozkosz. Gdyby im ktoś zabrał te pieguski, byłiby zapewne zdolni pchnąć go nożem. Dlaczego tak sądzę? Choćby z powodu natrętnie powracającego wspomnienia sprzed lat nie pamiętam już ilu (zdarzenie oczywiście relacjonowano w mediach). Obok grupki młodych ludzi (każdy miał w ręce butelkę piwa) przechodził mężczyzna, nieostrożnie potrącając jednego z nich. Potrąconemu wypadła butelka i stłukła się. Wściekły warknął: „Przez ciebie straciłem browara! Już nie żyjesz!” – po czym pchnął go śmiertelnie nożem.

Przypominam te makabryczne zdarzenia mając pełną świadomość, że łatwo wpaść w obsesję lękową, przekształcającą w koszmar każdy spacer bardziej ruchliwą ulicą – bo przecież któryś z przejeżdżających samochodów może mieć niesprawne hamulce, a w dodatku trudno się opędzić od myśli, że ktoś z mijanych przechodniów może ich być zupełnie pozbawiony. Jeśli ten lęk zacznie dominować w skali społecznej, to on właśnie, a nie rozum i zdrowy rozsądek, zacznie dyk-

tować prawa – czego już jesteśmy świadkami (przykładem tzw. ustawa przeciw „bestiom”). Polska paranoja: w przedszkolu i szkole uchylanie wszelkich nakazów i zakazów, a w sejmie nieustanne żądania zaostrzenia kar za najgroźniejsze przestępstwa. Do tego media informujące, że te najcięższe przestępstwa coraz częściej popełniają ludzie coraz młodszy. Ciekaw jestem, czy znalazłaby się w którymś z naszych przedszkoli tak odważna nauczycielka, która by powiedziała, jak nasza rodaczka pracująca w Londynie: „Wprowadziłam w klasie ciszę i dyscyplinę”? Pewnie natychmiast rzuciliby się na nią zgodni rodzice, dyrekcja i kuratorium. Już słyszę te krzyki oburzenia: „Dyscyplina? W przedszkolu?!” Więc kiedy? Po przedszkolu są trzy lata nauczania początkowego, czyli dalszy ciąg zabaw. Potem druga połowa szkoły podstawowej, czyli uczenie rozwiązywania testów. Wreszcie gimnazjum, czyli szkoła przetrwania – i tu już pojawiają się najmłodszy przestępcy.

Więc kiedy?

Wyrabianie dyscypliny i samodyscypliny to instalowanie niezbędnych każdemu człowiekowi hamulców. (Ostatnio analogie z samochodem robią prawdziwą furorę – że wspomnę tylko błyskotliwe porównanie aktu homoseksualnego do pracy tłoka silnika w rurze wydechowej.) Kto nie jest w stanie narzucić sobie żadnych ograniczeń, nakazów i zakazów, nie będzie zdolny w przyszłości pokierować swoim życiem.

Oj! Za duże słowa mi się piszą. Co tu mówić o kierowaniu swoim życiem, skoro nie są w stanie kontrolować swoich reakcji w zdarzających się przecież na co dzień stresowych sytuacjach. Jeszcze jeden cytat. Chyba dwa dni po tragedii w Kamieniu Pomorskim idąc ulicą (nomen omen) Walki Młodych w Kołobrzegu zobaczyłem na ścianie jednego z bloków świeży napis, wykonany farbą w jaskrawym różowoczerwonym, kolorze. Nie wiem dokładnie, kiedy się tam pojawił, więc

może moje skojarzenie jego treści ze wspomnianą tragedią jest błędne. Treść jednak jest na tyle szokująca, że nie „wykropkowuję” nawet wulgaryzmu: „Czemu się rozjechał? Bo musiał!!!”

Szczególnie intryguje mnie to ostatnie słowo, dwukrotnie zresztą podkreślone i opatrzone trzema wykrzyknikami. Dlaczego „musiał”? Jaka to potężna siła pchała go do katastrofy? Nie będę twierdził zarozumiale, że znam odpowiedź na to pytanie. Nie wiem, jaka burza uczuć targa dwudziestoparolatkiem, któremu śmiała sprzeciwić się jego dziewczyna, ale domyślam się, że dominujące w tej burzy były zdumienie i wściekłość, domagająca się natychmiastowego rozładowania. To tak jakby z otwartej puszką, którą trzyma w ręce, nagle chlusnęło mu w twarz piwo.

Porównanie dziewczyny z puszką piwa wydaje mi się w pełni uprawnione przez zaimek dzierżawczy, którego młodzi ludzie używają zastanawiająco często: moje piwo, moja dziewczyna, mój smartfon... Oni żyją wyłącznie w świecie przedmiotów, których są posiadaczami, albo których pożądamy, a integralną częścią tego świata są również uprzedmiotowieni przez nich ludzie. Człowiek pozbawiony podmiotowości oczywiście nie może być żadnym partnerem; dlatego jakkolwiek sprzeciw otaczających ludzi-przedmiotów jest dla młodych zupełnie nie do pojęcia i wywołuje u nich atak niszczycielskiej furii.

To ta sama furia, którą widzimy już u 3-4-latków rzucających się na podłogę i tłukących w nią piąstkami przy akompaniamencie dzikiego wrzasku. Jeśli dziecko nie wyrasta z niej – z pomocą mądrych wychowawców, którzy nie przyglądają się biernie dziecinny atakom złości – to ona rośnie wraz z nim i staje się groźną siłą destrukcyjną albo autodestrukcyjną.

Ale już naprawdę dość truizmów...

STANISŁAW GĘBALA



PAWEŁ KOZŁOWSKI

DZIENNIK

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO (IV)

Spacer

Spacerowałem. W tym celu próbowałem wyjść z domu. Wracałem cztery razy. Najpierw musiałem sprawdzić, czy zakręciłem wodę. Za drugim razem, czy zamknąłem gaz. Nie używam go, ale przyszło mi do głowy, że sam mógł się odkręcić. Na dole klatki schodowej straciłem pewność, czy zgasiłem światło. Za czwartym razem znalazłem się przed domem. Wtedy właśnie zaświtała mi kolejna myśl: chyba nie zamknąłem drzwi na klucz. Wróciłem, żeby sprawdzić. W końcu wyszedłem. Uznałem, że dzięki takiemu zbiegowi okoliczności spacer już odbyłem. Wystarczająco długi, mieszkam na trzecim piętrze w domu bez windy. Zdecydowałem się jednak skorzystać z tego, że jestem już na zewnątrz i zrealizować drugi spacer. Pierwszy skończyłem, a następny będzie na zapas. Znaczący przewidyują kataklizmy, zapowiadają koniec świata, to wtedy więcej czasu mi się przyda na uczestniczenie w tych wydarzeniach.

Szedłem. Moje miasto jest funkcjonalne. Wyraża sposób myślenia prezydenta, czyli burmistrza. On jest kobietą. Ma włosy zawsze czarne, małe oczy i duże policzki. Między nimi niewielki nos, ale on, czyli ona, zawsze przez niego mówi. Mieszkam w starej dzielnicy. Chodniki są specjalnie ułożone. Płyty nie przylegają do siebie. Jedne wystają, inne są zapadnięte. Należy patrzeć pod nogi. Nie podnosić wzroku. W ten sposób nie dostrzega się dzieł przyklejonych na murach, rynnach oraz latarniach. One są sztuką reklamy i liternictwa, prawdopodobnie w jakimś tajemniczym języku. Czasami pojawiają się napisy o bogatej treści. Wyrażają miłość do walki powstańczej. Przegranej. Informują również o miłości do klubu piłkarskiego, którego zawodnicy przegrywają. Są chlubą swoich wielbicieli. Także obiektem ich bezwarunkowego oddania. Przy okazji autorzy informują, że nie lubią jakiejś części roweru. Szedłem bez zatrzymywania. Kiedyś to wszystko zobaaczyłem i zbadałem. Teraz mogłem się skoncentrować na samym chodniku. Okazało się, że jedna płyta była zrobiona jak huśtawka. Środkowa część znajdowała się wyżej niż boczne. Nie zauważyłem tej wyrafinowanej konstrukcji. Stałem na niej i wytrysnęła stamtąd

woda. Zalała mnie do pasa. Niecałkowicie. Niektóre fragmenty spodni miałem suche. Z podziwem pomyślałem o umiejętnościach inżyniera, który kładł tę płytę. Nie jest łatwo zrobić taki chodnik i utrzymać go długo w odpowiednim stanie. Kiedyś przeczytałem, że miasto zawiera w sobie pamięć. Może mi to ktoś powiedział. Zostało mi w głowie. Teraz zetknąłem się z pamięcią sięgającą nocy. Widocznie wtedy padało, a ja spałem. Albo coś w tym rodzaju. Ogarnęło mnie zadowolenie. Staram się go nie opuszczać.

Spacerowałem. Coś na mnie spadło. Byłem w kapeluszu. Chwilę badałem co. Przekonałem się, że żyję, a w każdym razie robię to samo co przed chwilą. Zacząłem podejrzewać, że to gołąb. Zirytowałem się i zapragnąłem zemsty, by przywrócić sprawiedliwość. Nie lubię gołębi, kleszczy, cwaniaków, komarów i kretyńców. Resztę na ogół znoszę dobrze. Zdjąłem kapelusze i stopniowo pozbywałem się niższych elementów ubrania. Badałem ślady. Okazało się, że to nie dzieło ptaka. Spadł kawałek tynku. Ucieszyłem się i uspokoiłem.

Szedłem. Mijałem drzewa. Stało ich kilka, w pewnej odległości od siebie. Nieregularnie. Zachwycałem się ich koronami. Liści prawie nie miały, kory tylko trochę. Nie mogłem dłużej podziwiać przyrody, bo właśnie skończyły się płyty chodnika. Teraz miałem pod nogami kostkę. Pofałdowaną. Patrzyłem pod nogi i chyba sprawiałem wrażenie zamyślnego. To wrażenie było błędne. Przypominałem sobie spacer z ojcem. Też w tej okolicy. Robiliśmy to często. Wybieraliśmy się, mając wyznaczony cel. Czasem kilka, ułożonych w łańcuszku. Składały się z księgarni oraz z baru mlecznego. W nim piliśmy gorące mleko. Dzisiaj barów mlecznych nie ma. Okazały się niepraktyczne. Badacze rynku wykryli, że mleko jest szkodliwe. Polecają piwo oraz colę. Zapewniają, że dzięki nim można być sobą. Ja coli nie piję, a po dwóch piwach nieustannie biegam do toalety. Lub do czegoś w tym rodzaju. Staję się sobą. Szedłem w kierunku księgarni. Mijałem banki i bankomaty. Zauważyłem ich jedenaście, ale patrzyłem pod nogi. Mogło być więcej. Nie zdziwiłem się liczbą. Mieszkańcy każdego domu powinni wiedzieć, skąd wziąć pieniądze. Między bankami znajdowały się apteki. Oferowały

kosmetyki oraz zniżki. Szczególnie dla osób w wieku 98 plus. Plus oznacza, że zasługują na więcej. Czuję się coraz lepiej. Po siedemdziesięciu trzech minutach spaceru dotarłem do księgarni. Miała dwie witryny. Na jednej stały poradniki, na drugiej leżały przewodniki. Wszedłem do środka, chciałem poznać krzewicieli literatury. Zwłaszcza pięknej. Krzewicielami były kobiety. Nie przypominały mi tych znanych z reklam kosmetyków. Bielizny oraz pończoch również. Żaden z poradników i przewodników mnie nie zainteresował. Było ich dużo, nie mogłem się połąpać. Zagadnąłem, czy jest jakiś przewodnik po poradnikach i poradnik do czytania przewodników. Nie było. Zdziwiłem się, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Wracałem do domu. Szedłem teraz trochę innymi ulicami. Składały się z jezdni i z nowych domów, wyższych od starych. O kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt pięter. Wystawały. Wszystkie były odgródzone od ulicy. Najczęściej metalowymi prętami w kolorze czarnym oraz strażnikami w czarnych ubraniach. Wyglądali poważnie i wieczorowo przez cały dzień. Nad nimi wisiały kamery. W jednym z takich domów zobaczyłem gabinet stomatologiczny, a w dwóch fitness club. Wszedłem, bo chciałem odpocząć w jakimś klubowym fotelu. Nie wpuścili mnie. Trudno. Podziwiałem budowę strażników. Wszyscy mieli urodę męską zbliżoną do działaczy sportowych. Podobne ruchy oraz rodzaj wdzięku. Dojrzały, na krótkich nogach. Przystosowani do pracy głową, raz jej jedną połową, raz drugą. Osadzona była bezpośrednio nad karkiem. Bez szyi. Widać ją usunęli, podobnie jak większość zębów. Jest pewien typ rodaków, którzy manifestują swoim organizmem przywiązanie do tradycji barw narodowych. Mają czerwone nosy i twarze oraz białe wątroby. Patrioci dnia codziennego. Jednego z nich chciałem zapytać, czy ma migdały. Zrezygnowałem, bo nie mogłem ustalić gdzie ma przód, a gdzie tył. Nie chciałem być zbyt dociekliwy. Na pewno należał do złotego grona dżentelmenów lub poetów. Przy takich czuję się skrępowany.

Szedłem. Moje miasto jest tak urządzone, że chodniki są dla samochodów i rowerzystów. Jezdnie dla motocyklistów, straży pożarnej oraz dla samochodów, które stoją i czekają. Trawniki są ogrodzone, żeby psy nie wciągały tam swoich właścicieli. Pokonywałem tę przestrzeń. W końcu pokonałem. Po drodze przeszedłem przez dwie zamykane furtki, które były otwarte. Spotkałem dozorcę, wolno chodził i się dziwił. Nie wiem czemu. Minąłem dwa rozłożone na chodniku stoiska. Kilka metrów dalej kręciło się trzech mężczyzn o wyglądzie przedstawicieli wolnych zawodów, prawdopodobnie inteligencji twórczej. Zbierali puszki po piwie. Zaczepił mnie jeden z nich, dość swobodnie ubrany i lekko pachnący. Poinformował mnie, że potrzebuje 4 złote. Brakuje mu na upominek dla swojej miłości. Dałem i zapytałem, co zamierza kupić. Okazało się, że wódkę. Dodałem jeszcze 6. Na czekoladki. Wstąpiłem do sklepu po łososia. Kupiłem jego brzuszka. Na ulicy zagadnęła mnie paniąka o twarzy uniwersalnej. Dała mi coś. Wziąłem. Zapytałem co. Okazało się, że wkładki do butów i jest to podarunek. Odszedłem, zauważyłem śmietnik zwany altaną. Podbiegła do mnie tuż przed nim i oświadczyła, że odchodzę za szybko, bo ona jeszcze nie skończyła swojej kwestii. Za po-

darunek muszę zapłacić. Zacząłem z nią rozmawiać o zasadach. Zobaczyłem wtedy jej oczy oraz układ otaczających je mięśni. Wyżej, a zwłaszcza niżej. Przestałem mówić i słuchać. Wkładki do butów oddałem. Uzasadniłem, że jestem poduszkowcem i się unoszę. Wróciłem do domu. Drzwi zostawiłem otwarte. Z kranu lekkim strumieniem lała się woda. Gaz był zamknięty. Podsumowałem cicho swój spacer. Miasto się rozwija.

15 IX 2012, godz. 18:14

Wieje

Furor

Miałem coś napisać. Dowiedziałem się, że powinien to być artykuł naukowy. Rzecz ma dotyczyć jakiegoś innego kraju. Zapytałem, którego. Ta informacja właściwie nie była mi potrzebna, ale od pomyselnego przejścia okresu dojrzenia mam w sobie rozbudowaną ciekawość. Czasami ona tężeje. Zadzwoeniłem. Usłyszałem, że chodzi o Londyn, a także o Litwę. Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie są te kraje. Skorzystałem z encyklopedii. Ktoś w niej napisał, że Londyn jest w Anglii, a Litwa nie. Tekst był anonimowy, a więc po lekturze zachowałem ostrożność. Po kilku dniach namysłu nie nabrałem pewności, ale uznałem, że jest to prawdopodobne. Zabrałem się do prac przygotowawczych. Zrobiłem pranie. Zawsze je robię ręcznie. Użyłem dwóch rąk i proszku. Nalałem także wody. Zastanawiałem się, czy umyć okna. Myślałem o takiej ewentualności przez kilka dni. W nocy robiłem co innego. Zrezygnowałem, bo mogło to w następnym kroku doprowadzić do odkurzenia całego mieszkania i oczyszczenia umieszczonych w nim kafelków. Ponadto przypominałem sobie, że okna umyłem niedawno. Nie minęły jeszcze trzy lata. Światło przedostaje się prze nie delikatnie i miękko. Czasami tylko nie wiem, czy na zewnątrz jest mgła. Dzwonię wtedy do przyjaciół w Krakowie i w Gdańsku, i od nich dowiaduję się o pogodzie. Raz jednak poczułem się wprowadzony w błąd. Ostatnio łączę się również z Berlinem. Czuję się dzięki temu pewniej.

Uważam, by nie dać się wpędzić w obsesję porządkowania. Odnoszę sukcesy. Któregoś dnia przygotowałem uświadomiłem sobie, że nie znam terminu oddania dzieła. Ponownie zadzwoniłem. Dowiedziałem się, że termin minął miesiąc temu. Uspokoilem się, bo to oznacza, że mam jeszcze mnóstwo czasu. Przeliczyłem sobie dni na godziny, a te na minuty. Rachunki wykonywałem przez dwie kolejne doby. Zużyłem kilkadziesiąt kartek, na ostatniej napisałem długą liczbę. Nie potrafiłem jej nazwać. Chyba powinna mieć siłę. Wkrótce niespodziewanie usłyszałem, że termin jednak minął dwa, a właściwie dwa i pół miesiąca temu. Rzecz jasna to niczego nie zmieniło. Patrząc na życie perspektywicznie, a nie retrospektywnie.

Do dalszych prac potrzebowałem jeszcze większej koncentracji. Wyjechałem do przyjaciół, w góry. Tam jest rozrzedzone powietrze, występuje trochę owiec oraz dużo zakonnicy. Tu i ówdzie stoją tabliczki informujące, że to park narodowy. Nie mogłem dociec, dłacz-

go na sąsiednich tablicach jest masa zakazów. Szczególnie poruszył mnie zakaz karmienia niedźwiedzi. To nie może się przyjąć. Przecież dużo ludzi lubi je karmić, ja bardzo. Na razie niedźwiedzia w narodowym parku jeszcze nie spotkałem, więc karmię wiewiórki oraz siebie.

Na miejscu trochę się przeziębilem. Pisanie musiałem odłożyć na później. Dzięki temu poczułem się lepiej. Nie używam lekarstw. Walczę z chorobami środkami wolicjonalnymi. Minimalizuję straty. Ciężka choroba na szczęście nie ustąpiła szybko. Ciągłe miałem 36,5°C, a popołudniami gorączka skakała do 36,7°C. Organizm stygł, ale czasami się napinał. Rozszerzyłem terapię o środki medycyny naturalnej. Moi opiekunowie zalecili mi grzane wino. Także inne mikstury odżywcze. Mam zaufanie do doświadczeń minionych pokoleń, a także wiedzy ludzi jeszcze żyjących. Leczyłem się więc grzańcem, ale go nie grzałem. Zaczęłem zdrowieć, co budziło moje zdziwienie. Intensywnie zabierałem się do pracy. Zgromadziłem kartki. Spostrzegłem, że są białe. Dobrałem pióro. Nie używam długopisu, bo nie lubię naciskać. Ułożyłem wszystko na stole. Usiadłem tyłem do okna, żeby nie rozpraszał mnie świat. Za oknem jest dom starców, prowadzony przez zakonnice. Bliżej, na ogół leży kot. Zmęczyłem się i postanowiłem odpocząć. Zasnąłem. Obudziłem się już po dwóch godzinach. Wstałem, przykryłem się kocem i odpoczywałem nadal. Przypomniałem sobie tekst o znaczeniu iluminacji w życiu, a zwłaszcza w poznaniu i tworzeniu. Czekałem na nią. Zrobiło się ciemno. Wstałem i poszedłem do kuchni. Po chwili dotarłem do salonu. Przyjaciel postanowił towarzyszyć mi w kontynuowaniu kuracji. Jest opiekuńczy.

Następnego dnia rano też wstałem. Zrobiłem to wszystko, co robi się najpierw i już o dwunastej usiadłem do stołu. Lubię pracować o świcie. Zwłaszcza umysłowo. Przełożyłem papiery z boku na środek stołu. Otworzyłem pióro. Pisało. Wszystko było w porządku. Postanowiłem odpocząć i zasnąć. Udało się bez trudu. Obudziłem się i zobaczyłem, że moje pióro leży otwarte. Zamknąłem. Wyciągnąłem się, żeby nie bolały mnie mięśnie od siedzenia i od natężonej pracy mózgu.

Następnego dnia wstałem trochę później. Przyszło mi do głowy, że może powinienem wiedzieć, o czym piszę. Po głębokiej analizie doszedłem do wniosku, że to teraz nie jest konieczne. Po pierwsze na razie jeszcze nie piszę, a po drugie, jak skończę, to zorientuję się, czego rzecz dotyczy. Myślenie zajęło mi cały dzień i było na tyle absorbujące, że zapomniałem odpocząć. Postanowiłem najbliższego ranka nie zrywać się tak wcześnie. Wstałem trochę później, ale nie przesadnie, już o trzeciej po południu. Przyjaciel spał na leżaku przed domem. Umiejętnie w rękę trzymał książkę. Zawsze podziwiam jego zapał czytania. Usiadłem na sąsiednim leżaku, ale bez książki. Obok ustawiłem sobie szklankę z lekarstwem. Zamknąłem oczy i marzyłem. Następnego dnia zacząłem pracę o zwykłej porze. Zobaczyłem, że przywoziłem ze sobą kilka kartek z tabelkami i cyframi wewnątrz nich. To się nazywa materiał empiryczny. Nie wiedziałem, jak ten materiał ułożyć, pionowo czy poziomo. Postanowiłem przenieść go na pianino i włożyć do kupki nut. Obok Anglika Brittena. Chciałem sobie puścić radio, ale nie zrobiłem tego, bo

nie słucham radia. Przeniosłem tabelki do nut Bacha. Lubię harmonię.

Następnego dnia zacząłem zastanawiać się nad zakończeniem artykułu. Nie mogłem ustalić konkluzji, bo nic jeszcze nie zdążyłem napisać. Pomyślałem o metafizycznej głębi obrazu Malewicza *Biały kwadrat na białym tle*. Zdrzemnąłem się trochę. Od następnego ranka, jeszcze przed podwieczorkiem kontynuowałem pracę. Przy stole zasnąłem. Przeniosłem się na kanapę i przykryłem. Gdy się obudziłem, zacząłem czytać wiersze. Czytałem całą noc. Następnego dnia przejrzałem esej Myśliwskiego o kulturze chłopskiej. Ładny.

Przez kolejne dni odpoczywałem. Rozmawiałem z kolegą o obrzydliwości uzależnienia od pracy. Kolejnego następnego dnia przyszła mi do głowy konkluzja mojego tekstu naukowego. Początkowo nie śmiałem jej zapisać, bo obawiałem się, że jest zbyt ryzykowna. Ale po trzech dniach uznałem, że tylko odważne twierdzenia dokonują postępu w nauce. Moje są takie: ludzie (a zwłaszcza badani) charakteryzują się zróżnicowanym poglądem na świat. Uzupełniłem to ustalenie twierdzeniem następnym: pogląd ludzi na świat zmienia się wraz z upływem czasu, a zwłaszcza stuleci.

Zawstydziłem się swoim heroizmem intelektualnym i zrezygnowałem z nazywania tego odkrycia twierdzeniem. Raczej to jest hipoteza. Spróbowałem zasnąć. Nie mogłem. Ponawiałem próby. Byłem rozdygotany. Chyba się rozchorowałem. Ponownie.

Wracałem pociągiem. Znalazłem przestronny wagon dla dzieci. Funkcjonalnie urządzone. Nie było w nim przedziałów. Fotele, w nich matki, a poniżej dzieci. Na środku duża zagroda, w której umieszczono zabawki i miękko wyściełaną podłogę. Leżało na niej dwóch mężczyzn. Pijani, w wieku już ponadszkolnym. Turlali się trochę, umiejętnie wykorzystywali hamowanie pociągu. Na rozjazdach podskakiwali, ale nisko. Jeden trzymał zielony parowóz, a drugi różowego misia. Pomyślałem o swoim dzieciństwie. Zawsze chciałem mieć własną kolejkę. Jechałem do domu. Postanowiłem u siebie skończyć artykuł, a nawet zacząć go pisać. Przedtem zaplanowałem odpoczynek. Inni naukowcy udowodnili, że powinien on wynosić przynajmniej trzy tygodnie. Mogą się mylić. Na wszelki wypadek przeznaczę na ten cel tydzień więcej.

28 IX 2012, godz. 23:18

Nie świeci, nie pada

Wigilia rodzinna

Byłem na Świątach. U rodziny, prawdopodobnie mojej. Widuję ją raz w roku. Skład trochę się zmienia. Imion znam kilka, nazwiska dwa lub trzy. Miałem trudności z przypisywaniem ich do właściwych osób. Kłopot minął, bo przestałem przywiązywać do tego znaczenie. Mam wrażenie, że oni też nie wiedzą, jak ja się nazywam. Interesuje ich, gdzie pracuję. Ponieważ pracuję od dawna w tym samym miejscu, więc ich to też interesuje ciągle.

Włożyłem smoking. Służy mi też jako bonzurka. Zwykle go wkładam, gdy wybieram się kupić wino.

Wysiadłem z autobusu na prawie właściwym przystanku. Pomyliłem się tylko o jeden. Było ślisko. Chodniki ładnie błyszcząły od lodu i delikatnie świecących niektórych latarni. Przeszedłem 98 metrów. Krokiem posuwistym, w 32 minuty. Raczej szybko. Leżałem raz i miałem dwie podpórki. Starłem się zachować styl. Chyba był niezły. Zbiła się tylko bombka, którą umiejscowiłem w kieszeni. Wyciągnąłem wnioski z katastrofy i drugą powiesiłem sobie na szyi. Dotarłem. Przed wejściem kapeluszem wyczyściłem buty. Mimo to nie nabrały blasku. W drzwiach zaatakował mnie pies gospodarzy. Jamnik w wersji skróconej. Obroniłem się i wszedłem. Było dopiero 20 minut po wyznaczonej godzinie uroczystej wizyty, w związku z tym pojawiłem się pierwszy. Gospodarze nie kryli zaskoczenia. Przedstawiłem się i liczyłem na rewanż, bo zapomniałem imion witających mnie za progiem. Nie usłyszałem. Sprawiali wrażenie ludzi nadzwyczaj zmęczonych. W ten sposób przeżywali święta. Zaczęli się schodzić inni. Usiadłem na fotelu i obserwowałem ruch. Niektórych znałem z widzenia. Panowie mieli rozwinięte brzuchy i koszule dopasowane do ciała. Podkreślały gibkość sylwetki. Kobietom rozlewał się makijaż i ostro promieniowały czerwienią paznokcie. Na ogół się garbiły. W ten sposób przesuwają punkt ciężkości ku przodowi. Pies zajął miejsce przy stole. Stała choinka, jeszcze miała igły. Wysoka, naturalna, wycięta z lasu lub z parku. Grał telewizor. Pokazywano program o wyścigach samochodowych. Liczyłem na katastrofy. Nie wystąpiły, było raczej nudno. Wykonaliśmy życzenia. Dotyczyły zdrowia. W lokalu nie było ani jednego lekarza, wliczając stomatologów i psychiatrów. Dbałem o właściwe samopoczucie, pijąc wino. Trzecia butelka zawierała moje ulubione *shiraz*. Smaczne, choć nie miało to już znaczenia. Następnym nie pamiętam w szczegółach. Sympatyczny młody człowiek nalewał. Mamie i mnie. Sobie nie. Zaniepokoiłem się jego wstrzemięźliwością i chciałem zapytać o zdrowie. Ale zapomniałem. Wszyscy jedli. Niektóre kobiety tylko udawały. Gospodarze cierpieli, że potem za dużo zostaje na stole. Utożsamiali to z zanikiem rodzinnej miłości. Ja czułem się coraz lepiej.

Przeszliśmy do podniosłej części artystycznej. Wokalnej. Niektórzy twierdzą, że nie mam ani głosu, ani słuchu. Taka opinia trochę mnie ogranicza. Czasem pokonuję jednak nieśmiałość. Śpiewaliśmy z jakimś panem na dwa głosy. Polifonicznie. Wzorowałem się na estetyce gregoriańskiej. Kolędy mnie wzruszają. W trakcie śpiewu ubyta kolejna butelka wina, a wraz z nią sałatka z tuńczyka. Nie ruszyłem pstrąga przerebionego na karpia. Nie uległem reklamowanemu przez gospodarzy nóżkom z ryb. Gdzie one mogą mieć nogi? Po moim występie publiczność milczała. Była pod wrażeniem talentu i interpretacji. Chciałem wstać i podziękować ukłonem, bo tak robią na końcu występu w operze. Kiedyś widziałem. Wstałem, ale zamiast się unieść, wylądowałem pod stołem. Znajomy jamnik czekał. Myślałem, że mnie zje, nie miał jednak apetytu. Wydobyło mnie i usiadłem ponownie. Zaproponowałem, żebyśmy poszerzyli repertuar. Najpierw o Międzynarodówkę i Marsylianę. Mam słabość do pieśni rewolucyjnych. Później o nasz hymn ujęty jednak w tempie poloneza, a nie mazurka. Znacznie lepiej i dostojniej brzmi jako polonez. Śpiewałem, czasami w zespole dwuosobowego chóru. Na koniec zostawiłem kulminację koncertu.

Hymn włoski i ewentualnie arię z Nabucco. Bardzo mi się podoba, wyrazistość przesłania słownego i melodia. Nie znam ani słów, ani melodii, a przypominam je sobie, gdy śpiewają inni. Tym razem inni nie śpiewali. Musiałem się podnieść, żeby uwolnić przeponę i osiągnąć doskonałość artykulacji. Po chwili dźwięki wydobywałem z jeszcze niższych pokładów. Czułem jedność ducha i ciała. Prawdopodobnie brzmiałem pięknie. Znalazłem się w centrum *sacrum*. Później rodzina postanowiła porozmawiać o kulturze. Zaczęli omawiać nowe modele telefonów komórkowych. Później wydarzenia teatralne i filmowe. Czyli kto jest w ciąży oraz kto się rozwiodł. Osoba szczególnie dobrze poinformowana pogłębiła dyskusję o tematykę seksualną i uczuciową. W końcu wybrali wątek samochodowy. Zmierzali w ten sposób do pasterki. Niepostrzeżenie młody człowiek dorzucił kilka słów o stanie dróg. Okazało się, że podobają mu się, ale najbardziej podoba mu się on sam. We własnej swojej osobie, a raczej organizmie. Dba o jego wzorowy stan. Jest harmonijny, wzrost może nieco więcej niż półtora metra. Tęga głowa, ze świetnie poszerzonym karkiem oraz szyją. Codziennie kształtuje osobowość na siłowni, życie towarzyskie prowadzi w kościele. Dba o wzrok. Nie czyta, choć umie. Kiedyś widziałem jak, przeglądał regulamin pracy sprzedawcy samochodów. Mówi bardzo wyszukany językiem, którego nie rozumiem. Dźwięki wydała szybko. Jest typem młodego intelektualisty. Zaocznie skończył zarządzanie, co ukoronowało jego rozwój.

Zaproponowałem mu spotkanie z gronem starszych ludzi, konwencjonalnie nazywanych profesorami. Waha się. Nie dziwię się, bo on by nic nie zyskał. Mnie chodzi jednak o korzyść, którą odnieśliby profesorowie. Byłaby tak znaczna, że seminarium nie mogłoby trwać długo. Obawiam się, że jednak nic z tego nie będzie. Młodzieniec w średnim wieku zrezygnuje, bo nie ma czasu na rozrywki.

Święta przekroczyły moment kulminacyjny. Zwróciłem uwagę na choinkę. Doceniłem werbalnie przed gospodarzami jej piękno. Podkreśliłem powab. Wspomniałem, że tradycyjnie na święta choinki płonęły. Od nich zajmowały się firanki, a później ogień przechodził na książki. W mieszkaniu co prawda książek nie było (jeśli nie liczyć trzech o gotowaniu, zdobiących kuchnię), ale dostrzegłem firanki. Plastikowe, mogłyby ładnie topnieć. Gospodarz powinien je zapalić, ja byłem gotów ewentualnie go zastąpić. Szukałem zapalek lub zapalniczki. Próbowano odwrócić moją uwagę i unicestwić wartość tradycji. Ktoś zaczął rozdawać prezenty. Ja dostałem długopis. Ucieszyłem się, bo piszę wyłącznie piórem, a więc starczy mi na długo.

Później jakoś wróciłem do domu. Czułem się lekki jak prawdopodobnie świąteczny aniołek. W drodze zadzwoniłem do Afganistanu, bo odczułem nadzwyczajną siłę wspólnoty narodowej. Nikogo tam nie było. W domu zdołałem się jeszcze umyć. W kalendarzu zobaczyłem, że święta jeszcze będą trwały kilka dni. Ja może też.

25 XII 2012, godz. 11:34

Pogody nie ma

PAWEŁ KOZŁOWSKI

JACEK GŁOMB

FLESZE I ZMORY

Może było tak, daty i fakty płaczą się: moje pierwsze dziennikarskie doświadczenie to był tekst „interwencyjny” o lodowisku w Tarnowie, które miało powstać, a długo nie powstawało, wydrukowały go „Tarnowskie Azoty”, był rok 1978, miałem wtedy 14 lat. Szefem tego zakładowego tygodnika, finansowanego przez lokalne zakłady chemiczne, był mój Tato, Eugeniusz, wtedy dziennikarska potęga w Tarnowie. Szefował także tarnowskiemu oddziałowi „Gazety Krakowskiej”, a przecież wkrótce szefem „Krakowskiej” został Maciej Szumowski, to był złoty okres tej gazety, 1980 i 1981 rok, świetne teksty i opozycyjny wobec partyjnej konserwy ton. Tato był w tym wszystkim mocno, po stanie wojennym wpadł w kłopoty, w lipcu 82 roku przyszła choroba – wylew, z którego na szczęście wyszedł, ale do zawodu już nie mógł wrócić, zresztą już nie było gdzie.

Ja natomiast bardzo pchałem się do dziennikarstwa., po stanie wojennym znalazłem sobie niszę, pisanie o sporcie do krakowskiego „Tempa”. Terminowałem u Ryszarda Niemca, przez wiele lat dziennikarskiej firmie w Krakowie, co to były za czasy, podróże PKP i PKS-em, relacje z III i IV ligi piłkarskiej, 0-0 w pasjonującym meczu Kolejjarz Stróże – Harnaś Tymbark, i krzeselko rybackie podsunięte mi na meczu w Bochni przez usłużnych działaczy, żeby „pan redaktor się nie zmęczył”. „Pan redaktor” miał wtedy 19 lat, wracał do domu i dzwonił do hali maszyn na Wielopolu, i dyktował maszynistce relację z meczu. Gwoli wyjaśnienia, nie było wtedy komputerów i poczty mailowej. Czasem pisałem teksty poważniejsze, na przykład o słynnym szachiście Aleksandrze Alechinie, wtedy biegłem do kiosku z samego rana i dotykałem swego poważnego tekstu. Wszystko nagle się skończyło w 1984 r. Niemiec poparł polityczną decyzję o wycofaniu się Polski z olimpiady w Los Angeles, a mnie to tak oburzyło, że... wysłałem mu... dosyć obraźliwą pocztówkę; treść była mniej więcej taka, że jest wstrętnym komuchem i że rezygnuję ze współpracy. Flesz: siedzę na krakowskim Rynku, gołębie gruchają, a ja piszę antykomunistyczną pocztówkę.

W drugiej połowie osiemdziesiątych lat „Tempo” zamieniłem na podziemny „Świat Pracy” – matryca wkręcona w maszynę do pisania „Mercedes”, cztery strony pisane przez siebie pod różnymi pseudonimami. W czerwcu 1989 r. wybuchła Niepodległość, ja skręciłem do teatru, który zresztą miłośniczo już uprawiałem od kilku lat, i zostałem już w nim do dziś.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Ano dlatego, że jakiś rok temu, w Wójtowicach, u Krzyśka Komornickiego zobaczyłem najnowszy numer „Zdania” i usłyszałem, że ono wciąż wychodzi. I się wzruszyłem, bo „Zdanie” kojarzy mi się właśnie w tamtym krakowsko-tarnowskim czasem, gdzieś w domu na Żeromskiego mam stare, pożółkłe numery z lat 80. I myślałem, że tego świata już nie ma, że to zamknięty rozdział, a tu, popatrz, niespodzianka, i stąd te wspomnienia, poplątane i pewnie nie do końca ściśle.

Pamięć jest absolutnie ulotna i przez to absolutnie fantastyczna, zapisuje tylko chwile, nie zawsze te najważniejsze, w jakimś fleszu, zbliżeniu. Pamiętam na przykład, że denerwował mnie ten karnawał „Solidarności” w 1980 i 81 roku, te ciągłe protesty, krzyki, awantury. W głowie miałem reformę szkoły i dziewczyny. Flesz: 13 grudnia mama weszła z rana do mojego pokoju i powiedziała, że jest wojna, a ja – jaka wojna i obróciłem się na drugi bok. Potem pojechałem z Tatą do redakcji „Tarnowskich Azotów”, mijaliśmy na ulicach wozy opancerzone i uzbrojonych żołnierzy. Redakcja była już zaplombowana, a ja sobie pomyślałem: jak władza wyprowadza czołgi przeciw własnym obywatelom? I tak stałem się antykomunistą. Flesz: któraś z rocznic 13 grudnia, jadę do Krakowa pod pretekstem udziału w jakiejś manifestacji, a tak naprawdę jest to pretekst, żeby wizytę u Ukochanej B. ukryć przed Ukochaną A. Antyrządowa manifestacja to bardzo poważny pretekst. Sytuacja trochę jak z *Ronda* Kazimierza Brandysa, gdzie bohater w czasie okupacji chroni swoją ukochaną, wymyślając jej działalność w fikcyjnej organizacji. Flesz: kościół w Mistrzejowicach wypełniony po brzegi publicznością, która ogląda *Matą apokalipsę* Teatru Ósmego Dnia. Grają pod ołtarzem i z tej improwizowanej sceny pada czasem, a może i często niecenzuralne słowo i nikogo to nie oburza, jest niepisana zgoda, niepisana umowa widzów z aktorami.

Flesze i zmory. Kiedy nie mogę spać, a zdarza mi się to coraz częściej, wraca mi często fragment opowieści Jana Bielatowicza. Bielatowicz to emigracyjny pisarz rodem z Tarnowa, o którym jeszcze przed moją emigracją do Legnicy napisałem książkę. Ta opowieść nosi tytuł *Książeczka* i jest fantastycznym wspomnieniem przedwojennego Tarnowa. Jest w niej wstrząsający ostatni rozdział *Perłowa granica*, który kończy się tak:

„Jednej złej nocy, po wielu latach, kiedy już ziemia rodzinna usunęła mi się spod stóp, a trąba powietrzna rzucała daleko od domu, szukałem ucieczki przed bezsensownością i powrotu na bezpieczną łódkę na morzu strachu.

Powrotu do domu rodzinnego, portu nieomylnego, miejsca nieusuwanego się spod stóp, gdy ziemia się obróci. Schronienia przed trąbami powietrznymi, trzęsawiskami, błędnymi ogniami, smokami i południcami, chociaż z domowymi duchami i strachami.

Kiedym pogrążony w te rozważania pomyślał, że jednak nie ma powrotu za perłową granicę ujrzałem – po tylu latach – czarną zmorę z dukatowymi oczyma jak się wyrażała niezgrabnie z sufitu. Przeszył mnie zimny strach, ale zamiast krzyknąć uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie, bo tylko ona ocalała z dzieciństwa. Ona jedna powróciła.

Coś przecież nie opuszcza człowieka nigdy. Strach”.

Wszyscy osławiamy nasze zmory. Od tego, jak skutecznie to czynimy, zależy los naszych światów. Nie każda jest czarna, nie każda ma dukatowe oczy.

GŁOMB JAKO BATMAN, JÓZEFA PRAWIE JAKO PAPUSZA

Gdy pojawił się tu Jacek Głomb, twórca „realizmu magicznego”, dyrektor Teatru im. H. Modrzejewskiej w Legnicy z propozycją dla naszych wójtowickich stowarzyszeń, by zajęły się „teatrem podwórkowym” – projektem w ramach wielkiego programu Wrocław – Stolicą Kultury Europejskiej 2016, to było jakby piorun walnął w młode olchy. Był huk, błysk, i wielkie światło bardzo mrugające, rozpetł się zapach kadzidła i mirry (złoto stało już u bram), a On sam – nie żaden Pedro Warlikowski, który jest dla miejscowych za trudny, ani Klata – dla polskiego chłopca zanadto nieprzyzwoity – zjechał motolotnią w czerwonym kostiumie. Ze skaju, a może nawet z ceraty. W towarzystwie dwóch urodzanych i mądrych współpracowniczek.

Na szczęście były w domu i szparagi, i Mueller Thurgau, i maliny, i bita śmietana, więc monstrum dało się szybko obłaskawić. A jak zobaczyło na półce ostatnie numery „Zdania”, które pamiętało ze swej tarnowsko-krakowskiej przeszłości, to się wręcz wzruszyło. A jak nam opowiedział, skąd się tak naprawdę wziął (patrz: perełka pt. *Flesze i Zmory* nieco wcześniej) to i myśmy się wzruszyli.

Nasze stowarzyszenia od chwili wylądowania batmana z Legnicy przebiegały nogami jak na rozżarzonych węglach i piszczały rozkosznie. Tak bardzo chciały choć na chwilę wyjść z lokalnej ekologii, edukacji, wspierania niepełnosprawnych, z opieki nad bitymi kobietami i trafić wreszcie w niebiańskie sfery wysokiej kultury. Czyli tam, gdzie Serafini, a może i Trąby. „Teatr podwórkowy” brzmiało wspaniale, choć np. „teatr dworski” trafiałby lepiej do miejscowych snobów...

Oto jak Jacek Głomb wyjaśnił swą ideę w sposób fachowy: „Teatr w podwórkach” to wydarzenie teatralne, łączące w sobie ideę odwołania do lokalnego sentymentu dolnośląskich podwórek z wplecioną w fabułę historią i różnorodnością kulturową Dolnego Śląska. Akcji przyświecać będzie chęć uczynienia z mikrokosmosu podwórka miejsca wyjątkowego, jednoczącego okoliczną społeczność – swoistej lokalnej agory. „Spektakle podwórkowe” będą to uniwersalne opowieści, łączące w fabule akcenty historii Dolnego Śląska i jego trudny, wielokulturowy charakter. Powstaną w Legnicy, Wrocławiu i w Bystrzycy Kłodzkiej, i pomyślane zostaną w ten sposób, by stały się równie bliskie mieszkańcom miast, które odwiedzimy. „Teatr w podwórkach” będzie miał swojego autora, który z opowieści zebranych przez uczestników stworzy oryginalny scenariusz spektaklu. Na podstawie scenariusza przez wiosenny tydzień 2015 roku w każdym powstanie unikalny

spektakl z udziałem twórców związanych z Teatrem Modrzejewskiej, profesjonalnych aktorów i członków lokalnej społeczności. Powstałe przedstawienia objadą łącznie 30 pokazów na Dolnym Śląsku.

My tu chcielibyśmy powiedzieć słówko o najbardziej prowincjonalnym z tych „podwórek”. Czyli o Małym Rynku ze słynnym pręgierzem na bystrzyckim starym mieście. Tu wystawimy w 2015 r. zebrane przez siebie historie i historyjki. Niektórym marzy się powrót do dawnych kar wymierzanych przy pręgierzu, dawnych – bo zbrodnie, przestępstwa i wykroczenia pozostały te same: „bijatyki, nożownictwo, rozbój na drogach, zabójstwa, opilstwo, przewiska i przekleństwa, oszczerstwa, kradzieże owoców i drewna, awantury uliczne, plotkarstwo i niemoralne prowadzenie się”. Za powyższe – „obcinano, uszy, nosy, ręce, łamano palce, wypalano oczy, lub wykiwano je na zimno, za zbrodnie wbijano w brzuch dębowy pał, ćwiartowano lub zgniatano ciało na kole”. Cytaty podaję za *Deus impios puni!*, nie tłumaczymy, jako, że większość czytelników „Zdania” miała minimum 4 lata łaciny w liceum, my zaś w Wójtowicach w niedzielę rano mamrocemy: *Confiteor, Suscipiat i Pater noster* w edycji nakazanej przez abp. Lefebvre`a. Dodajmy, że gawiedz mogła pluć na skazanych za drobne wykroczenia i przywiązanych do „słupa hańby”, a także wylewać na nich naczynia z „cuchnącymi pomyjami”. Miło jest sobie pomarzyć, każdy z nas może i dziś wskazać kandydata „pod pomyje”, nawet bez pomocy S. Niesiołowskiego.

Rzeczonych historii i historyjek stara się nanizać na korale grono naszych wolontariuszy. Np. niepisana szefowa bystrzyckich Romów, zanurzonych po pas w projekcie, pani Józefa – jak sama siebie nazwała – „asystentka koordynatora ds. romskich”. Otrzymała od nas 10 egzemplarzy poezji Papuszy – zamówienie, które jak dobry zegarek zrealizował w 24 godziny internetowy sklep „Polityki”. Józia (bardzo jestem dumny, że wypita ze mną bruderszaft) nauczyła swą młodzież śpiewania po romsku kilku kolęd i przygotowała ją do wigilii „integracyjnej”. Poczęstowała przechodniów m.in. kwaśnicą, grzańcem i jajecnicą. Pojawił się sam Jacek G. z Marzeną i Kasią. A wśród dostarczcilieli historyjek – wiele osób z pamięcią o pojemności Google`a, czyli pamiętających smak przedwojennej jajecznicy. Tego wszystkiego co nam do „Teatru podwórkowego” trzeba, nawet nie musimy „wykiwać na zimno”. To i owo pojawi się na tych łamach... Może już jesienią.

TOMASZ GOBAN-KLAS

NOWE SZATY SZATANA

Oj dana, dana, nie ma szatana, a świat realny jest poznawalny – ten fragment piosenki Skaldów jest dobrze znany pokoleniu czytelników „Zdania”. Ale Szatan właśnie się objawił – imię jego już nie Belzebub, Lucyfer, Diabeł (wcielony), Zły, itd., ale Gender. Szaleje on Ci po całutkim świecie, realnym i wirtualnym, nawet bestyja za harcerki się przebiera – Zespół Revlovers z Łodzi nagrał teledysk, który kończy się sceną pocałunku harcerek przy ognisku. To projekcja marzeń jednej z nich – ta druga w rozpiętej bluzie z krzyżykiem harcerskim woli bawić się po bożemu – z druhem.

W erze postmodernizmu wszystko musi być nowe, a więc i Zły nie jest już starym, oswojonym, wręcz poczciwym diabełkiem z jasełek, ale isticie szatańskim neoszatanem, postszatanem, nowym wcieleniem biblijnego węża, podsuwającym postEwie neojabłko w formie idei/ideologii gender. Przewrotność jest tu tak wielka, że nad Wisłą nie wiadomo, jak pisać i czytać nowe imię Złego – czy po naszymu, gender, czy z anglosaska – wedle prawideł Głowackiego – dzender.

Jednak wiadomo o co MU chodzi – przekabacić, matczyć, omotać, wygnać utrwalony ład płci ze staropolskiego raju w świat odwróconych wartości, gdzie chłopcy będą jak baby, a baby jak chłopcy. A może już są? Działa przecież podstępnie od wielu lat.

Szatan bowiem, duch teologiczny (a więc jakby wirtualny) operuje nie wprost, ale przez swych ziemskich popleczników. Zgodnie z tradycją biblijną najpierw omotuje kobiety, aby zwodzić mężczyzn. Pierwszymi były amerykańskie feministki. Nic też dziwnego, że do Polski koncepcję gender – jak sama, bez inkwizycyjnych tortur, przynajmniej – sprowadziła w latach 70. ze stypendium Fulbrighta w USA socjolożka (tu wbrew sobie ulegam terminologii gender) prof. Renata Siemieńska.

Jak można oczekiwać, nie przynajmniej się zwodzicielka do szatańskich koneksji. „Zdumiewa mnie nagłe odkrycie terminu gender w Polsce kilkadziesiąt lat po tym, gdy zaistniał on również w naszej nauce. Obecna nagonka na gender przypomina mi konstruowanie wspólnego wroga, które sprzyja integracji przeciwników”, powiada.

Taka bezczelność nie może ująć płazem. Jeżeli komuchy siedzą już cicho, po jakichś niszowych klubach się zbierają, w mediach nie występują nie tyle z własnej woli, co z braku dostępu, to genderystki spadły na naród jak jakaś stonka. Dlatego to już nie walka z komuną, ale z gender ma być hasłem bojowym hufców jedynie słusznej wiary. A czy gender nie jest nawet gorszy od komuny? Jest! Tako rzecze osławiony ks. Oko, tak za nim powtarzają posłanki Beata Kempa, Krystyna Pawłowicz, wójt gminy w Łapach, liczni radni samorządowi miast i wsi.

Damska twarz kampanii antygenderowej, Krystyna Pawłowicz przemawiając w Zabrze lud bogobojny przed genderem ostrzegała. Nie owijając w bawełnę, waliła prosto z mostu, odwołując się do przykładu posła Biedronia: „Wychodzi na mównicę i mówi coś ohydneho, że tyłek

go boli, więc było mu przyjemnie. To jest jakiś skandal, to się w głowie nie mieści. Teraz to tyłek staje się nowym panem Bogiem”.

Nieustraszona postanka Pawłowicz, mimo iż nie znała swojego śląskiego publice słowa „rzić”, wzmocniła obraz ohydy praktyk genderyzmu przykładem: „Spotkałam się z – tu pada nazwisko zwolenniczki genderyzmu – i ona zaczęła opowiadać, że homoseksualistów należy wspierać, bo między nimi jest miłość. Odpowiedziałam: jaka miłość? Czy współzycie do odbytu to jest miłość?”

Krystyna Pawłowicz, doktor habilitowany prawa, nie wie, że sodomicki grzech nazywa się dzisiaj fachowo anal. Męski i damski, homo i hetero. Nie wie zapewne czcigodna białogłowa, że, jak wskazują wpisy na nastolatkowym serwisie Ask.FM, młode panienki (bez ironii!) właśnie anal i oral uznają za sposób utrzymania dziewictwa. Horrendum obyczajowe, ale zgodne z tradycyjnym podziałem ról płciowych i kultem błony dziewiczej. A to sedno – nomen omen – ideologii antygender.

Przeto polskie hufce antygenderowe, z ks. Oko na czele, Beatą Kempą i Krystyną Pawłowicz w awangardzie, ruszają w Polskę Złego wypatrywać, w zarodku dusić, a gdy zajdzie potrzeba i uchwałą samorządu przepędzać, a antygenderyzmu maluczkich nauczać. Uważa się w tych kręgach, że nawet ustawa o przemocy wobec kobiet kryje ideologię genderyzmu, więc nie ma co jej podpisywać. Nie mamy staropolskiego powiedzenia „Kto baby nie bije, to w niej wątroba gnije”.

W dzisiejszej Polsce nie sięga się od razu po kij, ale działa po dobroci. Ks. Oko ogłasza rekrutację na kursy antygenderowe (90 zł od osoby, gdyż Bruksela odmawia tu dofinansowania), które uświadomią samorządowców i działaczy różnych ruchów (bez aluzji!) o nowych szatach Złego. I zalecą egzorcyzmy w formie uchwał, kar pieniężnych, a Siemieńską *et consortes*, na stos – medialny.

Wszakże kruczata ks. Oko nie przechodzi bez odzewu, budzi genderowowe demony. To zrozumiałe, Zły się nie poddaje łatwo. Magda Danaj, kolejna poplecznica szatańskich wersetów generyzmu dodała dosadnie wulgarny komentarz rysunkowy w formie komiksowego „dymka”, w którym zamieściła hasło: „Stare polskie piękne przysłowie powiada: ch* j ci w oko, bo w dupę to przyjemność”.

A więc gender i antygender hulają po kraju pokazując swój tyłek, a czasami oko.

PS.:

Piszący te słowa był studentem mgr Renaty Siemieńskiej na UJ, z jej okresu pregenderowego, wiele się od niej wówczas nauczył i serdecznie za wiedzę i nauki dziękuje.

Był też, jak prof. Renata Siemieńska stypendystą Fulbrighta w Stanach Zjednoczonych, co czyni go podejrzanym w transferze wrażliwych ideologii, w jego przypadku amerykańskiej teorii komunikowania i mediów. *Mea culpa*.

więcej
 wątpliwe
 jestem

„CHCIELIŚCIE POLSKI...”

...no to ją macie” – pisał w 1935 roku Gałczyński w głośnym wierszu „Skumbrie w tomacie”. My od 25 lat mamy III RP, której zręby rodziły się przy Okrągłym Stole, lecz dzisiaj coraz więcej stołowników zdaje się nie pamiętać, że w ogóle przy tym meblu zasiadali. No cóż, w PRL-u szerzyło się chamstwo w narodzie, a w III RP amnezja. Być może z tego powodu więcej się pisze, zwłaszcza w kręgach IPN-u, o rozmowach w Magdalence niż w Pałacu Namiestnikowskim. Aliści nie tylko poeta pamięta. Materiału dokumentującego ustalenia okrągłostołowe jest od metra, tylko późny wnuk musi się najpierw urodzić, żeby z niego skorzystać. Na razie zainteresowanie zarówno meblem, jak i siedzącymi przy nim osobnikami małe. Dlatego początek obchodów jubileuszu 25-lecia Trzeciej Rzeczypospolitej wypadł nadzwyczaj blado. Należy mieć tylko nadzieję, że główne uroczystości dopiero przed nami.

Najbliższa okazja to rocznica wyborów czerwcowych w 1989 roku i efektowne zwycięstwo drużyny Wałęsy. Nieco wcześniej narodziła się „Gazeta Wyborcza” jako dziećmi okrągłostołowych porozumień, więc też byłoby co świętować. Całkiem zaś prywatnie powód do satysfakcji powinna mieć aktorka Szczepkowska, która naoczas w reżimowej wciąż telewizji obwieściła koniec panowania komunizmu nad Wisłą. Tymczasem, nawet uruchamiając bujną wyobraźnię, nie jest łatwo przewidzieć, jak te uroczystości będą wyglądały. Z drużyny Wałęsy zostały się tylko ówczesne plakaty wyborcze i ledwie tłąca się pamięć o wybitnych twórcach kultury i nauki jako godnych kandydowania do Sejmu i Senatu. Potem, zgodnie z prawem Kopernika o gorszym pieniądzu, który wypiera lepszy, było już tylko gorzej. W rezultacie po 25 latach transformacji reprezentacja elit w polskim parlamencie wygląda żałośnie. „Gazeta Wyborcza”, dumnie eksponująca w okresie burzy i naporu znaczków firmowy Solidarności, musiała się z nim rozstać, a artystka Szczepkowska nawet w najczarniejszych snach nie mogła przewidzieć, jak ją potraktuje w wolnej ojczyźnie odrodzony „nowy teatr”.

Po drodze nie sposób będzie pominąć dwie inne rocznice: 15-lecie naszego wstąpienia do NATO i 10. lat obecności w Unii Europejskiej. Jednakowoż szkopuł z tym jest taki, że te historyczne akty i fakty dokonały się za rządów komuchów. Jak to wytłumaczyć? Przecież po zbrodniczym systemie nie miało pozostać śladu, a tu w 1993 roku wygrywa wybory poobijana i rozdrobniona lewica, i powtarza ten sukces w znacznie większych rozmiarach w 2001. Inna sprawa, że ów rekordowy w III RP wynik wyborczy roztrwonila w sposób karygodny i do dziś elektorat jej to pamięta. Prawica z PiS-em na czele sukcesy postkomunistów tłumaczy w sposób nadzwyczaj prosty, by nie powiedzieć prostacki: wszystkie-

mu winien okrągłostołowy kompromis, w wyniku którego nie przeprowadzono w Polsce dekomunizacji. Ta miała być lekiem na całe zło. Ponieważ sprawy potoczyły się inaczej, PiS nie widzi powodów do świętowania. Jubileusz będzie obchodzić, jak nastanie IV Rzeczypospolita. Dlatego nie bardzo wiadomo, jaki będzie skład gości na srebrnym weselu, które z urzędu musi zorganizować Platforma pospołu z PSL-em. Czy i w jakiej roli weźmie udział w jubileuszu lewica, to się niebawem okaże.

A skoro o lewicy mowa, to warto dokonać krótkiego bilansu. Chodzi o to, jaki ma ona udział w transformacji. Od początku jej sprzyjała, czyli dotrzymywała zawartych porozumień i zobowiązań. Sejm kontraktowy tylko dzięki jej głosom przeprowadził najbardziej bolesne reformy, a Balcerowicz zyskał miano męża opatrnościowego Polski, w co sam uwierzył. I do dziś jest o tym święcie przekonany, czemu daje świadectwo w każdym publicznym wystąpieniu. Tymczasem jego cudowny plan miał co najmniej kilku ojców, którzy nauki pobierali w szkole chicagowskiej, a on sam okazał się dogmatykiem nie mniejszym niż Hilary Minc, tylko a'rebour. Niestety, w pierwszym etapie przemian socjaldemokratyczne koncepcje, m.in. prof. Kowalika, w ogóle nie były brane pod uwagę, także z tego powodu, że parlamentarna lewica nie udzieliła im żadnego wsparcia. Posłusznie podżyrowała plan Balcerowicza – w myśl wskazania, że jej mniej wolno. I nawet wtedy, kiedy pierwszy raz doszła do władzy, realizowała liberalne reformy, w tym największy humbug tamtych lat, czyli powszechną prywatyzację. Za drugim zaś razem kontynuowała reformę emerytalną, która omal doprowadziła państwo do bankructwa.

Pozostaje kwestią do dyskusji, czy lewica zachowywała się tak, nierzadko zaprzeczając własnemu etosowi, bo inaczej nie mogła, czy dla świętego spokoju, lub – co gorsza – z własnej i nieprzymuszonej woli. Dla przykładu dzisiaj nie brakuje mądrych, co krytykują wysłanie naszych żołnierzy do Iraku, ale gdyby wtedy prezydent Kwaśniewski się sprzeciwił, to cały, podzielony już wówczas mocno obóz solidarnościowy zgodnym chórem domagałby się jego impichmentu. Podobnie gdyby premier Miller odmówił Amerykanom bazy na Mazurach, to dzisiejsi jego krytycy postawiliby go przed trybunałem stanu. Aż dziw, że obywatel Pinior, sytuujący się na lewicy, tego nie rozumie.

Lewica, poza niewątpliwymi sukcesami w okresie ostatnich 25 lat, niejedno ma też na sumieniu. I dlatego z okazji okrągłej rocznicy przemian ustrojowych, które zaprowadziły Polskę z powrotem do kapitalizmu, powinna się zdobyć na głębszą refleksję, by znaleźć dla siebie właściwe miejsce.

*Wspomagając ZDANIE I KUŹNICĘ
wspomogasz Polską Lewicę
1% Twego PIT-a
KUŹNICA z radością wita!*

**when nothing
goes right...**

*1% z Waszego podatku
dochodowego dla KRS 0000300613*

go left.

*dla KRS 0000300613
dla KRS 0000300613*

PRZYPOMINAMY, ŻE OD 2009 ROKU „ZDANIE” JEST DOSTĘPNE W SIECI EMPIK W 80. POLSKICH MIASTACH. SZUKAJCIE NAS W MEGASTORACH ORAZ SALONACH I I II KATEGORII. INFORMUJ CIE O TYM WSZYSTKICH, KTÓRZY SĄ ZAINTERESOWANI KUPNEM ORAZ LEKTURĄ NASZEGO PISMA. EGZEMPLARZE ARCHIWALNE MOŻNA OTRZYMAĆ W SEKRETARIACIE STOWARZYSZENIA „KUŹNICA”, KRAKÓW, UL. MIODOWA 41.

„ZDANIE” JEST TEŻ DOSTĘPNE W INTERNECIE: W MAŁOPOLSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ (ZA LATA 1994-2013) ORAZ W INTERNETOWYM KATALOGU CZASOPISM KULTURALNYCH (OKŁADKI I SPISY TREŚCI WSZYSTKICH NUMERÓW ZA TEN SAM OKRES).

REDAKCJA

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

Logos^{***} HOTEL



Nowoczesny hotel usytuowany w bezpośrednim sąsiedztwie Starego Miasta, rekomendowany przez Polskie Zrzeszenie Hoteli. Specjalizuje się w obsłudze turystyki indywidualnej, rodzinnej, biznesowej i motywacyjnej.

Hotel:

- Komfortowe pokoje
- 2 sale konferencyjne
- Sauna, usługi kosmetyczne
- Bezpłatny Internet
- Strzeżony parking

Restauracja:

- Kuchnia fusion i polska
- Komunie, chrzciny, bankiety
- Romantyczne kolacje
- Posiłki na wynos
- Drink- bar

Oferty specjalne:

- Konferencje i szkolenia
- Imprezy integracyjne
- Zwiedzanie Krakowa
- Święta i festiwale w Krakowie
- Pobyt dla rodzin z dziećmi

Hotel Logos, ul. J. Szujskiego 5, 31-123 Kraków, Polska

tel. (+48) 12 631 62 00, fax (+48) 12 632 42 10

e-mail: rezerwacja@hotel-logos.pl, www.hotel-logos.pl

HOTEL LOGOS
W CENTRUM KRAKOWA
ZAPRASZA